

CRISTINA PISCO

Papierowy księżyc

Only A Paper Moon

Tłumaczył: Jan Kabat

*Moim córkom
Cloe, Amelii, Saszy i Francesce
z wyrazami miłości*

Rozdział pierwszy

Mary schodziła ostrożnie ze schodów. Bardzo bolał ją lewy bok, toteż trudno jej było stąpać bezgłośnie po skrzypiących deskach. Ilekroć uwalniała prawą nogę od ciężaru ciała, biodro przeszywał ostry ból.

Musiała się o coś uderzyć. Może o ścianę? Nie. Pamiętała wyraźnie, że rąbnęła o nią ramieniem, a potem osunęła się na podłogę, aż zadrżała zawartość szafki kuchennej. Dotknęła ostrożnie zeszywniałego, posiniaczonego ciała, kości jednak były nienaruszone. Gerald zawsze zostawiał na jej ciele sińce, nigdy jednak niczego nie łamał. Chyba nadwreżyła sobie biodro przy upadku.

Przystanąła na podeście i zaczęła nasłuchiwać. Ktoś krzątał się po kuchni. Gdy Gerald wypadł nocą z domu, leżała na kamiennej posadzce, dziękując Bogu, że tym razem jego chęć pójścia do pubu okazała się silniejsza od gniewu i żądzy. Przypuszczała, że jeszcze nie wrócił, nie była jednak tego pewna.

Bóg jeden wie, gdzie się włóczył. Znikał na całe dni, wychodząc i wracając bez ostrzeżenia, nieodmiennie wściekły, jeśli kolacja nie była gotowa na czas. Zawsze załatwiał jakieś swoje „interesy”.

W miarę jak stan wyjątkowy stawał się stanem powszednim, Gerald wychodził z domu częściej i na dłużej. Nie miała nic przeciwko temu. Przypuszczała, że angażuje się w interesy bardziej podejrzone niż pokątne zakłady. Trzymała usta na kłódkę, ale nie była głupia. Sądziła, że zajmuje się jakimś szmuglem. Jak inaczej można wytłumaczyć te jego powroty do domu z kieszeniami wypchanymi pieniędzmi i torbą pełną rzeczy, których nie da się już zdobyć za miłość czy forszę, jak choćby herbata i tytoń?

Stukał się wtedy palcem po nosie i mówił, że ma szczęście. Nienawidziła tych chwil bardziej niż nocy, gdy wracał rozchełstany i brudny, jakby spał na dworze w ubraniu. Kiedy dopisywało mu szczęście, miał ochotę na seks.

Kiedy miał pecha, chciał ją tylko bić. Czasami, bez wyraźnego powodu, chciał jednego i drugiego.

Mary usiłowała usłyszeć cokolwiek poza szczekaniem psów. Tego ranka wstała późno i wyły już z głodu. Słodki Jezu, powinna od razu zabrać się za pieczenie herbatników. Nie ma mowy o filiżance gorącej herbaty. W holu wiało i drżała z zimna, gdy ruszyła wreszcie na dół. Boże, niech to będzie Imelda, a nie Gerald!

Uchyliła cicho drzwi i zajrzała do kuchni. Owionęło ją ciepło, a wraz z nim zapach bulionu i wypieków. Uśmiechnęła się na widok kruchej sylwetki Imeldy. Dziewczyna mieszała uważnie w wielkim garnku zawieszonym nad paleniskiem i nuciła pod nosem.

– Ranny z ciebie ptaszek, Imeldo Tanner – zauważyła Mary, wchodząc do kuchni. Wesole trzaskanie ognia i jasny uśmiech Imeldy podniosły ją na duchu.

Wyprostowała się, biodro już mniej jej dokuczało. Wiedziała, że tego dnia będzie miała pomoc i towarzystwo.

– Było tak zimno, że nijak nie mogłam spać, więc zesłam na dół i rozpałam ogień – wyjaśniła Imelda.

– To więcej niż ogień. – Mary osunęła się ostrożnie na krzesło przy dużym stole. – Widziałas go dziś rano?

– Nie. Bogu niechaj będą dzięki – odparła Imelda ze stłumionym chichotem. – Ale Tommy już jest. Czyści klatki. Ugotowałam dla psów kości i zrobiłam herbatniki. Dostaną śniadanie.

Mary zaczęła się podnosić, ale znieruchomiała. Lewy bok przeszył nagły ból. Próbowwała ukryć go pod maską uśmiechu, dostrzegła jednak, że oczy Imeldy błysnęły.

– Nie ruszaj się. Siedz sobie. Wszystkiego dopilnuję – powiedziała dziewczyna, kładąc drobną dłoń na jej ramieniu. – Skończyła się herbata. Napij się ciepłego bulionu. Siedz sobie, popijaj bulion i jedz chleb.

Imelda krzątała się przy ogniu i Mary była zadowolona, że obrócona plecami dziewczyna nie widzi łez w jej oczach. Polubiła Imeldę, a ona również żywiła do niej sympatię. Zauważyła, że trudniej jej opanować płacz przy cichych słowach pociechy i pod uściskiem drobnej dłoni na ramieniu niż pod razami wymierzanymi przez Geralda.

W pierwszych latach małżeństwa dryfowała na oślep między nadzieją i rozpaczą, by osiąść w końcu na mieliźnie nienawiści. Tylko ona pozwalała jej przeżyć kolejny dzień. Kiedyś pojawiła się też przelotnie radość, lecz gdy ukochane dziecko zmarło, wraz z ciałem chłopca do grobu zesłała zarówno nienawiść, jak i radość. Mary stała się pustynią skrywającą wszelkie uczucia głęboko na dnie. A teraz ta szczupła dziewczyna o jasnym uśmiechu wzruszyła ją tak, jak nikt od bardzo dawna.

– Proszę – powiedziała serdecznie, stawiając na stole kubek z parującym bulionem. – Pij, zanim ostygnie.

Podziękowała jej skinieniem głowy i podniosła naczynie do ust. Napój pachniał kusząco. Napiła się ostrożnie i popatrzyła znad kubka uśmiechniętymi oczami na Imeldę, która postawiła przed nią mały talerz z dwiema kromkami świeżego ciemnego chleba.

– Mąka też się skończyła – oświadczyła Imelda. – Jedziesz dziś do miasta?

– Tak. I zabieram cię ze sobą – odparła Mary.

– Mnie? – spytała najwyraźniej zaskoczona dziewczyna.

– Tak, ciebie. Pomożesz mi – wyjaśniła Mary ze śmiechem. – Jak tylko nakarmimy psy, powiem Tommy’emu, żeby przygotował wóz i konia. Aha, jeszcze jedno – kiedy uwiniesz się już z robotą, zajrzyj do kufra w korytarzu. Znajdziesz na samym dnie niebieski koc. Weź go sobie.

Nie czekając na protesty dziewczyny, zabrała kubek z kromką chleba w dłoni wyszła na dwór, zostawiając w kuchni Imeldę, wycierającą nerwowo dłoń w ścierkę.

Przechodząc przez podwórze, dostrzegła na wybiegu dla psów chudą postać Tommy'ego Tannera. Prawie dwa lata starszy od siostry był od niej niższy, co stanowiło dla niego bezustanne źródło zmartwienia. Ciemne blond włosy miał zawsze brudne i splątane. Na jego dziwny strój składały się rzeczy podarte i pogniecione, zbyt duże albo za małe. Mary nie mogła pojąć, jak samej Imeldzie udaje się zachować tak schludny wygląd.

Był cudownie słoneczny, marcowy dzień. Jeden z tych dni, kiedy West Cork jakby zapominało o porze roku i przez kilka wspaniałych godzin udawało, że to już lato. Mary minęła niewielki ogródek kwiatowy, założony jeszcze przez jej matkę, który pielęgnowała ze względu na pamięć o niej. Przeszła pod sklepieniem powyginanych pnączy wisterii i nie zważając na ból w biodrze, ruszyła z boczem wzgórza. Naprawdę lubiła Imeldę. Nie wiedziała, co ją skłoniło, by zabrać dziewczynę do miasteczka, ale była z tego zadowolona.

Mary wiedziała o Imeldzie bardzo mało – tyle tylko, że była Cyganką i że większą część zimy spędzała w Clonakilty, a wiosną znów wyruszała w drogę. Mary dorastała w obecności Cyganów. Jako dziecko bardzo lubiła ich barwne wózki i duże wędrownie zaprzęgi. Mężczyźni zajmowali się naprawą wszelkich sprzętów z cyny i żelaza, kobiety zaś chodziły od drzwi do drzwi, zebrząc albo sprzedając szpilki i igły. Nieraz mijała ich namioty i tabory na poboczu drogi, nie zastanawiając się nawet, kto w nich mieszka. Niczym ujście rzeki, stanowili nieodłączny element otaczającego ją krajobrazu.

Tommy zajmował się w zimie psami, odpłacając za paszę dla swojego konia i miedziaki, które Gerald mu czasem rzucał. Choć nigdy nie przegapił okazji, by trochę pobłaznować, przy psach się nie obijał. Wyprowadzał je w deszczu i słońcu, szczotkował i odmierzał starannie porcje jedzenia według ich potrzeb. Szybciej od Geralda spostrzegł, że któryś słabiej biega albo ma jakąś kontuzję. Mimo wszelkich wysiłków Gerald nie mógł znaleźć pretekstu, by czepiać się chłopaka. Od czasu do czasu razem z bratem pojawiała się w domu Imelda. Z początku nieśmiała, zawsze była chętna do pomocy w zamian za to, co dostawała. Mary dręczyło sumienie, gdy przypominała sobie, jak przez dłuższy czas obserwowała dziewczynę bacznie niczym jastrzęb, przekonana, że gdy tylko się odwróci, Imelda coś ukradnie. Jednak to za sprawą cygańskiego rodzeństwa w domu Mary znów zagościł śmiech. Wyprawa do miasta stanowiła nagrodę. Nie chciała nawet myśleć, co powiedziałby na to Gerald.

Dotarła na szczyt wzgórza i usiadła przy starym celtyckim krzyżu. Sam krzyż leżał w trawie prawdopodobnie już od dawna. Jako dziecko nieraz tu siadywała, rozmyślając, kto też ustawił go na szczycie pagórka. Kimkolwiek był, miał wycucie miejsca. Mogła ogarnąć stąd wzrokiem całą wyspę

Inchydoney, morze, ujście rzeki i ciągnące się w dali zielone, pofałdowane wzgórza, które wiele mil dalej, w głębi lądu, spotykały się z wysokimi szczytami.

Naprzeciwko miała wrzynający się w morze Virgin's Mary Bank. A potem był już bezmiar Atlantyku. Jego wody były tego ranka nieruchome i srebrne jak lustro i Mary musiała przysłaniać oczy, gdy spoglądała na horyzont, gdzie długi grzbiet białych, pierzastych chmur zawisł na niebie niczym łańcuch górski.

Zielone wzgórze, które właśnie pokonała, opadało łagodnie, tuląc do swego kolistego podnóża farmę i obejście. Po lewej stronie wznosiły się piaszczyste wydmy, które strzegły kanału przechodzącego niedostrzegalnie w ujście rzeki. Gdyby odwróciła się od morza, miałyby przed sobą dwie groble, łączące wyspę z głównym lądem. Obie zostały usypane w czasie Wielkiego Głodu, i ilekroć jechały do miasta matka mawiała, że te mury wzniosły umierające dłonie. Robiła znak krzyża i modliła się za biedne dusze. Przez ponad sto lat, jakie upłynęły od wzniesienia grobli, ujarzmiona woda wyschła i między groblami utworzyło się bagniste rozlewisko, połączyć lądu, która wydzierając morzu wyspę. Od najwcześniejszych lat Mary ogarniała radość, gdy morze zabierało wyspę z powrotem, zalewając groble i bodaj na kilka godzin odcinając ją od głównego lądu.

Trzy kilometry dalej można było dostrzec nabrzeża Clonakilty. Przyptyw się cofnął i Mary przez parę minut obserwowała stada ptaków, które szukały na piasku jedzenia. Jak dobrze siedzieć tutaj i choćby na chwilę zapomnieć o minionych dwunastu latach.

Wstała i podeszła do rosnącego po lewej stronie krzewu fuksji. Jeszcze niewielki, ale już dorodny. Tego roku fuksja miała zakwitnąć po raz pierwszy. Latem jej liście prawie zakryją mały grób, lecz tego dnia był doskonale widoczny i lakoniczny napis rzucał się w oczy już z daleka. Gerald Sean Burke – 1938-1941. Ukłękła przy mogile i zmówiła krótką modlitwę. Choć wiedziała, że mała dusza chłopca nie potrzebuje pomocy, by trafić wprost do nieba, wypowiedane słowa przynosiły jej pociechę. Skończyła, podniosła się i dotknęła delikatnie zimnego kamienia.

Kiedy wróciła do kuchni, zastała Imeldę i Tommy'ego. Pochyleni nad stołem mieli przed sobą rozłożoną gazetę.

– Kto to kupił? – spytała Mary, zaskoczona finansowa ekstrawagancją.

– Jest z zeszłego tygodnia, proszę pani – odparł Tommy. – Znalazłem ją i przyniosłem do domu, żeby pokazać Meldzie. Ja to niewiele mogę przeczytać, ale wie pani, że ona czyta wszystko, co wpadnie jej w ręce.

Głucha na paplaninę brata Imelda, przeglądała uważnie stronę gazety.

– Pani popatrzy. Sukienka w sam raz dla pani – wskazał jakąś reklamę chłopak. – I za jedyne dziewięć sześćdziesiąt w tym tygodniu. Tylko zielona, ale

czy nie pasowałyby do pani oczu?

– Zuchwały dzieciak – stwierdziła Imelda, wrywając mu gazetę. – O czym ty gadasz?

– Wyglądałyby pani jak księżna – ciągnął niezrażony.

– A dokąd to miałybyśmy chodzić ubrana jak księżna, Tommy? Wbiłabym ci chętnie trochę rozumu do głowy, ale lepiej idź zaprzęgać wóz – powiedziała Mary, biorąc zamach, jakby chciała uderzyć go w głowę.

– Nie, proszę pani, bez bicia. – Chłopak skulił się z udawanym lękiem. – Nie warto się wysilać.

– Idź stąd, ośle, i zrób, co ci każą – powiedziała Imelda.

– Tak jest! – odparł Tommy, stając na baczność. – Lecę migiem!

– Przydałoby mu się porządne lanie – stwierdziła Imelda, gdy wyszedł z domu. Dostrzegła stłumiony uśmiech przyjaciółki.

– Ma dużo uroku. Zawsze mu się upiecze – zauważyła Mary.

– To nie jest zły chłopak – przyznała Imelda. – Bezczelny, ale dobry.

I ma rację – dodała, znów patrząc w gazetę. – Dobrze byś wyglądała w tej sukience. Raz zajrzałam do sklepu, jak byłam w Cork. Mieli tam mnóstwo pięknych rzeczy, wprost nie mogłam uwierzyć. Tyle pięknych ubrań i tylu eleganckich ludzi. Chciałabym zobaczyć te wielkie sklepy w Dublinie. I tramwaje, i kino. Nigdy nie byłam w kinie.

– Ani ja, Imeldo Tanner. Ale dzisiaj będziemy musiały zadowolić się zwykłą ulicą w Clonakilty.

Poranne obowiązki zajęły im jeszcze godzinę, ale potem już usadowiły się na wozie i ruszyły do miasta. Wyprostowany Tommy dzierżył mocno lejce, podczas gdy koń pędził klusem krętą drogą, obejmującą wyspę jakby obrysem. Mary i Imelda siedziały z tyłu, po bokach wozu. Mary ubrała się w czarny płaszcz, Imelda zaś spięła na piersiach narzucony na ramiona jasnoniebieski koc.

Gdy wjechali na groble, z błot zerwało się stado czajek. Imelda wskazywała je dłonią podniecona, a Tommy zaczął machać kapeluszem. Patrzyli jak urzeczeni na ptaki, które zatoczyły w powietrznym bezmiarze płynny łuk, a potem, połyskując czernią i srebrem, zawróciły w idealnej harmonii.

– Jak one to robią? – zastanawiała się głośno Imelda.

– Były w szkole lotniczej, nie wiesz? – odparł Tommy. – Niedługo zrobi się z nich eskadra – dodał poważnie.

– Więc to brytyjskie ptaki – stwierdziła dziewczyna ze złośliwym uśmiechem. – No i pewnie, żaden irlandzki ptak nie chodzi nigdy do szkoły lotniczej.

– Trzeba ci wiedzieć, że mamy świetny korpus powietrzny. Powinnaś być z niego dumna, Imeldo Tanner – stwierdził Tommy – skoro ja, twój jedyny brat,

zamierzam zostać jego najlepszym strzelcem.

– A niby dlaczego miałby cię przyjąć? – odparowała siostra. – Nawet jak mają jakiegoś gruchota, który nadaje się do latania?

– A dlaczego nie miałby mnie przyjąć? Najrówniejszego gościa, jaki kiedykolwiek ofiarował życie za ten kraj? – zdziwił się Tommy, wypinając pierś. – Nie można być za wysokim, jak się chce być strzelcem. Ty byś nie weszła do wieżyczki.

– No tak, ty zmieściłbyś się tam bez trudu. Ale prędzej wzięliby starą zakonnice w habicie niż druciarza w spodniach przewiązanych starym sznurkiem.

Rozparta wygodnie Mary, cieszyła się zwawą jazdą i z rozbawieniem przysłuchiwała dyskusji rodzeństwa. Dopiero na końcu grobli przypomniała sobie, że trzeba zmówić cichą modlitwę za nieszczęsne dusze ludzi, których mdlejące dłonie pozwalają im teraz odbyć tę radosną jazdę.

Wjechali do miasta i Tom wstrzymał konia, który ruszył stępą. Był dzień targowy i ulice roiły się od dwukółek i wozów wszelkich kształtów i rozmiarów. Z dróg zniknęły samochody, z wyjątkiem tych, które należały do księży i lekarzy. Miasto cofnęło się w epokę, kiedy na ulicach królowały wyłącznie konie i rowery.

Tommy zaciągnął hamulec i pomógł zejść swym pasażerkom z wozu. Ustalili, że spotkają się za kościołem. Mary dostrzegła mimochodem krytyczne spojrzenia przechodniów.

Starsze kobiety w czarnych sukniach wlepiły w nią wzrok, gdy je mijała.

– No, no, nigdy bym nie uwierzyła, jakbym nie zobaczyła na własne oczy. Mary Burke wjeżdża do miasta na wozie druciarza, i to dumna jak paw – usłyszała, jak jedna zwraca się do drugiej.

– Chodźmy, Imeldo – Mary podniosła wysoko głowę. – Mamy ciekawsze rzeczy do roboty, niż słuchanie plotek na ulicy.

Nieco wystraszona Imelda ruszyła za nią posłusznie.

– Powinam była zostać w domu – szepnęła. – Te stare wrony napytają ci biedy.

– Bzdura – odparła Mary, wchodząc zdecydowanym krokiem do pierwszego z brzegu sklepu, ale pomyślała, że dziewczyna ma chyba rację.

Zamówiła miesięczny przydział torfu, który miał później odebrać Tommy, wyklóciła się o dodatkową porcję mąki, potem wymieniła u rzeźnika kilka świeżych jajek na kości i kupiła do domu sodę, cukier, sól i niewielką ilość herbaty, którą rozdzielano po równo między domostwa. Za każdym razem, zanim schowała do kieszeni płaszcz kartki i pieniądze, przeliczała je uważnie.

Wiele osób kłaniało jej się na ulicy, gdy szła z niosącą za nią koszyk ze sprawunkami Imeldą, ale nikt nie przystanął, by pogawędzić. Zauważyła, że dziewczyna coraz bardziej się kurczy. Ledwie ją poznawała. Radosny zwykle

uśmiech zniknął pod posępną miną, charakterystyczną dla ludzi, przywykłych do odtrącenia. Zrobiło jej się żal dziewczyny i zdecydowała bez namysłu, że nadszedł czas, by coś przegryźć.

Imelda podążała posłusznie za Mary, lecz zawahała się na chwilę, gdy przyjaciółka weszła do hotelu O'Donovana. Nigdy nie była w środku, nie mogła jednak zrezygnować z nadarzającej się okazji. Wkroczyła do głównego holu i zobaczyła, jak Mary znika w drzwiach z napisem „Herbaciarnia”. Dogoniła ją, gdy zajmowała już miejsce przy małym stoliku w kącie sali.

– No, nie stój tak i nie gap się, dziewczyno. Usiądź sobie – nakazała Mary i wzięła od niej koszyk, by postawić go na podłodze za swoim krzesłem.

– Och, Mary. Tu jest cudownie – Imelda wpatrywała się szeroko otwartymi oczami w ładny obrus na stole i błyszczące sztucce, nie mogąc wyjść z podziwu.

– Napijemy się herbaty. Weźmiemy też ciastka, jeśli je macie – zwróciła się Mary do kelnerki, która gapiła się bez żenady na Imeldę.

– Jak się masz – uśmiechnęła się Imelda do kelnerki. – Pamiętasz mnie?

– Wiedziałam, że to ty! – kelnerka wyszczerzyła zęby. – Imelda Tanner! Coś takiego. Jak ci leci?

– A tobie? – odparła Imelda. Dziewczyny zachichotały i zwróciły się do Mary, która nie bardzo rozumiała, o co chodzi.

– Mary Burke, poznaj Ruth Bennett – rzuciła wielkopańskim tonem Imelda. – Ruth Bennett, poznaj Mary Burke.

– Bawiłyśmy się razem, gdy byłyśmy małe – wyjaśniła Ruth. – Rodzina Imeldy biwakowała każdego lata na naszym polu. Gdzie się teraz podziewasz?

– Mieszkam z bratem i siostrami nie opodal moczarów. Tata i mama zmarli kilka lat temu, postanowiliśmy więc żyć przy ciotkach i wujach.

– To okropne. Współczuję ci. Zastanawiałam się, dlaczego przestałaś przyjeżdżać. Wspaniale znów cię widzieć, Imeldo Tanner. Coś takiego! A więc herbata i ciastka! – Ruth ruszyła w stronę kuchni, nie przestając chichotać.

Mary siedziała w milczeniu i przyglądała się Imeldzie, która promieniała ze szczęścia. W ciągu kilku chwil dowiedziała się o dziewczynie więcej niż przez ostatnie miesiące. Nigdy nie przyszło jej do głowy pytać o cokolwiek.

– Twoi rodzice zmarli? – spytała cicho.

– Tak – odparła spokojnie dziewczyna. – Dwa i pół roku temu. To był wypadek. Co można na to poradzić? Ale teraz jest dobrze. Mamy własną beczkę, a dziewczynkom dobrze się wiedzie.

– Beczkę? Czy chodzi o wóz? – spytała Mary.

– Zgadza się. Taki z dachem w kształcie podkowy. Jak beczka. Nasz jest cudowny, cały kolorowo pomalowany – dodała z dumą dziewczyna.

– Nigdy nie znałam swojej matki – stwierdziła niespodziewanie dla samej siebie Mary. – Umarła, kiedy się urodziłam.

– A tato? – spytała Imelda.

– Był słabym człowiekiem. Nie był zły, tylko słaby. Wychowała mnie babcia. Silna, wspaniała kobieta. Nie żyją już obydwój.

Zjawiała się Ruth Bennett z dzbankiem herbaty i talerzem lepkich, brązowych bułeczek i przerwała im rozmowę. Mary rozsiadła się wygodnie i zagłębiona w myślach popijała herbatę, dziewczyny zaś gawędziły wesoło.

Pamiętała, jak babka podawała wielkie talerze z ziemniakami i bekonem najemnym pracownikom zatrudnionym na farmie, gdy zjawiali się w porze obiadu. Farma należała do niej. Babka często mówiła, że Mary musi dowiedzieć się wszystkiego o prowadzeniu gospodarstwa, gdyż pewnego dnia stanie się ono jej własnością. Niejedną noc Mary przesiedziała przy kominku, patrząc, jak babka zapisuje w notatniku z czarnej skóry rachunki i wszystko, co należało zrobić nazajutrz. Choć miała tylko dwadzieścia lat, gdy babka zmarła spokojnie podczas snu, nie bała się zająć jej miejsca.

Ojciec miał inne plany. Powiedział, że czas sobie odpuścić. Że powinna trochę się zabawić, zanim wyjdzie za mąż i zacznie ustabilizowane życie. „Jak chcesz złapać bogatego i przystojnego męża, skoro siedzisz bez przerwy pod krową albo stogiem siana?” – dokuczał jej dobrotliwie. A Mary była szczęśliwa, że może brać udział w tej zabawie.

Zabierał ją na wędrowniki po sklepach i wyścigi, raz nawet do hotelu w Dublinie. Często dopytywała się o wydatki, ale śmiał się tylko i mówił, że babka była skąpa i zaoszczędziła więcej niż potrzeba. Czyż nie należy im się odrobina szczęścia i luksusu? Mówił tak, jakby chodziło o coś zwykłego. O wakacje, na które sobie zasłużyli przed powrotem do pracy na farmie.

Te wakacje jednak szybko się skończyły. Pewnej nocy zastała ojca płaczącego samotnie w kuchni. Ogień w kominku dawno wygasł, na stole stała pusta butelka whisky. Przyznał, że tonie w długach. Wtedy to po raz pierwszy wspomniał o Geraldzie Burke’u.

Mary poznała go na wyścigach psów w Cork, dokąd zabrał ją ojciec. Powiedział, że pochodzi z Galway i że jest biznesmenem. Elegancki strój i wielkomiejskie maniery mężczyzny zrobiły na Mary duże wrażenie. Traktował ją i ojca po królewsku, zapłacił za drinki i poczęstunek, a na koniec zawiózł ich do hotelu swoim wspaniałym wozem.

Tamtej smutnej nocy w zimnej kuchni załamany ojciec i powiedział, że jest winien więcej, niż mógłby kiedykolwiek spłacić. Był winien pieniądze bukmacherom z Dublina i Cork, był zadłużony w sklepach i bankach. A najwięcej był winien Geraldowi Burke’owi. Jedyne, co mu jeszcze pozostało, to farma.

Gerald zgodził się pójść na układ. Szczęśliwy traf, jak zauważył radośnie ojciec. Gerald pokryje wszystkie długi, a w zamian przejmie na własność farmę.

Mary była wstrząśnięta. Zbyt wstrząśnięta, by zauważyć, że ojciec nie ma prawa dysponować jej gospodarstwem.

„Gdzie się podziejemy?” zdołała tylko spytać. I wtedy ojciec wyniszczył resztę. Nie zrobił tego ot, tak sobie. Powiedział, że Mary nie musi się zgadzać i w jego ustach zabrzmiało to tak, jakby Gerald Burke był tylko jeszcze jednym kandydatem do jej ręki.

Mary kręciło się w głowie. Widziała go tylko raz! Próbowала sobie przypomnieć, jak wygląda.

Nie zauważyła nawet, jak ojciec położył na stole dużą paczkę owiniętą w cienki papier. „To dla ciebie – wyjaśnił. – Sukienka. Piękna sukienka. Od Geralda”.

Bez słowa zaniósła paczkę do swojego pokoju. Rzeczywiście, sukienka była piękna, choć zbyt obszerna w talii. Nie mogła zasnąć, spędziła więc połowę nocy na przeróbkach, rozmyślając o tym, co powiedział jej ojciec. Z każdym nowym szwem coraz wyraźniej widziała swą przyszłość. Rzeczywiście to naprawdę szczęśliwy traf. Gerald jawił się jako zbawca, który przyjdzie, zdobędzie jej serce i spłaci długi. Potem wspólnym wysiłkiem sprawią, że farma zacznie przynosić zyski. Gerald będzie miły i kochający, a ona w zamian nauczy się darzyć go miłością. Doczekają się wspaniałego potomstwa, trzech chłopców i trzech dziewcząt. W wyobraźni widziała już, jak ich dzieci idą pięknie ubrane na niedzielną mszę w miasteczku, a potem zajmują całą ławkę między dumnymi rodzicami.

Gerald przyjechał następnego ranka swoim eleganckim samochodem i Mary patrzyła z okna sypialni, jak ojciec wita się z nim serdecznie. Mężczyzna był wysoki i dobrze zbudowany. Na jego skroniach widniały pasemka siwych włosów, duża twarz była ogorzała i rumiana.

Wydał jej się starszy i potężniejszy niż za pierwszym razem. Zadrżała na myśl o rozmowie z tym człowiekiem. Siedziała w swojej pięknej nowej sukience i czekała, aż zawołają ją na dół. Po dwóch godzinach zebrała się na odwagę, zeszła na parter i zapukała cicho do drzwi frontowego pokoju.

Otworzył jej Gerald. Twarz miał czerwoną od brandy buzującego na kominku ognia. Mary zauważyła na małym stoliku obok kominka opróżnioną do połowy butelkę. „Oto i ona – stwierdził, chwytając ją wpół i wciągając do pokoju. – Oto piękna dzierlatka, którą dostaję na własność!”.

Mary osłupiała. Wysuwając się z objęć Geralda, próbowała uchwycić wzrok ojca, lecz on tylko się odwrócił.

– Mary, nic ci nie jest? Nie skosztowałaś nawet bułeczki. Jedz! Jest taka smaczna!

Mary podniosła wzrok i zobaczyła, że Imelda uśmiecha się do niej. Machnęła przecząco dłonią na widok podsuniętego talerza. Czuła, że coś jest nie

w porządku. Nie wiedziała dlaczego, ale musiała wyjść. I to bezzwłocznie.

– Poproś swoją przyjaciółkę, by je zapakowała. Możesz zabrać do domu. Nigdy nie przepadałam za ciastkami – wyjaśniła przeproszającym tonem. – Zostawię ci pieniądze. Mam jeszcze parę spraw do załatwienia. Spotkamy się przed kościołem.

Imelda miała pełne usta, więc tylko skinęła głową. Mary wyszła z herbaciarni i stanęła jak wryta. Drzwi od pubu otworzyły się gwałtownie i na progu ukazał się Gerald. Uśmiechał się złośliwie, co znaczyło, że zdążył już wypić kilka porterów.

– No, no, patrzcie tylko. Kogóż tu mamy – powiedział. – Mary, mój anioł. Moje życie. Moje utrapienie – roześmiał się. – Wejdz i napij się ze swoim starym. Już dawno mi nie towarzyszyłaś.

Chwycił ją za nadgarstek i wciągnął do ciemnego pubu.

– No dalej, chłopaki. Poznajcie moją panią. Niezła kobieta, co? – obwieścił uroczyście i skinął na barmana o szklankę piwa.

Minęło kilka chwil, nim oczy Mary przywykły do ciemnego, zadymionego pubu. Mężczyźni przy barze poruszyli się niespokojnie. Na męskie terytorium wkroczyła nagle kobieta.

– Co ja słyszę? Pokumałaś się z druciarzami? – syknął jej w ucho. – Nie wiesz, że cię okradną? Zamordują w łóżku, jak coś im się tylko nie spodoba?

Barman postawił przed nimi szklanki.

– Powiedz mi, co ma zrobić mężczyzna, jak żona nie chce się przyzwoicie zachowywać? – spytał głośno Gerald.

Pociągnął spory łyk ze swojej szklanki. Patrzył na Mary, która stała sztywno przy barze. Odstawił piwo i uśmiechnął się szeroko. Taka nagła zmiana nastroju była dla niego typowa.

– Dobrze wyglądasz, kobieto – zauważył grzecznie, jakby stanowili szczęśliwą parę. Jakby nie poniżył jej przed chwilą publicznie. Jakby nie rzucił jej poprzedniej nocy na ścianę i nie zostawił nieprzytomnej na podłodze. Jakby się czymkolwiek przejmował. – Wyjeżdżam na kilka dni w interesach – powiedział i sięgnął do kieszeni. – To powinno ci wystarczyć do mojego powrotu – dokończył i wręczył jej trochę pieniędzy.

Znów podniósł szklankę i odwrócił się do niej plecami. Rozmowa była zakończona. Jej piwo stało nietknięte na kontuarze.

Mary wyszła bez słowa bocznymi drzwiami. Ulica zalana była olśniewającym blaskiem słońca.

Rozdział drugi

Imelda siedziała u stóp pomnika na Astna Square. Ruth kończyła swoją zmianę i wcześniej zaproponowała spotkanie właśnie w tym miejscu. Imelda popatrzyła na figurę pikiniera preżącego się dumnie w promieniach słońca. Przyszło jej do głowy, że znakomicie się prezentuje. Zaczerwieniła się i odwróciła czym prędzej wzrok, bojąc się, że ktoś spojrzy na nią i odgadnie jej myśli.

Była zadowolona, że Ruthie ją poprosiła, by zaczekała. Ruth nie przejmowała się, że ktoś ujrzy ją w towarzystwie Imeldy. Większość znanych jej kiedyś i mieszkających w okolicy dzieci z upływem czasu zaczęła udawać, że nie poznaje dawnej przyjaciółki. Nie winiła ich. Dlaczego miałyby się narażać na burę za to, że w drodze ze szkoły do domu rozmawiają z druciarzami? Robiły tak, jak kazali im rodzice. Potem dorastały, miały własne dzieci i same też raczyły je opowieściami o brudnych włóczęgach. Kiedy przechodziła obok nich, patrzyły na nią jak na powietrze. Czasem któreś skinęło nieznacznie głową, jakby przeprasząc. Imelda nauczyła się to ignorować i odchodziła w swoją stronę. Do swoich.

Nigdy nie mieszkała w domu. Nie mieszkał też w nim żaden z jej ziomków. Byli włóczęgami – żyli parę dni tu, parę tam. Czasem obozowali w jakimś miejscu przez kilka tygodni, czasem nawet przez miesiąc czy dwa, jeśli było dość pracy, a miejscowi zachowywali się przyjaźnie, zawsze jednak, prędzej czy później, ruszali w drogę. Gdy jako dziecko chodziła z matką od drzwi do drzwi, widziała prawdopodobnie więcej domów niż jakikolwiek człowiek osiadły, nie mogła sobie jednak wyobrazić, jak to jest mieszkać w czterech ścianach. Za życia rodziców mieszkała w namiocie, a teraz żyła z bratem i siostrami w wozie z beczkowym dachem, który skonstruował dla nich wuj.

Ich wehikuł był ładny, przytulny i prawie nie przeciekał, a mimo to wciąż brakowało jej dużego namiotu. Tata nigdy nie odstawiał fuszerki, jak zdarzało się to innym. Zawsze wznosił go starannie, zaczynając od głównego pala, który obkładał potem odpowiednio nagiętymi witkami leszczyny. Matka robiła z worków na mąkę duże pokrowce, napełniali je świeżą słomą i kładli na ziemi jako posłania. Słoma była zawsze sucha i pachniała słodko, gdy Imelda wsuwała się w ciemności pod swój koc. Brakowało jej jego ciepła. A najbardziej brakowało jej rodziców.

Odjechali pewnego popołudnia wozem, by nazbierać trochę słomy. Nikt tak naprawdę nie wiedział, co się wydarzyło. Zdaje się, że poniósł koń i wóz przewrócił się do rowu. Mówili, że mama zginęła na miejscu. Tata zmarł w drodze do miasta. Życie zmieniło się dla nich całkowicie.

Na pogrzebie zjawili się ziomkowie z okolicznych hrabstw. Gdy już złożono zmarłych do ziemi, Imelda przez całą noc stała u boku wuja, który palił dobytek rodziców. Pozostał jej tylko pierścionek matki, zrobiony przez ojca z dwuszylingówki.

Imelda poczuła, jak przesunął się po niej cień, i zobaczyła pojawiające się nad miastem chmury. Podniosła wzrok i zobaczyła podążającą w jej stronę Ruthie. Ruth pomachała na jej widok ręką i uradowana spotkaniem Imelda uniosła dłoń w odpowiedzi. Ruth była inna niż pozostali. Tak jak Mary Burke.

Dziwny ptaszek z tej Mary. Potrafi być zimna i obca, a po chwili szczodra i miła. Imelda nigdy nie widziała piękniejszej kobiety. Włosy miała koloru miedzianej monety, a oczy raz szare, raz zielone, zależnie od pogody, tak jak morze. Wierzono co prawda, że rude włosy zwiastują nieszczęście i sama знаła ludzi, którzy wybierając się w podróż, zawracali do domu, gdy napotkali rudowłosą kobietę. Lecz pech, jaki Mary rzekomo przynosiła, spadał zawsze na nią samą. Dla Imeldy jednak przyjaźń z tą kobietą była prawdziwym darem bożym.

– Mam nadzieję, że nie czekasz długo – powiedziała Ruth, siadając obok niej.

– Skąd – odparła Imelda. – Teraz twoja kolej. Jak się miewa rodzina?

– Bardzo dobrze. Siostra wyszła zeszłego roku za mąż i teraz spodziewa się pierwszego dziecka. Będę ciocią! Wyobraź sobie – ciotka Ruth. No, a co u ciebie?

– Jesteśmy zdrowi, dzięki Bogu – Imelda przeżegnała się.

– Nie mogę długo tu siedzieć – powiedziała Ruth. – Obrona Cywilna ma dziś spotkanie, a ja będę podawać herbatę. Mój brat i tata też służą. I Dennis.

– Kto to jest Dennis? – Imelda uniosła pytająco brwi.

– Wspaniały facet – odparła z szerokim uśmiechem Ruth. – A ty spotykasz się z kimś?

– Co ty, Ruth, zwariowałaś? – zaprotestowała Imelda, oblewając się rumieńcem.

– Ile masz lat? Szesnaście, tyle co ja. Jak się tak zastanowić, to przecież niedługo wydadzą cię za mąż. Tak się u was robi, prawda?

– W lecie skończę piętnaście, ale nie dam się wyswatać. Mam coś do powiedzenia – stwierdziła z naciskiem Imelda. – Uprzedziłam ciotkę, że nie będzie żadnych swatów, dopóki nie wychowam siostrzyczki.

– Ależ do tej pory zrobi się z ciebie staruszka! Nikt cię nie zechce!

– Nie martwię się tym.

– A co zrobisz, jak sami cię wyswatają?

– Nie pójdę – odparła Imelda, zaskoczona własną determinacją. – Jeśli każą mi założyć szal i pójść do kościoła – nie zrobię tego. Nie mogą mnie zmusić. Zresztą kto zechce dziewczynę, która ma cztery gęby do wykarmienia?

– Popatrz. Idą ci ze straży – Ruth wskazała trzech mężczyzn w zielonych mundurach, idących środkiem ulicy. – Lepiej już pójde.

– Przystojni, co? Niezłe mundury.

– Owszem. Zielone to właśnie Obrona Cywilna. Tata ma taki mundur. Brał udział w wojnie. Mój brat i Dennis nie dostali jeszcze swoich. Ale mają odznaki. A Dennis ma karabin – obwieściła z dumą Ruth.

– Naprawdę myślisz, że daliby radę Niemcom? – spytała Imelda, gdy zza rogu wyjechali dwaj umundurowani mężczyźni i skierowali się w stronę hotelu.

– A czego Niemcy mogliby chcieć od ludzi takich jak my? – roześmiała się Ruth.

– Słyszałam opowieści o bombach w Dublinie dwa lata temu. Mówili, że Niemcy się pomylili. Te bomby miały spaść na Belfast, ale i tak się wystraszyłam. Niech nas Bóg broni – powiedziała z powagą Imelda.

– Tak, to prawda. A w zeszłym miesiącu, kiedy siedziałam w barze hotelowym – wyszeptała jej w ucho Ruth – słyszałam, jak sierżant straży przybrzeżnej mówił komuś, że w Baltimore schwytali trzech niemieckich szpiegów.

– Szpieczy w Baltimore? – Imelda otworzyła ze zdumienia oczy.

– I to trzech. Przyszli od strony plaży i ruszyli główną ulicą z walizeczkami w rękach.

– Daj spokój! – Imelda uśmiechnęła się szeroko.

– Przysięgam na głowę mojej matki – zaśmiała się Ruth. – Dwóch Niemców i jeden Murzyn!

– Akurat! – zawołała Imelda.

– Ten Murzyn miał na głowie turban – dodała Ruth, zanosząc się od śmiechu. – A najlepsze było to, że nie mogli zrozumieć, dlaczego tak łatwo dali się złapać. Nie doszli nawet do końca ulicy!

– Och, Ruthie, przestań! – prosiła Imelda, trzymając się za boki ze śmiechu.

– Święta prawda. Rzecz w tym, że w pubie siedział sierżant po służbie i popijał sobie piwo, kiedy ktoś wyjrzał przez okno i powiedział: „Od morza idzie dwóch obcych i jakiś Murzyn”. A ten sierżant na to: „To pewnie niemieccy szpieczy”. I tak sobie na nich patrzył, popijając piwo, a potem wyszedł i ich aresztował!

– Kolki przez ciebie dostałam! Nie ma co, zawsze umiałaś mnie rozśmieszyć!

– Prawda! A tak między nami, kogo obchodzą bomby i szpieczy? – spytała Ruth, wstając z miejsca. – Co z tego, że jest wojna, stan wyjątkowy, czy jak to się tam nazywa. Wolałabym wiedzieć, kiedy znów zobaczymy coś takiego jak pończochy albo mydło toaletowe.

Imelda pomachała Rum na pożegnanie i ruszyła z powrotem w stronę

dziedzińca kościelnego. Spojrzała na swoje gumki i pomyślała o słomie, którą wsunęła tego ranka do butów. Wojna czy nie wojna, ona nigdy nie miała niczego takiego jak pończochy czy mydło.

Mali chłopcy otaczali stojących wokół wejścia do hotelu mężczyzn. Wpatrywali się z niekłamanym podziwem w zielone mundury. Czar żołnierskiego uniformu działał też na kobiety z miasta. Uśmiechały się, przechodząc obok zgromadzenia, a mężczyźni odwzajemniali się salutowaniem. Główny temat rozmowy stanowiła pogoda. Zdawało się, że piękny dzień znika bezpowrotnie, wypierany przez ołowiane, groźnie niskie chmury. Spadły pierwsze krople deszczu i mężczyźni uznali, że najrozsądniej będzie poczekać na resztę pododdziału pod dachem hotelu.

Gerald Burke podniósł wzrok, gdy hałaśliwa grupa wkroczyła do głównego baru.

– Popatrzcie tylko na siebie – zwrócił się do stojących przy kontuarze jeden z mundurowych. – Powinniście się wstydzić. Nie macie nic lepszego do roboty, jak siedzieć w pubie, podczas gdy dzielni ludzie z Obrony Cywilnej strzegą narodu?

– Uważaj, co mówisz, chłopcze – odparł chudy mężczyzna ze szklanką whisky w dłoni. Pokazał niebieską opaskę na swoim ramieniu. – LSB. Lokalna Służba Bezpieczeństwa. Za dobra jak dla was. Wy tylko bawicie się w żołnierzy, a my wykonujemy prawdziwą robotę.

– LSB? A czym się zajmujecie?

– Posterunkami. Obserwacją wybrzeża przy Galley Head – odparł z dumą mężczyzna. – To się nazywa obrona narodu.

– A teraz to kto prowadzi te obserwacje? Twoja stara?

– Zgadza się – odparł mężczyzna ze śmiechem. – I mogę ci powiedzieć, że nic się nie ukryje przed jej wzrokiem!

– Tylko widzisz – odparował pierwszy – kiedy twoja kobieta zamelduje, że w stronę zatoki zmierza flota łodzi podwodnych i chmara samolotów, wezwą Obronę Cywilną. No to kto w końcu będzie bronił komu?

– Kogo, nie komu. Kto będzie bronił kogo? Czy to tak, chłopaki, bronicie narodu? Wpadając do baru na piwo? – zapytał się ku ogólnej ucieście Con O’Leary. Cornelius O’Leary był stałym bywalcem hotelowego baru. Po dziesięciu latach spędzonych w Anglii wrócił do Clonakilty, gdzie wiódł szczęśliwy żywot zaprzysięgłego kawalera i lokalnej osobistości. – Czy tak ich zatrzymamy, jeśli spróbują inwazji? – ciągnął. – Zaopatrując ich w porter?

Zapijając się na śmierć? Mniejsza o moje nadwerżone krzyże – mimo wszystko chyba się zaciągnę!

Gdy inni się śmiali, Gerald siedział cicho. Skończył swoje piwo i wyszedł z baru, skinąwszy na pożegnanie głową.

– Poszedł ten, którego nie zobaczysz w mundurze. Nie ten kolor, co trzeba – zauważył pod nosem barman Tony. – Mam kuzyna, który znał go jeszcze w Galway. Zdaje się, że bardziej mu pasowała wtedy czarna koszula. Szkoda, że nie słyszałeś, jak wcześniej gadał ze swoją kobietą. Hańba i tyle.

– Nie sądzę, by dla takich jak on kolor coś w ogóle znaczył – odparł Con O’Leary. – Jego ulubiony to taki, który najbardziej się kalkuluje.

– Święta prawda – przyznał Tony, potrząsając głową. – Sprzedałby własną matkę, gdyby ktoś mu odpowiednio zapłacił.

Pogoda psuła się coraz bardziej i mrok gęstniał stopniowo. Barman porzucił na chwilę swój posterunek, by spuścić żaluzje i zapalić światło.

– Jak wam się podobają te zasłony do zaciemnienia? – spytał. – To była okropna robota, zakrywać okna tymi kawałkami papieru, a potem je zdejmować. Żaluzje są drogie, mówię wam. Takich samych używają w biurach rządowych. Ale nieźle wyglądają, no nie?

Mężczyźni przy barze kiwnęli głowami, wyrażając ogólną aprobatę.

– W końcu to nie żarty – stwierdził z powagą Con O’Leary. – Prawda, doktorze Moloney?

– Absolutnie – zgodził się doktor, którego zwalista postać balansowała na sąsiednim stołku. – Rząd podchodzi do tego wszystkiego bardzo poważnie. Ledwie przed tygodniem dostałem okólnik zakazujący korzystania z samochodu w jakichkolwiek sprawach prywatnych. Wszyscy lekarze i weterynarze w hrabstwie go otrzymali, a myślę, że księża z parafii też.

– Do licha. Cała Irlandia w strachu – zażartował towarzysz doktora.

– Mimo wszystko niezła zabawa z tym stanem wyjątkowym – dorzucił barman Tony. – Mam na pieńku bardziej z Anglikami niż Niemcami, a z Jankesami to już w ogóle, ale serce się kraje, jak człowiek słyszy o tych bombach w Londynie.

– Mam rodzinę w Anglii, niech Bóg ma ich w swej opiece – odezwał się mężczyzna ze straży przybrzeżnej.

– A my nie? W zeszłym tygodniu wyjechało dwóch chłopaków Dana Murpy’ego. Nieźle można teraz zarobić w Liverpoolu.

– Teraz jak włączyli się do wojny Jankesi, to nie walczą tylko ci Irlandczycy, którzy pozostali w Irlandii – stwierdził Con O’Leary, podnosząc szklanke.

– Nieważne, kto wygra – zakończył dyskusję doktor. – Dopóki sami się w to bawią, a nam dają spokój.

Deszcz chłostał ziemię i ulicą płynęła już prawdziwa rzeka. Wyglądało na to, że kilku członków pododdziału nie dotrze na czas. Wszyscy uznali zgodnie, że zatrzymała ich pogoda, ustalono więc, że ćwiczenia zaplanowane na ten wieczór zostają odwołane. Barman obwieścił następną kolejkę.

Rozdział trzeci

Mary siedziała w kuchni i słuchała szalejącego za oknem wiatru. Ulewa zaczęła się w chwili, gdy dotarli na farmę. Tom i Imelda wysadzili ją szybko, a sami pojechali do siebie. Po raz pierwszy zastanawiała się, czy nic im nie grozi.

Burza nadciągała z południowego zachodu. Wicher uderzał swym skrzydłem w dom, gwizdał przeraźliwie pod okapem dachu i wył w kominie. Deszcz lał się strumieniami, a gałęzie krzewów stukały upiornie w szyby. Mary wydawało się, że dom rozpadnie się za chwilę na kawałki.

Nie bała się jednak. Siedziała blisko ognia owinięta w koc, napawając się rzadkim spokojem. Miała dobry nastrój. Gerald nie wracał. Nie musi się nim przejmować jeszcze przez kilka dni. Pies leżący u jej stóp spał twardo. On też wydawał się szczęśliwy, że Gerald jest daleko. Kiedy pan gościł w domu, pies kulił się po kątach i przemykał chyłkiem pod ścianami.

Mary rozpałała torfem ogień, aby nad ranem łatwo go było znów rozniecić. Imelda uprzedziła, że jutro rano nie przyjedzie, ale Mary nie mogła się doczekać, kiedy wreszcie zajmie się domową robotą. Ogień palił się jasnym płomieniem. Próbowwała zapomnieć o tym, co wydarzyło się w barze i minionej nocy w kuchni. Nie przychodziło jej to łatwo. Drzemała, rozmyślając o jutrzejszym dniu, o tym, że nie musi się lękać humorów Geralda...

Szła po plaży. Czowała między palcami stóp mokry piach. Z lewej strony huczało morze. Odwróciła się od spienionej wody i skierowała ku szarym klifom i ciągnącym się dalej zielonym wzgórzom. Słońce świeciło mocno, lecz w fałdach jej ubrania szemrał lekki wietrzyk. Pochyliła głowę i uśmiechnęła się do małego chłopca u swego boku. Jasne włoski malca przetykały pasemka złota, a piegowaty nosek marszczył się, gdy odpowiadał jej uśmiechem, odsłaniając szparę w przednich zębach. Wyciągnęła dłoń, by pogłaskać go po głowie, lecz uskokczył, kopiąc w piach. Mary nie rozumiała, co się stało. To nie Sean. Chłopiec był od niego starszy. Przynajmniej o pięć czy sześć lat. Ale to jednak był jej syn. Nie miała żadnych wątpliwości.

Nagle poczuła, że jakaś silna, a zarazem miękka dłoń ujęła jej rękę. Pochyliła głowę i ujrzała, że jej lewa dłoń spleciona jest z dużą, męską, pokrytą czarnymi włoskami. Była to cudowna dłoń, czysta i niestwardniała. Podniosła wzrok, by przyjrzeć się mężczyźnie, ale przeszkadzał jej silny blask słońca. Próbowwała przysłonić oczy. Mimo to wciąż nie mogła zobaczyć go wyraźnie. Wiedziała jednak, że go kocha. Kochała tego człowieka i ich dziecko ponad wszystko. Patrzyła, jak malec biega tam i z powrotem nad brzegiem morza. Nigdy nie czuła się równie szczęśliwa. Nawet gdy od zachodu nadleciał silny wiatr i porwał ze sobą plażę, nadal czuła dotknięcie łagodnej dłoni...

Zbudziła się rześka. Mogłaby przysiąc, że była na plaży. Pamiętała blask słońca i uczucie, jakby jej serce miało wybuchnąć z radości. Burza za oknem wciąż szalała, lecz ona cały czas spała głęboko. Spojrzała na zegar i ze zdziwieniem stwierdziła, że już po północy. Zapaliła małą świeczkę i zgasiła lampę przed pójściem na górę.

Siedziała na łóżku i rozbierając się patrzyła na swe odbicie w lustrze wielkiej dębowej toalety. W migocącym płomieniu świecy jej biała skóra zdawała się promieniować, a włosy przyciągnęły światło, gdy wyjęła z nich spinkę i rozpuściła je na ramiona. Odwróciła się skromnie, zdjęła bieliznę i nałożyła koszulę. Wciąż przeżywała swój sen. Patrząc na uśmiechniętą twarz w lustrze, wzięła do ręki szczotkę. Rozczesując włosy, nuciała cicho i zastanawiała się, co to wszystko oznacza. Jej babka wierzyła głęboko w sny. Zawsze z uwagą słuchała opowieści i prosiła o szczegóły, by potem rozważać głośno sens poszczególnych elementów, gdy dochodziła wreszcie do właściwych konkluzji, precyzowała, co należy robić. Mary nie do końca akceptowała jej interpretacje, ale lubiła opowiadać babce swe sny.

Z zamyślenia wyrwał ją przeraźliwy trzask gdzieś na tyłach domu. Czyżby zapomniała zaryglować drzwi? Odłożyła szczotkę i zaczęła nasłuchiwać. Niewiele docierało spoza zasłony deszczu, ale miała wrażenie, że znów usłyszała ten dźwięk. Podeszła do drzwi sypialni i wyjrzała na dół. Wydawało jej się, że zobaczyła w holu psa. Postanowiła zejść i zamknąć go w kuchni.

Pies krążył skulony u podnóża schodów. Mary zdziwiła się, że nie chce do niej przyjść i że trzeba go specjalnie wołać. Weszła do ciemnej kuchni i poczuła dreszcz na plecach. Kamienna podłoga przejmowała jej stopy chłodem. Ogień przygasł, pozostał jedynie ciemnoczerwony żar. Postawiła świecę na stole, chcąc dołożyć do paleniska torfu. Z ciemności wychyliło się gwałtownie jakieś ramię i chwyciło ją w pasie.

– Gerald! – krzyknęła przerażona. – Wystraszyłeś mnie na śmierć.

– Dlaczego? Spodziewałaś się kogoś innego?

Ubranie miał przemoczone, z jego czapki ściekała woda. Przyciągnął ją bliżej i Mary poczuła, jak jej koszula robi się wilgotna. Bił od niego silny odór alkoholu. Próbowwała rozpaczliwie spojrzeć mu w oczy.

– Nie, skąd – odparła, usiłując odsunąć go łagodnie. Musi popatrzeć mu w oczy. Ich spojrzenie powie jej nieomylnie, co ma się wydarzyć.

– Przemokłeś do nitki. Wysusz się.

Zupełnie jakby próbowała przesunąć z miejsca ścianę. Mąż trzymał ją przy sobie, obejmując jedną ręką w pasie. Choć chwiał się lekko, jego uścisk nie zelżał ani na chwilę. Przyciągał ją coraz mocniej, aż w końcu stanęła na palcach z rękami przyciśniętymi do szorstkiego i mokrego materiału jego wełnianej

kurtki. Lewa dłoń Geralda pełzła po jej plecach i zatrzymała się na karku. Gdy zanurzył palce w jej włosach, nie mogła opanować dreszczu obrzydzenia.

– Gdzie moja kolacja, kobieto? – wyszeptał jej w ucho, głaszcząc jednocześnie po głowie. Oddech miał nieświeży i gorący.

– Nie zdążyłam przygotować, ale zaraz to zrobię – powiedziała błagalnie Mary, wciąż balansując na palcach stóp. Gerald zacisnął palce wokół gęstych włosów i szarpnął jej głowę do tyłu.

– Gdzie moja kolacja? – powtórzył, podnosząc przy każdej sylabie głos. Mary zatoczyła się. Ból w czaszce oślepił ją, odór z ust męża odbierał zdolność myślenia.

– Miałeś wrócić później – wyszeptała.

– Zmieniłem zdanie – stwierdził, puszczać jej włosy. Ujął ją za brodę i przyciągnął jej twarz do siebie. – Mężczyzna ma prawo zmienić zdanie, prawda? Prawda? – Zacisnął palce na jej szczęce i szarpnął do góry. Mary spojrzała mu w oczy i przeraziło ją to, co w nich zobaczyła.

– Zostaw mnie – syknęła.

– A niby dlaczego? – spytał, rzucając ją brutalnie na stół. Wyciągnął z kieszeni butelkę i pociągnął spory łyk. – Jesteś moja i mogę z tobą robić, co mi się podoba.

– Nigdy nie będę twoja – wyszeptała Mary. Z miejsca pożałowała tych słów.

Dłoń mężczyzny wystrzeliła zbyt szybko, by mogła się uchylić. Rozległ się trzask. Uderzona w policzek Mary, poleciała bezwładnie na podłogę.

– Owszem, należysz do mnie. Nawet jeśli jesteś kurwą. Czyż cię nie kupiłem? Dlatego jesteś kurwą i moją własnością.

Leżała na kamiennej podłodze, próbując złapać oddech. Gerald stał i patrzył na nią z góry, pociągając rozmyślnie długo z butelki. W migotliwym blasku świecy wydawał się nienaturalnie wielki. Był jak majaczący nad nią nienawistny cień. Czapka mu spadła, do czoła przykleiły się czarne, przetykane siwizną kosmyki włosów. Nie odrywając od niej wzroku, ściągnął niezgrabnym ruchem kurtkę. Próbował powiesić ją na krześle, ale pomylił się o dobre trzydzieści centymetrów i ubranie spadło na podłogę i tak zostało. Mary z przerażeniem patrzyła na błakający się na jego wargach uśmiech.

Nie mogła znieść jego widoku. Zamknęła oczy. Pragnęła, by kamienna posadzka otworzyła się i pochłonęła ją na zawsze.

Boże błagam, tylko nie to – przemknęło jej przez myśl. Słyszała, jak Gerald zsunął gwałtownie szelki z ramion i zaczął manipulować przy pasku. Od miesięcy już nie miał na nią ochoty. Żywiła nadzieję, że jest nią zmęczony. Nie mogła znieść myśli, że będzie ją dotykał.

– Wstawaj, kobieto – warknął, trącając ją czubkiem buta. – Wstawaj, powiedziałem!

Nawet nie drgnęła. Leżała skulona na podłodze, a on zaczął wymierzać jej krótkie, bolesne kopniaki. Schylił się, chwycił ją za ramię i jednym szarpnięciem postawił na nogi, rozdzierając jej przy tym koszulę. Próbowwała się zakryć postrzępionymi kawałkami materiału.

– Co my tu mamy? – spytał, naśmiewając się z jej wstydlivosti. – Prawdziwą kurwę, której przyda się porządna nauczka. Tak jak tej drugiej małej kurwie, z którą się szlajasz.

Mary otworzyła gwałtownie oczy. Ledwie czuła szorstką dłoń, zaciskającą się na jej piersi. Kogo ma na myśli?

– To wszystko kurwy, te ich kobiety. Są inne.

Gerald ciągnął za jej koszulę i drapał boleśnie uda, ale nie czuła tego. – Kto? Kto jest inny?

– Druciarze. Znasz taką jedną. Tę Imeldę. Widziałem, jak się tu panoszy. Jest już całkiem dorosła. Pewnie, przecież oni dorastają prędzej niż normalni ludzie. O tak, nieźle jej się przyjrzałem. Sama się o to prosi.

– Zostaw ją w spokoju! – Zaczęła walić go na oślep pięściami. Odsunął ją, ale rzuciła się na niego, szarpiąc go za włosy. Zatoczył się do tyłu, lekko zaskoczony. Potem znów ją uderzył. Cios był tak silny, że poleciała na ścianę.

– Dam ci nauczkę – powiedział złym głosem i zaczął ściągać pasek. – Dam ci nauczkę, ty kurwo.

Smagnięcia były chaotyczne, ale gdy trafiały celu – mocne i bolesne. Mary odwróciła się twarzą do ściany. Zaczęła się modlić. Miała wrażenie, że jej plecy i nogi płoną ogniem, w głowie łomotało. Zamknęła oczy i osunęła się na podłogę. Chłosta dobiegła końca.

– Kiepska z ciebie żona – stwierdził, rzucając pas na podłogę. Znieruchomiała. Nasłuchiwała wycia burzy, cichego trzasku ognia, łomotu gałęzi o szybę, pisku psa w holu. Próbowwała skoncentrować się tylko na odgłosach. Chciała zagłuszyć przerażenie. Nie czuć ciężaru mężczyzny, który zwałił się na nią i zadarł jej koszulę. Ścisnęło ją w dołku, gdy napał na nią biodrami i wcisnął twarz w szyję. Zwaliste ciało miażdżyło ją bezlitośnie. Ledwie mogła oddychać. Zacisnęła powieki i błagała Boga, by wszystko skończyło się jak najszybciej.

Rozdział czwarty

Beuaregard St Soucis wyjrzał przez szybę i patrzył, jak pod chmurami ginęło wybrzeże. Wokół niego grzechotał i huczał wielki bombowiec B-17, unosząc ich siłą czterech silników z kontynentu afrykańskiego wprost w niebo. Nic dziwnego, że nazwali go latającą fortecą – pomyślał. Wyposażona w wieżyczki strzelnicze, działka i wielką przegrodę bombową była to prawdziwa latająca machina wojenna. I podobnie jak średniowieczna twierdza miała spartańskie wnętrza. Dwie długie ławy pośrodku kadłuba stanowiły jedyny bardziej komfortowy element wyposażenia. Pozostałe przedziały były niezwykle ciasne, a rolę toalety pełniło niczym nie osłonięte białe emaliowane wiadro, umieszczone dokładnie pośrodku samolotu.

Załoga ochrzciła go mianem „To nie ptak”. Domyślał się, że ma to związek z *Supermanem*, nadawanym w radiu. Skąd brały się takie nazwy? Widział już samoloty, które nazywały się „Shoo Shoo Baby”, „Rodger the Lodger” i „Impatient Virgin”, uważał jednak, że nie są głupsze niż imiona koni wyścigowych ze stajni jego ojca.

Samolot zwał się „To nie ptak”, a jego załoga leciała do Anglii. Pasował mu ten kurs, gdyż to był właśnie jego cel.

Ostatnim razem był tam przed wojną, kiedy towarzyszył ojcu w podróży przez Anglię, Szkocję i Irlandię. Była to bardzo przyjemna wycieczka. Wiązała się z interesami ojca i jego pasją do koni wyścigowych pełnej krwi. Beau pamiętał stadniny, kolacje w klubach i ładne dziewczęta, które przedstawiały mu ich mamy. A także deszcz. Padało przez cały czas ich pobytu. Pamiętał ponure, wilgotne zimno i tęsknotę za gorącym i parnym klimatem rodzinnej Luizjany.

Ze swego stanowiska widział cały środkowy przedział i pomieszczenie radiowe. Widok kokpitu zasłaniały chude nogi strzelca, stojącego na występie przy pomieszczeniu radiostacji. Głowa i ramiona strzelca ginęły w pleksiglasowej półkuli. Facet ma głowę dosłownie w chmurach – pomyślał Beau, rozsiadając się wygodnie. Zanosilo się na długi lot. Wyłapał z ogólnego hałasu jakieś trzaski i z głośnika pokładowego radia dobiegł go głos pilota:

– Panowie, jesteśmy na właściwej wysokości, poniżej pułapu dziesięciu tysięcy stóp. Dostatecznie wysoko, gdybyśmy natknęli się na jakieś niemieckie łodzie podwodne, ale nie musicie zakładać masek tlenowych. Będę się odzywał co dwadzieścia minut. Widzę, że McKnight jest cały i zdrowy.

– Mów za siebie – odezwał się głos, w którym Beau rozpoznał drugiego pilota.

– Bombardier? – Tak.

– Nawigator?

– Jestem.

– Mechanik Tate? – Tak.

– Radio. Russell?

– Jestem – mruknął człowiek obsługujący radio, podczas gdy pilot sprawdzał dalej.

– Wieżyczka pod kadłubem?

Beau widział postać strzelca skulonego pod drzwiami pomieszczenia radiowego. Zasnął tuż po starcie. Sądząc po wyglądzie załogi, wszyscy jej członkowie nieźle się w miniony wieczór zabawili.

– Wódz śpi, kapitanie – odpowiedział krótko radiooperator Russell.

– Nic mu nie jest, kapitanie. Niech sobie pośpi. Musieliśmy go zanieść wczoraj do domu – wyjaśnił do mikrofonu śniady, krępy osobnik. Mrugnął do Beau. – Szef to Indianin ze szczepu Irokezów. Był nauczycielem w Oklahomie. Alkohol i szef nie pasują do siebie zbyt. Jeśli wiesz, o co mi chodzi.

Beau skinął głową.

– Russo? Czy to ty? – spytał pilot.

– Zgadza się – odpowiedział lotnik swym nosowym, nowojorskim akcentem. Wyciągnął do Beau dłoń. – Matt Russo.

Beau uścisnął mu rękę.

– Beau St. Soucis.

Jego południowy akcent kontrastował z wymową Russo.

– W porządku, niech sobie śpi – stwierdził pilot. – Wieżyczka za kabiną? Pilot do wieżyczki – powtórzył. – Wagner? Ty też śpisz?

– Nie, sir. Jestem tutaj – wymamrotał jakiś głos.

– Miło to słyszeć. Już myślałem, że zostawiliśmy cię na dole. Wieżyczka na ogonie?

– OK. Właśnie zaczynamy przyjacielską partyjkę z naszym mechanikiem, Diabelnym Szczęściarzem Tate'em. Zobaczę, czy uda mi się odzyskać trochę forsy, którą mi zabrał między Dakarem a Marakeszem – wyjaśnił jeden z dwóch ludzi siedzących na ławce. Ustawiali właśnie prowizoryczny stolik do kart.

– Nadzieja jest wieczna – zachichotał drugi, tasując karty. – Ty masz nadzieję, że się odegrasz, a ja mam nadzieję, że została ci jeszcze jakaś forsa.

– OK – powiedział pilot. – Odezwę się za dwadzieścia minut.

Nogi z wieżyczki za kabiną pilotów zsunęły się z występu i szczupła sylwetka wcisnęła się do przedziału radiowego. Młody blondyn o jasnoniebieskich oczach i piegowatym nosie przeszedł do kadłuba i usiadł obok Matta Russo. Potrząsnął ze smutkiem głową.

– Jak się masz, dzieciaku – zawołał Matt, przekrzykując warkot silników. – Kiepsko się czujesz, co?

– Przysięgam, że nigdy więcej nie wezmę do ust czerwonego wina – odparł z ponurą miną strzelec. Młody chłopak zdradzał klasyczne objawy ciężkiego kaca. Beau pomyślał, że nie ma chyba gorszego miejsca na tę

przypadłość niż ich blaszana puszka z jej gruchoczącą skorupą i rykiem silników.

– Coś taki skwaszony? Za niecałe dwanaście godzin będziesz w dziewięćdziesiątej piątej grupie bombowej Ósmych Sił Powietrznych, gotów doszczętnie zbombardować hitlerowskie Niemcy. Więc lepiej się rozchmurz – ciągnął Matt.

Chłopak zdołał tylko skinać głową.

– Do diabła, widzę, że faktycznie kiepsko z tobą. Wiesz co, Les, otwórz okno i złap trochę powietrza. Odświeżysz sobie głowę.

Chłopak zrobił tak, jak mu kazano i podstawił głowę pod lodowato zimny powiew. Wciąż ciężko oddychał, gdy usiadł z powrotem naprzeciwko Beau. Jego twarz przybrała jednak zdrowszą barwę.

– To jest Beau – poinformował strzelca Matt i otoczył go ramieniem. – A ten gość to Les Wagner. Ma dziś urodziny.

– Wszystkiego najlepszego – powiedział z uśmiechem Beau. – Ile masz lat?

– Osiemnaście – Les wyszczerzył zęby w odpowiedzi.

Matt zaczął grzebać w plecaku na podłodze, po czym wyprostował się i wyciągnął dłoń z piersiówką.

– Tego ci trzeba – obwieścił triumfalnie.

– Chyba żartujesz – zaprotestował Les.

– Zimno ci? Masz dziś urodziny? To nie wystarczy? – pytał Matt, przysuwając mu do twarzy butelkę.

– Dobra, dobra. – Les wziął butelkę i pociągnął spory łyk. – Kiedy płyn dotarł mu do żołądka, chłopak zgiął się wpół i zaniósł się kaszlem.

Matt walnął go mocno w plecy, śmiejąc się i potrząsając głową.

– Osiemnaście, powiadasz? Wygląda na to, że najwyższy czas, żebyśmy nauczyli cię paru rzeczy. Musisz wiedzieć, jak się pije. Podejrzewam, że warto by też pójść na dziewczyny.

Matt ciągnął długą chwilę z butelki, rozkoszując się przyjemnym dreszczem, który przebiegał mu po plecach. Strzelcem nadal wstrząsał kaszel.

– Zdrowie, Lesie Wagnerze – Matt wznosił butelkę i znów podał chłopcu. – Za twoje osiemnaste urodziny!

Les potrząsnął głową, dysząc ciężko, ale Matt nie przyjmował żadnych wykretów.

– Zachowuj się jak mężczyzna. To klin. Poczujesz się lepiej, wierz mi. Nikt tego nie lubi, ale to pomaga. Chyba będę musiał zająć się twoją edukacją.

Les wziął się w garść i pociągnął z butelki. Beau mógłby przysiąc, że tym razem poszło mu znacznie lepiej. Nie zakrztusił się nawet, otarł tylko usta wierzchem dłoni i wręczył butelkę Mattowi.

– Dobrze – stwierdził Matt i podał flaszkę Beau. – Łyknij sobie za

urodziny dzieciaka.

Beau przyjął propozycję i podniósł butelkę do góry. Był to bourbon. Ukrył grymas obrzydzenia. Jeśli istniał jakiś alkohol, którego nienawidził, to właśnie bourbon. Podziękował Mattowi i oddał mu flaszkę.

– Niezła zabawa była zeszłej nocy – przyznał Matt, opierając się o wklęsłą ścianę kadłuba. – Ci wszyscy goście w turbanach. I te stragany z żarciem. – Próbowaliśmy nakłonić solenizanta, żeby zjadł trochę baraniego łba z grilla. – Matt zwrócił się do Beau.

– Najbardziej podobali mi się zaklinacze węży – zauważył Les. Zaniknął oczy i uśmiechnął się.

– Co cię tak bawi, dzieciaku? Przypomniałeś sobie tancerki brzucha? – spytał Matt.

Les zaczerwienił się i potrząsnął głową.

– Nie. Pomyślałem tylko, jak paradowałeś wszędzie z tą małpką na plecach.

– Jaką małpką? – spytał Beau, rozbawiony swobodną pogawędką mężczyzn.

– Matt zawsze kupuje różne rzeczy i wlecze je ze sobą do samolotu – wyjaśnił Les. – Skrzynki z rumem w Puerto Rico, papugę w Gwinei Brytyjskiej. W Brazylii dostaliśmy od niego wszyscy ręcznie szyte buty. Ostatni nabytek to biało-czarna szerokonosa małpka.

– No dalej, dzieciaku – ponaglał go Matt. – Każdy prawdziwy Amerykanin, gdy tylko się rano zbudzi, od razu myśli o kobietach. Jak się tak uśmiechasz, to znaczy, że myślisz o swojej dziewczynie.

– Nie mam dziewczyny – odparł Les, najwyraźniej zadowolony z tych żartów. – A ty?

– Broń Boże! Absolutnie. Żadnej dziewczyny! W każdym razie nie tej jedynej. Tu się właśnie zaczynają problemy – kiedy masz tę jedyną. Lepiej mieć ich dużo.

– Wszystko bujda – stwierdził rudowłosy facet, który wszedł do przedziału. Beau skinął mu głową. Mężczyzna zajął narożnik obok wieżyczki i wyciągnął z torby pomarańczę. Wykorzystał plecak jako poduszkę i usadowił się wygodnie.

– To Mahoney, nasz nawigator – wyjaśnił Matt i Mahoney pomachał w jego stronę ćwiartką pomarańczy.

– No więc, ile masz kobiet? – spytał Les.

– Wszystkie kobiety świata... teoretycznie – wyjaśnił ze śmiechem Matt. – Świetna myśl. Mój dziadek, świeć Panie nad jego duszą, zwykł mawiać, że mężczyzna jest jak pszczoła przelatująca z kwiatka na kwiatek.

– Czy to znaczy, że kobieta jest jak kwiat... z mnóstwem pszczół?

– Jeśli masz szczęście, to tak, mądrało – odparł Matt. – Zakładając

oczywiście, że to nie twoja matka albo siostra.

– A co z kuzynkami?

– Kuzynki się nie liczą. Kuzynki to inna sprawa. To wielki poligon ćwiczebny w dużych włoskich rodzinach. Dopóki ich bracia się nie dowiedzą.

– Tak samo jest w dużych rodzinach irlandzkich. To ma chyba związek z katolicyzmem – zażartował z gazety Mahoney. – Hej, Russo, zapomniałbym, porucznik mówił, żebyś lepiej pilnował tej małpy, bo zwierzak skończy tak jak papuga.

Jak na zawołanie, ukazała się nieduża, czarno-biała małpka o wielkich oczach i długim ogonie, i ruszyła w stronę kiści bananów. Wybrała starannie jednego, pomaszrowała do toalety i usiadła na niej. Obrała delikatnie owoc i zaczęła jeść.

Beau wybuchnął na ten widok głośnym śmiechem.

– Popatrzcie tylko. Wygląda jak król na tronie – zauważył swoim śpiewnym akcentem.

– To nie król – odparł Matt. – To polityk. Nazywa się Tojo, na cześć premiera Japonii. Widzisz te duże obwódki wokół oczu? Wyglądają jak grube okulary, takie, jakie nosi Japoniec.

– Tojo? Fakt, jest tak samo paskudny. A co się stało z papugą?

– Widzisz, obecny tu Russo kupił papugę. Piękny ptak, ale kawał cholery. Latała po całym samolocie i wszędzie paskudziła.

– Wyobrażam sobie, jakie to było irytujące – uśmiechnął się Beau. – Papugi to uparte bydlaki. Nie lubią wychodzić za potrzebą.

– Ten ptak to była istna fabryka gówna – dodał Matt, przyłączając się do ogólnego rozbawienia.

– No więc pewnego dnia, gdzieś między Ameryką Południową i Afryką, papuga zaczyna latać po kabinie pilota. I sra na wskaźniki – ciągnął Mahoney. – Drugi pilot, McKnight, próbuje bydlę złapać. Papuga wlatuje z wrzaskiem do mojego przedziału, sra na mapy i frunie z powrotem do kokpitu. Robi się straszliwe zamieszanie. Ląduje wreszcie i przysiadła przed samym nosem pilota. A Charles Hansen III, zimny jak stal, chwytą ptaka za szyję, otwiera boczne okno i wyrzuca go na zewnątrz. Dziesięć tysięcy stóp nad Ameryką Południową! – zakończył Matt, pokazując, jak papuga znika za szybą kabiny. – *Finito bambino*. Nie ma.

Wystraszona głośnym śmiechem małpka pomachała na mężczyznę bananem i zaskrzeczała.

– Więc uważaj, mój Tojo, żebyś źle nie skończył – stwierdził nawigator, odkładając czytane pismo. – No, trzeba wracać do roboty, bo inaczej wylądujemy w Berlinie!

Tojo nadal szczebiotał, wzbudzając powszechną wesołość. Skończył banana, zeskoczył z toalety, rzucił skórka w Matta i pomaszrował z powrotem

do przedziału radiowego.

– Przysięgłbym, że ta mała mówi po angielsku – stwierdził w zamyśleniu Matt.

– Niech sobie gada nawet po chińsku. – Les podniósł się z miejsca i podążył w ślad za Tojo. – Pójdę się trochę przespać.

Oparty wygodnie Beau patrzył, jak młody lotnik znika w przedziale radiowym. Wszyscy wydawali się sympatyczni. Wiedział, że ich intryguje. Ale dopóki nie pytali, nie zamierzał niczego mówić. Im mniej wiedzieli, tym lepiej. Jak dotąd, nikłe zainteresowanie działało na jego korzyść. Z wyjątkiem tej pechowej historii w Libii. Ale i tak musieli go wypuścić po dwóch tygodniach przetrzymywania. Czy uwierzyli w jego opowieść o wyprawie wędkarskiej, czy ambasada francuska naciskała na władze, nie miało większego znaczenia – puścili go.

Bawił się przez ostatnie miesiące, jeżdżąc od jednej bazy lotniczej do drugiej. Raz udawał dziennikarza, raz lotnika, innym razem fotografa, dopóki nie zgubił w Belem aparatu. Z Puerto Rico do Casablanki przejechał autostopem. List polecający, jakim dysponował, umożliwił mu dostęp do najwyższego dowództwa – wszędzie, gdzie tylko się pojawiał. Podpis prezydenta otwierał wszystkie drzwi. A długa lista ojcowskich przyjaciół gwarantowała przyzwoite obiady. Specjalny Wysłannik Prezydenta – stanowisko wydawało się znacznie poważniejsze, niż było w rzeczywistości. Wszystko, co musiał robić, to rozglądać się bacznie, sprawdzać morale i warunki życia, a następnie przekazywać do Waszyngtonu raporty. Prezydent chciał mieć pewność, że otrzymuje z baz prawdziwe informacje. Potrzebował zaufanego człowieka.

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności poprzedniego wieczoru, na przyjęciu u państwa Etienne, spotkał porucznika Hansena. Hansen wyglądał na miłego faceta – absolwent Harvardu z 1939 – był tylko o parę lat starszy od Beau i na tyle mądry, by nie zadawać zbyt wielu pytań. Beau zanotował w pamięci, że ma przekazać matce pozdrowienia od pani Etienne, co podkreśliła dwukrotnie, gdy się zegnali.

Doskonale się bawił podczas tych krótkich wakacji w Afryce Północnej. Hotel „Mammounia” w Marakeszu był przemiłym miejscem. Na zacienionych, pełnych gigantycznych palm dziedzińcach szemrały fontanny. Obok wygodnych, krytych miękkimi narzutami sof stały kosze z owocami. Nic dziwnego, że był to ulubiony hotel sir Winstona Churchilla. Napisze o tym ojcu w następnym liście. Może po wojnie zorganizują wyprawę do Maroka.

Wkrótce zobaczy zieloną, uroczą ziemię Anglii i jego podróż niemal dobiegnie końca. Nazajutrz wieczorem powinien być w Londynie i raczyć się tym, co będą podawać w „Savoy Grill”. Nie miał wątpliwości, że pomimo toczącej się wojny będzie to znakomite, a obsługa bez zarzutu.

Cóż za ironia losu – pomyślał. Oto znajduje się u kresu swej misji, podróżując z dziesięcioma ludźmi, dla których wszystko dopiero się zaczyna. Biedne sukinsyny. Może i on byłby w podobnej sytuacji, gdyby nie łaska boska... czy raczej interwencja ojca. Jego ojca i prezydenta łączyła kiedyś przyjaźń. Chodzili razem do szkoły. Beau pragnął wspomóc wysiłek wojenny. Mnóstwo jego przyjaciół w kraju tak właśnie zrobiło. Ale matka nie chciała nawet o tym słyszeć, a ojciec uważał, że jego jedyny syn najlepiej przysłuży się krajowi, gdy pozostanie w domu i zajmie się różnymi interesami rodziny. Beau wyrzucił z głowy te myśli i skoncentrował się na książce, którą czytał.

Matt Russo oparł się i spuścił wzrok. Umiał wypoczywać, nie zapadając w prawdziwy sen. Mógł też dzięki temu obserwować ukradkiem ludzi. Doskonalił tę sztuczkę, gdy siedział na werandzie, pilnując sióstr.

Ich pasażer to z pewnością ktoś szczególny. Wysoki, ciemny, przystojny. Jak gwiazdor filmowy. Matt mógłby się założyć, że jego opalenizna to efekt letniego żeglowania, a nie kilku dni w Afryce. Bardzo dobrze znał takie typy. Od kiedy skończył dwanaście lat, dostarczał towary ze sklepu dziadka do eleganckich domów na Upper East Side. Zawsze od tyłu, wprost do kuchni, ale nawet tam wyczuwało się atmosferę tych miejsc i charaktery mieszkających tam ludzi. Czasem, gdy w domu byli tylko służący, mógł nawet się rozejrzeć.

Ale ten akurat, ten Beauregard jakiś tam, jest zupełnie inny. Nie dlatego, że pochodzi z Południa. Bogate dzieciaki zawsze wyglądają podobnie. Chodziło o coś innego, niż szyty na miarę mundur i nieskazitelne maniery. Matt mógłby się założyć o ostatniego dolara, że ten człowiek nie jest lotnikiem. Nie miało to co prawda większego znaczenia, w końcu to nie jego sprawa. Jeśli Charlie Hansen uważa, że wszystko jest w porządku, to i on, Matt, też. Pilot także jest facetem po dobrym uniwersytecie i pływa latem na jachcie. Mieszkał nawet na Upper East Side, ale Matt poszedłby za nim w ogień.

Tate i Merdeza wciąż grali w karty. Obaj byli starsi od reszty załogi i mieli w kraju żony, co tłumaczyło, dlaczego trzymali się razem. No i to, że godzinami potrafili grać w pokera.

– Środkowy przedział do radiooperatora – powiedział Matt do mikrofonu.
– Może byś znalazł nam jakąś muzykę, Russell?

– Radio do pilota. Zgadza się pan, poruczniku? – zwrócił się do pilota radiooperator.

– Pewnie, Russell. Chłopaki, chcę was widzieć znów na stanowiskach, jak już miniemy Hiszpanię i znajdziemy się nad Atlantykiem. Na razie możecie wypoczywać.

Zza szumu i huku zmierzającego do Anglii gigantycznego samolotu dobiegał słaby głos Benny'ego Goodmana. Matt nie przepadał za Russellem. Czasem ten facet potrafił człowieka wkurzyć. Ale jest znakomitym

radiooperatorem i tylko to się liczy. Matt był sierżantem sił lądowych, nim po wybuchu wojny przeniesiono go do korpusu powietrznego. Wiedział, że najważniejsze jest, by każdy wykonywał swoją robotę. I by chłopcy zasługiwali na zaufanie, gdyż od tego zależało ich życie. Był zadowolony z załogi, którą dostał.

Wódz przeszedł przez środkowy przedział, skinął głową Mattowi i poszedł ulżyć sobie na emaliowanym klozecie w tyle kadłuba. Tego faceta Matt naprawdę lubił. Nazywał się John Wilson, ale tytułowali go Wodzem ze względu na fakt, że był czystej krwi Indianinem ze szczepu Irokezów. Pierwszy czerwonoskóry, jakiego Matt spotkał w swym życiu. Choć liczył tylko sto sześćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, przyciągał piękne kobiety niczym magnes. Chłopaki z załogi szybko się zorientowali, że z Wodzem warto wyjść na miasto, jeśli chce się poderwać jakieś babki.

Matt zaprzyjaźnił się z nim w ciągu ostatnich paru miesięcy, choć bez trudu zwał go podczas picia pod stół, a potem musiał taszczyć z powrotem do bazy. Ten dzieciak, Les, też jest w porządku. Najlepszy strzelec w swojej klasie. Mówił, że nauczył się strzelać w lasach rodzinnego Wisconsin. Rozmyślanie o załodze trochę Matta zgnębiły. Wszyscy zachowywali się tak, jakby wybierali się w swej prywatnej latającej fortecy na jakiś piknik. Lecz Korpus Powietrzny nie po to ich wyszkolił, wyposażył i zbudował im B-17, by sobie polatali naokoło świata. Nazajutrz mieli się sami przekonać, że to nie majówka.

Skulony w kącie swojego pomieszczenia Les próbował zasnąć, jednak tylko czasami udawało mu się zdrzemnąć. Hałas w kabinie był ogłuszający; w każdej pozycji w całym ciele czuło się wibracje. Nawet gdy człowiek zdołał zapaść w sen, to i tak wiedział, że coś go zbudzi. Nie założyli masek tlenowych, ale pilot kazał im meldować się co dwadzieścia minut. Les domyślał się, że chce im wdrożyć tak potrzebną w czasie prawdziwej akcji dyscyplinę.

Gdy nie budził go pilot, robiła to małpka. A właściwie ten przeklęty Russell, który ją drażnił. Biedny stary Tojo ułożył się do spania nad głową radiotelegrafisty, wykorzystując zasłonkę w oknie jako hamak. Russell czekał, aż małpka zapadnie w głęboki sen, a potem trącał ją ołówkiem. Gniewało to zwierzaka, który skakał po całym samolocie, skrzeczając i złorzeczając. Ledwie przed paroma minutami Tojo zeskoczył ze swego legowiska nad głową Lesa i ruszył zawodząc do środkowego przedziału. Les otworzył oczy i zrezygnował ze snu. Zadziwiające, ale czuł się znacznie lepiej. Usiadł i zobaczył, że ich pasażer śpi po drugiej stronie pomieszczenia.

Dochodzącą z głośników muzykę przerwał Mahoney. Informował pilota, że mogą natrafić na złą pogodę, o czym im przed lotem mówiono.

Les siedział wpatrzony w nity biegnące nad jego głową wzdłuż kadłuba i myślał o suficie swojej sypialni, daleko w domu. Ileż to nocy przeleżał na swoim łóżku, przyglądając się zawieszonym u góry modelom samolotów.

Marzył o maszynach bojowych, o doskonałych pilotach. Poszukał papierosa. Wspomniął zimny grudniowy dzień sprzed ponad roku.

Polował w sobotni poranek na wiewiórki. Ziemię pokrywał świeży śnieg, więc szedł ostrożnie, by nie robić hałasu i nie płoszyć zwierzyny. Ustrzelił dwie sztuki i wracał właśnie do domu, gdy jego ścieżka skrzyżowała się z jelenim szlakiem. Sądząc po śladach, musiał być to spory samiec. Choć Les miał tylko małokalibrową strzelbę, ruszył uważnie widocznym na śniegu tropem, który wiodł przez zagajnik wyniosłych brzoź i gigantycznych białych sosen. Indianie ze szczepu Potawatomi powiadali, że lasy pełne są duchów, a Les nie miał wątpliwości, że mieli rację.

Nieco dalej teren zaczął się wznosić. Ślady jelenia wiodły prosto w górę, po czym zniknęły. Les wiedział, że za grzbietem wzniesienia znajduje się wąwóz. Osunął się na kolana i ruszył bezgłośnie na czworakach do linii drzew. Ostatnie kilka metrów czołgał się na brzuchu, wreszcie wyjrzał poza krawędź wzniesienia. Jakieś dwadzieścia metrów niżej ujrzał największego jelenia, jakiego kiedykolwiek widział. Zwierzę stało nieruchomo i Les mógłby przysiąc, że patrzyło wprost na niego.

Głód w końcu zwyciężył i chłopak zawrócił w stronę domu. Szedł i znów tropił jelenia w myślach. Wyobrażał sobie, jak opowiada o wszystkim przy stole, a ojciec i brat słuchają zauroczeni. Matka nie odezwałaby się nawet słowem. Twierdziła, że nie lubi zabijania. Dreptałyby więc cicho od pieca do stołu, trzymając w dłoniach tacę z naleśnikami i dzbanek mocnej czarnej kawy. Układał starannie opowieść, by uniknąć pytań, które mogłyby zakłócić jej tok. Brat chciałby poznać wszelkie szczegóły dotyczące jelenia i udawałby, że już takiego widział. Ojciec natomiast pragnąłby wiedzieć, gdzie dokładnie Les spotkał samca i jak go wytropił. Już na krótkiej ścieżce prowadzącej do domu ubarwiał jeszcze historię i dodawał do niej to i owo. Nad domem, w chłodnym zimowym powietrzu, zwieszał się dym z komina. Wokół roztaczała się cudowna woń ciepła i posiłku.

– Cześć – rzucił Les, wchodząc do kuchni. – Poczekajcie, aż wam po – wiem, co mi się przytrafiło dziś rano!

Ale nikt go nie słuchał. Ojciec, brat i matka siedzieli skupieni wokół radia.

– Wytropiłem wielkiego jelenia! W życiu takiego nie widzieliście – spróbował ponownie. – Większy niż ten, którego upolował w Święto Dziękczynienia Mickey Schor...

Głos mu zamarł, gdy wszyscy troje odwrócili się i pomachali na niego, by się uciszył.

Ktoś zwiększył siłę głosu, ale Les nic nie mógł zrozumieć. Zdaje się, że było coś o wojnie. Czy doszło do kolejnej bitwy w Brytanii? Tak czy owak, po skupionych twarzach zorientował się, że to bardzo złe wiadomości. Matka nawet

ocierała oczy małą białą chusteczką.

– Japońce zbombardowali Pearl Harbour – oświadczył brat głosem drżącym z podniecenia.

Les patrzył na niego, nie rozumując.

– Pearl Harbour. Japońce zbombardowali nas w Pearl Harbour, Les. Na Hawajach – dodał Mike podniesionym głosem.

Les poczuł, jak serce zabiło mu żywiej.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – wyszeptał.

– Zbombardowali nasze łodzie podwodne i okręty.

Ciężar tej wiadomości zaczął do niego powoli docierać, gdy ojciec odwrócił się i otoczył go ramieniem.

– To znaczy, że przystępujemy do wojny, synu.

Przygoda z jeleniem odeszła szybko w zapomnienie. W jednej chwili życie zmieniło się całkowicie, a on nawet o tym nie wiedział. Nigdy nie udało mu się opowiedzieć tej historii do końca.

Wyciągnął z kurtki paczkę papierosów. Siedzący po drugiej stronie Beau poruszył się i otworzył oczy. Les położył się ponownie i zapalił. Tożo uspokoił się po ostatnim incydencie z ołówkiem i znów siedział w hamaku nad głową radiooperatora. Wychylał się tylko od czasu do czasu ze swego legowiska.

Stary miał oczywiście rację. Następnego dnia znów siedzieli wszyscy przy radiu, gdy prezydent Roosevelt mówił przed obliczem Kongresu, że 7 grudnia 1941 roku to „dzień, który stał się hańbą”. Kongres przegłosował decyzję o wypowiedzeniu wojny państwu Osi – Niemcom, Włochom i Japonii.

Beau przeciągnął się i spróbował rozmasować sobie zeszywniały kark. Pomimo huku silników i harców małpy zdołał jakoś zasnąć. Ta mała bestia potrafi się naprawdę drzeć. Spojrzał do góry i zobaczył, że Tojo wychyla się zza niewielkiej zasłonki, jakby coś knuł. Les siedział po drugiej stronie pomieszczenia i palił papierosa.

– Dobrze spałeś? – spytał Les.

– Nieźle, jak na te warunki – odparł Beau. – A więc masz urodziny? Znam lepsze miejsca, gdzie można skończyć osiemnaście lat, niż B-17 z dziesięcioma facetami i małpą. y – Dobrze jest. Zawsze miałem hyzia na punkcie samolotów. Składałem modele od szóstego roku życia. Miałem nawet na ścianie w swoim pokoju wielkie zdjęcie barona von Rickhoffena. Znasz tego asa z pierwszej wojny?

Beau przytaknął.

– Musiałem go zdjąć, jak przystąpiliśmy do wojny. Nie wydawało mi się słuszne, by dalej tam wisiał. A wracając do tematu, to nie wyobrażam sobie lepszego miejsca na własne urodziny.

– Jakim cudem skończyłeś dopiero osiemnaście lat? – spytał Beau. – Myślałem, że tyle trzeba mieć, by się w ogóle zaciągnąć. A ty jesteś już strzelcem.

Les uśmiechnął się.

– To długa historia.

– Opowiadaj, nigdzie się nie wybieram.

– No cóż, jak już mówiłem, zawsze kochałem samoloty. Kiedy wypowiedziano wojnę, razem z bratem przeczytaliśmy wszystkie artykuły na ten temat, wysłuchaliśmy każdej wiadomości w radiu. Chcieliśmy wziąć w tym udział. Do diabła, baliśmy się nawet, że wszystko się skończy, zanim zdążymy się zaciągnąć. Naprawdę zazdrościłem Mike’owi. Byłem w ostatniej klasie szkoły średniej, a Mike pracował w warsztacie Pete’a i uczył się na mechanika. Czekał, aż skończy osiemnaście lat, by się zaciągnąć.

Beau zapalił papierosa i odprężył się. Podobał mu się entuzjazm tego dzieciaka. Zobaczył, jak Tojo wysuwa ze swego legowiska głowę, po czym znów się chowa.

– Mike skończył osiemnaście lat dwa dni po mojej promocji. Tata zawiózł go do punktu werbunkowego w Oskosh. Ja też się z nimi zabrałem – ciągnął Les. – Mike czekał z tatą w kolejce, a ja oglądałem plakaty. Po jakimś czasie tata zawołał mnie, żebym przyszedł do sierżanta. To był jakiś wielki Szwed. A tata mówi do niego: „Mam tu jeszcze jednego syna, jeśli go zechcecie”. Sierżant spytał, czy mam osiemnaście lat. Tata coś tam bąknął i tak poszło – zaciągnąłem się. Przysięgłbym, że było to jedyne łgarstwo w życiu mojego ojca.

– Niezła historia – przyznał Beau. – Musisz być najmłodszym strzelcem w swojej eskadrze.

– Do licha, jestem chyba najmłodszym facetem w całym korpusie lotniczym Armii Amerykańskiej – roześmiał się Les.

Deszcz załomotał gwałtownie w kadłub samolotu, światło w pomieszczeniu radiowym przygasło. Russell zapalił małą lampkę na swoim pulpicie. Skupiony nie zauważył nawet, że Tojo, który znów wyjrzał z chytrą miną zza zasłony, obserwuje go uważnie. Beau przyglądał się małpce, która wynurzała się co chwila ze swej kryjówki. Zwierzak sprawiał wrażenie bardzo zaabsorbowanego, gdy tak wyglądał co chwila, jakby chcąc ocenić sytuację. Wreszcie, rzuciwszy długie spojrzenie na pochyloną głowę Russella, małpka wycofała się do swej kryjówki.

Beau nie mógł uwierzyć w to, co się później wydarzyło. Zza zasłony wystrzelił długi, cienki strumień uryny i z doskonałą precyzją wylądował na karku Russella.

– Co, u diabła? – zawołał Russell. Poderwał się z miejsca i nabił sobie guza na głowie. Próbował złapać Tojo, który skoczył mu na ramię, po czym umknął z pomieszczenia.

– Ta cholerna małpa naszczała mi na głowę! – wrzasnął Russell.

– Zemścił się za to, że mu dokuczałeś – roześmiał się Les.

Beau dosłyszał odgłosy zamieszania w środkowym przedziale. Tojo biegał z jednego końca samolotu na drugi, paplając coś skrzekliwie.

– Przedział środkowy do wieżyczki – rozległ się głos Matta. – Co tam się u diabła stało? Tojo wywija fikołki, jakby zwariował.

– Pewnie świętuje – odparł Les. – Właśnie obsikał Russella. Trafił bezbłędnie. Powinniśmy wysłać go do ośrodka szkoleniowego w Reisenbeck. Byłby z niego wielki bombardier.

Śmiech rozbrzmiewający w głośnikach został przerwany brutalnie przez pilota.

– Weźcie na wstrzymanie, chłopcy. Trafiliśmy na obszar bardzo złej pogody. Wieżyczka za kabiną, zajmij stanowisko i powiedz mi, co widzisz.

Les skoczył na równe nogi i wdrapał się do swojej niszy za pilotami. Zajął miejsce na niewielkiej półce, a jego głowa ukazała się w pleksiglasowej półkuli wieżyczki strzelniczej. Beau stanął za nim i spojrzał w smolistą ciemność. Padał tak gęsty deszcz, że tylko z trudem można było przebić wzrokiem strugi wirującej wody. Ale Beau zdołał wypatrzeć jakiś wielki kształt.

– Wieżyczka do pilota. Wielka czarna chmura z przodu – zwołał Les.

– Widzę, wieżyczka – odpowiedział pilot. – Trzymajcie się, wchodzimy w nią.

Zanurzyli się w chmurę i samolotem szarpnęło. Deszcz walił teraz w pleksiglasową kopułę, zagłuszając warkot silników. Beau musiał przytrzymać się ścianek wieżyczki, gdy gigantyczny samolot dygotał pod ciosami burzy. Z dzioba wyskakiwały iskry i przelatywały po skrzydłach.

– Radio do pilota. Urywa się sygnał. Silne zakłócenia.

– Nawigator do pilota. Wskaźniki zwariowały. Pewnie trafiliśmy na obszar silnej aktywności elektrycznej.

– Pilot do załogi. Idziemy w górę. Może uda nam się przelecieć nad tą burzą.

Hansen i McKnight starali się za wszelką cenę utrzymać kontrolę nad samolotem. Śmiech urwał się jak nożem uciął, gdy wszyscy uświadomili sobie, że od upadku w liczącą dziesięć tysięcy stóp otchłań dzieli ich tylko cienka blacha i umiejętności pilota. Nawet Tojo wyczuł powagę sytuacji. Wśliznął się cicho do pomieszczenia radiowego i skulił w kącie.

Lecieli w burzy przez ponad pół godziny, wznosząc się stopniowo, by ominąć ją od góry. Na wysokości dwunastu tysięcy stóp założyli maski tlenowe. Beau wziął jeden z podręcznych zestawów z pomieszczenia radiowego i założył na twarz. Minutę później przebili się przez nawałnicę. Beau odetchnął z ulgą. Wyczuł, że bombowiec wyrównał lot i przestał dygotać. W samolocie rozległ się głośny aplauz. Beau precyzyjnie przycisnął się obok nóg Lesa i wsunął głowę do kokpitu.

– Dobra robota, Hansen – powiedział swym śpiewnym akcentem. – Napędziłeś mi strachu.

Porucznik Hansen machnął tylko ręką, nie odrywając oczu od wskaźników.

– Nie dziękuj. Nie jesteśmy jeszcze w domu i nie obeschliśmy – powiedział. – Pilot do nawigatora – gdzie się u diabła znajdujemy?

– No cóż, Charlie, z trudem przechodzi mi to przez gardło, ale nie mam pojęcia. Ostatnim razem, jak popatrzyłem na wskaźniki, to powinniśmy zbliżyć się do Zatoki Biskajskiej. Ale to było jeszcze zanim wpadliśmy w burzę. Teraz możemy być wszędzie.

Rozdział piąty

Imelda siedziała przy ognisku, ściskając w dłoniach gorący kubek z herbatą. Słońce zaczęło wschodzić i dziewczyna słyszała, jak pozostali budzą się powoli ze snu. Za parę minut wyciągnie z łóżka dziewczyny, każe im się umyć i przygotować na nowy dzień. Po tygodniowej wędrówce na zachód poszli spać późno i teraz potrzebowali więcej snu.

Obozowisko nad mokradłami zostało rozbite przy wąskiej, rzadko uczęszczanej drodze. Na jej końcu znajdowało się niewielkie wzniesienie z kamienną chatą. Wuj Imeldy zawarł z właścicielem ziemi umowę i w czasie pobytu na tym terenie mógł wraz z rodziną korzystać z chaty przez kilka tygodni. Wuj Paddy i ciotka Helen mieli czternaścioro dzieci, z czego ośmioro nadal mieszkało przy rodzicach, byli więc zadowoleni z odrobiny dodatkowej przestrzeni. Gdy biwakowali nad mokradłami, chłopcy spali zwykle w wozie, a nie pod nim, jak działo się to w drodze, dziewczęta zaś w chacie z rodzicami i niemowlakiem. Farmer był miłym człowiekiem i nie miał nic przeciwko temu, by Imelda i jej siostry obozowały niedaleko. Pozwalał też innym rodzinom zatrzymać się u tutaj na dzień czy dwa. Wysoko położony teren był suchy, a źródło wody pitnej znajdowało się zaledwie kilometr dalej. Imelda słyszała, jak w koronach drzew szeleści cicho południowo-zachodni wiatr, niosący ze sobą zapach morza. Powietrze wypełniał śpiew ptaków i dziewczyna czuła się szczęśliwa, że znów znalazła się tutaj po nie kończącej się wędrówce. Pogoda była przez cały tydzień brzydka i panowała wilgoć, nic nie chciało schnąć. Teraz zapowiadał się piękny dzień, mogli więc zrobić pranie i rozwiesić je na żywopłotach.

Tommy wstał o piątej, by pójść do Geralda Burke'a i zająć się psami. Miał niebawem wrócić. Imelda zastanawiała się, co porabia Mary. Wpadła do niej, nim wyruszyli do Skibereen i Bantry, ale Mary była zajęta i dość szorstka. Nim Imelda zdążyła przekroczyć próg jej domu, niemal wypchnęła ją za drzwi z bochenkiem chleba i tuzinem jajek.

Dziewczyna weszła do wozu z kubkiem świeżej herbaty w dłoni. Powietrze w środku było słodkie i ciepłe od słomy i cichego oddechu dziewcząt. Zanurzyła dłoń w swoim posłaniu i wyciągnęła pudełko, gdzie trzymała pod kluczem zapasy. Służyło jako poduszka i żadne dziecko nie zdołałoby nocą dostać się do jego zawartości. Znajdowały się w nim dwa z czterech bochenków, które upiekła poprzedniej nocy, kawałek bekonu i mała cebula. Mięso i cebulę zamierzała usmażyć dla Tommy'ego, dziewczynkom zaś dać po kawałku chleba i herbatę. Wiedziała, że Tom ucieszy się z posiłku, gdy wróci po pracy na farmie Geralda.

– Wstawac, leniuchy – połaskotała skulone pod kocami dziewczęta. –

Przyniosłam wam herbatę. Macie się umyć i uczesać, zanim wam przygotuję śniadanie. – Brigid, pomóż małym – zawołała do dziesięcioletniej siostry, wychodząc na dwór z pudełkiem.

Przeszła na tył wozu i podwinęła rękawy, by się porządnie umyć i uczesać. Dopiero potem mogła dotknąć jedzenia. Lodowato zimna woda z wiaderka szczypała w twarz i ramiona. Rodzice bardzo wcześnie wpoili jej zasady czystości i nauczyli, że garnki, patelnie, miski i wiaderka trzyma się osobno i w należyтым porządku. Jeden jedyny raz widziała, jak ojciec stracił panowanie nad sobą, gdy włosy matki rozsypały się, kiedy stała nad ogniem i gotowała strawę. Najpierw się rozgniewał, a potem kazał jej odejść i zapleść warkocz od nowa. Gdy wróciła, potrząsnął nią porządnie, by się upewnić, że ani jeden włoszek nie spadnie jej na ubranie. Potem krzyknął na nią, by to samo zrobiła z dziećmi. I zrezygnował z jedzenia, choć wiedziała, jaki był głodny.

Tommy zjawił się, nim dziewczyny skończyły śniadanie. Imelda odesłała je, by poszły pobawić się jakiś czas z kuzynkami, sama zaś usiadła z bratem i patrzyła, jak się posila.

– Nellie trochę kaszle – powiedziała. – Powinnam zachować cebulę dla niej. Jedziesz dziś do miasta? Mogłabym zabrać się z tobą i kupić jedną. Ugotowałabym ją z odrobiną mleka.

– Pewnie, że jadę. Zostały nam jeszcze pieniądze z handlu. Można by kupić trochę jedzenia. Przydałby się kawałek mięsa.

– Pewnie. Mogłabym też posłać do szkoły Margaret. Musi się trochę poduczyć, jeśli ma przystąpić w tym roku do pierwszej komunii. Powinna też trochę poćwiczyć czytanie i pisanie.

– Niech dziś zostanie w domu. Pomoże Brigid i Norze posprzątać i pilnować Nellie. Mary Burke chce jechać do miasta. Moglibyśmy ją zabrać.

Imelda nie zastanawiała się długo.

– Wspaniale – uśmiechnęła się. – Zorganizuję dziewczynkom zajęcia i możemy ruszać.

Mary przez cały tydzień bała się, że Imelda może wrócić podczas obecności Geralda. Już sama myśl o mężu, który patrzy na dziewczynę, była nie do zniesienia. Tego ranka wstał wcześniej. Spakował torbę i oświadczył, że wyjeżdża w interesach i że nie będzie go co najmniej tydzień. W domu znów zagościła cisza, którą tak kochała. Nieraz myślała o tym, jak różna bywa cisza. Kiedy Gerald przebywał w domu, ledwie się do siebie odzywali. Wieczory spędzał w mieście, wracał późno i walił się na łóżko w pokoju frontowym, gdzie przesypiał większość dnia. Budził się późno, mył i ubierał, po czym znów wychodził. Ledwie raczył na nią spojrzeć, i Mary dziękowała za to Bogu. Lecz cisza była ciężka i groźna, niczym czarna, dusząca chmura, która spływała na nią z góry. Gdy mąż był w domu, zachowywała się cicho jak trusia, uważając,

by nie upuścić widelca albo nie zaskrobać o talerz w zlewie, ani nie zrobić czegokolwiek, co odbiłoby się echem od ścian domu i zwróciło uwagę na jej obecność. Mimo to czerpała pociechę z codziennych zajęć. Wiedziała, że to jedyny sposób, by zachować resztki normalności. Dobrze znane gesty, powtarzane dzień za dniem, wpływały kojąco na jej ciało i umysł. Gdy zamykała się przed zapadnięciem nocy w swoim pokoju, zapadała w kamienny sen, który uwalniał ją od trosk.

Gdy tylko Gerald zniknął, cisza zmieniała swój charakter. Było tak, jakby ktoś otworzył na oścież okno i wpuścił słone powietrze, które wyganiało smutek. Kiedy męża nie było, mogła naprawdę czerpać radość ze swej pracy i często łapała się na tym, że nuci sobie podczas domowych zajęć.

Usłyszała, jak na podwórzu zajeżdża wóz, wygładziła sukienkę i wyprostowała się. Wiedziała, że krwawoczerwona pręga na jej policzku prawie zniknęła, i miała nadzieję, że bystre oczy Imeldy jej nie zauważą. Zastanawiała się, co powinna zrobić. Za wszelką cenę chciała wyrzucić z siebie złe myśli, które zaszczerpił w niej Gerald. Widok szczupłej, otulonej niebieskim kocem sylwetki utwierdził ją w przekonaniu, że dziewczyna i jej mąż nigdy więcej nie mogą się spotkać. Wiedziała, że najłatwiej zamknąć przed nią drzwi. Powiedzieć jej, by odeszła i nie wracała więcej. Lecz nie mogła tego uczynić. Myśl o tym, że mogłaby zranić Imeldę, była nie do zniesienia. Tęskniła za nią i nie mogła powstrzymać uśmiechu, gdy dziewczyna pomachała ręką.

– Co słytać? – spytała Imelda, wchodząc do kuchni.

– Wchodź, wchodź – zapraszała Mary serdecznie. Nacieszy się jeszcze trochę jej towarzystwem. Przez dzisiejszy dzień. Jutro znajdzie sposób, by nakłonić ją do odejścia. Poklepała stojące obok krzesło. – Siadaj. Napij się herbaty. Woda już się zagotowała.

– Jechaliśmy do miasta i pomyśleliśmy, że możesz czegoś potrzebować – powiedziała Imelda, siadając przy długim kuchennym stole.

– Pojadę z wami – skinęła głową Mary. Serce ścisnęło jej się z żalu, gdy oczy dziewczyny błysnęły, a twarz rozjaśnił promienny uśmiech.

Imelda sięgnęła pod fartuch i wyciągnęła niewielkie zawiniątko z białego płótna.

– Coś ci przywiozłam. To drobnostka, ale pomyślałam sobie, że ci się spodoba. Jest ładne.

Mary rozwinęła wstążkę i popatrzyła na zawartość paczuszki.

– Bardzo ładne – powiedziała, obracając ostrożnie kawałek materiału w dłoniach. – Bardzo ładne. Dziękuję ci, Imeldo.

Kawałek śnieżnobiałego płótna pokrywały wyszywane róże i pnącza bluszczu.

– To nic takiego – zauważyła nieśmiało Imelda. – Chciałam się tylko odwdziżyć. Dałaś mi w zeszłym tygodniu tuzin jajek.

– To najmiłsza rzecz, jaką kiedykolwiek dostałam – powiedziała cicho Mary. Nie dodała, że to jedyny w jej życiu prezent prócz sukienki od Geralda, która, nie noszona od lat, wciąż wisiała w sypialnianej szafie.

– Możesz przyszyć to do halki. Albo u dołu zasłony. Tak robi większość kobiet. Sprzedałam tego mnóstwo w okolicy Skibereen – trajkotała Imelda, by pokryć zmieszanie. – Dobrze nam wszystkim poszło. Tommy i wuj Paddy sprzedali mnóstwo garnków i wiader, jakie sami zrobili, i dostali trochę do naprawy. Farmerzy byli mili. Jedna kobieta dała mi nawet parę butów, które pasowały na Norę. Jest z nich bardzo dumna.

– Nora? To najmłodsza siostra? – spytała Mary, nalewając herbatę.

– Nie. Nora ma sześć lat, a najmniejsza jest Nellie, ma dwa i pół. Najstarsza to Brigid, ma dziesięć. Potem jest Margaret. Kończy osiem.

– Duża rodzina.

– O, tak. I bardzo niesforna. Zwłaszcza Nora. To istny diabeł. Kiedy szliśmy do domu tej kobiety – tej, co dała mi buty – kazałam jej poczekać przy ścieżce i niczego nie dotykać. Widziałam, jak patrzy na kwiaty. Mówię więc do niej: „Będę mieć cię cały czas na oku. Jak dotkniesz kwiatów tej pani, to cię zabiję”. I wiesz co? Jak wracałyśmy, znalazłam pod jej sukienką całą wiązanke!

– I co zrobiłaś? – spytała Mary, rozbawiona opowieścią.

– Zaciągnęłam ją do księdza w Skibereen i powiedziałam, żeby ją ukarał – odparła Imelda, potrząsając głową. – I wiesz, co powiedział? „Nie może być zła, skoro lubi kwiaty!”

Mary wybuchnęła beztróskim śmiechem. Miała wrażenie, jakby napiła się świeżej wody ze strumienia.

– Widzisz, czasem nie wiem, co mam z nimi robić – stwierdziła z powagą Imelda. – Nie wiem, czy właściwie postępuję. Jestem już dość duża, aby założyć własną rodzinę, ale czasem się martwię, czy dobrze wychowuję te dzieciaki.

– Przecież sama jesteś jeszcze dzieckiem.

– Nie jestem dzieckiem. W lecie skończę piętnaście lat. Moja matka wyszła za męża, jak miała czternaście, ciotka tak samo. Jestem dość duża, by mieć rodzinę. I jedno dziecko, bo wtedy jest łatwiej.

– A ja chciałam mieć dużą rodzinę – rzuciła niespodziewanie dla samej siebie Mary. Jak łatwo rozmawia jej się z tą dziewczyną. – Ale nigdy nie mogłam utrzymać dziecka. Zawsze je traciłam w pierwszych miesiącach ciąży. Z wyjątkiem Seana, a i on był od samego początku chory.

– Przykro mi, Mary – powiedziała Imelda, a w jej oczach odmalowało się współczucie. – Wciąż jesteś młoda. I zdolna do rodzenia. Na Boga, będziesz jeszcze miała dziecko.

– A to co? Myślałem, że mamy jechać do miasta, a wy popijacie sobie herbatkę! – Tommy stał w drzwiach kuchni.

– Tak sobie rozmawiamy – powiedziała Mary. – Wejdz i napij się z nami.

– Dziękuję. Lepiej, jak już pojedziemy.

– Boże, wpół do pierwszej! – Mary spojrzała na stary zegar, który stał na kominku, najcenniejszy skarb jej babki. – Masz rację. Poczęstuj się, a ja tymczasem zabiorę rzeczy.

Weszła do pokoju i wysunęła dolną szufladę dużego dębowego kredensu. Pieniądze od Geralda trzymała w pudełku po cygarach. Jak zawsze było ich aż nadto. Nigdy nie stanowiły dla niego problemu. Wiedziała, że ma swoje własne pudełko, które przechowuje w innej szufladzie. Bóg jeden wie, ile tam trzyma. I na co. Gdyby tylko mogła je zdobyć, wiedziałaby, co z nimi zrobić. Oszczędzałyby, a potem kupiła nowy inwentarz i zatrudniła kilku silnych mężczyzn. Po jakimś czasie farma znów przynosiłaby dochody. Gerald pozwolił jej trzymać parę kur i hodować trochę warzyw, by miała się czym zająć – dopóki niewiele go to kosztowało, a jeszcze mniej mu wadziło. Sam nie był farmerem. Uważał, że gospodarstwo to inwestycja, którą przejął wraz z Mary. Dzięki niej stać go było na jego jedyną pasję – wyścigi psów. A także na dwie ulubione rozrywki – picie i robienie interesów.

Schowała do kieszeni trochę pieniędzy i wyjrzała przez okno, by sprawdzić, jak jest na dworze. Było ładnie, ale w każdej chwili pogoda mogła się popsuć. Z oddali dobiegł dźwięk grzmotu i postanowiła wziąć na wszelki wypadek płaszcz i chustę.

Gdy wyszła z domu, Imelda i Tommy siedzieli już na wozie.

– Słyszałaś ten grzmot? – spytała dziewczyna.

– Owszem, całkiem wyraźnie – odparła Mary. – Idzie od wschodu. Może zrobić się zimniej. Pomyślałam, że lepiej, jak wezmę chustę.

– To mi nie wyglądało na grzmot – zauważył Tommy. – Owszem, słychać go było od strony morza, ale przeleciał wysoko w górze i to bardzo szybko.

– To był grzmot. A co innego? – stwierdziła bez zainteresowania Imelda.

– No dalej, Mary, podaj mi ten koszyk z jajami.

– Cicho, Meldy – powiedział niespodziewanie Tommy, nakazując gestem, by umilkły. – Słyszycie?

Mary i Imelda natężyły słuch. Z daleka dobiegał ich huk.

– To grzmot – stwierdziła Mary.

– Widzisz, mówiłam! Na morzu musi być sztorm – upierała się Imelda.

– Nie, słuchajcie! Teraz nadchodzi od zachodu. Tam. – Tommy stał nieruchomo i wskazywał ręką wzgórze na zachodzie.

– Czego się upierasz? Nad Ardfield jest burza, ty ośle!

– To nie burza. Słuchajcie!

Bardzo wyraźny już teraz huk dobiegał gdzieś znad wzgórz po drugiej stronie ujścia rzeki.

– Co się z tobą dzieje, Tommy Tanner? Oszalałeś? – kpiła z niego Imelda.

– Nadchodzi. Prosto na nas. To samolot. Na pewno. Duża maszyna –

mówił podekscytowany Tommy.

– Zamkniesz się wreszcie? Tylko ci samoloty w głowie – skarciła go ostrym tonem Imelda. Czasem miała prawdziwe utrapienie z bratem. Większe niż z dziewczynkami.

– To samolot! – upierał się Tommy. – Pełno ich tu lata, nie wiecie? Mick z Galley Head mówił, że widział niemieckie maszyny.

Imelda miała dosyć. Powinni dawno być w mieście, zamiast marnować czas Mary, gapiąc się w niebo. Zaczęła łajać brata, lecz nie dokończyła. Słowa utknęły jej w gardle. Grzmot znad Ardfield narastał i wreszcie stał się potwornie głośny. Nigdy nie słyszała takiego huk. Patrzyła w stronę, skąd dobiegał, lecz tę część nieba zakrywały ciężkie, czarne chmury. Hałas nasilił się jeszcze bardziej i dziewczyna zagryzła ze strachu palce.

Mary czuła, jak wali jej serce i drżą dłonie. Grzmot wypełniał całe jej ciało, wstrząsając nią od stóp do głów. Dojrzała za chmurami ciemniejszy kształt, który sunął przez szarą masę. Nie wierzyła własnym oczom. Nic, co unosiło się w powietrzu, nie mogło być takie wielkie. Ten cień jednak zmierzał szybko w ich stronę. Przeleciał nad domem, zasłonił światło i wypełnił powietrze swym hukiem. Imelda i Mary przykucnęły instynktownie. Koń zarżał i zarzucił nerwowo łbem.

– To samolot, samolot, samolot! – wołał Tommy. Wymachiwał czapką, podskakując i gwizdząc, gdy wielka zielona masa przeleciała nad ich głowami i skierowała się ku Clonakilty. Dopiero gdy zniknęła całkowicie z oczu, choć powietrze nadal drgało od jej huk, Tommy popatrzył na przycupnięte obok wozu kobiety.

– Mówiłem wam, że to samolot – stwierdził rozpromieniony.

Rozdział szósty

Gdzieś od wschodu narastał potężny huk. Mick O'Sullivan szykował się właśnie, by pójść do domu na obiad, gdy usłyszał go po raz pierwszy. Wyciągnął z futerału lornetkę i nasłuchiwał. Huk nasilił się. Podniósł szkła do oczu i skierował w stronę, skąd dochodził. Za jasnymi chmurami nie dostrzegł niczego. Grzmot był zbyt daleko, ale wiedział, że to na pewno samolot. I to duży, sądząc po warkocie silników.

Opuścił lornetkę i nasłuchiwał, podczas gdy odgłos przesunął się bardziej na zachód. Ucichł wreszcie na dobre, a Mick wciąż czekał, przeszukując wzrokiem niebo. Wiedział, że najprawdopodobniej wróci. Większość samolotów wracała – chyba że roztrzaskiwały się o górę Brandon, niech Bóg się nad nimi zlituje. W końcu na zachodzie nie ma nic prócz morza. Wszystko działo się po przeciwległej stronie. Najbliższą parafią na zachodzie był Nowy Jork.

Wyciągnął notatnik z zatemperowanym ołówkiem na sznurku. Wcześniej wszedł na punkt obserwacyjny latarni morskiej i uważnie obejrzał niebo. Sprawdził następnie na zegarku godzinę i zapisał starannie: „7 kwietnia, 12.30. Gęste chmury. Wybrzeże widoczne”.

Teraz oparł się o falochron, polizał końcówkę ołówka i znów zaczął pisać. Zdążył tylko zanotować czas, kiedy usłyszał powracający samolot. Nie potrzebował lornetki – widział go doskonale. Słodki Jezu, ale wielki.

Stał jak skamieniały, obserwując maszynę. Była większa od domu. Jakim cudem mogła w ogóle latać? Ogromny samolot zbliżał się coraz bardziej, huk potężnych silników wypełnił powietrze. Mick uniósł drżącymi dłońmi lornetkę do oczu. Naliczył cztery silniki, nie mógł jednak dostrzec żadnych znaków. Skrzydła musiały mieć co najmniej trzydziestometrową rozpiętość.

Samolot znajdował się mniej więcej na wysokości Galley Head. Mick widział go bardzo wyraźnie. Matko Boża! Dostrzegł nawet człowieka na dziobie. Serce waliło mu jak oszalałe, gdy zapisywał pospiesznie znaki, które widział na ogonie.

Starał się nie gubić maszyny z oczu, kartkując wykaz identyfikacyjny sił powietrznych.

Ponownie sprawdził godzinę na zegarku. Polizał ołówek i zanotował starannie: „12.37. Zauważono duży samolot lecący od Seven Heads do Galley Head, w kierunku Mizen Head. Widziano, jak zawraca nad Galley Head i kieruje się znów w kierunku wschodnim, skąd nadleciał. Samolot zdaje się tracić wysokość i może podjąć próbę lądowania”.

Potem wsiadł na rower i zaczął pedałować szaleńczo po znaczonych koleinami drodze. Zaburczało mu w żołądku na myśl o obiedzie czekającym w

domu. Postanowił jednak, że powie żonie, co się wydarzyło. Wpadnie do domu, pogada ze starą i chwyci kawałek chleba. Zje go w drodze do miasta.

John Joe O'Mahoney szedł błotnistą ścieżką. Radował się pięknym dniem, jak mogą się radować wyłącznie ludzie, którym darowano lekcje. Dostał zwolnienie na ten dzień, by pomóc tacie kopać ziemniaki na górnym polu. W koszyku pobrzękiwały butelki z herbatą. Mama owinęła je starymi skarpetami, „których nie da się już w żaden sposób zacerować”. John Joe nie mógł się już doczekać, kiedy zasiądzie do posiłku z tatą i pomocnikami. Słońce przedzierające się przez chmury pokrywało jasnymi łatami zielone krzewy, drzewa, wzgórze na wyspie.

John Joe zatrzymał się na chwilę i oparł o niski kamienny murek, by złapać oddech. Jak na dziesięciolatka był dość tęgi i zdarzało się, że nie mógł dotrzymać kroku kolegom ze szkoły. Butelki były raczej ciężkie, potrzebował więc chwili odpoczynku. Doktor Moloney powiedział, że cierpi na lekką astmę, a mama mówiła, że nie powinien się przemęczać. Wysoko w górze widział pochylone figurki ojca i dwóch pomocników, posuwające się wzdłuż bruzd na polu. Kiedy tak patrzył, wszyscy trzej wyprostowali się nagle i zaczęli pokazywać coś dłońmi.

Od razu to usłyszał. Odległy grzmot, tyle że głośniejszy, silniejszy niż zwiastun burzy. John Joe odwrócił się w stronę, którą wskazywali mężczyźni.

I wtedy go zobaczył.

Wyglądał tak jak w komiksach i pismach, które przysyłał mu wuj z Ameryki. Samolot Amerykańskich Sił Powietrznych! Latająca forteca B-17. Pełna dzielnych lotników z USA! Prawdziwa maszyna tu, w samym Ardfield! W wiosce nie mieli nawet samochodu, a oto na niebie pokazał się amerykański samolot!

John Joe patrzył za maszyną, jak znikwała w chmurach nad wyspą Inchydoney. Mężczyźni na polu wiwatowali i machali czapkami. John Joe upuścił koszyk na ziemię i pognął jak szalony.

Ruth Bennett weszła do baru z tacą pełną czystych szklanek z kuchni.

– Daj, kotku. Pomogę ci – zaoferował się barman.

– Dzięki, Tony. Dam sobie radę – odparła.

– Mogłabyś rzucić okiem na bar? Chciałbym wyskoczyć na chwilę.

– Praca bez przerwy – stwierdziła Ruth, wsuwając się za kontuar. Skinęła głową ojcu, który prowadził ożywioną rozmowę z Conem O'Learym i doktorem Moloneyem. Jej twarz rozjaśnił promienny uśmiech, gdy bocznymi drzwiami do baru wszedł Dennis.

Kiwnął głową w stronę mężczyzn na stołkach i udał, że dopiero teraz dostrzega Ruth.

– Cześć, Ruth Bennett. Jak leci? – spytał z uśmiechem.

– W porządku, Dennis – odparła, starając się mówić naturalnie. Od mniej więcej miesiąca spotykali się przy każdej okazji. Dennis zazwyczaj zostawiał jej wiadomość u jednej z dziewcząt hotelowych, Ruth zaś starała się znaleźć jakąś wymówkę i wyjść po obiedzie z domu. Polubiła nagle długie spacery z psem, co zastanawiało jej matkę, nie na tyle jednak, by wszczęła jakieś dochodzenie.

– Mogę dostać szklankę Murphy’ego, jak już się uporasz z robotą? – spytał Dennis.

– Pewnie, że możesz – odparła. Szklanki zabrzęczały, gdy rozejrzała się wkoło, szukając miejsca dla tacy. Postawiła ją na bocznym stoliku, lecz szklanki zaczęły brzęczeć jeszcze mocniej. Patrzyła ze zdumieniem, jak cały rząd przewraca się i roztrzaskuje na podłodze. Miała właśnie pójść po szufelkę, gdy uświadomiła sobie, że wszystkie szklanki w barze dzwonią zgodnym chórem, a stojące w szeregu na tylnej ścianie baru butelki pobrzękują wraz z nimi.

– Co za licho? – spytał Con O’Leary.

– Sala drży – zawołał doktor Moloney. Zsunął się ze swego stołka i przyłączył do towarzyszy, którzy stali na środku baru, ściskając ostrożnie szklanki z piwem.

Nagle główne drzwi rozwarły się na oścież i wpadła z krzykiem panna Aileen O’Donovan. Na jej widok Ruth stłumiła chichot. Pulchna kobieta włosy miała w nieładzie, a cienkie szare loki okalały czerwoną twarz. Otwarte usta starszej pani przybrały kształt koła.

– To trzęsienie ziemi! Wszyscy umrzemy! – wysapała, grzebiąc za obszernym dekoltem w poszukiwaniu medalika. Paciorki różańca już ścisnęła w dłoni, zdążyła nawet kilka razy ucałować krzyżyk.

– Uspokój się, kobieto! To nie może być trzęsienie ziemi – powiedział Con O’Leary.

– To trzęsienie ziemi, mówię wam – nie ustępowała panna Aileen. Jej piersi unosiły się rytmicznie, gdy próbowała złapać oddech.

– Nie ma mowy o trzęsieniu ziemi w West Cork – stwierdził doktor i bywalcy baru przytaknęli zgodnie.

Ruth popatrzyła na ojca. Zobaczyła, że Dennis podchodzi do okna. Sala wypełniła się grzmotem. Ruth przeraziła się nie na żarty. Może to jednak trzęsienie ziemi.

Panna Aileen znów wrzasnęła i zwała się ogromnym ciałem na ławkę.

– Zdrowaś Mario, łaskiś pełna, Pan z tobą! Wszyscy umrzemy – krzyknęła.

– Spokojnie. To idzie gdzieś z zewnątrz – stwierdził Dennis, odsuwając ciężkie zasłony przy oknach. – Jezu! To samolot!

Wszyscy rzucili się do okna i Ruth przyłączyła się do nich. Widziała tylko ulicę. Przed hotelem biegali bezładnie ludzie. Ruth wspięła się na palce, by

popatrzeć ponad ramionami mężczyzn, którzy trzymali w górze szklanki. Dostrzegła jedynie dachy domów po drugiej stronie. Gdy próbowała cokolwiek zobaczyć, wąski pas szaroniebieskiego nieba przysłoniło nagle ogromne zielone cielsko. Samolot zniknął szybko z pola widzenia. Napierając na plecy Dennisa, dotknęła jego dłoni.

– Wygląda jak bombowiec – Dennis ścisnął jej rękę.

– Bombowiec! Święta Matko, zlituj się nad nami, bombardują nas. Wszyscy umrzemy – zaskrzeczała panna Aileen, która wstała z ławki, by lepiej widzieć.

– Niech się pani weźmie w garść! Leci zbyt nisko, żeby zrzucić bomby – uspokoił ją Con O’Leary. – Wygląda na to, że będzie lądować.

– Lądować? Panie w niebiosach! To inwazja. Wszyscy umrzemy – wyszeptala panna Aileen. Dysząc ciężko, opadła z powrotem na ławkę. Z paciorkami różańca w dłoni spoglądała szklanym wzrokiem przed siebie.

– Nikt nie umrze – oświadczył doktor Moloney i podszedł, by zbadać jej puls. – No, panno Aileen, proszę się uspokoić.

Panna Aileen nadal patrzyła przed siebie, a jej usta wymawiały bezgłośnie „Ojczy Nasz”.

– Ruth! Przynieś pannie Aileen trochę whisky. Pogorszyło jej się. Panna Aileen podniosła głowę i zamachała różańcem.

– Nie. Żadnej whisky.

– Ukoj pani nerwy. Proszę się napić.

– Nie. Żadnej whisky – powtórzyła panna Aileen, wciąż wymachując różańcem. – Brandy. Brandy będzie lepsza. Z odrobiną porto.

– A więc brandy i porto – stwierdził doktor z uśmiechem, poklepując ją po dłoni. – Ruth! Proszę o brandy dla panny Aileen.

Lecz Ruth nie słyszała polecenia. Była już za drzwiami i biegła ulicą, a Dennis deptał jej po piętach.

Martin Kelleher zmagał się z poważnym dylematem. Każdego dnia zwalniano go z lekcji pięć minut wcześniej, by mógł pomóc matce w cukierni podczas wzmożonego ruchu, przypadającego na porę lunchu. Musiał obiecać uroczyście, że będzie zachowywał się przyzwoicie. Matka też dała słowo, że jej syn nie będzie zakłócać przebiegu lekcji. Najważniejsza była jednak czcigodna interwencja ze strony wielebnego proboszcza Collinsa, który porozmawiał z dyrektorem szkoły, tak jak uczynił to już kiedyś, biorąc pozbawionego wówczas ojcowskiej opieki i zupełnie nieprzydatnego chłopca na ministranta. Pani Kelleher była nie tylko wspaniałą kobietą, ale i niezawodną dostarczycielką deserów na podwieczorki księdza.

Martin przysiągł na swój honor, na pamięć zmarłego ojca, a także na Matkę Boską i jeszcze kilku świętych, że z jego strony nie będzie żadnych

kłopotów. Dziś jednak został poddany ciężkiej próbie. Czuł ściskanie w dołku, gdy stojąc na środku podwórza nie mógł się zdecydować, czy pójść w stronę domu, czy też przekraść się na tyły budynku szkolnego, gdzie, jak wiedział, czekali bracia Barry.

Miał tylko kilka minut na podjęcie decyzji. Niebawem rozlegnie się dzwonek, plac zaroi się od uczniów, a dyrektor zechce wiedzieć, co Martin tu jeszcze robi. Podskoczyło mu serce, gdy drzwi budynku otworzyły się z hukiem i Pat Barry pomaszerował do toalety. Nim dotarł na miejsce, mrugnął do Martina i skoczył za budynek. Martin wiedział, że są już tam Joe, Frank i James. Bracia podwędzili dziadkowi cygaro i zamierzali wypalić je podczas przerwy. Nie mógł uwierzyć swemu szczęściu, gdy Pat spytał go, niby od niechcienia, czy też chce z nimi pójść.

W świecie zdominowanym przez matkę i siostry, świat braci Barry wydawał się Martinowi rajem męskości. Nie mógł uwierzyć, że zaproponowali mu cygaro. To było zbyt piękne. Kto wie, jakie czekałyby go przygody, gdyby nie stchórzył? Na pewno warto było narazić się na gniew matki i spojrzenie smutnych, przypominających paciorki oczu ojca Collinsa oraz nieuniknione kazanie. Warto było nawet oberwać po plecach linijką dyrektora.

Słońce przedarło się przez chmury, rzucając na szkolne podwórze złowroźny cień kościelnej wieży. Zdawał się wskazywać nieomylnie na Martina, przypominając mu złożone obietnice. Jak mógłby służyć w niedzielę do mszy, wiedząc, że splamił się zarówno czynem, jak i myślą?

Nawet gdyby znalazł wytłumaczenie, w które uwierzyłaby matka (a ta kobieta umiała czytać w cudzych myślach). Nawet gdyby nie złapał ich dyrektor, nawet gdyby Martin nie zzieleniał przy pierwszym dymku z cygara i nie obrzygał Joe Barry'ego, nawet gdyby nikt się nie dowiedział – to i tak wiedziałby Pan Bóg.

Popatrzył przez ramię w stronę kościoła i siłą skierował wzrok na wieżę, spodziewając się niemal, że ujrzy rój aniołów, jak wytykają go swymi niebiańskimi palcami. Lecz nawet wszyscy święci ustawieni w jednym rzędzie nie mogliby wprawić go w większe zdumienie niż grzmot, który nagle wypełnił powietrze. Chłopiec rzucił się instynktownie na twardy beton. Popatrzył w górę zza skrzyżowanych ramion.

Tuż nad dachami leciał ogromny zielony samolot. Był tak nisko, że zdawało się, iż lada chwila zahaczy o wieżę kościoła. Martin zerwał się na równe nogi i wygiął szyję, by widzieć go dokładnie. Czas zatrzymał się w miejscu, chłopiec zaś patrzył, jak ten skrzydlaty potwór wali się na kościół. Omal nie stracił równowagi, gdy ktoś potracił go od tyłu. Obok niego przebiegli dwaj chłopcy i dostrzegł w przelocie Pata Barry'ego, pędzącego za Joe'em, który przesadził szkolne ogrodzenie jednym zwinnym susem. Jak on to zrobił? Tuż za nim podążali jego dwaj młodsi bracia i banda małych chłopców. Martin

ruszył biegiem, nim zdążył to sobie uświadomić.

– Prędeż, Kelleher! – wrzeszczał Pat, gdy Martin się z nim zrównał. – Prędeż, prędeż, prędeż!

– Co się dzieje? – zawołał Martin. – Czy to samolot?

– Pewnie, ty ośle! I schodził w dół. Zaraz wylądaje. Prędeż!

Kitty Kelleher była prawie gotowa na poranną inwazję. Z militarną precyzją zaplanowała wszystko do najdrobniejszego szczegółu.

Dokładnie za dziesięć pierwsza zamknęła drzwi. Większość klientów była w domu i szykowała obiad, lecz mali złodzieje, których Bóg przebrał za dzieci, mieli lada moment wyjść ze szkoły. Kitty wzięła stojące za kontuarem krzesło i postawiła na środku maleńkiego sklepika. Z tak dogodnego punktu, obrócona plecami do niezbyt kuszących środków czystości, mogła obserwować bardziej newralgiczne rejony. Długie rzędy wielkich szklanych słoików wypełnionych słodyczami, które promieniowały różnym blaskiem i odurzającym zapachem, zawsze doprowadzały małe bestie do obłędu. Martin powinien pojawić się lada chwila. Miał przykazane wpuszczać ich tylko po czterech. Kitty ustaliła tę idealną liczbę po długich kalkulacjach. Czterech wystarczało, by zapewnić zdrowy obrót kupiecki, a jednocześnie pozwalało na baczność obserwację.

Siedziała na krześle i wpatrywała się w drzwi. Gdzie się podziewa Martin?

Pytanie pozostawało bez odpowiedzi, gdy wszystkie szklane naczynia zaczęły się nagle trząść. Z zewnątrz dobiegała straszliwa wrzawa. Na Pearse Street musiało dojść do jakiegoś wypadku. Spojrzała na zegar. Była za pięć pierwsza. Martin powinien być już w sklepie. Zawahała się na moment przed otwarciem drzwi – nigdy za mało ostrożności z tymi małymi łobuzami.

Schowała pudełko z cygarami pod kontuar, otworzyła drzwi i wyjrzała na zewnątrz. Ulica była pełna ludzi. Wszyscy wskazywali dłońmi niebo, niektórzy biegli. Środkiem drogi nadciągała duża grupa chłopców. I choć trudno w to uwierzyć, na czele bandy podążał jej przeklęty syn!

Rozdział siódmy

Beau siedział w środkowym przedziale i próbował czytać, by uspokoić nerwy. Z trudem skupiał uwagę na książce. Co chwil łąpał się na tym, że błędzi wzrokiem bezmyślnie po stronicy i czyta to samo zdanie kilka razy. Usiłował zapomnieć o strachu. Wyobraził sobie rozmowę przy obiedzie, podczas której wprawi obecnych przy stole w zdumienie opowieścią o absurdalnej sytuacji. Siedzi oto w wielkiej, rozklekotanej, lecącej praktycznie na oślep puszcze, niewykluczone przy tym, że nad terytorium wroga. Ta myśl sprawiła mu pewną ulgę, po chwili jednak wyjątkowo nieprzyjemny wstrząs kazał mu rzucić się na podłogę. Przypomniawszy sobie, gdzie się naprawdę znajduje. Bał się śmiertelnie. Kim w końcu są ci faceci? Jego towarzyszami w ostatniej wyprawie? Nawet ich nie zna. Połowa jest młodsza od niego.

Odłożył książkę i zapalił papierosa. Załoga wydawała się odprężona, lecz wyczuwało się napięcie, tak różne od atmosfery tego ranka w Marakeszu. Pilot o niczym jeszcze nie poinformował, jednak Beau domyślał się, że w końcu zabraknie paliwa.

„To nie ptak” leciał ponad burzą przez dwie godziny. Choć pogoda się poprawiła, chmury w dole nadal były ciemne i skłębione. W kabinie wrzało jak w ulu, gdy piloci, nawigator i radiooperator próbowali ustalić, gdzie się znajdują.

Mahoney przeglądał gorączkowo swoje mapy, ustalając kurs – jak miał nadzieję – na południowy zachód. Beau wiedział jednak, że przy niespokojnym z powodu burzy kompasie radiowym, trudno precyzyjnie określić, pozycję. Słyszał, jak pilot kazał Russellowi przerwać ciszę radiową, by wychwycić jakąś informację. Raz mu się udało, ale ktokolwiek ją przesłał, nie chciał się zidentyfikować. Było bardziej niż prawdopodobne, że ten „życzliwy” sygnał pochodził z jakiejś niemieckiej łodzi podwodnej.

– Masz ognia? – spytał Matt, siadając obok.

– Pewnie. Chcesz zapalić? – Beau podsunął mu paczkę.

– Dzięki. Jesteś z Południa, prawda?

– Zgadza się. Z Luizjany. Z Nowego Orleanu – odparł Beau, wdzięczny za towarzystwo.

– Dobre miejsce na muzykę. Kocham muzykę. Kiedyś grałem na klarnecie – powiedział Matt, zapalając papierosa. – Zawsze chciałem tam pojechać i posłuchać trochę nowoorleańskiego jazzu.

– Jazz? Ja też gram jazz.

– Poważnie? Na czym?

– Na fortepianie. Głównie ragtime. Wszystko w rytmie swingu. Moi starzy kazali mi brać lekcje, jak byłem mały. Ale ja cały czas biegałem do

francuskiej dzielnicy, żeby pograć sobie trochę na boku.

– Miałeś chyba niezły ubaw – zachichotał Matt.

– Pewnie – potrząsnął głową Beau. – O wiele większy niż tutaj, w tym starym pudle.

– Nie martw się, chłopie. Hansen to świetny pilot. Dowiezie nas cało do domu. Prawda, Les? – zawołał do chudego strzelca, który siedział oparty o wieżyczkę i bawił się z Tojo. – Pamiętasz tamten raz w Gulfport, w Missisipi? Godzinami lataliśmy w kółko z zablokowaną lotką. Ale Hansen sprowadził nas bezpiecznie na dół.

– Tak – odparł Les. – Wtedy też brakowało nam paliwa.

– A jak jest teraz? – spytał Beau.

– Naprawdę mało – wyjaśnił spokojnie Les.

Beau zapalił następnego papierosa. Starał się nie myśleć, co to oznacza. Uświadomił sobie nagle z całą mocą, że ten samolot, choć bardzo duży, jest tylko pełnym nitów kawałkiem stali i że wiszą na wysokości dziesięciu tysięcy stóp. Zachichotał nerwowo, gdy przypomniały mu się nagle słowa pewnej piosenki. Zaczął śpiewać, pstrykając w rytm powolnego swingu palcami: „*I get no kicks in a plane, flying so high, like some bird in the sky, is my idea of nothing to do, cause I get a kick outta of you!*”

Matt i Les słuchali z uznaniem. Rozległy się oklaski i gwizdy. Beau skłonił się przesadnie nisko.

– Hej, nowoorleańczyku – zawołał Matt, naśladowując wymowę Beau. – Nie martw się. Wszystko będzie OK. Wierz mi.

– Znasz jakiś kwartet? – spytał Les. – Śpiewałem w takim jednym, jak chodziłem do szkoły.

– Bez żartów – wtrącił Matt. – Może byśmy coś takiego tu zorganizowali? Znajdzie się jeszcze jakiś śpiewak?

– Pilot do załogi. Śpiewające towarzystwo będzie musiało trochę poczekać – rozległ się głos Hansena.

Mężczyźni czekali w milczeniu.

– Trzeba pomyśleć o lądowaniu. Chcę obniżyć maszynę i zobaczyć, co jest pod tymi chmurami.

– Widzicie, mówiłem wam – odezwał się Matt i poklepał Beau po plecach. – Wszystko będzie dobrze. Wy, chłopaki z Południa, umiecie pływać, co?

Gdy warkot silników zmienił swe natężenie, rzucili się do okien. Merdeza wspiał się na wieżyczkę w ogonie, Les zaś wgramolił się z powrotem do swojej pleksiglasowej kopyty. Światło przygasło, gdy samolot wpadł w turbulencję. Przez gęstą, szarą masę chmur schodzili w gęstą i jasną.

Niepokój Beau dorównywał jego bezsilności. Można było tylko siedzieć i czekać.

– Nowoorleańczyku! – zawołał Matt, świadomy nastroju towarzysza. – Lepiej ci będzie w pomieszczeniu radiowym. Mógłbyś zająć się Tojo?

– Z przyjemnością – odparł Beau, szczęśliwy, że będzie miał co robić. Usadowił się na podłodze radiostacji i zwabił małpkę bananem. To był istny mały spryciarz.

– Wieżyczka na ogonie do pilota. Chyba widzę wodę.

Beau wyjrzał przez małe okienko za radiooperatorem, ale zobaczył tylko skłębione obłoki.

– Jest przed nami trochę dziur w chmurach – stwierdził Hansen. – Sprowadzę maszynę jeszcze niżej.

Beau usiadł ponownie, trzymając Tojo na kolanach, przysłuchiwał się prowadzonej przez radio pokładowe rozmowie.

– Wieżyczka za kabiną do pilota. Widzę ląd. Na dwunastej godzinie! – zawołał Les.

– Mam – odpowiedział McKnight, drugi pilot. – Widzisz go, Charlie? Na wprost.

Przez samolot przebiegł krótkotrwały aplauz. Beau poczuł się trochę lepiej. O wiele bardziej wolał wylądować na ziemi niż w lodowatych wodach na środku oceanu.

– OK. Zejdźmy jeszcze niżej. Podążymy wzdłuż linii brzegu i sprawdzimy, czy da się gdzieś posadzić maszynę. Jak na razie nic konkretnego nie widać. Jeśli w ciągu najbliższych dziesięciu minut nie znajdziemy pewnego miejsca, polecimy z powrotem nad morze i posadzimy maszynę na wodzie. Zostało nam paliwa tylko na dwadzieścia minut.

Załoga była w pełnym pogotowiu. Beau mógł tylko słuchać i wyobrażać sobie, co się dzieje. Głaskał małpkę, którą zdawała się nieświadoma narastającego napięcia.

– Ląd wygląda na skalisty.

– Nie widzę zbyt dużo. Czasem jakieś fragmenty.

– To przypomina plażę.

– Tak. Ale jest za krótka.

– Wieżyczka do pilota. Kilka kilometrów wstecz widać było dłuższą plażę.

– Dobra, dzieciaku. Masz najlepszy punkt obserwacyjny. Zawróćmy i przyjrzymy się z bliska.

– Hej! – Matt pomachał na Beau ze swego okienka. – Widzę małą wieżę. To chyba latarnia morska.

Beau nic nie mógł dostrzec.

– Nie widać tam zbyt wiele – stwierdził Matt. – Wygląda zielono. Wielkie klify. Są w Anglii klify, prawda?

– Są i w Norwegii – odparł Wódz, wyglądając przez to samo okno. – We

Francji również.

A oba kraje znajdują się pod niemiecką okupacją, pomyślał Beau.

– Wieżyczka za kabiną do pilota. Jest plaża.

Samolot przechylił się w prawo i Beau musiał przytrzymać się drzwi od pomieszczenia radiowego. Maszyna wyraźnie obniżyła lot i zwolniła, gdy pilot szukał miejsca do lądowania.

– Dziewiąta godzina. Jest płaskie pole! Wygląda równie dobrze jak pas startowy! – zawołał Les. Członkowie załogi wyglądali podnieceni przez okna.

– W porządku. Zawróćmy maszynę i spróbujemy – powiedział pilot. – Poczekajcie chwilę. Chyba widać miasto przed nami. Mahoney orientujesz się choć w przybliżeniu, gdzie jesteśmy?

– Nie bardzo. Ale myślę, że możemy być gdzieś nad Holandią – odpowiedział nawigator.

Beau odważył się wstać i wyrzeć ponownie przez okno. Dostrzegł kilka niskich szarych domów, gdy przelecieli nad dachami, zawrócili i znów pojawili się nad miastem. Tojo wspiał mu się na ramię i rzucił złe spojrzenie na Russella.

– Był tam ktoś w dole? – spytał Beau. – Widziałem tylko kilka dachów. I chyba kościół.

– Widziałem paru ludzi na ulicy – odparł Russell. – I jestem pewien jak diabli, że nas zauważyli. Trudno było nie zauważyć.

– Pilot do załogi. Przygotować się do przymusowego lądowania. Zakładamy, że to terytorium wroga.

Obok okna przeleciały jakieś papiery i Beau zorientował się, że pilot i nawigator podarli wszystkie dokumenty i wyrzucili na zewnątrz. W przedniej części samolotu rozległ się strzał. Tojo zeskoczył w panice z jego ramienia i ruszył wprost na Russella.

– Złeż ze mnie, brudna małpo – wrzasnął Russell, wyganiając zwierzaka z pomieszczenia.

– Co to było? – spytał zdenerwowany Beau.

– Reisenbeck przestrzelił właśnie celownik bombowy. To ściśle tajne urządzenie – wyjaśnił poirytowany radiooperator. – Nie może wpaść w ręce wroga. Mógłbyś złapać tę małpę? Może i ją dałoby się zastrzelić.

Tojo odbijał się od ścian, cały czas pokrzykując. Beau wygramolił się w ślad za nim z pomieszczenia. Zwierzak podreptał za toaletę i nie chciał stamtąd wyjść. Beau wpadł na Merdeza, który wychodził właśnie z części ogonowej.

– Hej! Co ty tu robisz? Właż do pomieszczenia radiowego.

Beau próbował wypchnąć małpkę z jej kryjówki, ale zwierzak wczepił się w nią jak rzep. Beau chwycił banana i pokiwał nim powoli.

– No chodź, Tojo. No dalej, mały rozrabiako.

Tojo wysunął się z kryjówki i sięgnął po owoc. Zadowolony, pozwolił wziąć się na ręce. Beau poczuł na ramieniu przyjacielskie klepienie.

– O to chodziło, chłopie – stwierdził Matt.

– Pilot do załogi. Przygotować się na kraksę. Lądujemy. Jak już będziemy na ziemi, niech Les wyjdzie na zewnątrz i rozejrzy się. Jak tylko zobaczysz coś podejrzanego, daj mi znak. Jeśli włączę alarm, macie wszyscy cztery minuty na opuszczenie samolotu, zanim wybuchnie. Ale chcę się wpierv upewnić, że to nie Anglia, nim załatwię wart ćwierć miliona dolarów samolot Wuja Sama.

Beau rozejrzał się i stwierdził, że przedział jest pusty. Zakłopotany, spojrział pytającym wzrokiem na Matta.

– Nie jesteś lotnikiem, co? – szepnął Matt, uśmiechając się szeroko. – W porządku. Tak przypuszczałem. No dobra. Wejdz do pomieszczenia radiowego.

Beau podążył za Mattem, tuląc w ramionach Tojo. Matt wszedł do ciasnej przestrzeni, gdzie tłoczyła się cała załoga z wyjątkiem pilotów. Siedzieli jeden przy drugim niczym kostki domina. Matt usadowił się na podłodze między rozsuniętymi nogami Russella.

– A więc to Holandia? – spytał Matt. – Co jest w Holandii? Duże kobiety – nie mam racji? Blondyny. Może być ciekawie. – Skinął na Beau, by usiadł przed nim. – Jak myślisz, nowoorleańczyku? Sądzisz, że grają tutaj jazz?

Beau był jednak wyraźnie zaniepokojony. Zdołał wcześniej uchwycić obraz zielonych pól, niskie kamienne murki i maleńką chatkę usadowioną na zboczu wzgórza. Coś mu to przypominało. Wypuścił z objęć Tojo i wychylił się, by widzieć dokładniej.

– Nie wiem, czy grają tu jazz – stwierdził Russell. – Ale jeśli wyjdzie nam na spotkanie jakiś zespół, to możesz być pewien, że to niemiecki komitet powitalny.

Na dźwięk głosu Russella Tojo zaczął się niespokojnie wiercić. To nie Holandia, pomyślał Beau. W żadnym wypadku. Odwrócił się, by powiedzieć o tym reszcie załogi, gdy Tojo odskoczył gwałtownie. Beau starał się utrzymać równowagę, lecz nagle przewrócił się, uderzając boleśnie w głowę. Leżał na podłodze oszołomiony, czując w ciele wibracje silników. Z dali dobiegały jakieś wołania. Stwierdził, że ktoś go ciągnie. Próbował podnieść wzrok. – Chciał im powiedzieć, żeby się nie martwili. Nie będzie szwabskiego powitania. Potem zapadł się w ciemność.

Rozdział ósmy

Mary czuła, jak wali jej serce. Skąd wziął się tu samolot? I jaki samolot? Wojna wydawała się tak odległa. Słyszała o bombach w Dublinie i nalotach na Belfast, ale dla niej równie dobrze mógł to być Londyn czy Paryż. Jej świat zaczynał się i kończył na wyspie Inchidoney. Tu, w West Cork, zwrot „stan wyjątkowy” oznaczał zabawne określenie reglamentacji. Lecz teraz wojna pojawiła się na progu jej własnego domu. Był to rzeczywiście stan wyjątkowy, a nie tylko kartki żywnościowe czy zakaz handlu benzyną. Nie słyszała już wycia silników, ale wciąż czuła mrowienie na plecach. W powietrzu unosiła się atmosfera podniecenia. Psy czekały jak opętane, kury i kaczki gdały głośno. Samolot już dawno zniknął im z oczu, lecz Tommy nie przestał skakać i machać rękami.

– O Jezu, chciałbym za nim pojechać – stwierdził w końcu, gdy uspokoił się na tyle, by normalnie mówić. – Leciał naprawdę nisko. Może chce lądować.

– Jesteś pewien, że to był samolot? – spytała wciąż roztrzęsiona Imelda.

– Pewnie, że tak. A znasz coś jeszcze, co jest wielkie jak dom, głośne jak grzmot i w dodatku lata? Jezu, szkoda, że mu się lepiej nie przyjrzałem!

– Mam nadzieję, że kury nie przestaną się nieść – powiedziała Mary, odzyskując powoli panowanie nad sobą.

– Myśli pani, że lądował? – spytał Tommy, nadal penetrując horyzont z wozu.

– Wiesz, co? – odpowiedziała pytaniem Mary, której udzieliło się radosne podniecenie chłopca. – Pojedziemy do miasta, tak jak planowaliśmy. Tam nam powiedzą, co się wydarzyło.

– Racja! – zawołał Tommy. – Jazda!

Koń, prowadzony ręką Tommy’ego, biegł żwawo. Przez chmury przedzierało się słońce, rzucając długie promienie. Imelda wskazała je dłonią.

– Zawsze myślę sobie, że Bóg chce przemówić, kiedy niebo jest takie. Podobnie jak przemówił do Noego w Biblii.

– Dlaczego Bóg nie mógłby przemówić, kiedy przeleciał nad nami ten samolot? – Tommy potrząsnął ze smutkiem głową. – Może zobaczyłbym coś więcej niż tylko wielki zielony cień.

Koń ruszył wzdłuż grobli. Mary patrzyła na mokradła rozciągające się za kamiennym murkiem. W niewielkim stawie żerowało duże stado kulików i zwierciadło wody odbijało ich kształty. W blasku słońca trawiaste połączenie mokradeł świeciły niczym złoto, tworząc ostry kontrast z miętko zielonymi pagórkami widocznego w dali łądu. Na drugim brzegu dostrzegła sylwetkę pracującego człowieka. Wykonywał długą kosą zamaszyste ruchy. Na tętent

końskich kopyt na grobli podniósł wzrok i otarł spocone czoło.

– Kto to jest? – spytał Tommy, odpowiadając na powitanie mężczyzny, który pomachał do nich chusteczką.

– Barry Kingston. Ścina pewnie trzcinę – wyjaśniła Mary. Lecz Tommy nie słuchał. Wstrzymał konia.

– Czekajcie. Chyba znów słyhać ten samolot – wyszeptał. Tym razem Imelda nie zbesztala brata, lecz sama zaczęła uważnie nasłuchiwać. Mary też nadstawiła ucha. Barry Kingston powrócił do ścinania trzciny. Świst jego kosy niósł się po mokradłach. Tom potrząsnął głową i smagnął konia lejcami.

W połowie grobli Tommy znów zatrzymał wóz. Tym razem wszyscy to usłyszeli. Barry Kingston przerwał robotę i też zaczął nasłuchiwać. Obrócili się w stronę ujścia rzeki.

– O mój Boże – wyszeptała Mary. Leciał prosto na nich. Samolot. Chyba największy w świecie.

Warkot silników niemal zagłuszał krzyk ptaków i gdy Mary skuliła się, chowając głowę w ramionach, z rozlewisk zerwały się gwałtownie całe ich tysiące i pofrunęły w niebo, tuż przed dziobem nadlatującego samolotu.

Koń cofnął się gwałtownie i zrzuciło ją z wozu. Tom zeskoczył na ziemię i chwycił za uzdę. Koń znów się cofnął. Oczy miał szeroko otwarte ze strachu. Potworne – mu hukowi silników dorównywała siła wywołanego przez maszynę podmuchu. Mary wczepiona w bok wozu patrzyła, jak Imelda i Tommy próbują utrzymać konia. Stała nieruchomo, jakby zawieszona w czasie, gdy zielony gigant przeleciał zaledwie parę metrów nad ich głowami i wylądował na mokradłach.

Mijały minuty, a żadne z nich się nie odzywało. Mary dzwoniło w uszach, choć silniki samolotu dawno umilkły. Kątem oka dostrzegła, jak Barry Kingston rzuca kosę i rusza biegiem w stronę samolotu, który znajdował się teraz na wprost grobli. Tommy puścił uzdę konia i zsunął się z kamiennego murku.

– Dokąd idziesz? – zawołała Imelda, przytrzymując niespokojne zwierzę.

– Tom, nie wygłupiaj się! Wracaj! – krzyknęła Mary.

– Dam se radę – odparł chłopak, szarpiąc przytrzymujące go gałązki jeżyn. – Patrzcie, drzwi się otwierają!

– Zabiją cię! – wrzasnęła Imelda.

– Nie dam się zabić! Nie bądź głupia – odparł Tommy i ześliznął się z grobli na mokradła, po czym ruszył biegiem w stronę samolotu.

– A niby dlaczego? Wracaj! Zastrzelą cię!

– Nie zastrzelą – odkrzyknął Tommy przez ramię. – To Jankesi!

Les odetchnął głęboko i sięgnął do drzwi. Znieruchomiał na chwilę z dłonią na zimnym metalu. W głowie kłębiły mu się myśli. Widział wcześniej miasto. Kilka kilometrów dalej. Pewnie organizują już tam jakąś grupę, która

wyruszy, by zbadać sprawę. Nie pozostało chyba więcej niż pięć, dziesięć minut, nim pojawią się pierwsi ludzie. Jeśli Mahoney miał rację, że wylądowali w Holandii, mogło to oznaczać jedną z dwu rzeczy: albo zostali dostrzeżeni przez przyjacielskich Holendrów – a w takim razie nadal mają szansę – albo zjawią się na powitanie niemieckie siły. A jeśli Mahoney się pomylił? Jeśli znajdują się na terenie samych Niemiec? Albo w Anglii? Może mimo wszystko dolecieli jednak do Anglii?

– Jesteśmy tuż za tobą, dzieciaku – powiedział Matt.

Les odwrócił się i zobaczył, jak Wódz i Matt dają mu znak podniesionym kciukiem. Reszta załogi, prócz Merdeza i Tate'a, skupiła się obok nich. Przywracali do przytomności Beau, który leżał wyciągnięty na podłodze. Niewielka rana na czole krwawiła lekko.

– Nic mu nie będzie? – spytał Les.

– Nie wiem – odparł Mahoney. – Oddycha normalnie. Chyba nic sobie nie złamał, ale jest nieprzytomny. Lepiej jak znajdziemy dla niego jakąś pomoc medyczną, i to szybko.

– Racja – przyznał Les i otworzył drzwi.

Kilkaset metrów od samolotu stał jakiś człowiek. Les zeskoczył na ziemię i natychmiast zapadł się po łydki w zimną, brudną wodę. Widział w okienku kabiny McKnighta, który obserwował wszystko, gotów w każdej chwili przekazać odpowiedni sygnał Hansenowi. Czuł na plecach osiem par ponagających go oczu. Wyciągnął powoli rewolwer i stanął twarzą w twarz z tamtym. Ubrany w marynarkę mężczyzna, miał pod spodem gruby, obszerny sweter. Twarz wydawała się zarumieniona, choć rysy skrywał cień czapki. Les próbował sobie wyobrazić, jak wygląda Holender.

Mężczyzna uniósł powoli rękę.

– Mówisz po angielsku? – zawołał Les.

Wyglądało na to, że zaskoczony mężczyzna nie wierzy własnym uszom. Nie opuścił rąk.

– Mówisz po angielsku? Rozumiesz? – powtórzył Les. – Gdzie jesteśmy?

– Na mokradłach Paddy White'a – odparł mężczyzna.

Les opuścił ostrożnie broń. Posłyszał za plecami stłumiony śmiech. Matt wychylił się z samolotu.

– Gdzie? – spytał zdumiony Les.

– Na mokradłach. Mokradłach Paddy White'a – powtórzył mężczyzna, opuszczając jednocześnie ramiona. – Coś mi się zdaje, że się zapadasz. Tak jak twój samolot.

Les zaczął się śmiać. Dał McKnightowi znak podniesionym kciukiem. Członkowie załogi zaczęli wyskakiwać z maszyny. Klęli, zapadając się w zimnym bagnisku.

– Więc gdzie jesteśmy? – spytał Mahoney, rozglądając się wkoło.

– Hej, Mahoney – zaśmiał się Les. – Czy jego mowa przypomina ci holenderski?

– Mahoney? Powiedziałaś Mahoney? – spytał mężczyzna. Zbliżył się, rozbryzgując wodę, i uściśnął energicznie dłoń lotnika. – Źle to wymawiasz pewnikiem. Amerykanie nie wiadomo czemu zawsze tak mówią. A to się wymawia Maany, nie Mahoney. Musisz być pewnie O’Mahoney? To tutejsze nazwisko. Witaj w domu, bracie. Witaj w domu.

Mahoney uściśnął ze śmiechem podaną dłoń, podczas gdy pozostali poklepywali mężczyznę po plecach.

– Chcesz powiedzieć, że jesteśmy w Irlandii? – potrząsnął z niedowierzaniem głową Mahoney.

– Pewnie, że tak. W neutralnej Irlandii. A wam się zdawało, że niby gdzie?

– Mahoney myślał, że to Holandia – odparł Les i wyciągnął papierosa.

– O nie, jesteście w samej Irlandii, jak trzeba – powtórzył mężczyzna. Les częstował go papierosem, gdy przez wysoką trawę podszedł do nich młody chłopak. Ubrany jak żebrak w stare, postrzępione rzeczy, uśmiechał się promiennie od ucha do ucha.

– Jesteście Jankesi? – spytał zdyszany. – Co robicie w Irlandii? Potrzebujecie pomocy?

– Nie tak szybko – uciszył chłopca Barry Kingston. – Wszyscy się porządnie wystraszyliśmy. Ale nie możemy być niegrzeczni dla naszych gości. Znam cię, chłopcze. Jak się nazywasz?

– Tommy Tanner.

– W porządku. – Barry Kingston obciągnął marynarkę i zwrócił się do uśmiechniętej załogi. – Ten tu obecny Tommy Tanner i ja, Barry Kingston we własnej osobie – Dowódca Obrony Cywilnej – mamy honor jako pierwsi powitać was w Clonakilty. W imieniu... Matko Boża! A co to za stwór?

– To jest Tojo. Małpa – wyjaśnił Les, wskazując Tojo, który wyglądał przez drzwi samolotu.

– Małpa? Coś takiego! – zdumiał się Barry Kingston.

Mary patrzyła na wszystko z daleka. Ogromne zielone skrzydło przesłaniało jej widok, dostrzegła jednak, że z maszyny wyszedł jakiś człowiek. Żołądek skurczył jej się ze strachu, gdy Barry Kingston podniósł ręce do góry. Tom nadał brnął przez mokradła. Barry opuścił ramiona i można było usłyszeć wyraźnie śmiech. Mary patrzyła, jak z samolotu wyskakuje grupa mężczyzn w mundurach. Śmiali się i ściskali Barry’emu dłoń, kiedy Tom dotarł do nich.

– Tom miał chyba rację – powiedziała Mary.

– Myślisz, że to Jankesi? – spytała Imelda. – Wygląda na to, że jest ich sporo.

– Nie wiem, kim są – odparła Mary. – Co by tu robili Jankesi?

Coś tam się działo, o czymś zdecydowano. Tommy pomachał im, dając jakieś znaki, a mężczyźni w mundurach wspięli się z powrotem do samolotu.

– Czego ten osioł chce od nas? – zastanawiała się Imelda.

– Chodzi mu chyba o to, żebyś podjechała tam wozem – powiedziała Mary. Tommy podszedł na skraj mokradeł. Nie przestawał wymachiwać rękami.

– Masz rację – przyznała Imelda. – Chce, żebyśmy podprowadziły wóz bliżej samolotu.

Imelda usiadła z przodu i chwyciła za lejce. Gdy koń podązał truchtem po grobli, Mary widziała, jak mężczyźni w mundurach wynoszą z maszyny jakiś ciężar. Jeden prowadził pozostałych przez wysoką trawę. Szli przez mokradła za Barrym Kingstonem do miejsca, gdzie na drodze czekał już Tom.

– Co oni niosą? – spytała Mary.

– Nie wiem. Wygląda, jak coś zawiniętego w koc – odparła Imelda, która wstała z lejcami w dłoniach, by lepiej widzieć.

Mary nie mogła się nadziwić, jakim cudem dziewczyna zachowuje na tak chybotliwym wozie równowagę.

– Niosą chyba jakiegoś człowieka. Musi być ranny. Trzymaj się, Mary! – zawołała Imelda i smagnęła konia lejcami.

Koń ruszył cwałem, kopyta stukały głośno. Mary chwyciła się ścianki, gdyż wóz podskakiwał mocno na nierównościach drogi. Stojąc na szeroko rozstawionych nogach z lekko ugiętymi kolanami, Imelda powoziła pewnie. Oczy jej błyszczały, a warkocz tańczył na plecach. Mary poczuła ze zdziwieniem, jak w jej krtani narasta radosny śmiech. Mężczyźni brnący przez mokradła przystanęli na dźwięk kopyt i patrzyli, jak Imelda wstrzymuje konia przed Tommym.

– Mają rannego – wyjaśnił chłopak, chwytając uzdę. – Powiedziałem im, że możemy zabrać go na farmę. W porządku, Mary?

Barry Kingston wygramolił się na brzeg i skinął głową.

– Mary Burke, to bardzo ładnie z pani strony, że chce pani pomóc tym ludziom. Naprawdę dobrze. To Amerykanie.

Mężczyźni w zielonych mundurach przystanęli na skraju wyspy. Mary nigdy nie widziała nikogo podobnego. Ubrani byli w krótkie, obcisłe skórzane kurtki, zapinane na zamek błyskawiczny. Niektórzy nosili ekstrawaganckie ciemne okulary. Wszyscy byli stosunkowo młodzi, a wysoki, blade blondyn, był niemal chłopcem. Popatrzył z dołu na Mary i Imeldę i uśmiechnął się szeroko. Mężczyźni obok niego mieli ciemniejsze włosy i ten mniejszy był naprawdę ciemny, a skórę miał koloru wypolerowanej miedzi.

Jankesi dźwignęli na wysoki brzeg leżącego bez ruchu na noszach mężczyznę. Barry Kingston stał na drodze i doradzał, którądy najlepiej iść.

– Nieście go równo. Ma na głowie paskudnego guza, choć myślę, że z tego wyjdzie. Ta pani tutaj to Mary Burke, chętnie weźmie go do siebie.

Jankesi skinęli jej głowami. Imelda wciąż stała na wozie, gapiąc się na nich bez żenady. Mary uświadomiła sobie, że musi wyglądać tak samo. Poczula, jak twarz oblewa jej rumieniec. Zsunęła się z wozu i stanęła obok konia. Wysoki Amerykanin, który szedł na czele grupy, podszedł, by się przywitać. On jeden miał na głowie czapkę. Brzeg jej daszka obszyty był złotym wężykiem z wizerunkiem orła. Lotnik wyciągnął do niej rękę. Uścisk jego dłoni był mocny i przyjacielski.

– Porucznik Charles Hansen, madame. Jestem pilotem. Chcieliśmy wyrazić pani wdzięczność za pomoc. Musimy umieścić tego człowieka w jakimś ciepłym i spokojnym miejscu.

Mary skinęła głową. Za pilotem stało pięciu ludzi, którzy nieśli rannego.

– To sierżant Beauregard St Soucis. Upadł i uderzył się w głowę, kiedy lądowaliśmy. Potrzebny mu lekarz.

Młody mężczyzna leżał na noszach z lekko zgiętymi kolanami, jakby spał. Silnie zaznaczony nos nad pełnymi ustami przypominał Mary widziany w dzieciństwie wizerunek rzymskiego żołnierza. Twarz mężczyzny okalały niesforne pasemka ciemnokasztanowych włosów. Z niewielkiej rany na czole ściekała po wystających kościach policzkowych strużka krwi. Choć miał opuszczone powieki, Mary dostrzegła długie czarne rzęsy. Poruszył się i jęknął cicho. Otworzył na moment oczy i Mary zdumiał ich ciemny błysk. Zaczął się podnosić i nosze zaczęły się chybotać. Ranny znów zajęczał, po czym wymiotował na mundur. Mary zdała sobie sprawę, że wszyscy patrzą na nią wyczekująco. Pokazała dłonią dach domostwa, widoczny ponad krawędzią rosnących wzdłuż drogi głogów.

– Zanieście go do mojego domu – powiedziała. – Tom pojedzie do miasta i sprowadzi doktora Moloneya.

– Sierżant Russo i sierżant Wilson też pojedą, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, madame – powiedział pilot, wskazując na dwóch ciemnych mężczyzn. Przywitali się, po czym wskoczyli na wóz.

– Położymy go na wozie, chłopaki – powiedział Barry Kingston. – Ty, Mary, usiądź przy nim i pilnuj, żeby nie obił sobie głowy.

Mężczyzna zwany Russo zdjął kurtkę i zwinął.

– Proszę, madame, niech pani podłoży mu to pod głowę – wręczył jej prowizoryczną poduszkę. Z pomocą Barry’ego Kingstona mężczyźni podnieśli rannego, po czym złożyli go ostrożnie na deskach wozu. Mary uniosła mu delikatnie głowę i wsunęła pod spód zwinętą kurtkę.

– Zaczekamy tu, aż wrócisz – zwrócił się pilot do Toma. – Zabierzesz kilku z moich ludzi do miasta. Pozostali będą pilnować samolotu.

– No to co, jesteście gotowi? – spytał Tommy, ujmując lejce. Jeden z

Amerykanów podtrzymywał ramiona rannego, drugi nogi.

– Jedź powoli i ostrożnie. Nie ma pośpiechu. Poza tym nie powinno nim trząść – nakazał ten z miedzianą skórą Tommy’emu. – Mogłaby pani potrzymać mu głowę, madame? – zwrócił się z uśmiechem do Mary.

– Oczywiście – odparła. – Tylko przestańcie nazywać mnie „madame”. To mnie krępuje. Mam na imię Mary.

Podtrzymując delikatnie głowę rannego, skinęła na Toma. Koń prowadzony pewną ręką chłopca ruszył wolno jak nigdy.

– No wiec, Mary – powiedział niski, ciemny mężczyzna – mam na imię Mateo. To włoskie imię, ale wszyscy wołają na mnie Matt. A to jest John Wilson, ale nazywamy go Wódcem. To czystej krwi Indianin ze szczepu Irokezów. A ten biedak to Beau.

– Bo? – powtórzyła zaskoczona Mary.

– Znaczy „przystojny” po francusku. Na imię ma Beauregard. To po francusku „atrakcyjny” – pospieszył z wyjaśnieniami Wódz. – Pochodzi z Luizjany. Tam mówią po francusku.

Spojrzała na mężczyznę zwanego Beau. Choć pod ciemną opalenizną był blady jak popiół, pomyślała, że pasuje do niego to imię. Czowała, jak ciemne, miękkie pukle jego włosów owijają się wokół jej palców.

– Mówisz po francusku? – spytała Mary, zaskoczona tą mnogością informacji.

– Tak, madame. To znaczy Mary – odparł Wódz z łobuzerskim uśmiechem. – Prawdę mówiąc, zanim wstąpiłem do wojska, byłem nauczycielem francuskiego i historii w szkole średniej.

– Coś takiego! Nie żartujesz? – Mary potrząsnęła głową ze śmiechem. – Wiesz co, gdyby ktoś mi dziś rano powiedział, że będę wracać do domu z Indianinem mówiącym po francusku, Włochem i Jankesem o przywisku „przystojny” – nigdy bym nie uwierzyła.

Imelda usiadła na niskim kamiennym murku. Wóz oddalał się powoli drogą i zdawało się, że wszyscy o niej zapomnieli. Nie dbała o to. Kręciło jej się w głowie z podniecenia, onieśmiałą ją też obecność tylu obcych. Patrzyła na samolot i nie mogła uwierzyć, że jest taki ogromny. Większy niż dom. A jednak tkwił na mokradłach niczym ogromny owad. Ptaki znów zabrały się za żerowanie. Kilka mew przysiadło nawet na kadłubie maszyny i zaczęło ją penetrować. Obok niej trzej Jankesi palili papierosy, czterej szli po grząskiej trawie w ich stronę. Barry Kingston wciąż rozmawiał z pilotem.

– Myśli pan, że dacie radę stąd odlecieć?

– Dlaczego by nie – odparł pilot. – Jak tylko zdobędziemy trochę gazoliny.

– Gazoliny? To znaczy benzyny?

– Zgadza się. Prawdę mówiąc, chcemy jak najszybciej opatrzyć rannego, zatankować i odlecieć. Prowadzimy wojnę.

– Pewnie. Jakbym sam nie wiedział. Mam brata w Seattle – powiedział Barry Kingston. – Jego chłopak zwał z domu i wstąpił do marines.

– Jest tu skład paliwa?

– Jest – Barry potrząsnął głową, jakby chciał zaprzeczyć. – Wy macie wojnę, a my stan wyjątkowy. Więc mamy też skład paliwa jak się patrzy, ale benzyna jest reglamentowana. Żeby dać wam tyle, ile potrzebujecie, trzeba zgody odpowiednich władz. Ale jak powiadomimy odpowiednie władze, to będziecie chyba musieli przesiedzieć tę wojnę w neutralnej Irlandii.

– A musicie ich powiadamiać? – spytał pilot.

– Musimy. Trzeba powiadomić armię, że wylądował samolot. Pewnie, że powiadomimy. Rzecz nie w tym, czy to zrobimy, tylko kiedy. Jak byście mieli znów odlecieć, to może nie starczyłoby nam czasu, żeby ich powiadomić, dopóki byście nie zniknęli.

– Więc ich nie informujcie.

– No tak, ale potrzebujecie paliwa – westchnął Barry Kingston. – Mimo wszystko macie pecha. Tak daleko zalecieć i wylądować nie tam, gdzie trzeba.

Imelda przysłuchiwała się rozmowie z dreszczem emocji, choć nie rozumiała nawet połowy. Nagle wystraszyła się. Wysoki, młody mężczyzna, którego zauważyła już wcześniej, przysiadł na murku. Musiał podejść zupełnie cicho.

– Wiesz, jak obchodzić się z koniem – odezwał się. – Nazywam się Les Wagner. Pochodzę z Wisconsin. Znasz Wisconsin?

Imelda była zbyt onieśmielona, by odpowiedzieć, więc tylko potrząsnęła głową.

– To niedaleko granicy z Kanadą. Na Środkowym Zachodzie – dodał, jękając się lekko.

Spojrzała na niego ukradkiem. Les Wagner. Jak cudownie to brzmi pomyślała. Jasnowłosy chłopak był co najmniej o głowę wyższy od niej i sprawiał wrażenie równie onieśmielonego jak ona.

– A ja jestem Imelda Tanner – przedstawiła się odważnie. Les Wagner uśmiechnął się i Imelda poczuła się tak, jakby po dwóch tygodniach ulewy zza chmur wyrzało nagle słońce.

– Miło mi ciebie poznać, Imeldo. – Wskazał na samolot. – To B-17. Latająca forteca. Nazywamy ją „To nie ptak”. Wiesz, to z *Supermana*. „Czy to ptak? Czy to samolot? Nie, to Superman!” Puszczają to w radiu. Jestem strzelcem wieżyczki za kabiną pilotów. Widzisz tę niby-wieżyczkę na górze? To moja.

Imelda nie miała pojęcia, o czym on mówi, ale była zafascynowana. Żałowała, że nie ma na sobie ładniejszej sukienki, i zastanawiała się, jak ma

rozmawiać, skoro nie wie, o co chodzi.

– Reszta załogi – wyjaśnił Les, wskazując czterech Amerykanów, którzy wspinali się na wysoki brzeg. – Ten w czapce to drugi pilot, McKnight. A ten obok to nawigator. Chyba przez niego się zgubiliśmy – stwierdził z pełnym zakłopotania śmiechem.

Imelda starała się okazywać zainteresowanie. Nie chciała, by Les zamilkł, ale nic jej nie przychodziło do głowy. Czuła się jak idiotka. Na szczęście zajął się prezentacją kolegów, którzy ukazywali się na drodze.

– Ten na końcu to Russell, radiooperator, dalej Reisenbeck, nasz bombardier. Siedzi w tej małej oszklonej budce na dziobie. Właściwie to nie szkło, tylko pleksiglas. Macie tu pleksiglas?

Imelda mogła tylko przytakiwać i liczyć na szczęście. Co to na Boga jest pleksiglas? By ukryć zakłopotanie, udawała, że przygląda się bacznie członkom załogi. Dwaj lotnicy mieli w rękach butelki. Ostatni nie mógł poradzić sobie z czymś małym i ruchliwym. To coś wyrwało mu się z objęć i przybiegło po murze do Lesa. Dziewczyna krzyknęła przeraźliwie, gdy małe, futrzaste zwierzątko wskoczyło Amerykaninowi na ramię.

– Nie bój się – uspokoił ją. – To jest Tojo. Małpka szerokonosa. Tojo powiedz Imeldzie „cześć”.

Imelda wyciągnęła dłoń i małpka jednym skokiem usadowiła się na jej kolanach.

– Spodobałaś się jej – zauważył Les.

– Och, jest urocza! – zawołała Imelda, zachwycona małym zwierzątkiem. Żałowała, że siostry nie mogą jej zobaczyć. Tojo siedział spokojnie, gdy Imelda głaskała go po łepku, zastanawiając się jednocześnie, co mówić. Znow zerknęła na Lesa. Słuchał z zainteresowaniem rozmowy pilota z Barrym Kingstonem.

– No dobra. Jest was dziesięciu ludzi załogi i ten ranny – stwierdził Barry Kingston.

– Zgadza się – odparł pilot. – I chcielibyśmy jak najszybciej zdobyć tyle paliwa, ile się tylko da.

– Powoli – uspokajał go Barry. – Tym zajmiemy się później. Myślę, że najpierw przyda wam się trochę wytchnienia i posiłek. Ja w każdym razie mam ochotę na obiad. Będziecie też potrzebować miejsca, gdzie moglibyście się zatrzymać. Powinniśmy chyba poczekać na wóz, a potem pojechać do miasta.

– Wygląda na to, że miasto samo przychodzi do nas – zauważył Les, odwracając się do Imeldy.

Imelda zobaczyła dużą grupę ludzi. Podążali szybkim krokiem po grobli, poprzedzani przez gromadkę małych chłopców. Słyszała, jak krzyczą i pohukują głośno, pokazując sobie nawzajem samolot. Rozpoznała Ruth Bennett w towarzystwie jakiegoś mężczyzny i pomachała do niej. Ludzie zaczęli machać rękami i ruszyli szybszym krokiem. Na drodze widać też było pieszych. Jakiś

kilometr dalej jechał samochód.

– No i dobrze – stwierdził Barry Kingston, wskazując dłonią w stronę mokradeł. – Nie musimy wzywać doktora. To jego wóz. Widać, że pęka w szwach. Jedzie w nim pewnie komitet powitalny. Musieliście chyba narobić sporo szumu w mieście. Wszyscy chcą zobaczyć, co się stało.

– Może dzięki temu łatwiej będzie przełamać lody – zauważył pilot, biorąc do ręki butelkę, podaną mu przez jednego z mężczyzn.

Barry Kingston spojrział na nalepkę i uśmiechnął się.

– Rum. Nie widzimy go od jakiegoś czasu. Powiedziałbym, że się przyda. Nadszedł pierwszy z chłopców, dotarła też zdyszana Ruth Bennett i jej towarzysze. Ruth skinęła Imeldzie głową.

– Małpa! – wykrzyknęła. – Nigdy nie widziałam żywej małpy. – Podeszła wprost do Lesa i wyciągnęła dłoń. – Cześć. Nazywam się Ruth Bennett. Czy to pana małpka?

Les uśmiechnął się szeroko, ujmując jej dłoń.

– Les Wagner. Miło mi panią poznać. To jest Tojo. Nasza maskotka. – powiedział wskazując zwierzaka, który zsunął się z kolan Imeldy i wskoczył mu z powrotem na ramię.

Imelda przysłuchiwała się wesołej pogawędce, a chłopcy otoczyli ich kręgiem, podziwiając Amerykanów i ich małpkę. Ludzie nadchodzili grupkami, tłum gęstniał coraz bardziej. Wszyscy gadali i śmiali się, poklepując Jankesów i siebie nawzajem po plecach. Ledwie widziała czubek głowy Lesa, który z kimś rozmawiał. Dlaczego nic nie przychodziło jej do głowy? Nawet nie uścisnęła mu dłoni. Siedziała tylko i patrzyła bez słowa, Ruth zaś podeszła śmiało i przedstawiła się. Umie się zachować – pomyślała Imelda. Przynajmniej nie siedzi jak kołek. W każdym razie ma tupet.

Podjechał samochód doktora Moloneya i tłum przesunął się na bok. Barry Kingston otworzył drzwi, pokazał dumnie butelkę rumu i zaczął dokonywać prezentacji. Pierwszy wysiadł z samochodu sierżant policji, za nim ukazał się ojciec Ruth i kilku ludzi, których Imelda знаła z miasta. Między nimi był też barman Tony z hotelu.

– Czyż nie wyglądają wszyscy jak gwiazdorzcy filmowi? – spytała Ruth, gdy znów stanęła obok Imeldy.

– Kto? Twój tata i doktor Moloney? – spytała poirytowana Imelda.

– Nie bądź głupia – wybuchnęła śmiechem Ruth. – Amerykanie. Wyglądają jak gwiazdorzcy filmowi.

– A co ty wiesz o gwiazdach filmowych, Ruth Bennett?

– Przecież wiesz, o co mi chodzi – odparła niezrażona Ruth. – A co myślisz o tym twoim facecie? Uważam, że jest uroczy. Jak myślisz, ile ma lat?

– A skąd mam wiedzieć? – odparła z kolei Imelda. – A kto to jest ten, z kim przyszałaś?

– To po prostu Dennis – wyjaśniła Ruth, wyciągając szyję, by lepiej widzieć.

– „Po prostu Dennis”? – przedrzeźniała ją Imelda, unosząc brwi. – W zeszłym tygodniu był „wspaniałym Dennistem”, a teraz „po prostu Dennis”.

Rum zignorowała jej słowa.

W górę powędrowała otwarta butelka i rozległy się głośnie wiwaty. Potem przyszła kolej na następną, niebawem zaczęły krążyć kolejne flaszki rumu i wszyscy pili za zdrowie Jankesów. Zobaczyła, że sierżant odchodzi na stronę z pilotem i Barrym Kingstonem. Po krótkiej dyskusji skinął na ojca Ruth i Dennisa i pięciu mężczyzn pograżyło się w rozmowie.

– Co twój tata i ten „po prostu Dennis” mają z tym wszystkim wspólnego? – spytała Imelda.

– Nie wiem – odparła Ruth, wciąż starając się zwrócić uwagę Lesa. Spora grupa ludzi bawiła się widokiem skaczącego z ramienia na ramię Tojo. Przy każdym skoku nad ciżbą wznosił się okrzyk podziwu. – Myślę, że ma to coś wspólnego z Obroną Cywilną, bo wszyscy się tu zjawili. Po co mieliby tu przychodzić?

Mężczyźni z boku uścisnęli sobie dłonie i powrócili do tłumu. Pilot wezwał resztę załogi. Po krótkiej naradzie wszyscy oddali broń sierżantowi Coughlanowi, który złożył ją ostrożnie w bagażniku samochodu. Ojciec Ruth i Barry Kingston próbowali nakłonić ludzi, by przesunęli się dalej, w stronę miasta, ale nikt ich nie słuchał.

Dumny jak paw i zarumieniony z podniecenia Dennis podszedł do dziewcząt zamasztył krokiem.

– Coughlan zabiera Jankesów na posterunek – obwieścił. – A ja zostaję tu z twoim tatą, żeby pilnować samolotu!

– Na posterunek? – zawołała Ruth. – Po co? Nie chce ich chyba aresztować?

– No cóż, przypuszczam, że oficjalnie będą pod nadzorem – odparł Dennis, drapiąc się po głowie. – Chyba nie mają wielkiego wyboru.

– To straszne – zawołała Ruth i pobiegła w stronę Amerykanów, którzy ruszyli drogą.

– Nie słyszałaś? Mam pilnować samolotu. To B-17, bombowiec – spróbował ponownie Dennis.

– To wspaniale. Pilnuj go – odkrzyknęła dziewczyna przez ramię. – Chodź, Imelda! Nie możemy tego przegapić.

Gdy Les Wagner zrównał się z Imeldą, uśmiechnął się i pomachał. Imelda odpowiedziała mu uśmiechem i ruszyła wraz z podążającym za nimi tłumem ludzi.

Dennis stał z boku i wyglądał na zakłopotanego. Imelda trąciła Ruth łokciem. Przyjaciółka podniosła wzrok, roześmiała się i pomachała mu radośnie.

– Do widzenia, „po prostu Dennis” – zachichotała pod nosem.

Rozdział dziewiąty

Wnieśli Beau przez kuchnię i położyli na sofie we frontowym pokoju.

Mary wyjęła ze skrzyni dodatkowy koc i przykryła rannego. Gdy tylko złożyli go w bezpiecznym miejscu, Tommy wyszedł po doktora, zostawiając Mary samą z Amerykanami.

W pokoju było zimno. Od miesięcy nie rozpalała w nim ognia. Była świadoma unoszącego się w powietrzu lekko wilgotnego zapachu stęchlizny i żałowała, że tego ranka nie wywietrzyła tu porządnie. Skąd niby miała wiedzieć, że w jej domu zaroją się od nieznajomych? Obecność Jankesów wśród jej mebli i bibelotów sprawiała, że znajome otoczenie nabrało jakichś nierzeczywistych cech. Poczula się niepewnie. Tam, na mokradłach, wszystko wyglądało dość zabawnie. Ale tu, w domu, była sama z trzema obcokrajowcami. Stała na środku pokoju zmieszana.

– Może powinnam rozpalić ogień? – spytała cicho.

– Ogień? – powtórzył jak echo Matt.

– Nie wydaje wam się tu zimno? – spytała Mary. – Nie korzystamy z tego pokoju zbyt często – wyjaśniła.

Wódz wskazał na kominek i trącił Matta, który pojął wreszcie, o co chodzi.

– Przepraszam, Mary. To rzeczywiście dobry pomysł. Tam, skąd pochodzę, nie rozpalamy zbyt często ognia. – Uśmiechnął się szeroko. – Wystarczy, że usiądziesz i powiesz nam, co robić. Jestem pewien, że obecny tu Wódz wie wszystko o rozpalaniu ognia.

– Za dużo się naoglądałeś filmów kowbojskich – zażartował Wódz.

– Nie róbcie sobie kłopotu. Mam ogień w kuchni. To nie potrwa nawet minuty – powiedziała Mary zadowolona, że ma dobrą wymówkę, aby wyjść z pokoju.

Włożyła do wiaderka rozpalone węgle, zabrała też drewno na podpałkę i torf. Zwlekała, dopóki starczyło jej odwagi. Wolałaby pozostać w kuchni, lecz myśl o rannym człowieku kazała jej pójść z powrotem do pokoju. Gdy weszła, lotnicy wzięli od niej wiadro i pozostałe rzeczy. Stali na środku pokoju, czekając na instrukcje. Byli pełni dobrych chęci, a jednocześnie mieli tak niepewne miny, że nie mogła opanować uśmiechu. Skierowała ich do kominka, po czym przyszykowała podpałkę, a następnie ułożyła starannie torf, by szybko się zajął. Klęczała przed paleniskiem i dmuchała leciutko, aż pojawiły się dostatecznie duże płomienie.

– Zawstydyłaś Indianina – skomentował Wódz.

– Co to jest, to brązowe? – zainteresował się Matt.

– Torf – wyjaśniła Mary. – Wydobywa się go z ziemi.

– Jak węgiel?

– Niezupełnie, nie tak jak w kopalni. Wycina się z bagna. Nie dostajemy już węgla. Jest reglamentowany.

– Z bagna? – powtórzył jak echo Matt.

Mary zastanawiała się, jak to wyjaśnić, ale na szczęście uratował ją Wódz.

– Torf to rozłożony materiał organiczny. Tak jak węgiel, tyle że zalega bliżej powierzchni i nie jest tak stary. To taki młody węgiel.

– Przysięgam, że ten gość to chodząca encyklopedia – roześmiał się Matt.

– Naprawdę jesteś Indianinem? – spytała Mary. Poczowała się pewniej. Trudno było oprzeć się swobodnemu zachowaniu Amerykanów, znajomy trzask ognia też działał na nią uspokajająco.

– Owszem. Czystej krwi, ze szczepu Irokezów.

– Absolutnie – dodał Matt. – Zostawił w samolocie swój pióropusz. Ale jak chcesz, to zaraz odtańczy indiański taniec i sprowadzi deszcz.

– Deszcz! – zawołała Mary. – Broń Boże! Ostatnia rzecz, jakiej tu potrzebujemy, to opady. Mamy tego dosyć, dzięki.

– Deszcz zaklinają Indianie ze szczepu Hopi – skorygował Wódz. – Nie musisz się martwić.

Mary zerknęła ku sofie, gdzie leżał Beau. Mężczyźni starali się mu pomóc, rozpinając kurtkę i zdejmując buty.

– Dobrze byłoby przebrać go w czystą koszulę – stwierdził Matt, dostrzegając jej spojrzenie.

– Można by go trochę umyć – dodał Wódz.

– Oczywiście – zgodziła się Mary. – Dam wam jedną z koszul męża.

Nim wróciła z czystą koszulą i miską ciepłej wody, zdążyli ściągnąć z niego kurtkę i koszulę. Leżały w kawałkach na podłodze. Przez niewielkie okno sączyło się przedwieczne światło i jeden promień padał wprost na sofę, dobywając z mroku mocno zaznaczoną szczękę i rzucając cień na nagie ramię. Mary poczuła na twarzy rumieniec, gdy dostrzegła regularny łuk karku mężczyzny. Przyniosła boczny stolik, by położyć na nim potrzebne rzeczy. Przysunęła krzesło, po czym bardzo delikatnie, ujęła rannego lewą ręką za brodę, prawą zaś zanurzyła w misce szmatkę. Skórę miał zimną w dotyku.

Poczowała pod palcami lekki zarost. Siłą woli skoncentrowała się na rozciętym czole, ocierając zaschniętą krew. Niewielka rana była płytka, dostrzegła jednak siniec wielkości jaja.

– Rana nie jest głęboka. Choć może trzeba będzie ją zeszyć – stwierdziła.

– Możemy to zrobić, jeśli chcesz – zaofiarował się Matt.

– Nonsens. To kobieca robota.

– A rozpalanie ognia nie jest robotą męską? – spytał chytrze Matt.

– Nie tutaj – odparła Mary z uśmiechem. – Ale czyż kobiety i tak nie

wykonyją całej roboty? Mężczyźni tylko udają, że wykonują ją w połowie.

Mężczyzna drgnął i skrzywił się. Mary wyciągnęła dłoń i pogładziła go po włosach. Ustąpiły miękko pod jej dotykiem, a Beau opadł na sofę i uspokoił się. Myła go dalej, wycierając od razu do sucha, by nie zmarł.

Matt i Wódz zawołali go po imieniu i zdawało się, że próbuje się ocknąć. Otwierał i przymykał oczy, jakby był śmiertelnie zmęczony. Miała nadzieję, że nic mu nie jest. Rana nie wydawała się groźna, ale wciąż nie był przytomny. Chciała, by doktor zjawił się jak najszybciej. Mężczyzna leżący na sofie wyglądał tak bezradnie. I pięknie. Jak śpiący anioł. Otóż to. Nie jak rzymski żołnierz. Beau przypominał archanioła z jej modlitewnika. Anioł spał na zboczu góry. Miał gładkie, szczupłe ciało i białe, pierzaste skrzydła. Nagle dobiegł ją warkot nadjeżdżającego samochodu. Uświadomiła sobie, jak bardzo pogrążyła się w myślach. Skończyła wycierać mężczyznę i przykryła go szybko kocem.

– To chyba doktor Moloney – powiedziała i ruszyła do holu, by wyjść mu na spotkanie.

– Witaj, Mary – rzucił doktor serdecznie.

Znała doktora od czasu, gdy była jeszcze dzieckiem. Miała wrażenie, że wcale się nie zmienia. Był dużym, korpulentnym mężczyzną z grzywą białych włosów, które tak bardzo fascynowały ją, gdy była mała. Uśmiechnął się i mrugnął do niej wesoło.

– Coughlan powiedział mi, żebym tu przyszedł. Jest z pozostałymi. Idą wszyscy do miasta. Powinnaś ich zobaczyć. Jankesi wyglądają jak szczurołapy z Hamelin otoczone przez zgraję dzieciaków, a za nimi ciągnie jeszcze tłum dorosłych. No i ta małpa, która skacze z jednego na drugiego.

– Małpa? – zawołała zdumiona.

– Chyba maskotka załogi. No dobrze, gdzie jest ten facet, co oberwał w głowę?

Mary zaprowadziła go do pokoju i przedstawiła Mattowi i Wodzowi. Doktor skinął im tylko głową i zbliżył się szybko do rannego. Odrzucił na bok koc i zbadał go uważnie, koncentrując się na karku i głowie. Po kilku minutach podniósł z uśmiechem wzrok.

– Żadnych poważniejszych obrażeń. Paskudny guz na głowie, ale nic nie pękło, dzięki Bogu.

Podniósł powieki Beau i klepnął go delikatnie w policzek.

– No dalej. Obudź się, człowieku – powiedział cicho. Ranny jęknął i potrząsnął głową.

Doktor Moloney pogrzebał w wielkiej czarnej torbie i wyciągnął małą buteleczkę.

– Nie zaszkodzi spróbować staromodnych soli trzeźwiących – stwierdził, otwierając flakonik tuż pod nosem mężczyzny. – Powoli, powoli. Nie wstawaj. Miałeś paskudny upadek.

Beau popatrzył na doktora, po czym rozejrzał się po pokoju i jego wzrok zatrzymał się na Mary. Spojrzała mu prosto w oczy. Były bardzo ciemne. Wydawało się, że trudno mu się skupić, ale nie przestał na nią spoglądać. Mary nie mogła oderwać od niego wzroku. Doktor Moloney znów do niego przemówił i wtedy Beau obrócił się w jego stronę.

– Nazywam się Brian Moloney. Jestem lekarzem. Rozumiesz? Ranny przytaknął powoli. Sięgnął dłonią do czoła i ostrożnie dotknął guza. Skrzywił się z bólu.

– A teraz powiedz mi, jak się nazywasz – nakazał doktor. – Wiesz, kim jesteś?

– Beauregard St Souci – odpowiedział Beau, wciąż dotykając czoła. Doktor popatrzył na Matta, szukając potwierdzenia.

– Świetnie. A wiesz, gdzie jesteś? – spytał. – Oczywiście, nie wiesz – dodał szybko. – Pamiętasz, co się wydarzyło?

– Mieliśmy lądować. Próbowałem złapać małpę. Wtedy coś sobie przypomniałem – stwierdził Beau. – Ale zapomniałem, co to było. Nic innego nie pamiętam.

– W porządku. Przez jakiś czas będzie kręciło ci się w głowie. Na dziś dosyć. Teraz leż i odpoczywaj. Jesteś w dobrych rękach.

Beau opadł na posłanie i zamknął oczy. Mary zastanawiała się, czy zasnął. Doktor Moloney ponownie pogrzebał w torbie i podał jej niewielkie pudełko.

– Masz tu tabletki, gdyby skarżył się na ból. Może brać dwie co cztery godziny. Nie powinno się go ruszać przez najbliższe czterdzieści osiem godzin. Wydaje się zdrowy, ale porządnie oberwał w głowę. Jeszcze przez parę dni nie będzie wiadomo, czy rzeczywiście nic mu nie jest. Może pić wodę, ale na razie niech nie je. Możesz dać mu trochę bulionu albo słabej herbaty. Nic ciężkiego. Poradzisz sobie, co?

Mary skinęła w milczeniu głową i wzięła pudełko.

– Doskonale. – Doktor obrócił się do Matta i Wódza. – Mam was zabrać ze sobą.

– Obawiam się, że nie możemy z panem pójść – Matt potrząsnął głową.

– No cóż, obawiacie się czy nie, będziecie musieli – odparł doktor.

– Mamy rozkaz pilota, by zostać przy tym człowieku – wyjaśnił Wódz.

– Przykro mi, chłopaki. Coughlan mówi, że macie iść ze mną. Będziecie oczywiście mogli pogadać ze swoim pilotem, jak dotrzemy do miasta. Wszyscy tam poszli.

Mężczyźni spojrzeli na siebie, próbując podjąć jakąś decyzję.

– Nie martwcie się o tego faceta. Jest w dobrych rękach. I mogę was zapewnić, że nigdzie nie polezie dziś w nocy.

Matt i Wódz podeszli do sofy.

– Chcę się tylko przespać – powiedział ranny. – I pozbyć się tego okropnego bólu głowy.

– Mary da ci coś. Prawda, Mary? Wszystko będzie dobrze – wtrącił się doktor Moloney. Popatrzył na kobietę, która znów skinęła głową. – Wspaniała z ciebie dziewczyna. Wpadnę tu jutro.

Odjechali, a ona zastanawiała się, co ma teraz robić. We frontowej części domu szybko pojawiał się mrok. Zdawało jej się, że Beau śpi, ale w pewnej chwili drgnął i jęknął. Przypomniała sobie o tabletkach i pobiegła szybko do kuchni. Przechodząc obok pieca, postawiła wodę na ogniu.

Wróciła cicho do pokoju. Światło z okna zalewało swym blaskiem ścianę, przy której leżał mężczyzna. Jego twarz pogrążona była w cieniu. Mary wystraszyła się jego głosu.

– Cześć – powiedział leniwie. Zaskoczyło ją ciepłe i mrukliwe brzmienie jego głosu. Nigdy nie słyszała takiej wymowy. W przeciwieństwie do twardej, gardłowej wymowy West Cork wydawała się gładka jak miód.

Podsunęła mu nieśmiało tabletki i szklankę wody.

– Lekarz powiedział, że ma pan to brać. Pomoże na głowę. Wziął od niej pastylki, przytakując i krzywiąc się z bólu. Odetchnęła z ulgą, słysząc gwizd czajnika.

– Miałby pan ochotę na filiżankę herbaty? – spytała szybko.

– Bardzo dziękuję. Z chęcią wypiję.

– Może przynieść poduszkę?

– Byłbym zobowiązany. – Uśmiechnął się i zamknął oczy.

Mary zajęła się wszystkim i zapanowała jakoś nad ściskaniem w dołku. Zastanawiała się, czy powinna przykryć tacę serwetką. Tyle czasu minęło od chwili, gdy podawała herbatę, że nie wiedziała nawet, gdzie są małe serwetki, jakich zwykle używała jej matka. Po chwili przypomniała sobie – we frontowym pokoju. Tak jak dobra porcelanowa zastawa, której nigdy nie wyjmowała z małego mahoniowego kredensu, chyba że akurat tam odkurzała. Nie chciała z niej korzystać. Wiedziała, że musi poradzić sobie inaczej.

Oglądała dokładnie każdą filiżankę. Chciała znaleźć najmniej obtłuczoną i dobrać do niej odpowiedni spodek. Białą ściereczką zastąpiła serwetkę, mleko przelała do dużego dzbanka. Zaparzyła herbatę i poszła po poduszkę. Kiedy wróciła, w kuchni stała Imelda i patrzyła na tacę.

– Pomyślałam sobie, że wpadnę po drodze i zobaczę, jak ci idzie – stwierdziła.

– Wszystko w porządku – odparła Mary. – Zostawili tu jednego, który jest ranny. Doktor mówi, że nie można go ruszać przez najbliższe dwa dni.

– Ładnie wygląda – Imelda wskazała tacę. – To dla niego?

– Nie wolno mu niczego jeść. Doktor wpadnie jutro rano.

– Chcesz, żebym z tobą została? – spytała Imelda. – A może wolisz,

żeby wróciła tu później?

– Dziękuję, poradzę sobie. Ten człowiek ma paskudnego guza na głowie, ale nic mu chyba nie będzie.

– Jaki on jest? – zainteresowała się Imelda.

– Ma na imię Beau. I zabawnie mówi – odparła Mary. Przystanęła i uśmiechnęła się na wspomnienie jego głosu.

– Dlaczego mówi zabawnie? – dopytywała się dziewczyna.

– Nie wiem. Wszyscy tak mówią. I każdy inaczej. Znasz tych dwóch, którzy tu byli? Jeden to czerwonoskóry. A drugi Włoch. Ten tutaj to Francuz, przynajmniej tak twierdzą. A inni? No, mów!

– Jeden to Irlandczyk. Nazywa się O'Mahoney. Uwierzysz? Zdaje się, że zabrakło im paliwa. A jeden jest z Wisconsin – dodała Imelda z błyskiem w oku.

– Szłam z nimi do miasta, zanim Tommy nas dogonił. Pojechał zobaczyć, co się dzieje. Myślałam, że lepiej wrócić do dziewczyn. Ruth Bennett też tam była. Jak odjechałaś, zbiegło się mnóstwo ludzi. W mieście jest chyba wielkie zamieszanie. Widziałaś małpę?

– Nie, ale doktor powiedział mi o niej.

– Ma na imię Tojo.

– Chodź tutaj – powiedziała Mary, biorąc do ręki poduszkę. – Powinam się pospieszyć. Herbata ostygnie. Pomóż mi.

Imelda stanęła w drzwiach pokoju i przestała trajkotać. Zawahała się. Skrywając własne zdenerwowanie, Mary ponagliła dziewczynę. Potem nakazała gestem, by postawiła tacę na małym stoliku. Beau spał głęboko. Światło dnia szybko gasło, poznała jednak po miarowym ruchu klatki piersiowej, że wszystko w porządku. Podłożyła mu ostrożnie poduszkę pod głowę. Pomyślała nagle, że robi to już drugi raz.

– Czyż nie wygląda jak gwiazdor filmowy? – szepnęła jej Imelda do ucha.

– A niby skąd to wiesz, Imeldo Tanner? – spytała Mary cicho.

– To samo powiedziałam Ruth Bennet – powiedziała dziewczyna, gdy wychodziły na palcach z pokoju. – I wiesz co? Nigdy nie byłam w kinie, ale myślę sobie, że Ruth ma rację. Tak powinien wyglądać gwiazdor filmowy.

– Macie pstro w głowie, dziewczyny – skarciła ją surowo Mary. Jednak myśl, że mężczyzna wygląda jak gwiazdor nie była bardziej szalona niż pomysł z aniołem.

Imelda zaspokoila swą ciekawość, a że nie pozostało jej nic więcej do roboty, pożegnała się. Mary znów została sama.

Stała w holu, onieśmielona ciszą. Co się z nią dzieje? Przeżycia dnia sprawiły, że była oszołomiona i zdziwiona. Serce jej waliło, jakby przed chwilą biegła po schodach. Nakazała sobie spokój.

Gdy otworzyła cicho drzwi, ciepły, cytrynowy zapach znów przyspieszył bicie jej serca. Od razu wiedziała, że pochodzi od niego. Poczula go po raz

pierwszy, gdy go myła. Ten mężczyzna pachniał tak samo, jak mówił.

Światło dnia przygasało, Mary patrzyła, jak pełźnie po ścianie, a potem zmierza ku drugiej stronie pokoju, by zniknąć wreszcie na dobre. Ogień rzucał migotliwe cienie na sylwetkę śpiącego mężczyzny. Jego włosy i fałdy koca znów podsunęły jej obraz anioła. Uśmiechnęła się, zawstydzona własną naiwnością.

Tabletki od doktora Moloneya musiały mieć bardzo silne działanie. Upewniła się, że ranny jest pogrążony w głębokim śnie i odetchnęła głośno. Jak mężczyzna może pachnieć cytryną? Stała przy sofie i patrzyła na niego. Nigdy o żadnym mężczyźnie nie myślała, że jest piękny. Może przystojny, ale nigdy piękny. Koc zsunął mu się do pasa i mogła mu się przyjrzeć bez wstydu czy zakłopotania. Nie spieszyła się – błędziła oczami od silnych ramion, przez klatkę piersiową, aż do zwięzającej się talii i płaskiego brzucha.

Pamiętała jedwabisty dotyk włosów na swych palcach, klucie zarostu, który porastał mu policzki. Myśl ta sprawiała jej przyjemność, a jednocześnie przerażała. Co się dzieje? Ten człowiek ledwie zamienił z nią dwa słowa, ona zaś pragnęła, by się zbudził i znów z nią rozmawiał. I w tym samym momencie czuła przerażenie, że może tak się stać. Może zwariowała. Musi wyrzucić z głowy te myśli o aniołach i cytrynie.

Postanowiła przygasić ogień w kuchni i napalić porządnie w pokoju. Przed wyjściem pochyliła się nad nim i naciągnęła koc na nagą pierś. Zauważyła kędzierzawy pęk kruczoczarnych włosów, poczuła też aksamitną gładkość skóry. Otuliła go starannie kocem i odetchnęła głęboko.

Dostrzegła tacę z nieruszoną herbatą i sięgnęła po nią. Dłoń jej drgnęła i przewrócona filiżanka spadła na podłogę i zakłóciła ciszę. Oskoczyła z lekkim okrzykiem, zasłaniając usta dłonią, lecz było za późno. Beau mrugnął powiekami, otworzył oczy i zaczął się rozglądać po ciemnym pokoju.

– Och, wróciła pani – zauważył półprzytomnie. Mary wygładziła fartuch i cofnęła się o krok.

– Herbata wystygła – wskazała tacę. – Zaparzyć świeżą?

– Nie, dziękuję pani.

– Na imię mi Mary. Czy chce pan czegoś jeszcze?

– No cóż, Mary, możesz być tak dobra i zapalić tu światło?

– Oczywiście – odparła, zmierzając do drzwi, zbity nieco z tropu jego bezpośredniością.

– Dokąd idziesz? – spytał tonem, jakim strofuje się dziecko. Uniósł głowę, lecz uświadomiwszy sobie jej ciężar, oparł ją z powrotem o poduszkę.

– Przynieść lampę – rzuciła pospiesznie Mary i natychmiast pożałowała ostrego tonu swych słów.

– Nie możesz po prostu włączyć światła? – spytał znużony.

– Co ma pan na myśli?

– Nie możesz włączyć nocnej lampki? Nie bardzo mogę ją znaleźć. Głos miał miły, lecz słowa brzmiały odrobinę niewyraźne. Zrozumiała, że jest jeszcze bardziej zmieszany niż ona.

– Czy pan wie, gdzie jest? – spytała cicho.

Beau rozejrzał się tępym wzrokiem po pokoju, potem spojrział na nią. Zdawało się, że nie jest w stanie zapanować nad powiekami. Mary rozluźniła się trochę.

– Jest pan w Irlandii – wyjaśniła. – W West Cork, niedaleko Clonakilty.

– Irlandia? Ach tak, przypominam sobie – machnął lekceważąco słabą dłonią. – Dziękuję bardzo, Mary. To wszystko.

Stłumiła śmiech. Pewnie uważał ją za służącą.

– Mam nadzieję, że jest panu wygodnie, sir – postanowiła kontynuować zabawę. – Proszę zadzwonić, gdyby pan czegoś potrzebował.

– Muszę przyznać, że łóżko jest trochę nierówne. Ale poza tym jest tu przemiło. A teraz bądź dobrą dziewczyną i zmykaj.

Jego głos cichł z każdym słowem. Nim dokończył, znów zapadł w głęboki sen.

– W takim razie wspomnę o nierównym łóżku właścicielowi – szepnęła Mary, zagłębiając się w fotel przy kominku. Potem patrzyła, jak Beau śpi.

Siedziała i patrzyła na niego, podczas gdy wieczór przechodził niepostrzeżenie w noc. Przyniosła lampę, czasem dorzuciła do ognia, ale poza tym siedziała tylko i przyglądała się śpiącemu. Kim jest? Czy ma żonę? Rodziną? Czym się w życiu zajmuje? Wiedziała tylko, że pachnie cytryną, że pochodzi z Luizjany i że zamierza walczyć na wojnie. Jak to jest, gdy przebywa się tak daleko od domu, wiedząc, że można nie wrócić? Wstrząsnął nią dreszcz.

O wojnie tylko czytała. Nie lubiła o niej słuchać. Nie chciała się zastanawiać, co może się stać z tymi Jankesami, gdy już dotrą do miejsca przeznaczenia.

Wolała patrzeć na śpiącego Beau. Przyjemnie było mieć za jedynych towarzyszy ogień na kominku i cichy oddech mężczyzny. Błądziła myślami bez celu, jak kiedyś dawno w dzieciństwie. Skulona w wielkim fotelu, wspominała rzeczy, jakie nie przychodziły jej do głowy już od lat. Na przykład ojciec, który unosi ją wysoko w górę i mówi, by złapała dla niego chmurę.

I babka, jak siedzi w tym samym fotelu i czyta jej książkę Roberta Louisa Stevensona, podczas gdy ona, spogląda w ogień i dostrzega w rozżarzonych węglach pirackie statki i ukryte złoto.

Później za oknem rozgrywała się wichura. Ranny zaczął się rzucać i jęczeć. Gdy Mary wyciągnęła dłoń i położyła mu na czole, uśmiechnął się i wziął od niej bez słowa tabletki. Wypił szklanekę wody, po czym z miejsca zasnął.

Potem już się nie ruszał. Do drzwi zaskrobał pies i wpuściła go. Nie

zwrócił uwagi na mężczyznę, tylko zwinął się w kłębek u jej stóp. Mary spoglądała w ogień. Ogarnął ją spokój. Płomienie lizały leniwie rozpalone bryły torfu. Rytm jej oddechu współgrał z miarowym ruchem koca, pod którym leżał Beau. Zasnęła uśmiechnięta.

Beau wiedział, że śni, gdyż żadna z sytuacji, które przeżył, nie miała najmniejszego sensu. Pragnął się obudzić, ponieważ pulsowało mu z bólu w głowie. Znajdował się w małej, zamkniętej przestrzeni i nagle stwierdził, że widzi tylko niebo. A potem zobaczył piękną kobietę o ciemno-rudych włosach i błękitnych jak niebo oczach. Patrzyła na niego z góry i uśmiechała się. Dosłyszał jakiś świergot i od razu wiedział, że musi schwytać małpkę. Dlaczego małpkę? Lekarz o wyglądzie świętego Mikołaja dawał pięknej kobiecie instrukcje, Beau jednak nie mógł zrozumieć jego słów. Potem z jakiegoś powodu znów znalazł się w hotelu, tyle że nie mógł odszukać kontaktu, a pokojówka proponowała mu herbatę.

Poczuł pragnienie. Przebudził się siłą woli i sięgnął po szklanę. Gospodyni, ścieląc mu przed nocą łóżko, zawsze zostawiała dzbanek z zimną wodą. Podniósł się wolno i stwierdził, że to nie jego sypialnia. A to, na czym leżał, było zbyt wąskie jak na jego łóżko. Spojrzał w górę i zamiast znajomego baldachimu zobaczył niski sufit. Na surowym tynku migotały cienie. Był oszołomiony i zdezorientowany. Usłyszał ciche westchnienie i spojrzął w stronę tłącego się ognia. U stóp fotela leżał zwinięty w kłębek pies. Pomyślał, że nadal śni. Skąd tutaj ta rudowłosa kobieta? Spała skulona, niczym kot. Migotliwe płomienie tańczyły na jej twarzy, niezwykle białej przy pełnych barwy i blasku ognia włosach.

Rozdział dziesiąty

Wszyscy wracali razem. Szli jakieś trzy kilometry brzegiem morza. Grupa powiększała się, w miarę jak spotykali nowych ludzi. Nim Les dostrzegł wieże kościoła, wystrzelające w niebo ponad szarą linią odległych domów, grupa zamieniła się w tłum. Ludzie szli teraz ślimaczym tempem i przystawali często, by wymieniać w podnieceniu uwagi. W tłumie biegały psy i dzieci, a konie, wozy i rowery blokowały drogę.

Największą atrakcją stanowił Tojo, któremu powszechne zainteresowanie wyraźnie sprawiało przyjemność. Dzieci piszczwały z radości, gdy przeskakiwał z ramienia na ramię, gaworząc przy tym i ściągając ludziom kapelusze z głów. Wszystko to przypominało jakieś święto, połączone z występami cyrkowymi.

Ruth u boku Lesa zadawała różne pytania i pokazywała rzeczy godne według niej uwagi. Wyjaśniła, że władzę sprawuje tu Pat Coughlan z „gardai”, co w Irlandii oznacza policję. Wydawało się, że dobrowolnie przyjęła rolę osobistej przewodniczki lotnika. Opowiedziała, że na drodze nie widać żadnych samochodów, gdyż benzyna jest reglamentowana, że przed wiekami, gdy w Clonakilty wyrabiano płótno, ujście rzeki było wielkim portem, że nazwa miasta oznacza po irlandzku „kamień z kilty” czy też „kamień z lasu”, a ona sama ma szesnaście lat i pracuje w miejscowym hotelu.

Les uśmiechał się uprzejmie, lecz cały czas szukał wzrokiem Imeldy, która podążała w milczeniu za Ruth. Dotarli do miasta i zginęła mu w tłumie.

Szli teraz stromą uliczką z jednopiętrowymi szarymi domami po obu stronach. Niektóre były bardzo wąskie, lecz z ich wnętrza wynurzało się zadziwiająco dużo mieszkańców.

Celem wędrowki okazał się duży kwadratowy budynek, służący za posterunek policji i miejscowe więzienie. Do środka wpuszczono tylko Barry’ego Kingstona i załogę samolotu. Pat Coughlan zdołał jakoś zamknąć za nimi drzwi.

Spisali nazwiska i szef policji był wyraźnie w kłopotcie. Nie bardzo wiedział, co robić dalej. Barry Kingston wciąż twierdził, że najlepiej będzie, jak Amerykanie odlecą, lecz Pat Coughlan uważał, że należy zadzwonić do Cork po instrukcje. Jego przełożony wyjechał na parę dni z oficerem okręgowym, który stanowił w mieście władzę wojskową.

– Inspektor i porucznik Dinneen wrócą najwcześniej jutro wieczorem – rzekł policjant w zamyśleniu. – Pod ich nieobecność należałoby się skontaktować z Collinsem Barracksem w Cork.

– Pewnie, że tak. Ale nie ma pośpiechu. W każdym razie nie możesz ich tam trzymać – odparł Barry Kingston, wskazując dwie małe cele w głębi pomieszczenia. – Poza tym umieramy wszyscy z głodu. Już dawno minęła pora

obiadu. Lepiej zabierz ich do hotelu. Mogą tam czekać tak samo jak tutaj, tyle że przy dobrym jedzeniu i na przyzwoitych łóżkach.

Pat Coughlan właśnie rozważał tę propozycję, gdy drzwi otworzyły się gwałtownie i wkroczył wysoki mężczyzna z czupryną siwych włosów. Za nim ukazali się Matt i Wódz. Les rozpoznał doktora i przypomniał sobie Beau. Zastanawiał się, co się z nim dzieje. Ignorując policjanta, doktor podszedł do Charliego Hansena.

– Pański człowiek ma paskudnego guza na głowie, ale jak się zorientowałem, nie odniósł poważniejszych obrażeń. Mimo to uważam, że najlepiej pozostawić go na jeden dzień tam, gdzie się teraz znajduje. Głowy nie są od tego, by je obijać jak *sliotar* – to taka piłka, jakiej używamy do gry w hurlinga. Choć przypuszczam, że nie słyszeliście o niej w Ameryce.

Charlie Hansen uściskał serdecznie dłoń lekarza.

– Dziękuję za pomoc, doktorze. To prawdziwa ulga wiedzieć, że sierżantowi St Soucis nie dolega nic poważnego.

– Zgadza się. Co robimy, Pat? – Zwrócił się doktor do policjanta.

– Właśnie mówiliśmy, jak dobrze dają jeść u O'Donovana – wtrącił Barry Kingston.

– Świetny pomysł – stwierdził doktor. – Nie wspominając o drinkach – dodał, odwracając się do lotników, którzy stali pod ścianą. – Nie wiem jak wy, chłopaki, ale ja mam ochotę na piwo.

– Pobiegnę i powiem, żeby przygotowali wszystko, dobra? – spytał Barry Kingston. Pat Coughlan wciąż miał wątpliwości, skinął jednak szybko głową i mrugnął. Barry zniknął za drzwiami.

– Dobrze byłoby coś zjeść – przyznał Charlie Hansen, uśmiechając się swym amerykańskim uśmiechem. – Nie mieliśmy nic w ustach od wczesnego ranka.

– A więc załatwione. – Doktor poklepał policjanta żartobliwie po plecach. – No dalej, Pat. Ty też musisz być głodny. Źle ci się myśli o pustym żołądku, co?

Coughlan musiał przyznać, że dobry doktor ma rację. Ruszyli gęsiego w dół ulicy. W hotelu czekało już na nich pół miasta.

Les wpatrywał się wygłodniałym wzrokiem w swój parujący talerz. Piętrzył się na nim stos ziemniaków i, sądząc po wyglądzie, kapusta z bekonem. Ta dziewczyna nałożyła mu wbrew jego protestom górę jedzenia. Musiał jednak przyznać, że umiera z głodu, podobnie jak reszta załogi. Jedzenie pachniało i smakowało wspaniale. Rzadko się odzywali w czasie posiłku. Nawet Matt, który nigdy nie przegapił okazji, by zachwalać wszystkim zalety włoskiej kuchni, pochłaniał w milczeniu zawartość swojego talerza.

Lesowi smakowało to jak pierwsze prawdziwie domowe jedzenie od

wielu miesięcy. Jak porządne, przygotowane przez matkę w Wisconsin, niemieckie danie. Zastanawiał się, co słyhać w domu. Martwiło go, że rodzice nie mają pojęcia, gdzie teraz jest. Nigdy by nie zgadli, że siedzi sobie w restauracji jakiegoś hotelu w Irlandii. Choć pomieszczenie było pełne ludzi, czuł się zagubiony i trochę samotny.

Hansen wdał się w głęboką dyskusję z grupą mężczyzn po drugiej stronie sali. Z zachowania pilota Les wywnioskował, że niczego jeszcze nie ustalono.

Po chwili nadeszła Ruth z tacą.

– Dołożę ci trochę bekonu do ziemniaków – zaproponowała, nie czekając na odpowiedź.

– Nie, dziękuję. Mam już dość – jękał się Les.

– Daj spokój! Taki postawny facet? – zdziwiła się, ignorując całkowicie jego protesty. – Dołożę ci jeszcze trochę kapusty – dodała i nałożyła mu kopiasty talerz.

– Spodobałeś jej się, mały – zauważył Matt, gdy dziewczyna oddaliła się.

– Uważaj. Mógłbym ci opowiedzieć różne historie o irlandzkich kobietach, które łamią mężczyznom serca.

– Daj spokój – prosił zakłopotany Les.

– Co z tobą, chłopie? – trącił go tamten. – Nie uważasz, że jest ładna?

– Nie tak jak ta druga – odparł Les, nim zdążył ugryźć się w język.

– Która? – spytał zaintrygowany Matt.

– Dziewczyna z koniem. Ta, którą spotkaliśmy najpierw. – Les rozchmurzył się na samą myśl o Imeldzie, o jej płonących oczach i warkoczu szarpanym przez wiatr. – To najładniejsza dziewczyna, jaką widziałem. Na imię ma Imelda – dodał.

– A to jej brat – wtrącił Wódz, wskazując głową chłopaka, który stał w drzwiach. Les rozpoznał w nim obdartego dzieciaka z mokradeł.

– Jesteś pewien? – spytał zniżając głos.

– Tak. Ma na imię Tommy – wyjaśnił Wódz.

Les spojrzał we wskazanym kierunku. Chłopak kiwnął głową, ale zawahał się, gdy Wódz go przywołał.

– Chodź tu i przysiądź się do nas – zachęcił Indianin, gdy Tommy zbliżył się do ich stolika.

Na widok talerzy z jedzeniem chłopakowi błysnęły oczy.

– Jesteś Tommy, tak? – Matt przysunął mu krzesło. – Pamiętasz mnie i Wodza? A to Les Wagner. Nasz najlepszy strzelec.

– Nie mieliśmy jeszcze okazji podziękować ci za pomoc – powiedział Wódz.

– Nic takiego – wymamrotał chłopak, przysiadając się do nich.

– Ależ, nie – zaprzeczył Matt. – Byłeś wspaniały. Bez ciebie nie dalibyśmy rady przewieźć Beau na tamtą farmę.

Tommy promieniał z dumy, ale wzrok wciąż miał spuszczone.

– Głodny jesteś, dzieciaku? – spytał Wódz.

– Dziękuję nie chce mi się jeść – odparł chłopak pośpiesznie.

– Daj spokój. Założę się, że przepadł ci lunch, a jest już pora obiadu. Na pewno umierasz z głodu.

Tom roześmiał się i potrząsnął głową.

– Co cię tak bawi, mały?

– W Irlandii jest już dawno po obiedzie, a teraz pora na podwieczorek – wyjaśnił.

– Nieważne – odparł Matt, przysuwając mu pełny talerz Lesa. – Jedz. To wszystko, co zwykle mówiła mi matka, jak byłem mały. Jedz! *Mangea, Mateo!*

Tommy nie dał się dłużej prosić i zabrał się łapczywie do jedzenia. Matt wstał i poklepał go po plecach.

– Idziemy z Wodzem sprawdzić, co się narodziło u Charliego Hansena. To nasz pilot. A ty siedź tu z Lesem i postaraj się ogołocić ten talerz, zanim wrócimy.

Les przyglądał się, jak Tommy metodycznie pochłania masę jedzenia. Zastanawiał się, czy wypada tak od razu spytać o siostrę. Tommy dostrzegł jego spojrzenie i uśmiechnął się.

– To wspaniałe – zauważył, unosząc widelec z jedzeniem i machając na Lesa. – Pan naprawdę jest strzelcem?

– Pewnie – odparł Les.

– Nigdy przedtem nie widziałem samolotu – dodał chłopak, zajadając szybko. Co jakiś czas rozglądał się ukradkiem po sali, jakby w obawie, że ktoś go przyłapie.

– Tam, skąd pochodzę, też nie ma wiele samolotów – stwierdził Les. – Prawdę mówiąc, pierwszy samolot zobaczyłem, jak skończyłem szkolenie podstawowe i poszedłem na kurs strzelecki.

– Jak to jest być strzelcem? – spytał Tommy. Jadł tak szybko, że zdążył już pochłonąć prawie połowę tego, co miał na talerzu.

– Wspaniale. Siedzę w wieżycy za kabiną. To ta na dachu samolotu – wyjaśnił Les, zastanawiając się cały czas, jak skierować rozmowę na temat Imeldy. – Stoisz na półce, z głową i ramionami w chmurach. Czujesz się tak, jakbyś mógł wszędzie sięgnąć wzrokiem.

– To musi być wspaniałe. Tylko pan jest strzelcem? – spytał Tom. Z uśmiechem zadowolenia odsunął talerz i oparł się o krzesło. – Dobrze było.

– Nie. Jest jeszcze jeden na dziobie i jeden na ogonie. I dwóch w pasie – tak nazywamy środek samolotu.

– Ile pan ma lat? Wygląda pan na młodego gościa.

– Osiemnaście. A ty? – spytał Les, z ulgą przyjmując zmianę tematu. Pomyślał, że może uda się spytać Tommy'ego o wiek jego siostry.

– Siedemnaście.

– Tyle miałem, jak się zaciągnąłem.

Niepotrzebnie to mówiłem, pomyślał natychmiast. Jeśli nie będzie uważał, znów powróci temat samolotów.

– Chciałbym latać. Słodki Jezu, jeszcze jak – rzekł Tommy z nieklamana tęsknotą.

– Mieszkasz tu? – spytał szybko Les.

– Nie. Jesteśmy wędrowcami, druciarzami – wyjaśnił Tommy. Spojrzał w stronę drzwi i wyprostował się na krześle. Do sali weszła pulchna dama. Les zdążył ją już poznać. Panna Aileen O'Donovan, z O'Donovanów, którzy byli właścicielami hotelu, zaczęła obchodzić salę, witając się z członkami załogi.

– Wędrowcy? Druciarze? – powtórzył Les, nie rozumiejąc.

– Mieszkamy w wozach lub namiotach – wyjaśnił pośpiesznie Tommy. – Całymi rodzinami. Śpimy w polu. Niekiedy zatrzymujemy się na jakiś czas w mieście, ale potem ruszamy dalej. Później wracamy. Tak u nas jest.

Les przytaknął, ale nie całkiem zrozumiał. Imelda mieszka w wozie? Dziwne. Jest Cyganką? Z jakiegoś powodu dodało jej to tylko uroku.

– Muszę iść – stwierdził nagle Tommy. Wstał i wyciągnął do Lesa dłoń. Nie spuszczał oka z kobiety, która zatrzymała się przy innym stoliku, by porozmawiać. – Dzięki za wyzerkę. Może dałby pan radę pokazać mi samolot, jeśli zostaniecie tu jakiś czas?

– Pewnie. Spytam pilota. Mógłbym cię zabrać i pokazać wszystko – powiedział Les, próbując zyskać na czasie. Zaczęło mu walić serce. Nie może pozwolić tak mu odejść.

– Fajnie. No to do zobaczenia – rzekł Tommy.

– Może uda mi się zabrać cię tam jutro – wypalił Les. – I przyprowadź ze sobą siostrę – dodał niezręcznie.

– Siostrę? – Tommy przystanął i odwrócił się.

– Tak, Imeldę.

Chłopak wybuchnął śmiechem, jakby usłyszał coś zabawnego.

– A czego Imelda miałaby szukać w samolocie? – spytał, chichocząc. Gdy panna O'Donovan znalazła się w pobliżu, mrugnął do Lesa i czmychnął na ulicę.

Les czuł się jak idiota. Gdy Matt i Wódz wrócili do stolika, próbował udawać obojętność. W końcu i tak wyniosą się stąd za parę dni. Po co mu znajomość z jakąś dziewczyną, skoro mają ważniejsze rzeczy na głowie? Jak chociażby dotarcie do Anglii i udział w wojnie.

– Coś taki skwaszony, mały? – zapytał Matt, siadając na swoim miejscu. – Jej brat posłał cię do diabła?

Les potrząsnął głową.

– No to w czym rzecz? – spytał Matt bez szczególnego zainteresowania.

Dziewczyny zbierały talerze i na stołach pojawiły się półmiski z szarlotką i dzbanki z sosem waniliowym. Les nie był w stanie zjeść nawet jednego kawałka. Odsunął talerz z deserem, gdy tylko dziewczyny zniknęły.

– Zdaje się, że osiągnęli chwilowe porozumienie. Nie będą na razie wzywać wojska. Przynajmniej do jutra – wyjaśnił Wódz nad swoim ciastem. – Zdecydowali, że zostajemy tu na noc. Możemy poruszać się swobodnie w granicach miasta, dopóki będzie nam towarzyszył jeden z nich. To obszar w promieniu mniej więcej pięciu, sześciu kilometrów. Ten facet, Barry Kingston, załatwił, że nasze rzeczy zostaną przyniesione z samolotu – ciągnął. – Wyślą także Obronę Cywilną – to coś w rodzaju angielskiej Home Guard – do pilnowania naszej maszyny.

– Dadzą nam paliwo, żebyśmy mogli polecieć? – spytał Les.

– Nie wiem, dzieciaku – odparł Matt z powątpiewaniem. – I nie sędzę, by ktokolwiek wiedział.

– Ale dlaczego? Nie łatwiej byłoby dać nam trochę benzyny i pozwolić wystartować?

– To nie takie proste – tłumaczył cierpliwie Wódz. – Irlandia to neutralny kraj. Nie pomaga ani jednej, ani drugiej stronie.

– Ale przecież to głupie – rzekł Les.

– I co gorsza, benzyna jest tu na kartki – ciągnął Wódz. – Tylko armia i kilku cywili wykonujących ważne zadania trochę jej dostaje.

– To głupie – upierał się ze złością Les.

– Głupie czy nie, miejmy nadzieję, że Charlie Hansen pogada jak trzeba i jakoś nas stąd wyciągnie. Albo spędzimy tu resztę wojny – powiedział Matt i spojrzał w stronę stolika, gdzie siedział ich pilot. Ludzie wkolo skończyli już jeść i zaczęli powoli wstawać z krzeseł. Gdy i oni się podnieśli, podeszła panna O'Donovan i uścisnęła im serdecznie dłonie.

– Mam nadzieję, że wszystko panom smakowało – powiedziała.

– To bez wątpienia najlepszy posiłek, jaki spożyliśmy od miesięcy – stwierdził kurtuazyjnie Wódz. – Bardzo dziękujemy za uprzejmość.

– Nie ma za co – odparła, a jej uróżowane policzki pokryły się jeszcze głębszym rumieńcem. – Nie co dzień mamy gości, którzy spadli wprost z nieba. Choć muszę przyznać, że napędziliście nam strachu.

– Wynagrodzimy wam to – stwierdził Matt z czarującym uśmiechem. – Dowództwo Korpusu Powietrznego byłoby niezadowolone, gdyby się dowiedziało, że wystraszyliśmy piękne damy w Irlandii.

Panna O'Donovan zachichotała z zadowoleniem.

– Mam nadzieję, że ten chłopiec nie zawracał wam zbyt głowy – zwróciła się do Lesa.

– Wręcz przeciwnie – wtrącił Wódz. – Dziękowaliśmy mu. Pomógł nam przy rannym towarzyszu.

– Doktor Moloney powiedział, że ten człowiek nie odniósł poważniejszych obrażeń, Bogu niech będą dzięki – powiedziała panna O'Donovan. – Znałam ojca tego chłopca – dodała. – Był uczciwym człowiekiem, znałam też matkę, błogosław Panie jej duszę, była dobrą kobietą. Ale z nimi nigdy nic nie wiadomo. Mimo wszystko to tragedia, gdy odchodzą rodzice, a dzieci są takie małe.

Les zanotował sobie nową informację na temat Imeldy. Barry Kingston obwieścił, że wszyscy wracają do baru. Matt zaofiarował pannie O'Donovan ramię i przyjęła je z taką miną, jakby zaprosił ją do walca. Lesowi waliło serce. Imelda jest Cyganką i sierotą, w dodatku mieszka w wozie! Wydała mu się postacią z bajek jego dzieciństwa. Wódz trącił go łokciem, wyrywając z zamyślenia, i skierował do baru wraz z innymi.

Sala jadalna była pełna, a bar okazał się zatłoczony. Ludzie siedzieli ściśnięci na każdym miejscu i w każdy możliwym kącie. W pełnym podniecenia gwarze biegały roześmiane dzieci, a ich matki siedziały skromnie pod ścianą. Od czasu do czasu któraś chwytiała swą pociechę i próbowała uspokoić. Bar oblegał potrójny rząd mężczyzn i stojący przy kontuarze podawali piwo ponad głowami tłumu stojącym dalej.

Charlie Hansen stał z Patem Coughlanem i doktorem Moloneyem. Pojawili się pozostali lotnicy i w sali zapanowała cisza, po czym nastąpił wybuch spontanicznej radości. Zrobiono im miejsce przy kontuarze, na którym stało rzędem dziesięć szklanek ciemnego piwa. Napełnione w jednej trzeciej czekały na dolewkę.

Gdy Matt kroczył pod rękę z panną O'Donovan, poklepało go po plecach z tuzin mężczyzn, drugie tyle uścisnęło mu dłoń. Wrzawa była taka, że ledwie słyszał, co do niego mówią. Nachylały się ku niemu ożywione twarze, ludzie potrząsali energicznie jego ręką, po czym cofali się, by ustąpić miejsca innym. Docierały do niego imiona, których nie był w stanie spamiętać. Co chwila widział przed sobą inną parę jasnych oczu. Wielu mówiło mu o swych rodzinach w Stanach, usłyszał też nazwy kilku miejscowości. Wreszcie zdołał przecisnąć się przez tłum i stanął obok doktora Moloneya.

– Witam – powiedział mężczyzna, który odsunął się na bok, by zrobić mu miejsce. Miał czuprynę kręconych włosów, a jego błyszczące oczy zdawały śmiać się z jakiegoś tylko jemu znanego żartu. – Jestem Con O'Leary. Widzę, że już zorientowaliście się, jak jest w tym mieście. Wybrałeś dla siebie najlepszy kąsek. Mówię ci, niejeden czeka całymi latami, by przespacerować się pod rękę z Aileen O'Donovan.

– Con, ty stary diable – skarciła go dobrodusznie panna O'Donovan, Matt zaś wybuchnął śmiechem. – Nie zwracaj na niego uwagi.

– Musisz chyba być tym Włochem – zauważył Con O'Leary, podczas gdy barman brał po kolei każdą szklankę i napełniał, a potem stawiał na kontuarze,

kiwając przy tym głową w stronę Amerykanów.

– Jak się zorientowałeś? – spytał zaintrygowany Matt.

– W małym miasteczku wieści szybko się rozchodzą. Poza tym znam się raczej na twarzach. Zdaje się, że macie jeszcze w załodze Irlandczyka o nazwisku O’Mahoney – musi pochodzić z tych stron – i Indianina – zachichotał Con O’Leary, przyglądając się szklankom. – Z pewnością nie jesteś Irlandczykiem. Masz ciemną cerę, a ten wasz człowiek, o tam, musi być Indianinem. Więc wychodzi na to, że jesteś Włochem.

Szklanki połyskiwały jak lakierowana skóra. Ponad ich brzegiem pyszniła się gęsta, kremowa piana. Mimo to nikt nie wyciągnął po nie ręki. Con zauważył, że Matt rozgląda się wokół.

– Jeszcze chwilę – wyjaśnił. – Musisz poczekać, aż osiadzie. Na pierwszy rzut oka jest prawie dobre.

Jak na zawołanie, Barry Kingston wzniosł szklankę i zachęcił innych, by zrobili to samo. Matt skosztował ostrożnie. Swego czasu próbował wielu trunków, ale tym razem pił coś zupełnie nowego. Piwo miało nieokreślony, lekko gorzki smak, lecz trudno powiedzieć, by mu nie smakowało.

– Niezłe – stwierdził.

– Drugi łyk jest znacznie łatwiejszy – uśmiechnął się Con O’Leary. Wziął potężny haust i oblizwał wargi, nad którymi pojawił się mokry wąs. Matt zrobił to samo i musiał przyznać, że naprawdę poszło mu gładko. Barman ustawiał kolejny rząd, tym razem nieco mniejszych szklanek. Wyciągnął dwie butelki whisky.

– Stawia firma – oznajmiła uroczyście panna O’Donovan, dając znak barmanowi.

– To dopiero rzadkość – szepnął Mattowi do ucha Con O’Leary. – Większa nawet niż widok amerykańskiego bombowca, niemal ścinającego wieżę kościoła w Clonakilty!

Szklanki zostały wymienione, nim ktokolwiek zdążył je opróżnić, i niebawem na kontuarze stanął nowy rząd piwa i whisky. Matt przeszedł po sali i sprawdził, co z resztą załogi. Każdego otaczała grupa mężczyzn. Wódz ze szklanką w dłoni rozmawiał z doktorem Moloneyem, a Les, z Tojo na ramieniu, siedział w towarzystwie Ruth.

Charlie Hansen rzadko pociągał ze swojej szklanki i Matt pomyślał, że dowódca chce zachować trzeźwość. Pilot i Barry Kingston trzymali się blisko Pata Coughlana, którego twarde rysy wygładziły się nieco, a policzki zarumieniły od drinków, które mu bez przerwy nalewano.

Hałas wzmógł się jeszcze bardziej, po czym przygasł w pewnej chwili. Człowiek siedzący w kącie obok kominka wyciągnął ze starego, odrapanego futerału skrzypce i zaczął je stroić. Po kilku próbnych akordach uderzył w skoczny ton. Muzyka była dzika i szybka. Matt nie mógł się powstrzymać od

wybijania stopą rytmu. Tojo też się spodobało i ku powszechnej radości zaczął podskakiwać w takt melodii.

– Popatrzcie tylko! – zawołała rozpromieniona panna O’Donovan. – Ten mały gość tańczy!

Zacząła przytupywać i klaskać, a małpka naśladowała ją wiernie. Na środku sali zrobiono miejsce i Tojo wbiegł niczym prawdziwa gwiazda w krąg utworzony przez ludzi. Poruszał się w takt muzyki, wywijał fikołki i skakał wysoko w górę. Sala zatrzęsała się od śmiechu. Nawet Pat Coughlan trzymał się za brzuch. Gdy muzyka ucichła znenacka, Tojo podskoczył, zdjął z głowy skrzypka kapelusza, i zaczął obchodzić ludzi, domagając się zapłaty.

– Kupiłem go od pewnego faceta na ulicy w Dakarze – wyjaśnił Matt. – Ale nie miałem pojęcia, że jest taki zdolny.

– Powiedziałbym też, że i przydatny. Nigdy przy nim nie będziesz głodny – roześmiał się Con O’Leary, gdy Tojo podszedł i wręczył Mattowi czapkę. – Szło na kontuar, Tony! Małpa stawia! – krzyknął do barmana.

Unieśli szklanki za zdrowie Tojo. Małpka znów wyczuła okazję do popisów i wywineła kilka fikołków. Skrzypek miał już zagrać następną melodię, kiedy Barry Kingston podniósł szklankę.

– Cicho! Nie gadać teraz! – przebiegło po sali. Z wycuciem efektu dramatycznego Barry Kingston stał z uniesioną do góry szklanką i czekał, aż sala się uspokoi. Kiedy już stwierdził z zadowoleniem, że wszyscy skupili na nim uwagę, odezwał się swym donośnym głosem:

– Panie i panowie, oto wielki dzień w historii naszego miasta. Mogę w każdym razie powiedzieć, że to wielki dzień w historii mojego życia – omal nie dostałem ataku serca, gdy spojrzałem w górę i zobaczyłem tuż nad głową ten wielki samolot. I wiem, że nie ja jeden zgłupiałem ze strachu. Wedle wszelkich relacji, obecna tu panna Aileen O’Donovan była święcie przekonana, że to trzęsienie ziemi!

Zebrani wybuchnęli śmiechem.

– I nic dziwnego – ciągnął już poważniej Barry Kingston. – Nic dziwnego. Kto bowiem wiedział, co nas czeka, gdy otwartą się drzwi tego zielonego giganta? Ja na pewno nie miałem pojęcia, czy ten młody człowiek, który zeskoczył na ziemię z rewolwerem gotowym do strzału, to wróg czy przyjaciel. A był tak samo niepewny jak ja. – Barry Kingston zamilkł dla większego efektu. Nie zawiódł się na zebranych. Wsłuchiwali się z napięciem w każde jego słowo. Wskazał na Lesa, który pod dumnym spojrzeniem Ruth śledził z uwagą jego przemówienie. – Nie miałem pojęcia, że ten młody człowiek to Les Wagner z Wisconsin. I jak sam przyznał, byli święcie przekonani, że wylądowali we wrogim kraju. Też nie wiedzieli, co ich czeka. Wiedzieli tylko, że stawką jest ich życie.

Les zaczerwienił się, słuchając dramatycznej relacji, a Ruth zdawała się

nią całkowicie pochłonięta. Nachyliła się i szybko ścisnęła mu dłoń.

– Naprawdę cię spytał, czy mówisz po angielsku? – krzyknął skrzypek.

– Zgadza się – odparł Barry Kingston. – I spytał mnie, gdzie wylądowali.

A ja mu rzekłem: „Jesteście na mokradłach Paddy’ego White’a!”

Sala znów zatrzęsała się od serdecznego śmiechu.

– Jaka to była ulga przekonać się, że to przyjaciele. Chciałbym więc skorzystać z tej sposobności i powitać w Clonakilty załogę amerykańskiego bombowca. Jesteście wśród przyjaciół. Więcej niż przyjaciół, prawdę powiedziawszy.

Rozległy się brawa. Barry Kingston uciszył je i znów zrobił pauzę. Matt zauważył, że Charlie Hansen prostuje się i słucha uważnie, jakby wyczuwał, że zaraz zostanie powiedziane coś ważnego.

– Tak, nie jesteście tylko pośród przyjaciół, tu, w Clonakilty, jesteście w rodzinie. Kto z nas bowiem nie ma krewnego, który przepłynął niegdyś ocean, by szukać w Ameryce lepszego życia? Któż nie ma tam brata, syna, kuzyna czy też siostrzeńca? Witamy was jako naszych ziomków – wszak jest wśród was człowiek, który zwie się O’Mahoney? Niech mnie diabli, jeśli to nie nazwisko z Cork! Przez salę przebiegł szmer aprobaty. Barry dał znak Charliemu Hansenowi, by stanął obok niego.

– W imieniu ludzi z Clonakilty chcę ciebie i twoją załogę powitać w Irlandii. Wasza wizyta zostanie zapisana w historii naszego miasta jako jedno z najważniejszych wydarzeń. Nie mam wątpliwości, że nawet za pięćdziesiąt lat będziemy was pamiętać. I życzymy wam bezpiecznego powrotu do waszych domów. Niechaj nikt nigdy nie powie, że ludzie z Clonakilty nie zrobili wszystkiego, by wam dopomóc.

Dwaj mężczyźni wznieśli ku sobie szklanki i w sali rozległy się oklaski.

– Toast za naszych gości! Oby dotarli bezpiecznie do domu! – zawołał Barry Kingston. Bar zmienił się w las rąk. Wszyscy unieśli do góry szklanki, by wypić za zdrowie Amerykanów. Skrzypek znów zaczął grać, a Tojo skoczył do swojego tańca.

Charlie Hansen ścisnął wszystkim dłonie. Członków załogi bez przerwy poklepywano po plecach. Muzyka uderzała każdemu do głowy, wchodziła w krew i choć miejsca było niewiele, kilka osób przyłączyło się do Tojo. Mahoney znalazł się w kącie sali, gdzie przedstawiono go większej grupie.

– To wszystko O’Mahoneyowie z Ardfield – wyjaśnił Con O’Leary. – Biedak będzie musiał wysłuchać opowieści o tym, jak jest z każdym spokrewniony.

– Nie jest tak źle – zauważył Matt ze śmiechem. – Mogliśmy spędzać dzisiejszą noc w niemieckim więzieniu.

– Święta racja – przyznał Con O’Leary, potrząsając głową. Wyciągnął dłoń i ujął mocno rękę Matta. – Obyś powrócił bezpiecznie do domu. Z Bożą

pomocą.

– Wypijmy za to – odparł Matt i znów uniósł szklanę.

Rozdział jedenasty

Mary obudziła się nagle. Oślepiało ją słońce. Uniosła dłoń do oczu, po czuła w szyi straszny ból i przypomniała sobie, że spadła w czasie snu z fotela. Spojrzała na sofę i serce jej zamarło. Mężczyzna zniknął! Czyżby odszedł bez słowa pożegnania? Ścisnęło ją w dołku. Po chwili usłyszała gwizdanie. Dochodziło z kuchni. Wybiegła z pokoju, nie zakładając nawet butów.

i W progu stanęła jak wryta. Beau stał przy zlewie pod oknem i wycierał się energicznie. Odruchowo sięgnęła do włosów. Rozsypały się podczas snu i teraz próbowała rozpaczliwie je spiąć. Przeklinała w duchu niesforne sploty, gdy mężczyzna odwrócił się i przyłapał ją na gorącym uczynku. Uśmiechnął się promiennie i zapomniała natychmiast, jak głupio się czuje. Jednym ruchem założył koszulę, którą przyniosła mu poprzedniego wieczoru.

– Dzień dobry – powiedział. – Pozwoliłem sobie na małą toaletę. Wziąłem też koszulę. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu.

– Nie powinieneś wstawać, wiesz o tym – skarciła go. W promieniach słońca z okna za jego plecami wydawał jej się jeszcze przystojniejszy.

– Piękny dzień – zauważył.

– Doktor zakazał ci wstawać – powtórzyła. – Jak twoja głowa? Nie wygląda dobrze.

– Doktor był tu już i poszedł – wyjaśnił bardzo z siebie zadowolony. – Spałaś tak smacznie, że byłoby grzechem cię budzić. A z głową wszystko w porządku, dziękuję. Tylko tak wygląda.

– Doktor Moloney tu był? A ja spałam? – zaczerwieniła się Mary. – Co powiedział?

– Powiedział, że powinienem wstać z łóżka! – roześmiał się Beau i Mary mu zawtórowała.

– Widzę, że z ciebie trudny pacjent.

– Nie martw się. Będę potulny jak baranek. Doktor powiedział, że nic mi nie jest i żebym się dziś nie forsował. Wróci wieczorem. Uprzedziłem go, że mam talent do przemęczania się.

Zastanawiała się gorączkowo, co powinna teraz zrobić. Musi nastawić czajnik. I zakrzętnąć się przy śniadaniu. Nie, najpierw musi rozpałić ogień.

– A zupełnie poważnie, należą ci się przeprosiny – podjął Beau.

– Przeprosiny? – powtórzyła jak echo.

– Nie bardzo wiedziałem, gdzie jestem. Myślałem, że w jakimś hotelu – stwierdził z błakającym się w kąciku ust uśmiechem. – Wydawało mi się to logiczne. I obawiam się, że wziąłem cię zeszłej nocy za pokojówkę. Mam nadzieję, że cię nie obraziłem.

– Nic podobnego – stwierdziła oczarowana jego manierami. – I obiecuję

zrobić coś z tym nierównym łóżkiem.

– Jest mi naprawdę przykro – powiedział, zbliżając się do niej. – Teraz, przy dziennym świetle i kiedy mój umysł jaśniej pracuje, widzę, że nie sposób wziąć cię za pokojówkę. Proszę o wybaczenie. – Ujął jej dłoń i bardzo delikatnie obrócił. – Beauregard St Soucis do usług – strzelił obcasami i pochylił się. Musnął jej dłoń wargami i Mary poczuła na skórze jego oddech. – Na zawsze jestem twym dłużnikiem, madame. Za pomoc okazaną mi w godzinie potrzeby.

Mary zaśmiała się i cofnęła dłoń. Był bawidamkiem, ale jakże czarującym. Odsunęła się od niego. Najwyższy czas, by zabrać się za poranne obowiązki.

– Czy doktor powiedział, że możesz jeść?

– Nie przypominam sobie, ale mógłbym chyba połknąć konia z kopytami! Mary krzątała się po kuchni, zastanawiając się, co przyrządzić, by nie zajęło to zbyt wiele czasu i było godne jej gościa.

– Siadaj. Zaraz rozpalę ogień – powiedziała.

Rozbiła pogrzebaczem skawalone bryłki torfu. Węgłe z nocy żarzyły się jeszcze i w mgnieniu oka ogień podskoczył wesoło. Podniosła czarny żelazny czajnik i zorientowała się, że jest pusty. W pojemniku przy zlewie też nie było ani kropli. Beau musiał zużyć całą wodę.

– Muszę iść do studni – powiedziała.

– Strasznie mi przykro. Nie pomyślałem. Gapa ze mnie. Pomogę ci. Wziął drugi pojemnik i gdy dogonił ją w drzwiach, zauważyła, że utyka lekko.

– Zraniłeś się w nogę? – spytała, gdy szli przez podwórze.

– Nic poważnego. Mam lekko spuchniętą kostkę. Musiałem ją sobie skrócić, przy upadku.

– Co się stało? – spytała, wprawiając w ruch pompę. Po chwili trysnęła czysta, lodowato zimna woda. Podstawiła dłonie i obmyła sobie twarz. Woda kłuła, ale była wspaniała.

Czekała na jego odpowiedź, ale milczał. Patrzył na nią badawczo i Mary poczuła, że oblewa się lekkim rumieńcem.

– Jak upadłeś? – spytała ponownie.

Opowiedział jej o papudze i Tojo siusiającym na Russella. Opowiadanie było tak komiczne, że napelniając wiadra śmiała się razem z nim.

Beau odchylił się i patrzył, jak pompuje wodę. Kiedy pierwszy pojemnik był już pełen, podstawił drugi tak naturalnym gestem, jakby robił to przez całe życie. Mary zapomniała o bożym świecie, chłonąc każde jego słowo. Odgłos tryskającej wody mieszał się z kaskadą jej śmiechu. Nim pojemniki napelniły się do końca, miękka wymowa i swobodny sposób bycia mężczyzny wydały jej się niemal znajomy.

Beau, skończył swą opowieść i uniósł wzrok. Po raz pierwszy dostrzegł otaczający go krajobraz. Urwał w pół zdania i rozejrzał się wkoło. Pokuśtykał

do furtki i popatrzył w stronę ujścia rzeki. Przyплыw właśnie się cofał. Pod niewiarygodnie błękitnym niebem woda miała ciemną, turkusową barwę. Słońce świeciło jak w lipcu, zalewając piaszczyste wydmy oślepiającą bielą. Zielone wzgórza po drugiej stronie ujścia rzeki, pokryte maleńkimi, schludnymi kwadratami pól, skąpane były w złocie.

– Czy to morze? – spytał jakby siebie samego.

– Tak – odparła cicho, nie chcąc zakłócać nastroju tej chwili.

– Ale co to za ląd, o tam? – dopytywał się, zaintrygowany okolicą. – Jesteśmy na półwyspie?

– Na wyspie. Inchidoney w hrabstwie Cork.

– Wyspa! – zawołał. – Jakie to romantyczne. Rozbitek na wyspie!

– Prawdę mówiąc, nie jest to już wyspa. Mamy groble, które łączą nas ze stałym lądem. Wylądowaliście między nimi, na mokradłach. To właśnie tam morze wyschło.

Dostrzegła cień rozczarowania na jego twarzy. Wyglądał jak mały chłopiec, który nie dostał obiecane go smakołyku.

– Ale często nasz zalewa – pocieszyła go natychmiast. – Kiedy nadchodzi sztorm, jesteśmy odcięci od stałego lądu.

Beau z miejsca się rozchmurzył. Ku zaskoczeniu Mary przybrał teatralną pozę i wyrzucił w górę dłonie.

– *Dmij, wichrze, dmij, aż ci policzki pękną! Szum, katarakto ulewy, zatapiaj najwyższe wieże!* – wyrecytował. Potem odwrócił się i mrugnął do niej.

– Myślisz, że poskutkuje? To z *Króla Leara* Szekspira.

– Nie mam pojęcia – odparła ze śmiechem. – Ale w Irlandii nigdy nie czeka się długo na deszcz. Na razie zajmę się śniadaniem.

Nie pozwolił jej dźwigać wody, więc zostawiła to jemu, sama zaś zabrała się za gotowanie. Patelnia była już rozgrzana, więc szybko roztopiła na niej trochę masła i usmażyła dwa grube platy bekonu. Zamoczyła w tłuszczu parę kromek chleba, po czym wbiła na patelnię trzy jajka.

– Będziesz musiał poczekać na herbatę. Napij się teraz mleka – postawiła przed nim talerz.

– Nie będziesz mi towarzyszyć przy posiłku? – spytał, jakby zwracał się do wielkiej damy w eleganckiej restauracji. Mary uświadomiła sobie nagle, że wciąż jest bez butów.

– Poczekał na herbatę – odparła. – Mam jeszcze mnóstwo do roboty. Kiedy herbata się zaparzyła, nalała dla nich obojga, ale nie usiadła z nim przy stole. Czowała się niezręcznie, on zaś nie nalegał. Wyjęła wielką misę i zaczęła szykować ciasto na chleb.

– Co robisz? – spytał, nie przerywając jedzenia. Posiłał się szybkimi, eleganckimi ruchami. Żadnego siorbania czy głośnego przeżuwania, do których była przyzwyczajona.

– Piekę chleb – odparła, jakby stwierdzając coś oczywistego.

– A jak go pieczesz? – spytał.

Mary spojrzała na niego, by się przekonać, czy sobie z niej żartuje, ale wydawał się szczerze zaciekawiony. Początkowo z wahaniem, potem z coraz większą pewnością siebie odpowiadała na jego pytania. Był zafascynowany tym, że piecze chleb nad ogniem, podziwiał jej dzieżę i wprawę, z jaką kładła rozgrzane węgle na wieko, by chleb upiekł się równo.

– Moja babka słynęła z wprawnych dłoni – powiedziała Mary. – Nie dorównuję jej, ale moje wypieki też są niezłe.

– Jestem pewien, że są wspaniałe, tak jak śniadanie. – Beau wstał od stołu i klasnął w dłonie. – Co teraz robimy? – spytał, jakby szykował się do jakiejś wielkiej przygody.

– Powinieneś wypoczywać – zauważyła z dezaprobatą. Dziwny z niego diabeł, pomyślała i roześmiała się w duchu. Zeszłej nocy uważała go za anioła, a dziś nazywa go diabłem.

– Czuję się świetnie. No i na dworze jest pięknie – odparł pogodnie. – Byłoby grzechem przespać taki dzień.

– Będziesz płakał z nudów – ostrzegła, dostosowując się do jego tonu.

– Mama zawsze mówiła, że łatwo było mnie rozbawić – drażnił się z nią Beau.

– To brudna robota. I nie pachnie szczególnie.

– Spróbuję.

– Muszę wypuścić i nakarmić kury. Wybrać jajka, wydoić krowę i posprzątać oborę – wyliczała beznamiętnie. – Aha, jeszcze psy. Muszę zająć się psami.

– Wygląda ciekawie.

– Szybko się zniechęcisz – ostrzegła bardziej rozbawiona, niż chciała to okazać.

– Będę zachwycony – stwierdził radośnie, wiedząc, że postawił na swoim.

– Aha, zapomniałbym. Wpadł tu młody człowiek o imieniu Tommy i powiedział, że wyprowadzi psy trochę później.

– Tommy też tu był? Zaraz powiesz, że jak spałam, zjawili się tu całe miasto z orkiestrą dętą! – stwierdziła, gdy szli w stronę kurnika. Beau przez cały czas pytał o wszystko, co robiła.

– Jesteś od urodzenia taki zwariowany, czy to przez ten guz na głowie? – spytała, kiedy gonił po podwórzu za kurczakami.

– Och, od urodzenia – roześmiał się. – U nas w domu to normalne. Musiała przyznać, że jest najbardziej czarującym postrzeleńcem, jakiego w życiu spotkała. Myśl, że spędzi z nim dzień, sprawiała jej przyjemność. A jednak gdy towarzyszył jej w domowych zajęciach, czuła w sercu jakiś niepokój. Ale co jej właściwie szkodzi? On się doskonale bawi, ona zaś raduje

się pierwszym od wielu lat towarzystwem normalnego człowieka.

Mary wydoiła małą czarną krowę Kerry, po czym wyprowadziła ją na pastwisko niedaleko domu. Siedzieli tam we dwoje w słońcu i podziwiali krajobraz. Widzieli też na mokradłach samolot, a przy drodze grupę umundurowanych mężczyzn w rozmowie z jakimiś cywilami. Zastanawiał się, co sływać u kolegów z załogi, ale naprawdę niewiele go to obchodziło. Wiedział, że i tak zjawia się niebawem, by go stąd zabrać, a tymczasem czuł się świetnie. Przypominało mu to farmę na plantacji wuja, choć gospodarstwo Mary było znacznie mniejsze. Uwielbiał tam jeździć, kiedy był dzieckiem, ale już wtedy mieli kanalizację i elektryczność. A także armię pomocników i służących do pracy. Zerknął na siedzącą w słońcu kobietę. Nie mógł się nadziwić, jak daje sobie każdego dnia radę, w dodatku pewnie sama.

Odpowiadała na każde jego pytanie, a zadawał ich wiele. Wiedziała bardzo dużo o okolicy, jej przeszłości i mieszkańcach, i chętnie dzieliła się z nim wszystkimi szczegółami. Tylko o sobie mówiła półsłówkami. Beau, choć z natury ciekawski, nie naciskał. Kiedy odwiedził z ojcem Irlandię, zastanawiali go ludzie mieszkający w mijanych po drodze małych chatkach i na farmach. Teraz miał okazję dowiedzieć się czegoś. Często przychodziło mu do głowy, że urodził się za późno. Powinien być jednym z tych uczonych dżentelmenów, którzy podróżowali po świecie i spisywali swe spostrzeżenia. Nic dziwnego, że tak bardzo przypadły mu do gustu wędrówki minionego miesiąca. Myśl o powrocie do wyłożonego ciemnym mahoniem ojcowskiego biura nie była pociągająca.

Gdy wrócili na podwórze, Mary schwytała szybko kurczaka i jednym ruchem skrzyła mu kark. Beau pomyślał, że musi mieć bardzo silne dłonie. Przypomniał sobie, jak wcześniej ujął jej rękę. Była drobna i kobieca, wyczuł jednak na dłoni i palcach zgrubienia.

Choć nalegał, nie pozwoliła, by siedział i przyglądał się, jak skubie kurczaka. Odprawiła go do domu, by odpoczął. Musiał przyznać, że jest zmęczony.

Wędrował z powrotem do pokoju, w którym spał, rozglądając się po drodze. Kuchnia była urządzona bardzo skromnie, lecz ktoś zadał sobie odrobinę trudu, by ożywić nieco jej wnętrze. W pokoju, choć ściany pokrywał tak jak wszędzie surowy tynk, stała wielka pluszowa czerwona sofa, na której leżał, oraz kilka solidnych wiktoriańskich mebli. Stojący w kącie niewielki palisandrowy kredensik wypełniony był po brzegi chińską porcelaną. Wątpliwość, czy kiedykolwiek używano tych małych filiżanek i spodeczków nasunęła mu myśl o mieszkających w tym domu ludziach. Zastanawiała go zwłaszcza Mary. Uważał się za znawcę kobiet, lubił ich towarzystwo i wiedział, że umie oczarować zarówno młode, jak i starsze. Lecz Mary była inna.

Wydawała się piękna w jakiś nieposkromiony i przemożny sposób. Całkiem inna niż te mimozy, do których przywykł. Nikt nie określiłby jej mianem delikatnej, co w Luizjanie stanowiło wielki komplement. Była mocno zbudowaną kobietą o szerokich biodrach i obfitych, choć proporcjonalnych piersiach. Kilkakrotnie przyłapał się na tym, że ją obserwuje. Poruszała się naturalnie, bez cienia pretensji czy zalotności, jakby nieświadoma swego uroku. Odznaczała się urodą, która promieniowała z jej wnętrza. Dostrzegając ją zaskoczony, gdy wybuchła śmiechem, schylała się po coś lub siedziała zwyczajnie, chłonąc blask słońca. Gdy w jej oczach pojawiał się błysk, przybierały niezwykle szarzielony odcień. Pod tą jasną powłoką wyczuwał jednak jakiś cień i zastanawiał się, co to może być.

Mimochodem wspomniała, że jej mąż wyjechał i że niebawem wróci. Nie powiedziała już o nim ani o swej rodzinie nic więcej, co byłoby naturalne, lecz szybko zmieniła temat. Nie miało to dla niego znaczenia. Nie zamierzał uwieść tej kobiety o płomiennych włosach. Było w niej coś, co budziło jego szacunek. Może sposób, w jaki pompowała wodę. A może zwinny ruch, którym ukręciła kurczakowi głowę, zaśmiał się w duchu. Wiedział w każdym razie, że to nie złota obrączka na jej palcu go powstrzymuje. Twierdził nieodmiennie, że stanowi to raczej ułatwienie niż przeszkodę w uwiedzeniu pięknej kobiety.

Odruchowo otworzył stojące pod ścianą pianino. Przebiegł palcami po pożółkłych klawiszach z kości słoniowej i z przyjemnością stwierdził, że jest tylko nieznacznie rozstrojone. Doskonałe do honky tonk i raga – pomyślał.

Zaczął od ukochanych powolnych kawałków Scotta Joplina. Słyszał, jak Mary krząta się po kuchni. Pewnie niedługo tu przyjdzie – pomyślał, przechodząc na żywsze tempo. Skończył i zaczął kolejny kawałek, ale nadal docierał do niego brzęk garnków i patelni. Poczł lekki zawód, że jego gra zrobiła na niej tak nikłe wrażenie. Dopiero po dłuższej chwili, gdy od drzwi napłynął aromat jedzenia, Mary stanęła na progu. Przeszedł z miejsca na skoczną wersję *Czyż nie jest słodka?*, podśpiewując przy tym z wigorem.

– Nazywasz to wypoczynkiem? – popatrzyła na niego surowo, gdy wygrywał ostatnie akordy.

– Muzyka przynosi ukojenie tak duszy, jak i ciału – odparł, przebiegając jeszcze palcami po klawiaturze.

– Co to było, to co grałeś na początku? – spytała i usiadła na krześle obok pianina.

– A więc słuchałaś! – wykrzyknął uradowany. – To Scott Joplin. Bardzo utalentowany człowiek z Południa.

– Zagraj jeszcze raz – poprosiła.

Spełnił jej prośbę. Dobywając takty wolno i lekko, opowiadał jej o czarnoskórym człowieku, który je skomponował, a także o tym, że jego muzyka mówi więcej o Południu Stanów niż jakkolwiek inna. Opowiadał o

uchylających kapelusza dżentelmenach i pięknościach flirtujących zza swych parasolek podczas przechadzki eleganckimi ulicami Nowego Orleanu.

Mary zamknęła oczy. Miała wrażenie, że znalazła się w innym świecie. Nie miała pojęcia, jak wyglądają magnolie, ale czuła niemal ich zapach. – Siedziała w pokoju, z którego nigdy nie korzystała, i cieszyła się towarzystwem przystojnego mężczyzny, podczas gdy na ogniu grzał się obiad. Stanowiło to czystą przyjemność. Cały ranek poddawała się niewymuszonemu urokowi, jaki towarzyszył jego obecności. Gdy pracowała w kuchni wsłuchana w melodie, które wygrywał na pianinie, serce jej wypełniała radość. Nie poszła do niego od razu. Ociągała się, nie chcąc niszczyć nastroju tej chwili. Miała wrażenie, że pod wpływem panującej w domu swojskiej atmosfery cała jej istota odprężyła się z wolna.

Starła się zatrzymać w sobie owo doznanie, nie mogła jednak uciec przed chropowatą szarością, do jakiej przywykła. Wiedziała, że to tylko gra, która wkrótce się skończy. Gdy zaczął kolejną melodię, Mary ścisnęło się serce, jakby jej duszę owionął nagły powiew lodowatego, ostrego wiatru.

Rozdział dwunasty

Les wkroczył do baru. Nie zdołał jeszcze na dobre oprzytomnieć. Pomyślał, że herbata nie działa tak skutecznie jak mocna czarna kawa. Dostrzegł przy stoliku Matta i Tojo w towarzystwie tego samego gościa, co poprzedniego dnia. Ruth powiedziała mu, że kawa jest w Irlandii nie do zdobycia, i to za żadne skarby świata. Wzrok przyzwyczał mu się do panującego w sali półmroku i zobaczył, że w barze jest większość kolegów z załogi.

– Przyszedłem ostatni? – spytał.

– Prawie – odparł Matt. – Wódz wciąż chrapie na górze. Było z nim wczoraj naprawdę kiepsko.

– Trochę sobie z nim pogadałem – wtrącił mężczyzna siedzący obok Matta. – To mądry gość. Ma sporą wiedzę.

– Gdyby jeszcze wiedział, jak pić. Znów musiałem wnieść go na schody. Szczęście, że nie jest duży – roześmiał się Matt. – Pamiętasz Cona O’Leary?

– Podobało mi się twoje wykonanie *O my darling Clementine* – zwrócił się do Lesa Con.

Les zaczerwienił się.

– Ale zdaje się, że niedługo już będziemy mieli przyjemność cię słuchać – dodał Con. – Udało nam się zdobyć dla was trochę paliwa.

– Naprawdę? – spytał Les.

– Nie jest źle – odparł Matt.

– Wasi piloci siedzą teraz obok i dogadują się. – Con wskazał odgradzony ściankami od reszty baru narożnik. Za mleczną szybą widać było sylwetki kilku mężczyzn.

– Zdaje się, że nowa dostawa miała nadejść dzisiaj – stwierdził Matt. – Charlie ich przekonał, żeby nam trochę odstąpili.

– A co z tym policjantem? Nie był zachwycony pomysłem z benzyną – zauważył Les.

– Pat Coughlan też tam siedzi, ale mogą się założyć, że z takim kaczem za Boga nie przypomni sobie, na co się zgodził, a na co nie – zauważył Con O’Leary. Uniósł szklanekę w stronę barmana.

Po chwili barman przyniósł piwo i Les zauważył, że w szklance Cona został tylko jeden łyk, gdy postawiono przed nim następną.

– Umiesz zgrać to w czasie – przyznał.

– Trzeba wielu lat praktyki, żeby wiedzieć dokładnie, kiedy zamówić następną – odparł Con, dopijając piwo. Matt sięgnął po szklanekę, ale Con go powstrzymał. – Poczekaj, aż opadnie. Nie nauczyłeś się niczego zeszłej nocy?

– Skąd wiesz, kiedy można już pić? – zainteresował się Matt.

– Trzeba praktykować jeszcze dłużej – roześmiał się Con. – Poczekaj,

pokażę ci sztuczkę. Słuchaj teraz uważnie. – Wyjął z kieszeni monetę i postukał w krawędź szklanki. Wydała głuchy, pusty dźwięk. Con stukał dalej i Les słyszał wyraźnie, jak przy każdym uderzeniu w szkło dźwięk zmienia się odrobinę. – Teraz. Słyszysz, jak trunek śpiewa?

Przysunął ucho do szklanki. Les patrzył zdumiony. Przy każdym stuknięciu głuchy dźwięk przechodził w czyste dzwonienie.

– Pospiesz się – powiedział Con, podając szklankę Mattowi. – Inaczej stracisz tę cudowną czapę na górze.

Matt ujął szklankę, śmiejąc się. Też wziął monetę i postukał.

– Mogę ci powiedzieć, że to znacznie łatwiejsze u nas, w Nowym Jorku. Otwierasz zimną puszkę i wypijasz!

Mężczyźni z sąsiedniej salki wyszli i Charlie Hansen podszedł do ich stolika. Powiedział, że razem z drugim pilotem idą do składu paliwa, a reszta załogi ma wolne popołudnie. Mogą chodzić do woli w promieniu pięciu kilometrów, tylko ktoś musi im towarzyszyć. Każdemu z lotników został przydzielony członek Obrony Cywilnej.

Gdy lotnicy wyruszyli do składu paliw, rozległ się śpiew kościelnych dzwonów. Wszyscy w barze wstali z miejsc. Zaskoczeni Amerykanie popatrzyli wkoło i poszli za przykładem obecnych. Les nie bardzo wiedział, co robić, ale gdy odwrócił się do Matta, zobaczył, że ten stoi ze spuszczonego wzrokiem, trzymając przed sobą złożone dłonie. Wyglądał na pogrążonego w modlitwie. Po minucie dzwony umilkły i w barze znów zapanowała swobodna atmosfera.

– To był Anioł Pański, prawda? – spytał z zadowoleniem Matt. – Nie słyszałem tego od podstawówki. Moja matka go uwielbiała. A to mi o czymś przypomniało. – Wstał i dokończył piwo. – Hej, Mahoney! – zawołał przez całą salę. – Musimy zapalić świece, bo nasze matki nas zabijają! – Mahoney machnął lekceważąco ręką, ale Merdeza zbliżył się do nich.

– Mogę z tobą iść – zaproponował. – Ale musimy chyba poczekać na eskortę?

– Już jest – odparł Matt, wskazując trzech małych chłopców, którzy zaglądali do środka i podekscytowani pokazywali sobie Tojo. – Jak myślicie, chłopcy, możecie eskortować nas do kościoła i z powrotem?

Malcy przytaknęli z zapalem.

– A więc załatwione. – Matt zwrócił się do wyraźnie rozbawionego Cona O’Leary. – Jeśli ktokolwiek będzie o nas pytał, poszliśmy do kościoła eskortowani przez najlepszych wojaków w Clonakilty. Pod jakim jest wezwaniem? – spytał, puszczając chłopców przodem.

– Pani Niepokalanego Poczęcia – odparli zgodnym chórem.

– O rany – rzekł Matt ze śmiechem, gdy wychodzili na ulicę. – Moja matka będzie zachwycona!

– Czekać – rzucił za nimi Con, wstając z miejsca. – Pójdę z wami.

Czasem trzeba coś zrobić dla swej nieśmiertelnej duszy.

Les rozsiadł się wygodnie. Leniwie błędzące myśli przywiodły obraz Imeldy na wozie. Myślał o niej wieczorem, gdy odpływał w sen, i rano, gdy przytomny już przypomniał sobie, gdzie się znajduje. Doszedł do wniosku, że to poważna sprawa i zastanawiał się, ile czasu upłynie, nim mu przejdzie.

– O czym tak rozmyślasz?

– Ach, to ty Ruth. Cześć – rzucił lekko spłoszony.

– To jest Dennis Crawley – przedstawiła wysokiego, przystojnego młodzieńca u swego boku. – Twoja eskorta. Pomyśleliśmy, że zechcesz się przejść. Jest piękny dzień.

Les zauważył, że Dennis jest zauroczony Ruth. Biedak też ciężko to przeżywa – pomyślał. Na dobrą sprawę ignorowała go, zachowując najbardziej czarujące i celne uwagi dla Lesa. Była ładna, ale on myślał tylko o Imeldzie. Przez całą noc wypatrywał jej w pubie, ale raz tylko dostrzegł przelotne spojrzenie jej brata. Chłopak stał przez chwilę w drzwiach, a potem rozpląnął się w ciemności.

Minęli ostatni szereg maleńkich domów i zaczęli wspinać się na wzgórze, które wznosiło się nad miastem. Les przystanął i popatrzył w dół. Miał wrażenie, że ma przed sobą budowle z dziecięcych klocków. Dosłyszał stukot końskich kopyt i serce w nim podskoczyło, gdy ujrzał wyłaniającego się zza zakrętu Tommy'ego Tannera. Obok niego siedziały dwie dziewczynki. Wyglądały identycznie, tylko jedna była nieco wyższa. Patrzyły na Lesa bez skrepowania, gdy wóz podjechał bliżej.

– Jak się masz? – rzucił Tommy. – Byłem w mieście po święconą wodę i miód. Moja siostrzyczka ma kaszel, a ciocia Helen wierzy tylko w święconą wodę i miód.

– Jest poważnie chora? – spytała Ruth.

– Imelda siedziała przy niej całą noc – odparł Tommy. Dziewczynki pociągały go za wystrzępioną kurtkę, szepcząc mu coś do ucha.

– Pytają, czy ty jesteś ten Jankes z małpką – zwrócił się Tommy do Lesa.

– Nie. Tamten poszedł do kościoła zapalić świeczkę – wyjaśnił uprzejmie Les. – Mam na imię Les. A wy?

Dziewczynki zachichotały tylko i skryły się za Tommym.

– Ta większa to Margaret, a druga Nora. Dokąd się wybieracie? Może dałyś radę pokazać mi samolot? – spytał Tommy.

– Pewnie – odparł Les. – Ale najpierw należałoby odwieźć wodę i miód dla twojej siostry.

– To po drodze – wyjaśnił Tommy. – Wskakujcie.

– Świetnie – powiedział Les, sadowiac się na wozie obok Ruth i Dennisa. Był uradowany. Miał pretekst, by znów zobaczyć Imeldę.

W panującym w wozie półmroku Imelda patrzyła na pogrążone we śnie dziecko. Wydawało się takie maleńkie. Nellie była jej siostrzyczką, ale żywiła wobec niej matczyne uczucia. Czyż nie wychowywała jej od urodzenia? Teraz, otulona chustami i kocami, wyglądała tak krucho. Jasnoniebieski koc, który dała jej Mary, zakrywał dziecko aż po bródkę, podkreślając rudawe loczki i rumiane policzki. Imelda wiedziała, że Nellie jest czerwona od gorączki, i przerażeniem napawała ją myśl, że małej może się jeszcze pogorszyć. Jej matka straciła za życia dwoje dzieci. Każdej zimy napływały wieści o jakiejś rodzinie, która straciła dziecko. Imelda pamiętała, jak pytała matkę, dlaczego Bóg zabiera małe dzieci, skoro nie uczyniły nic złego. Matka patrzyła na nią smutnym wzrokiem i mówiła, że Pan potrzebuje czasem nowych aniołów w niebie, Imelda zaś myślała, że Bóg, postępując w ten sposób, jest bardzo chciwy. Teraz zrobiła znak krzyża i zaczęła się modlić, by Bóg nie wezwał Nellie, dopóki się nie zestarzeje i posiwieje.

Dziewczynka na razie spała spokojnie. Gorączka opadła nieco, choć mała pokasływała od czasu do czasu. Imelda zastanawiała się właśnie, gdzie jest Tommy, gdy z zewnątrz dobiegły jakieś głosy. Wyrzała z wozu i zdumiona zobaczyła Ruth stojącą przy ognisku z Dennisem i Lesem Wagnerem.

Na jej widok Les zbliżył się do wozu.

– Cześć – powiedział, rumieniąc się lekko. – Słyszałem, że twoja mała siostrzyczka jest chora. Jak się czuje?

– Już lepiej, dzięki Bogu – odparła szybko. Za jej plecami znów rozległ się suchy i rozdzierający kaszel Nellie. Imelda zniknęła w wozie, by ukołysać dziecko do snu, a Les wszedł za nią do środka.

– Nie wygląda za dobrze – stwierdził z troską w głosie. – Wezwałaś lekarza?

– Rzadko mamy do czynienia z lekarzami – wyjaśniła Imelda zwięźle. – Nic jej nie będzie. Niech sobie śpi.

– Naprawdę uważam, że powinien obejrzeć ją doktor – nalegał Les, spoglądając na zaognione policzki i rozpalone czoło małej.

– Posłuchaj, Lesie Wagner – zwróciła się do niego Imelda, wypychając go łagodnie choć stanowczo z wozu. – Nie mamy pieniędzy, żeby zapłacić doktorowi. Poza tym to zła wróżba płacić za lekarstwo. Mamy swoje sposoby i one nam wystarczą.

Les wyglądał na urażonego i zaskoczonego, ale dał spokój. Imelda musi czuć się bardzo źle, skoro rozmawia z nim tak szorstko. Za kogo się w końcu uważa, by przychodzić do niej i rozkazywać? Czyż nie stara się robić, co w jej mocy? Wysłała do ciotki Helen jedną z dziewczynek po herbatę i cukier, po czym postawiła na ogniu naczynie z wodą. Les śledził każdy jej ruch, ale nie odzywał się, a gdy zaproponowała mu herbatę, skinął w milczeniu głową.

Tommy zaproponował, by poszli zobaczyć samolot. Les podchwycił ten

pomysł z entuzjazmem, ale Imelda nie zgodziła się. Musiała zostać z małą.

– Nonsens. Ja jej przypilnuję – powiedziała ciotka Helen, która zjawiała się, gdy pili herbatę. – Dziecko śpi, a tobie przyda się trochę świeżego powietrza. Nie wychyliłaś nosa z wozu od wczoraj.

Imelda siedziała w czasie jazdy obok Ruth i dziewczynek. Starła się unikać kontaktu z Lesem. Zobaczyła samolot, gdy tylko znaleźli się na grobli, i znów nie mogła nadziwić się jego rozmiarom. W górnej wieżyczce odbijało się i migotało słońce. Przypomniała sobie, że tam właśnie siedzi Les.

– Spodobałaś się temu chłopakowi – trąciła ją łokciem Ruth.

– O czym ty gadasz, Ruth Bennett? – spytała.

– O tym Amerykaninie. Lesie Wagnerze. Ani na chwilę nie odrywa od ciebie oczu.

– Nie bądź głupia. Czego mógłby ode mnie chcieć? – zaprotestowała Imelda, udając poirytowanie.

– Mówię poważnie – ciągnęła szeptem Ruth. – Próbowałam zeszłej nocy zwrócić na siebie jego uwagę. Był grzeczny, no i w ogóle, ale nie zainteresowany. Pytał nawet o ciebie.

– Nie wierzę!

– Owszem. Kilka razy. Mówię uczciwie, dziewczyno! Wystarczy na niego popatrzeć. Łazi za tobą wszędzie jak szczeniak. Chyba będę musiała zadowolić się „po prostu Dennisem” – zachichotała. – Ja skończę jako pani Crawley, żona farmera z West Cork, a ty będziesz panią Wagner, żoną pilota z Waszyngtonu.

– Nie z Waszyngtonu, tylko Wisconsin, i nie jest pilotem, tylko strzelcem – poprawiła ze złośliwym uśmiechem Imelda.

– Widzisz! Nie mówiłam? Tobie też się podoba! – szepnęła głośniejsz Ruth i trąciła żartobliwie przyjaciółkę.

Imelda nie odpowiedziała, ale uśmiechając się szeroko, pokazała Ruth język i odepchnęła ją od siebie.

Na miejscu lądowania zebrały się tłumy ludzi. Dzień był piękny i wszyscy wyszli z domów, by zobaczyć cud, który spadł tak nagle z nieba. Członkowie Obrony Cywilnej zatrzymywali wszystkich na drodze, ale po krótkiej rozmowie z Lesem i Dennisem przepuścili ich małą grupkę i pozwolili iść do samolotu.

Tommy biegł z dziewczynkami na przdzie, dalej Dennis z Ruth, która robiła wszystko, by Les i Imelda zostali sami i nie kryła się z tym specjalnie. Gdy wzięła Dennisa za rękę i wysforowała się do przodu, mrugając znacząco przez ramię, Imelda posłała jej pełne złości spojrzenie.

– Czy to był ten wóz, w którym mieszkasz? – spytał Les. Imelda przytaknęła.

– Przypomina mi kryte wozy. No wiesz, te, które jechały na Zachód. Moi dziadkowie przybyli w takim do Wisconsin. Mieszkali w nim przez rok, dopóki

nie wytyczyli terenu pod domostwo.

– Skąd pochodzili? – spytała.

– Z Niemiec, z Bawarii, Tam, gdzie mieszkam, większość ludzi ma niemieckie pochodzenie. Prócz Indian, oczywiście.

– A jak to się stało, że trafili właśnie do Wisconsin? – spytała. To, że i jego rodzina wędrowała, stanowiło dla niej coś intrygującego, ale i pocieszającego zarazem.

– Nie wiem. Przybyli pewnie po prostu do Ameryki, wyszykowali wóz i ruszyli na Zachód, aż wreszcie znaleźli miejsce, które im odpowiadało.

Imelda zastanawiała się, jak by to było – wyruszyć w jakimś kierunku i wędrować w prostej linii, nie wiedząc, dokąd zaprowadzi droga. Sama wędrowała zawsze po linii koła, odwiedzając dobrze znane jej miejsca. Nigdy wcześniej nie przyszło jej to do głowy. Po raz pierwszy uświadomiła sobie, że mieszka na wyspie otoczonej przez wodę, za którą istnieją inne światy.

– To rzeczywiście ironia losu – ciągnął zamyślony Les. – Jestem pierwszym Wagnerem, który wrócił do Niemiec, i to po to, by walczyć na wojnie.

Imelda popatrzyła na niego wystraszona. Zapomniała, że ci lotnicy idą do boju. Wstrząśnięta uświadomiła sobie, że będzie walczył z Niemcami.

– Nie czujesz się dziwnie, walcząc z rodakami? – spytała zdumiona. Les wybuchnął śmiechem.

– Teraz jesteśmy Amerykanami. Każdy w tym samolocie pochodzi z innych stron – Matt to Włoch, drugi pilot to Szkot, Merdeza jest z Jugosławii, Mahoney z Irlandii. Do diabła, jedynym rodowitym Amerykaninem jest Wódz! Ale teraz wszyscy jesteśmy Amerykanami. Nie mówię nawet po niemiecku. Znam tylko parę słów.

– Pamiętasz swoich dziadków? – spytała. Wciąż nie mogła ogarnąć tego wszystkiego rozumem. Jakim cudem mógł nie być tym, czym byli przed nim jego dziadkowie? Jakim cudem nie zna ich języka? Ona całe życie uczyła się obyczajów i słów swego ludu. Trzymała się tego, czym była. Stanowiło to linię jej życia. Tylko to miała.

– Dorastałem z nimi. Dziadek umarł dopiero kilka lat temu, babcia jeszcze żyje. Tak ciężko pracowali, by nauczyć się angielskiego i urządzić sobie życie, że chcieli zostawić za sobą całą przeszłość. Pragnęli, byśmy byli inni, byśmy stali się Amerykanami.

Zbliżyli się do samolotu, gdzie wszyscy czekali, nie mając odwagi wejść do środka, dopóki nie zjawi się Les. Strzelec wspiał się po schodkach, dając im znak, by poszli za nim.

Pochłonięta myślami Imelda zwlekała przez chwilę. Jak ktoś mógł decydować się na to, by być kimś zupełnie innym?

Siostry wołały na nią, by weszła do samolotu i obejrzała wszystko. Les

pokazywał im wnętrze maszyny, od ogona po dziób. Przystawał i objaśniał różne rzeczy, odpowiadając na ich pytania. Pozbyły się już początkowej nieśmiałości i buszowały po samolocie. Les wskazał w środkowej części kadłuba coś, co przypominało małeńki pokoić i wyjaśnił, że to wieżyczka strzelnicza. Wytłumaczył, jak strzelec opuszcza się do wnętrza, tak że jest w końcu zawieszony pod samolotem. Pozwolił nawet Tommy'emu wejść do środka i wszyscy wybuchnęli śmiechem, gdy chłopak przykucnął z kolanami przy samych uszach, udając, że strzela z karabinu maszynowego. Dennis i Ruth udali się na dziób, do pomieszczenia pilotów, i Dennis rozchmurzył się wyraźnie. Les zatrzymał Imeldę, nim zdążyła przejść do następnego przedziału.

– Popatrz. To moja wieżyczka – powiedział i pokazał, jak wejść do małej kopuły nad ich głowami. Imelda wyciągnęła szyję i zobaczyła mokradła, ludzi na drodze, wyspę i ujście rzeki. Mogła nawet dojrzeć dom Mary.

Les wsunął się tuż obok niej i poczuła się trochę nieswojo. Miejsca było tu niewiele i Les musiał trzymać się jej ramienia, by zachować równowagę.

– Wiesz, jak lecimy, a ja siedzę tutaj, to wydaje mi się, że niebo ciągnie się bez końca – powiedział cicho.

Podniosła wzrok i zobaczyła, że chłopak się uśmiecha. Odczuła taką samą błogość, jak za pierwszym razem, gdy się do niej uśmiechnął. Nim zdążyła zrozumieć, co się dzieje, nachylił się i pocałował ją delikatnie.

– Nie tutaj – zaprotestowała. Ogarnęła szybkim spojrzeniem ludzi na drodze, ale niczego chyba nie zauważyli. Dzięki Bogu.

– Więc gdzie? – spytał, wpatrując się w nią badawczo.

– Nigdzie – odparła głośnym szeptem.

– Nie widziałem jeszcze tak ładnej dziewczyny jak ty.

– Jesteś zwariowany – Imelda rozglądała się z niepokojem, czy nikt nie nadchodzi.

– Albo zakochany – stwierdził w zamyśleniu. – Jestem zakochany, ot co – potwierdził po chwili zastanowienia.

– Nawet mnie nie znasz – zaoponowała dziewczyna.

– To najlepszy dowód. Matt mówi, że można zakochać się od pierwszego wejrzenia. Widzi się dziewczynę i bum! Myślałem, że tylko żartuje, ale miał rację.

– Muszę iść – powiedziała Imelda. Z kadłuba samolotu dobiegał ją śmiech.

– Oczywiście, że musisz – odparł szybko. – Poczekaj chwilę.

Przyciągnął ją i pocałował ponownie. Tym razem nie broniła się, ale w kilka sekund po tym, jak jej usta dotknęły jego warg, była już z innymi. Serce waliło jej jak po wspinaczkę na strome wzgórze. Tommy ze swej kulistej klatki żartował i rozśmieszał innych.

Z ulgą stwierdziła, że nikt nie zwraca na nią uwagi. Próbowwała włączyć

się do zabawy, ale wirowało jej w głowie. Starła się zapanować nad rumieńcem. Pocałował ją! Co za śmiałość! Czowała, jak po szyję oblewa się czerwienią. Na szczęście dziewczynki odkryły dużą torbę pomarańczy. Żadne z nich nie widziało ich nigdy przedtem i wszyscy oglądali z podziwem duże owoce, podając je sobie z ręki do ręki. Były takie okrągłe, chropowate i jednocześnie gładkie, i miały kolor, jakiego Imelda nigdy nie widziała. Nie mówiąc już o tym, że nigdy czegoś takiego nie jadła. Obracała w dłoni pomarańczę i po raz drugi tego dnia zauważyła, że myśli o wszystkim, co znajduje się za otaczającym ją oceanem. Na jakim drzewie rósł ten dziwny i wspaniały owoc? Jacy ludzie go zrywali?

Za namową Lesa Nora ugryzła spory kawałek. Skrzywiła się i Les wybuchnął śmiechem. Wyjaśnił, że skórka jest gorzka i dlatego należy ją obrać. Wyjął scyzoryk i pocałował ostrożnie pomarańczę na ćwiartki, pokazując przy tym, jak wyssać miąższ. Niemal natychmiast wnętrze samolotu wypełnił wspaniały aromat. Les podał kawałek Imeldzie, a ona myślała tylko o tym, by prze – stał tak na nią patrzeć. Była przekonana, że ktoś musi to zauważyć. Zobaczyła, że Ruth uśmiecha się do niej.

Imelda wzięła pomarańczę. Jej zapach był tylko bladym odbiciem smaku. Poczowała, jak słodki sok spływa jej do gardła i zamknęła oczy. Niemal ślaniała się od cudownej woni, smaku i pocałunku, który wciąż palił jej wargi. Kiedy znów uniosła powieki, zobaczyła, że Les stoi przed nią i przygląda jej się swoimi wesołymi oczami. Zaśmiała się głośno. Wszyscy mówili o pomarańczach. W samolocie było coraz weselej. Dziewczynki miały brody splamione sokiem i piszczwały z radości.

Ich wesołe krzyki przerwał dobiegający z zewnątrz hałas. Wszyscy rzucili się do okien. Do samolotu podjeżdżała duża ciężarówka, a jej burt czepiali się mężczyźni. Z tyłu sunął samochód doktora Moloneya. Dennis wyjaśnił, że spróbują ruszyć samolot z miejsca.

– Kiedy? – spytała Imelda cicho, zaskoczona nagłym bólem.

– Chyba jutro – odparł.

Odwróciła się zmieszana. Les skradł jej całusa, a przecież wiedział, że następnego dnia odlecą. Ale przecież i ona go pocałowała, wiedząc doskonale, że niebawem odejdzie. Próbowwała za wszelką cenę o tym wszystkim zapomnieć, spychała kolorowy świat pełen pomarańczy i wozów z powrotem do oceanu.

Zadowolony z siebie Les wyprowadził wszystkich z samolotu. Zanim ruszyli przez mokradła, kazał Tommy'emu zabrać pomarańcze oraz kilka toreb i skrzynek, które mu wskazał.

– Próbowowałaś kiedykolwiek fig? – spytał rozpromieniony Imeldę. – Wyglądają nieładnie, ale są pyszne.

– Muszę wracać do Nellie – odparła cicho, odwracając wzrok.

– Oczywiście – zgodził się. – Ale poczekaj chwilą. Mam pomysł.

Spotkamy się na drodze.

Imelda patrzyła, jak biegnie przez mokradła, skacząc na długich nogach przez trawę i machając do towarzyszy na drodze. Gdy wspięła się z powrotem na drogę, stał obok samochodu doktora Moloneya. Doktor siedział w środku i uruchamiał silnik.

– Doktor zawiezie cię do domu. Mówi, że chętnie zbada Nellie – wyjaśnił Les. – A my pojedziemy do Beau. Tommy nas podzuci.

Imelda poczuła się jak w pułapce. Znow postawił na swoim. Nie potrafiła mu się przeciwstawić.

– Nie mam pieniędzy – wyszeptała.

Les położył jej delikatnie dłoń na ramieniu i popatrzył błagalnym wzrokiem.

– Nie potrzebujesz żadnych pieniędzy. Pozwól tylko doktorowi zbadać dziecko. Zrobisz to?

Była zbyt przybita, by wdawać się w dyskusję. Wsunęła się w milczeniu do wozu i pokazała drogę.

Rozdział trzynasty

Mary stała przy kuchennym stole i nucila pod nosem. Mieszając ciasto na szarlotkę, próbowała przypomnieć sobie graną przez Beau melodię Joplina. Poszarpany rytm nie przypominał niczego, co kiedykolwiek słyszała. Melodia zapadła w jej umysł, lecz gdy próbowała ją zaśpiewać, okazało się, że nie potrafi. Unosiła się w jej głowie jak sen. Uśmiechnęła się z własnej nieporadności. Tak naprawdę pamiętała tylko dłonie na klawiaturze i ciemne brwi, które ścigały się poważnie, gdy Beau próbował jej wytłumaczyć, czym ragtime różni się od innej muzyki.

Miała jeszcze trzy dzikie jabłka, które od miesiący schły na półce nad paleniskiem. Były skurczone i pomarszczone, lecz wiedziała, że świetnie nadają się do ciasta. Pod ich chropowatością wciąż trwał ślad słodkiego lata.

Jeśli będzie pogodna wiosna, zbiory jabłek będą tego roku obfite. Gdy oprowadzała Beau po sadzie, widziała setki pąków, które czekały tylko, by zakwitnąć. Pokazała mu także małą grządkę warzywną z kilkoma pędami, które wystrzeliły spod ziemi.

Zawsze była bardzo dumna ze swego ogrodu, z małej krowy, z sadu i drobiu. Uważała, że cudownie jest móc dzielić się z kimś tym uczuciem. Beau wydawał się taki zainteresowany i tak bardzo podziwiał ciężką pracę, którą musiała codziennie wykonywać. Kilkakrotnie wyraził zaskoczenie, że robi wszystko sama, ona zaś pod maską uśmiechu krzywiła się na myśl o Geraldzie. Był jak zły sen, z którego chciała się otrząsnąć, lecz w głębi serca wiedziała, że to dzisiejszy dzień jest snem, zaś życie z Geraldem rzeczywistością.

Skończyła sprzątanie kuchni. Nie miała wiele do roboty, gdyż Beau uparł się, żeby jej pomóc, dopóki w końcu nie zdołała go wygonić. Zauważyła, że boli go głowa, wyglądał też po jedzeniu na zmęczonego. Spał już ponad godzinę. Zaglądała do niego regularnie, wykorzystując fakt, że może patrzeć na niego bez skrepowania. Gdy byli razem, tylko kątem oka zerkwała w jego stronę. Dostrzegła w jego spojrzeniu coś, co kazało jej zachowywać się i poruszać inaczej niż zwykle.

Od strony morza napływały ciemne chmury, przepędzając jasny dzień. Mary siedziała w kuchni i rozmyślała o sobie. Zachowuje się jak uczennica. To doprawdy śmieszne. Upłynęło tyle czasu od dnia, gdy ktoś tak na nią patrzył. Nie wiedziała, jak to rozumieć. Oczywiście, jest bardzo przystojny i czarujący, do tego młody i egzotycznie cudzoziemski. Ale w końcu taki jest pewnie na co dzień, prawdopodobnie też nie ma pojęcia, jakie na niej wywiera wrażenie. Przynajmniej żywiła taką nadzieję. Pozostawało faktem, że to pierwszy mężczyzna od lat, który wszedł do jej domu i okazał trochę zainteresowania samotną i smutną kobietą. Nie walczyła z uczuciem szczęścia, jakim napełniała

ją świadomość tego, że śpi we frontowym pokoju. Ciasto, które dla niego piekła, zaczynało wypełniać kuchnię słodkim aromatem jabłek.

Na odgłos wozu zajeżdżającego na podwórze przypomniała sobie o Tommym. Była zła, że zakłócił jej tę chwilę marzeń. Miała nadzieję, że nie będzie w ogóle wchodził do domu, tylko od razu wyprowadzi psy.

Usłyszała roześmiane głosy i zrozumiała, że ma jeszcze innych gości. Podwórze zaroilo się od ludzi. Tommy pomagał zejść na ziemię dwóm młodszym siostrzyczkom, podczas gdy Matt i Wódz zdejmowali z wozu kilka pakunków. Towarzyszył im trzeci Amerykanin, przedstawił się jako Les Wagner. Con O'Leary z miasteczka uchylił czapki i przywitał się z nią. Mary znała go dobrze jako dziecko, ale od czasu zamążpójścia rozmawiała z nim może ze dwa razy. Pochód zamykała Ruth Bennett z jakimś młodym mężczyzną.

Tommy Tanner spytał, czy dopilnuje jego siostrzyczek, gdy on będzie zajmował się psami i zgodziła się bez wahania. Wszyscy byli w doskonałych humorach i dała się unieść fali ogólnego rozbawienia.

Nastawiła czym prędzej czajnik na herbatę i stwierdziła z zadowoleniem, że ciasto się udało. Jej babka zawsze przywiązywała dużą wagę do gościnności. Nie do pomyślenia było, by Mary wypuściła z domu jakiegokolwiek gościa bez filiżanki herbaty i poczęstunku. W ciągu minionych dwunastu lat nie miała jednak po temu zbyt wielu okazji.

Ruth nie zamykały się usta. Pomagając Mary, przedstawiła młodego człowieka, z którym się zjawiła. Dziewczynki biegały roześmiane, siedzący przy stole mężczyźni zajęli się kawą. Mary podawała filiżanki, chleb, masło i szarlotkę przepełnioną tą samą radością, jaka towarzyszyła jej przez cały dzień. Miała wrażenie, że jest w prawdziwym domu.

Zaprosiła gości do stołu. Nie pamiętała, kiedy ostatnim razem w jej kuchni było tak tłoczno. Stół prezentował się wspaniale. Amerykanie przynieśli pomarańcze i świeże figi – dziwne, okrągłe owoce o fioletowej barwie. Mary widziała je po raz pierwszy w życiu. Choć o szyby zastukał deszcz, jej wcześniejszy smutek ulotnił się bez śladu. Miała wrażenie, że jej serce jest wolne i gorące, niczym trzaskający na kominku ogień. Nagle poczuła w kuchni czyjaś obecność i po plecach przebiegł jej dreszcz. Wiedziała, że to Beau.

– Czyżby miało mnie ominąć przyjęcie? – spytał swym śpiewnym akcentem. – Dlaczego nie zostałem zaproszony?

Mary wybuchnęła śmiechem. Wszyscy zaczęli pytać Beau jak się czuje. Uśmiechnął się i przyjacielskim gestem otoczył ją ramieniem.

– Dzięki mojej prywatnej pielęgniarce odczuwam znaczną poprawę – odparł. – Nie tylko zawdzięczam jej życie, ale też wdzięczny jestem za pobłażliwość, z jaką mnie traktowała przez cały dzień, kiedy to ciągle wchodziłem jej w drogę. Obawiam się, że jako pracownik farmy poniosłem

żałosną klęskę.

Rozbawił wszystkich do łez opowieścią o swym roboczym dniu, przedstawiając Mary jako wzór skuteczności, siebie zaś jako skończonego niedorajdę.

Przy stole królował śmiech i wesoła rozmowa. Beau pokazał Mary talerz z figami i opowiedział jej o wielkich figowcach w ogrodzie swych rodziców. Powiedział, że mają setki lat i rodzą mnóstwo owoców. Musieli nawet zatrudnić chłopca, który zajmował się wyłącznie ich zbieraniem. Wybrał dla niej starannie jedną figę, naciął w dwóch miejscach, a potem otworzył jak kwiat. Owoc przypominał dziwnego stwora, wydawał się niemal przerażający, gdy tak leżał na stole, ukazując różowo-czarny miąższ. Pachniał chorobliwie słodko, ale i kusząco zarazem.

Mary wgrzyzła się w figę i znów zaczęła myśleć o Beau. Zorientowała się już, że jest bogaty i wykształcony. Nie należał do załogi samolotu, tylko leciał z nimi jako pasażer. Podobnie jak inne tę informację także postanowiła zachować w pamięci. Nie zdawała sobie nawet sprawy, że to robi.

Jego urok udzielał się wszystkim. A jednak wydawało się jej, że pragnie oczarować tylko ją. I co z tego? Czyż nie powiedzieli, że jutro odlatują? Zdecydowała, że będzie cieszyć się chwilą obecną. Sięgnęła z uśmiechem po następną figę.

Mężczyźni zapalili papierosy, na stole pojawił się kolejny dzbanek z herbatą. Usłyszeli, jak na podwórzu zajeżdża samochód doktora Moloneya. Z przodu siedziała Imelda z owiniętym w koc dzieckiem. Młody Amerykanin wybiegł z domu, by jej pomóc. Po chwili weszli wszyscy do kuchni. Doktor otrząsnął się niczym wielki owczarek, strącając wodę z białej grzywy włosów.

– Nie podobają mi się jej płuca – stwierdził, kierując Imeldę do kominka.
– Musi mieć ciepło i sucho. Przeciekający wóz to nie miejsce dla chorego dziecka. Trzeba się nią teraz dobrze opiekować.

Imelda zaczerwieniła się na tę reprimendę i Mary pomyślała, że przywieziono małą wbrew jej woli. Les stanął solidarnie u boku dziewczyny. Mary zauważyła ze zdziwieniem, że coś dzieje się między nimi.

– Imelda całą noc opiekowała się siostrzyczką – bronił jej młody człowiek.

– Nie chodzi mi o to, że nie zrobiła tego, co trzeba – wyjaśnił spokojnie doktor. – Martwię się tylko, że może wdać się zapalenie płuc. Niech pozostanie tu, aż minie niebezpieczeństwo.

– Ustawimy jej łóżko przy ogniu – powiedziała Mary i uniosła wieko skrzyni stojącej obok kominka. W środku znajdowało się niewielkie łóżko. Imelda popatrzyła na nią z wdzięcznością. Wzmianka o zapaleniu płuc wyraźnie ją przestraszyła. Podała dziecko Mary.

– Potrzyjmaj Nellie, a ja pościelę łóżko.

Nellie wyjrzała spod koca. Na widok jasnych, ciekawskich oczek Mary chwyciło coś za gardło. Dziecko było mniej więcej w tym samym wieku co Sean, gdy umarł. Chciała odsunąć je od siebie, a jednak nie mogła. Wzięła małą w ramiona i dotknęła jej czoła.

– Rozpalone – stwierdziła.

– Odwiń ją trochę – nakazał doktor Moloney, zasiadając do herbaty. – Powinno jej być ciepło, ale nie gorąco. Widzę, że macie pomarańcze. Doskonale. Doskonale. Zagrzey jej trochę soku. Niech pije do woli, i tyle razy, ile tylko zechce.

Już po chwili Amerykanie rozcinali owoce i wyciskali z nich sok. Mary wraz z dziewczynkami zajęła się ustawianiem małego łóżeczka i sprzątaniami ze stołu. Nellie krzywiła się początkowo, ale niebawem piła już bez żadnych oporów.

Mężczyźni przenieśli się do frontowego pokoju. Mary usłyszała dźwięki pianina i ucieszyła się, że jej goście jeszcze nie wychodzą.

– Chyba zaczyna się zabawa – zauważyła Ruth. Oczy błyskały jej wesoło. Teraz, kiedy Nellie zadomowiła się w nowym miejscu, Imelda też wyglądała na zadowoloną. Pełna radosnego oczekiwania na nadchodzący wieczór, Mary wzięła dziewczyny za ręce.

– Może się przyłączymy, co? – spytała i wprowadziła je do pokoju.

Wieczór udał się znakomicie. Con O’Leary śpiewał swoim słodkim tenorem smutne pieśni o straconej miłości i wygnaniu, doktor zaś bawił wszystkich wykonaniem starych, dublińskich melodii. Butelki rumu przyniesione przez lotników pobrzękiwały przy flaszkach z jablecznikiem Geralda. Muzyka i trunek płynęły bez końca, porywając wszystkich. Mary zaczęła odczuwać wypity rum. Wodziła wzrokiem po uszczęśliwionych, roześmianych twarzach ze świadomością, że ona także uśmiecha się promiennie.

Beau grał jakąś szybką, szaloną muzykę, którą nazywał swingiem. Amerykanie odsunęli na bok fotele i zaczęli uczyć pozostałych, jak należy to tańczyć. Wkrótce wszyscy zaśmiewali się, zadyszani.

Matt zawołał, by ktoś zaśpiewał *Gdy uśmiechają się irlandzkie oczy*. Beau ustąpił miejsca Conowi O’Leary, który narzekał, że to okropna pieśń i że zagra ją tylko ze względu na gości. Gdy Amerykanie zaczęli śpiewać, Beau podszedł do Mary. Cieszyła się, że może być blisko niego. Przesiedział przy pianinie cały wieczór.

– Wyczuwam w powietrzu romans – oświadczył z szerokim uśmiechem. Mary oblała się rumieńcem, lecz po chwili zrozumiała, że nie mówił o niej.

Wskazał na Imeldę. Dziewczyna uśmiechała się do Lesa, gdy ten śpiewał dla niej. Ruth też była bardzo zainteresowana swoim towarzyszem, a on śledził każdy jej ruch. Mary parsknęła śmiechem, próbując ukryć zakłopotanie.

– To bardzo ładne dziewczęta – ciągnął Beau. Nie pytając nawet o zdanie,

podał jej następnego drinka.

– Są młode – odparła od niechcienia. – Mają prawo pobawić się trochę. Beau popatrzył na nią znacząco.

– Nie przypominam sobie, by kobiety w Irlandii były tak piękne. Musiałem odwiedzić nie tę część kraju, co trzeba, jak byłem tu ostatnim razem.

– A gdzie byłeś? – spytała Mary, przyjmując jakby wbrew sobie ukryty komplement.

– Głównie w Dublinie – odparł.

– A więc wszystko jasne – stwierdziła złośliwie. Rum dodał jej odwagi.

– Czy wszystkie piękne dziewczęta chowają się tylko w hrabstwie Cork? – spytał z uśmiechem.

– Od urodzenia – odpaliła wesoło.

Beau popatrzył na nią. Nagle posmutniał, jakby coś sobie przypomniał.

– Przykro mi będzie wyjeżdżać tak szybko – stwierdził nadspodziewanie poważnie.

– Nonsens – odparła z pozoru bez troski Mary. – Odjedziesz i zapomnisz o nas.

– Nieprawda – zaprotestował urażony. – Nigdy nie zapomnę twej pomocnej dłoni.

– To fragment piosenki! – zawołała Mary. Przymknęła bez zastanowienia oczy i zaśpiewała cicho, tylko dla niego: – *I gdy cię kiedyś spotkam, na lądzie czy na morskiej toni, nigdy nie zapomnę twej pomocnej dłoni.*

Głos miała czysty i słodki. Oczy mężczyzny patrzyły na nią pytająco. W świetle lampy wydawały się jeszcze ciemniejsze. Musiała odwrócić wzrok. Doktor Moloney przerwał napiętą sytuację, wzywając Beau do odśpiewania piosenki.

Beau zasiadł do pianina, lecz nie spuszczał wzroku z Mary.

– Piosenkę tę, tak popularną w moim kraju, dedykuję mej czarującej gospodyni i pielęgniarce. Jest zatytułowana *To tylko papierowy księżyc*.

Spod jego palców popłynął długi, synkopowany wstęp. Melodia łatwo wpadała w ucho i Mary odruchowo wybijała stopą rytm. Nim Beau zaczął śpiewać, wszyscy przytupywali i klaskali do taktu. Matt porwał w objęcia Wodza i mężczyźni zaczęli zataczać w tańcu szerokie koła. Les pociągnął za sobą Imeldę, Ruth i jej chłopak próbowali tańczyć walca.

– *To tylko papierowy księżyc nad tekturowym morzem, uwierzyłabyś w niego, gdybyś uwierzyła we mnie* – śpiewał dźwięcznym głosem Beau, a Mary stała obok ognia.

Nie uszło jej uwagi, że cały czas zerka przez ramię w jej stronę. Melodia była prosta i przyłapała się na tym, że nuci pod nosem. Twarz miała zarumienioną od ognia na kominku i rumu. Beau zagrał głośniejsz, dodając rytmowi mocy:

– *Bez twej miłości to tylko honky tonk bez twej miłości to tylko pusta melodia*).

Rum zaczął uderzać jej do głowy. Przelatujące przez głowę myśli potykały się jakby o takty melodii. Nim znikwały, ustępując miejsca następnym, była w stanie uchwycić tylko ich zarys. Jakże inne byłoby jej życie, gdyby poślubiła kogoś takiego jak Beau. Jak wyglądałoby u boku takiego człowieka? Niekoniecznie tak młodego, z tak odległego kraju, lecz odznaczającego się podobną serdecznością, beztrąską, poczuciem humoru? Patrzyła na Ruth, która tańczyła ze swoim wysokim chłopakiem. Życzyła im jak najlepiej. Modliła się z całego serca, by zawsze byli tak szczęśliwi jak teraz.

Beau zakończył fantazyjną przygrywkę, ale natychmiast kazano mu zagrać od nowa. Tym razem wszyscy mu wtórowali.

Płomienie ognia skakały w takt muzyki, na ścianach pokoju wirowały cienie roztańczonych ludzi. Mary odstawiła drinka. Muzyka była za głośna, śmiech przybrał zbyt wysoką nutę. Beau za bardzo wykrzywił usta. Imeldzie błyszczały w tańcu oczy. Na jej widok Mary zebrało się na płacz.

– Będziemy się niedługo zbierać do domu – powiedział doktor Moloney, podchodząc do niej. – Cieszę się, że tak dobrze dziś wyglądasz. Bóg wie, że nie brak ci kłopotów – rzekł zniżonym głosem i poklepał ją po dłoni. – Miło, że się uśmiechasz.

Mary odwróciła się, by ukryć zmieszanie. Kręciło jej się w głowie, w skroniach pulsowało. Oparła się o ścianę.

Nie chciała, by ktoś wiedział za dużo o jej życiu. Zdawała sobie sprawę, że wielu ludzi uważa ją z tego powodu za osobę arogancką, ale nie dbała o to. Doktor Moloney był inny. Zawsze okazywał jej serdeczność i lepiej niż inni wiedział, co działo się u niej w domu. Mimo to nie chciała, by tak otwarcie okazywał swe współczucie.

Nienawidziła tego. Przełknęła z trudem i zmusiła się do uśmiechu.

Czuła kwaśny smak w ustach, więc gdy Beau spytał ją z uśmiechem, czy będzie mógł korzystać z jej gościnności jeszcze przez jedną noc, skinęła tylko głową. Amerykanie ustawili z powrotem meble i zabrali się do wyjścia. Gdy życzyli jej na odchodnym dobrej nocy i znikali w ciemności robiła wszystko, by zachować jasność myśli. Ledwie słyszała, jak umawiają się na następny dzień. Nie piła już od dawna i moc trunku zaskoczyła ją.

Imelda oddaliła się, by dotrzymać towarzystwa Nellie i Mary ruszyła do swojego pokoju. W połowie schodów przystanąła. Dziękowała Bogu, że może przytrzymać się poręczy. Na dole Beau patrzył na nią wyczekująco.

– Mary – zawołał cicho. Dźwięk jego głosu brzmiał hipnotycznie, a sylwetka w blasku lampy przypominała postać ze snu.

Zacisnęła palce na poręczy i zaczerpnęła głęboko powietrza, by rozjaśnić myśli. Kiedy poczuła, że znów może się skupić, popatrzyła na niego z góry.

Oczy mu płonęły. Tym razem nie odwróciła wzroku. Chłoneła wszystkie szczegóły jego postaci, by na zawsze zapamiętać obraz stojącego na schodach mężczyzny. Na jej wargach błąkał się smutny, ledwie dostrzegalny uśmiech.

– Dobranoc, Beau – pożegnała się grzecznie, po czym odwróciła się spokojnie i weszła po schodach na górę.

Udało jej się dotrzeć bez przeszkód do pokoju. Nie odwróciła się ani razu, gdy wchodziła po schodach, choć wiedziała, że Beau wciąż tam stoi. Jednak już w pokoju wszystko wokół zaczęło wirować. Źle obliczyła dystans dzielący ją od łóżka i potknęła się. Niech diabli porwą jego śmiałość, pomyślała, padając na pościel i chichocząc. Czuła coraz większe oburzenie, gdy podejmowała kolejne próby, by usiąść prosto. Za kogo on się uważa? Wyskakuje z tego samolotu i popisuje się, śpiewając jej o papierowym księżycu.

Mary nucąc pod nosem, walczyła z sukienką. Guziki stawiały zdecydowany opór, zrezygnowała więc i ściągnęła sukienkę przez głowę. Gwałtowny ruch sprawił, że sufit zakręcił się nagle, i musiała chwycić się krawędzi łóżka, by nie spaść na podłogę.

A to dopiero bawidamek z tego Beau. Śmiałek pierwszej klasy, pomyślała, gdy pokój znieruchomiał wreszcie. Była głupia, że dała się na to złapać. Co ona sobie do licha wyobraża? Bawi się we flirty jak pijana uczennica na pierwszej randce. No tak, jest dla niej wyjątkowo czarujący, ale czy można oczekiwać czegoś innego od tego obcokrajowca? Pewnie dla wszystkich jest taki.

Mary zrzuciła sukienkę na podłogę i nie rozbierając się do końca, wsunęła się niezdarnie pod kołdrę. Wtuliła twarz w poduszkę, chłonąc z ulgą jej chłód. Czuła, jak płonie. Może zaraziła się od Nellie. Pomyślała o śpiącej na dole dwójce. Zastanawiała się, czy nie zajrzeć do nich, lecz zrezygnowała. Gdy tylko uniosła głowę, pokój znów zaczął wirować.

Ciało miała ocieźzałe, jakby zapadała się w materac. Gdy tak dryfowała między snem a jawą, zaświtało jej, że znajduje się dokładnie nad miejscem, gdzie śpi Beau. Ujrzała go uśmiechniętego przy pianinie, usłyszała rozśpiewany głos. Wyczuwała, że coś w tym jest, coś przeznaczonego wyłącznie dla niej. Wiedziała o tym. A jutro ma odejść. Jutro nie będzie niczym więcej, niż tylko zwodniczym snem, o którym pragnęła jak najszybciej zapomnieć. Kręciła się i rzucała na łóżku całą noc, słuchając głuchych uderzeń fal i wycia wiatru, aż ujrzała zaglądający przez zasłony brzask. Dopiero wtedy zapadła w głęboki, wolny od marzeń sen.

Rozdział czternasty

Rozeszła się wieść, że Amerykanie zamierzają odlecieć. Mieszkańcy miasteczka ruszyli gromadnie na mokradła, by obejrzeć start samolotu. Niektórzy nieśli koszyki z jedzeniem, jakby zamierzali spędzić poza domem cały dzień. Przy kamiennym murku przybywało rowerów. Wokół lotników krążyła grupka podekscytowanych chłopców. Mieli okazję zobaczyć na własne oczy, jak potężny B-17 wznosi się w niebo.

Martin Kelleher był ubrany i gotowy już o świcie. Od chwili, gdy samolot przeleciał tuż nad wieżami kościoła, jego życie stało się wielką przygodą.

Nie przejmował się, że matka gada w kółko o straszliwym grzechu, jaki popełnił, idąc na wagary. Nie dbał o to, że gdy zjawi się w klasie, dyrektor okaże swe niezadowolenie jeszcze boleśniej. A jeśli chodzi o ojca Collinsa, to czyż nie ucieszył się na widok Martina prowadzącego Amerykanów do kościoła? Fakt ten z pewnością miał swą wagę.

Martin dostrzegł Matta i zbliżył się śmiało. Bracia Barry też podeszli.

– Pamięta mnie pan? – spytał Martin.

– Martin Kelleher... Nie myślę się? Jak mógłbym nie pamiętać swojej eskorty? – rzekł uprzejmie Matt. – O co chodzi, chłopaki?

– Przyszliśmy zobaczyć, jak pan startuje – odparł Martin.

Matt przysiadł na murku i zapalił papierosa. Naprawdę wygląda wspaniale – pomyślał chłopak. Skórzana kurtka z wełnianym kołnierzem zapięta była na zamek błyskawiczny. Lotnik trzymał między kciukiem a palcem wskazującym papierosa i mrużył oczy, gdy się zaciągał. Martin postanowił, że poćwiczy to później przed lustrem w swojej sypialni.

– Takie przystojne chłopaki! Lepiej byście pobiegali za jakimiś dziewczynami – żartował z nimi Matt.

– Dziewczyny są głupie – stwierdził Joe Barry i skrzywił się. Pozostali przytaknęli zgodnie.

– Za parę lat inaczej będziecie gadać – wybuchnął śmiechem Matt. Poszukał w górnej kieszeni, wyciągnął jakąś paczuszkę i wyciągnął do nich. Gapili się w milczeniu na srebrne papierki w swych dłoniach.

– To guma do żucia – wyjaśnił. – Wsadźcie do ust i żujcie. Będzie wam smakować. Tylko nie połykajcie.

Zrobili tak, jak im powiedział, i na ich twarzach odmalowała się najpierw podejrzliwość, potem zaskoczenie, w końcu nieklamana przyjemność. Stali całą piątką w szeregu i żuli metodycznie. Martin zastanawiał się, dlaczego nie wolno im tego połykać, ale nie miał odwagi spytać.

– Wie pan co? – odezwał się Pat Barry, wysuwając krostowatą, piegowatą twarz. – Naprawdę pan myśli, że wystartujecie?

– Cholera! Mam nadzieję – parsknął śmiechem Matt.

– Widzi mi się, że utkwiał na dobre – stwierdził z powagą Martin. Był bardzo dumny, że lotnik zapamiętał go z imienia. Wiedział, że zrobi to odpowiednie wrażenie na braciach Barry. – Chyba nie drgnie nawet o centymetr.

– Założysz się? – spytał Matt z błyskiem w oku.

Martin wytrzeszczył oczy. Mógłby przysiąc, że szacunek Barrych rośnie z każdą chwilą. Oparł się niedbale o murek, trzymając dłonie w kieszeniach spodni, jak mężczyźni, którzy po niedzielnej mszy wystawali przed kościołem.

– Może być – odparł od niechcienia, jakby zakładał się z Amerykanami każdego dnia. – O co się zakładamy?

– Coś ci powiem – zaproponował Matt, sięgając do kieszeni. – Widzisz ten scyzoryk? Jeśli nie wystartujemy, to będziesz mógł go zatrzymać.

Martin odrzucił pozę światowca, tylko patrzył z upodobaniem na scyzoryk.

– Mówi pan poważnie? – upewnił się, oddając go Mattowi.

– Ma się rozumieć – przytaknął Matt. – Potrzymaj go. Jak nie wystartujemy, wygralesz.

– A co się stanie, jak wam się uda?

– Będiesz mógł go chyba zatrzymać – stwierdził z uśmiechem lotnik. – Za zasługi dla Amerykańskich Sił Powietrznych.

Martin nie mógł uwierzyć w swoje szczęście. Schował czym prędzej nóż do kieszeni, by Matt się nie rozmyślił.

Matt zagwizdał cicho na widok dużej, zbliżającej się niespiesznie grupy. Ludzie rozmawiali, pokazując sobie samolot.

– No, teraz mam już powód, żeby zostać tu jeszcze trochę – stwierdził, patrząc na niewysoką, schludną kobietę o kruczoczarnych włosach, związanych z tyłu głowy w kok. Jasne, błękitne oczy Martin znał aż za dobrze.

– Oszalał pan, człowieku? – zawołał. – To moja mama! O Jezu, Maryjo! Obedrze mnie ze skóry. Przepraszam, muszę iść. Do zobaczenia! Dzięki za nóż.

I czmychnął jak mysz, by schować się za wielką ciężarówką, którą rano przyjechali Amerykanie.

Beau zeskoczył z odkrytego wozu i zsalutował grupie lotników. Tommy przyjechał po niego skoro świt i wyruszyli niemal natychmiast. Mieli z Mary czas zaledwie na krótkie pożegnanie.

Na mokradłach panował spory ruch. Co chwila ktoś podchodził do samolotu lub oddalał się od niego. Kilku ludzi w zielonych uniformach pilnowało porządku i nie dopuszczało ciekawskich zbyt blisko. Beau ucisnął Tommy'emu dłoń i pożegnał się z Imeldą i jej siostrzyczką. Po nocy spędzonej przy ogniu, Nellie wyraźnie się polepszyło. Przez całą drogę opowiadała coś zadowolona.

Od strony mokradła nadbiegł Les.

– Do diabła – rzucił zdyszany. – Minęliśmy się. Nie zdążyłem nawet pożegnać się z nimi.

– Czasem lepiej tego nie robić – stwierdził Beau, poirytowany tym rannym zamieszaniami. Znalazł jedynie czas na zdawkowe uprzejmości wobec Mary i miał teraz wyrzuty sumienia.

– Kochaj je i pozostawiaj. To moje motto – wtrącił Matt, starając się poprawić Lesowi humor. – Dalej, mały, mamy robotę do wykonania! W morzu jest mnóstwo ryb. Opowiadałem ci już o kobietach w Anglii? Poczekaj, aż je zobaczysz. Długie nogi, w życiu takich nie widziałeś!

Ale Les patrzył z żalną miną w ślad za wozem, który niknął w dali. Beau przeciskał się przez gęstniejący tłum. Doszedł do miejsca, gdzie piloci dyskutowali z inżynierem i zaszalował Charliemu Hansenowi.

– Sierżant Beauregard St Soucis melduje swój powrót, sir – oświadczył z szerokim uśmiechem.

– Beau! Cieszę się, że znów jesteś na nogach. Jak tam głowa?

– Świetnie, Charlie – odparł Beau. – Kiedy startujemy?

– Wpierw powinienesz spytać, czy w ogóle startujemy – wtrącił sucho Tate.

– Jakiś problem? – zainteresował się Beau.

– Cieszyłbym się, gdyby był tylko jeden – odparł Charlie Hansen. – Przede wszystkim benzyna ma za mało oktanów.

– I podwozie tkwi do połowy w wodzie – dodał inżynier.

Drugi pilot przywołał resztę załogi. Podeszli i otoczyli półkolem pilota.

– W porządku, panowie. Spróbujemy odlecieć. Ale mówię wam, że to nie będzie łatwe. Mamy naprawdę kiepskie paliwo. Co oznacza, że nie możemy korzystać z turboładowania. Ciężko będzie wykrzesać z maszyny tyle mocy, aby wystartowała. Spróbujemy zmniejszyć ładunek, ile się tylko da, ale nie wiem, czy to pomoże – stwierdził Charlie Hansen, potrząsając głową.

– Potrzeba cholernie dużo mocy. Podłoże przypomina galaretę. Musimy wyssać z niego naszą dziecinę – dodał inżynier.

– A może spróbowałibyśmy podłożyć pod koła deski czy coś w tym rodzaju? – spytał Wódz.

Inżynier potrząsnął głową.

– Gleba jest grząska na metr w głąb. Połknęłaby po prostu te twoje deski. Widywałem już miękkie podłoża, ale to tutaj jest niesamowite.

– Zrobimy, co się da – stwierdził Charlie Hansen. – Rozgrzejemy silniki powoli i ostrożnie. Potem dołożymy tyle mocy, ile zdołamy.

– Silniki mogą wybuchnąć, jeśli będziemy je zbyt żyłować – wyjaśnił McKnight. – Nie nadają się do takiego paliwa. Razem z Tate'em obliczaliśmy ładunek i tak dalej, ale szczerze mówiąc, nie mamy pewności, czy to coś da.

Charlie Hansen objął spojrzeniem ludzi na drodze. Zachowywali podczas

ich rozmowy pełen szacunku dystans.

– Byli dla nas bardzo mili. Nie mówiąc już o tym, że złamali kilka przepisów, by zdobyć dla nas paliwo. Musimy spróbować. Jesteśmy im to winni – powiedział. – Wiem, chłopaki, jak bardzo chcecie się stąd wydostać i wziąć udział w porządnej akcji, ale muszę być z wami szczerzy. Byłbym bardzo niezadowolony, gdybym musiał was rozczarować, ale szansę na odlot są dziś marne. Niewykluczone, że utkniemy tu na trochę dłużej i trzeba będzie wymyślić coś innego.

Beau popatrzył na twarze stojących w kręgu mężczyzn. Słuchali słów pilota z powagą, której przeczył wyraz ich oczu. Uśmiechali się pod nosem i nie wyglądali na szczególnie rozczarowanych, a Les Wagner był wręcz zachwycony.

Lotnicy rozeszli się i Beau pozostał sam. Nie pozostało mu nic innego, jak tylko czekać na wezwanie. Oparł się o ścianę i wypalił pierwszego w tym dniu papierosa. Boże, cóż to za piękne miejsce. Przypomniawszy sobie, jak ktoś kiedyś powiedział, że Irlandia odznacza się czterdziestoma odcieniami zieleni. I jeszcze kilkoma – pomyślał. Otaczała go ze wszystkich stron szarość i zieleń – ta ciemna, sosnowa, nieomal czarna; ta bogata, typowa dla mchu, przypominająca aksamit; i ta miękka, pulsująca, która zaczynała pojawiać się na żywopłotach i drzewach. Nie chciał jeszcze stąd wyjeżdżać.

Patrzył na dach domostwa za drzewami. Znow zaczął odczuwać ten sam niepokój. Dzień wczorajszy należał do niezwykle udanych, on zaś musiał odejść i zepsuć wszystko. Mary to cudowna kobieta, która przyjęła go pod swój dach bez jakichkolwiek pytań. Jest żoną prostego farmera, a on potraktował ją jak rozkapryszoną gaskę. Odczuwał wstyd. Mógł się założyć, że obraził ją swoim zachowaniem. Dała mu to jasno do zrozumienia, unikając go rano. Pomylił jej dobroć z kokieterią i zachował się jak głupiec. Lecz wystarczyła odrobina alkoholu, by w kobiecie zaszła ogromna zmiana, a w jej oczach pojawił się nowy błysk. Ciało uwolniło się od napięcia, na ustach zagościł radosny uśmiech. Urzekły go spojrzenia rzucane spod opuszczonych rzęs, nieśmiało i jednocześnie odważne. Beau próbował stłumić w sobie poczucie niezadowolenia. W końcu miał jej więcej nie ujrzeć, ale gnębiła go świadomość, że mogłaby źle o nim myśleć.

Jego wzrok przykuł jakiś ruch za drzewami. Na wzgórzu biegł pies Mary, po chwili ukazała się sylwetka kobiety. Przystanąła na chwilę i popatrzyła w stronę mokradeł. Potem wspięła się szybko na zbocze i zniknęła za jego grzbietem. Beau ruszył do Charliego Hansena.

– Nie masz nic przeciwko temu, żebym poszedł na spacer i rozprostował nogi? – spytał. – Siedzę tu beczynnienie.

– Żaden problem – odparł pilot.

Beau uśmiechnął się i uniósł kciuk do góry.

– Wrócę za pół godziny. Nie odlatujcie beze mnie!

Przebiegł przez drogę, przeskoczył furtkę i ruszył szybko krokiem w górę zbocza.

Nim dotarł na szczyt, pies wybiegł na powitanie i zaprowadził go do Mary. Ukryta przed podmuchami wiatru siedziała w małym zagłębieniu oparta o kamienną płytę. Dostrzegła go, lecz nie obróciła ku niemu twarzy. Znieruchomiała obejmowała ramionami przyciśnięte do piersi kolana. Miedziane włosy, odcinające się od szarzielonego krajobrazu, powiewały swobodnie. Wiatr oplatał nimi jej twarz, nie zrobiła jednak najmniejszego gestu, by je odsunąć przed oczu. Wpatrywała się tylko skupionym wzrokiem w morze, jakby studiowała je z uwagą.

– Co robisz? – spytał cicho Beau i usiadł na kamiennym występie obok niej.

– Liczę fale – odparła nieporuszona. – Wypatruję tej siódmej. Powiadają, że jest większa od pozostałych.

Morze było tak szare jak niebo. Wzgórza fal wyrastały gdzieś daleko i jedna za drugą napływały majestatycznie, by przy samym brzegu nabrać pełni i rozpędu. Beau też próbował je liczyć, lecz stwierdził nagle, że nie jest w stanie oderwać oczu od kobiety.

Brakowało mu słów. Chciał jej podziękować za gościnę i przeprosić za swą gruboskórność. Chciał się po prostu pożegnać. Różne słowa przychodziły mu do głowy, wszystkie jednak brzmiały dziwnie pusto. Nienaganne maniery wydawały się absolutnie nie na miejscu w tym dzikim otoczeniu. Nie pasowały przede wszystkim do kobiety, która siedziała i patrzyła na fale, rozbijające się o widoczną w dole plażę.

– Często tu przychodzisz? – spytał.

– Prawie co dzień – odparła. – To mi pomaga zapomnieć o różnych rzeczach.

Dostrzegł nieznaczny cień na jej twarzy. Jakby jej czoło zmarszczył nagły ból. Wyciągnął dłoń i założył jeden z niesfornych kosmyków za ucho.

– Tak mi przykro, Mary – zaczął. Niski głos zabrzmiał niepewnie.

– Przestań – powiedziała stanowczo i zwróciła ku niemu twarz. Przez krótką chwilę patrzyła na niego, potem odwróciła się. Jej oczy miały tę samą szarzieloną barwę co morze. W świetle poranka dostrzegł siatkę cieniutkich linii wokół jej oczu. Wcześniej nie zwrócił na nie uwagi. Odwrócił wzrok, bojąc się, że nie powstrzyma się i pocałuje ją. Pragnął wziąć ją w ramiona i powiedzieć, że wszystko będzie dobrze. Sytuacja była nie do zniesienia. Wstał.

– Chyba niedługo odjedziesz – powiedziała niemal do siebie.

– Przygotowuję samolot – odparł drewnianym głosem. – Chciałem ci podziękować za gościnność. Rano zabrakło czasu. Byłaś przemiła.

Mary wstała i wyciągnęła dłoń. Jej uśmiech był jasny, głos wesoly.

- Nie musiałeś dziękować. Zrobiłeś to zeszłej nocy. Pamiętasz?
- Pamiętam – ujął jej dłoń.
- A więc do widzenia – powiedziała.
- Do widzenia.

Nie puścił jednak jej ręki. Przyciągnął ją do siebie i pocałował delikatnie w usta. Mary stała nieruchomo jak głaz. Nie poddała się ani też nie odsunęła się od niego. Beau ujął w dłonie jej twarz, znów pocałował i poczuł, jak uchodzi z niej napięcie. Objęła go i przytrzymała mocno. Stali tak przez chwilę, nie odzywając się nawet słowem. W końcu odepchnęła go łagodnie.

– Lepiej już idź – wyszeptała.

Beau był w stanie tylko skinąć głową.

Nie odwrócił się ani razu, gdy zbiegał ze wzgórza. W dole, na mokradłach, widział, jak ktoś próbuje wprawić śmigło w ruch. Zaczynali grzać silniki i nim dotarł do drogi, powietrze wypełniał już ich huk. Po chwili przypomniał sobie, co Charlie Hansen powiedział o szansie na start. Wiedział, że to okropne, ale miał nadzieję, że pilot się nie myli.

Przygotowanie maszyny do lotu zajęło niemal cały poranek. Dwudziestu ludzi z Obrony Cywilnej utrzymywało porządek i podtrzymywało nastrój wśród obecnych. Wkrótce wszyscy przywykli do warkotu silników, które pracowały najpierw na wysokich, potem na niskich obrotach. Rozmowy przeszły na najbliższe śluby, ostatnie pogrzeby i interesujący jak zawsze problem reglamentacji.

Doktor Moloney pozwolił sobie na ekstrawagancję i przyjechał samochodem, choć trudno było mówić o medycznym celu wizyty na mokradłach. Przywiózł Barry'ego Kingstona i Pata Coughlana, Con O'Leary i panna Aileen też się z nimi zabrali. Właścicielka hotelu rozpięła się władczo na przednim siedzeniu, a trzech mężczyzn musieli tłoczyć się z tyłu. Siedziała teraz w samochodzie, zakrywając dłońmi uszy i zaczynała się trząść, ilekroć huk silników narastał. Con O'Leary starał się uwiecznić na zdjęciach obraz startującej maszyny.

Warkot silników wzrósł o oktawę i rozgadany tłum zamilkł. Wszyscy wlepili oczy w samolot. Charlie Hansen wychylił się przez okienko kabiny i pomachał na pożegnanie. W tłumie rozległy się radosne okrzyki i ludzie zaczęli machać rękami. Potem wszyscy zakryli sobie uszy. Silniki zaczęły pracować na jeszcze wyższych obrotach i po mokradłach niosło się głośnie echo.

Napięcie rosło. Wszyscy wstrzymali oddech. Śmigła przypominały teraz białą plamę na skrzydłach. Panna Aileen ze zdenerwowania zaplatała różaniec.

– W górę! – ponaglał cicho Barry Kingston. – W górę!

– Matko Boża – błagała panna Aileen, przebierając paciorkami różańca przed nosem. – Czy kiedykolwiek skończą? Mam palpacje.

– Ruszaj! Ruszaj, no dalej! – wołał Con O’Leary i jego głos niósł się po drodze. Ludzie pragnęli siłą woli zmusić wielki bombowiec do oderwania się od ziemi.

Martin Kelleher leżał pod ciężarówką i ledwie widział cokolwiek zza kamiennego murka. Jakimś cudem jednak udawało mu się spoglądać jednym okiem na samolot, drugim zaś obserwować matkę, która wyciągała szyję ponad cofającym się przed hukiem silników tłumem. Nie mógł zapanować nad podnieceniem. Chciał zobaczyć, jak wielki samolot wznosi się w powietrze, a jednocześnie bardzo pragnął spotkać się jeszcze z Mattem. Przycupniętym obok braciom Barry błyszczały oczy.

– Co ty na to? – wyszeptał mu w ucho Pat Barry. Martin wyciągnął z kieszeni miedziaka i podniósł do góry.

– Orzeł – maszyna poleci. Reszka – siedzi w błocie.

– Orzeł – wybrał Pat Barry.

– Ja wybieram reszkę – stwierdził Martin, rzucając monetą. Wytoczyła się spod wozu i zatrzymała na obcasie błyszczącego czarnego buta.

Jego właściciel niczego nie zauważył. Podobnie jak inni, zajęty był w tej chwili nagłą zmianą w pracy silników. Duże śmigła zwalniały obroty, w końcu znieruchomiały. Wokół rozległy się głośnie westchnienia i cmokania. Dla wszystkich było jasne, że próba się nie powiodła.

Martin wypętlzył spod ciężarówki, by odzyskać monetę, ale rozpoznał policjanta, Pata Coughlana, i natychmiast ukrył się z powrotem. Co gorsza, po chwili dołączyły do niego dwie masywne nogi, które, należały do jego wuja, Barry’ego Kingstona.

Mężczyźni oparli się o ciężarówkę. Martini i bracia Barry leżeli cicho jak trusie. Martin zastanawiał się, czy jego kłopoty nigdy się nie skończą, i wypatrywał tylko wśród krążących w pobliżu nóg szczupłych kostek matki.

– Okropny wstyd, nie ma co – stwierdził Barry Kingston. – Okropny wstyd.

– I kłopot – dodał Pat Coughlan.

– Nic nam chyba nie pozostaje, jak zaprowadzić ich z powrotem do hotelu – upewniał się Barry Kingston.

– Możesz robić z nimi, co chcesz, byle nie opuszczali miasta. Niebawem pozbędę się tego kłopotu, dzięki Bogu. Dostałem wiadomość, że szef powraca, i to z całą armią. Obawiam się, że zażąda wyjaśnień.

Amerykanie wrócili na drogę i Martin zobaczył obok ciężarówki długie zielone nogawki. Wkrótce chłopcy byli otoczeni ze wszystkich stron. Martin nie mógł już tego wytrzymać.

– Wieję stąd – oświadczył ponuro.

– Matka cię zabije! – zawołał Pat Barry.

– Wpierw będzie musiała mnie złapać – odparł śmiało Martin. – Coś ci

powiem. Wy się wyczołgacie od tyłu, a ja dam nogę w drugą stronę. Spotkamy się w mieście, na tyłach hotelu.

Zauważył z dumą, że Joe Barry milcząco aprobuje jego plan.

Bracia Barry wyłonili się spod ciężarówki, a potem dali nura w wąski tunel pośród lasu nóg. Martin rzucił się przez tłum, zerkając przez ramię. Chciał się upewnić, że nie został zauważony i wpadł prosto na Matta.

– Hej, *bambino!* Dokąd tak pędzisz? Wygrałeś zakład! Martin sapnął z wrażenia i rozejrzał się.

– Wciąż chowasz się przed mamą? – spytał z uśmiechem Matt, po czym zwrócił się do stojącego obok wysokiego blondyna. – Chodziłeś kiedyś na węgry, Les? Ja robiłem to cały czas. Tyle że po powrocie do domu dostawałem w skórę!

– Raczej nie – roześmiał się wysoki. – Myślisz, że tak jak wczoraj będziemy mogli poruszać się z eskortą w promieniu pięciu kilometrów? – Znasz faceta o nazwisku Dennis Crawley, opiekunie? – zwrócił się do Martina.

Martin przytaknął.

– Mógłbyś go znaleźć i powiedzieć mu, że szuka go Les Wagner. – Potem odwrócił się rozpromieniony do Matta. – Czekają nas chyba długi spacer.

– Spacer po grobli? – spytał Matt, szczerząc radośnie zęby. Les rozpromienił się jeszcze bardziej, a Matt wybuchnął śmiechem i zaczął naśladować ruchy skrzypka. Potem, ku zdumieniu Martina, zatrzepotał kokieteryjnie rękami i zaśpiewał nagle dziewczęcym głosem: – *Kocham cię, szumi wiosenny wietrzyk, kocham cię, odpowiadają echem wzgórza...*

– Wyłącz się – rzucił Les, czerwony jak burak. Wyraźnie był jednak z jakiegoś powodu zadowolony.

Martin nie miał pojęcia, o czym mówią ci dwaj. Nie przejmował się tym. Znów był w swoim żywiole. Odszukałby Dennisa Crowleya nawet podczas zamieci śnieżnej czy sztormu, i to w mgnieniu oka! Oddalił się pospiesznie, wciąż wypatrując matki. Był szczęśliwy jak nigdy. Czuł w kieszeni ciężar noża. Miał bardzo ważną sprawę do załatwienia i wiedział, że nikt nie śmie stanąć mu na drodze.

Rozdział piętnasty

Mary zostawiła doktora Moloneya w kuchni nad filiżanką herbaty, sama zaś poszła na górę przebrać się. Przyjechał, by zaprosić ją na potańcówkę, którą zorganizowano na cześć lotników. Nim zdążyła cokolwiek powiedzieć, stwierdził, że nie przyjmuje żadnych tłumaczeń, a ponieważ jego żona nie czuje się najlepiej, potrzebna mu partnerka. Poza tym pilot nalega, by przyszła, gdyż chce jej osobiście podziękować za pomoc okazaną Beau. Mary poczuła dreszcz podniecenia. Warkot silników umilkł na mokradłach wiele godzin temu, wiedziała więc doskonale, że nie odlecieli.

Usiadła na łóżku. Był to niezwykle dzień. Obudziła się z ciężką głową i spieczonymi wargami, chropowatymi niczym papier ścierny. Źle się czuła i była zaniepokojona. Wiedziała, że to nie z powodu alkoholu, lecz uczuć, jakich doznawała, od chwili, gdy ujrzała tego mężczyznę leżącego bez przytomności na wozie. Była zakłopotana własnymi odczuciami. Podczas śniadania siedziała ze spuszczonego wzrokiem. Beau mówił niewiele, potem szybko się pożegnał.

Turkot wozu, na którym odjechał, cichł w oddali i Mary usiadła przy stole, starając się zapanować nad drżeniem dłoni. Nieprzyjemne uczucie w żołądku zmieniło się w pęczniącą kulę. Miała wrażenie, że traci oddech i zaczęła odczuwać strach. Bała się i nie wiedziała dlaczego. Poszła więc na wzgórze, tak jak czyniła to już tyle razy. Chciała znaleźć pociechę w widoku morza, nieba, we wspomnieniu Seana. I wtedy nadszedł Beau, wziął ją w ramiona i pocałunkami uwolnił od wszelkich lęków.

Czuła się tak, jakby zdarto jej z oczu zasłonę. Nawet ryk silników na mokradłach dawał jej poczucie spokoju, jakiego nigdy przedtem nie doświadczyła. Wiedziała, że nie ujrzy już nigdy przystojnego młodego człowieka z Luizjany, nie miała jednak wyrzutów sumienia. Zostawiał ją ze wspomnieniem czegoś więcej niż tylko pocałunku.

Ocknęła się i przypomniała sobie, że na dole czeka biedny doktor Moloney. Najwyższy czas, by się ruszyć. W co się ubrać? Odruchowo wyjęła sukienkę z jasnozielonego jedwabiu, którą dostała kiedyś od Geralda. Przyłożyła ją do figury i popatrzyła na swe odbicie w lustrze, wykonując jednocześnie niewielki obrót.

– Najlepszy jedwab, jeśli pani pozwoli – powiedziała głośno. – I bardzo elegancki.

Coraz bardziej podniecona, przewróciła sukienkę na drugą stronę, by sprawdzić, czy zachowały się oryginalne szwy. Odnalazła je, schowane starannie pod nieskazitelnymi, małymi szwami, nad którymi tak uważnie pracowała tamtej nocy, gdy jej życie zmieniło się na zawsze. Wyjęła nożyce i rozcięła nici.

Sukienka leżała idealnie i dobrze się w niej czuła. Upinała szybko włosy, przysięgając sobie, że Gerald nigdy więcej jej nie tknie. Nie wiedziała jeszcze jak, nie wiedziała kiedy, ale w głębi serca była przekonana, że pewnego dnia uwolni się od niego. To zły człowiek. Znosiła go bez żadnego konkretnego powodu prócz jednego – nigdy nie przyszło jej do głowy, by z tym skończyć. Szybko znalazła czarne pantofle. Były odrobinę znoszone, ale nadawały się znakomicie. Nie miała pojęcia, co się stanie, gdy znów ujrzy Beau. Nie miało to znaczenia. Ten mężczyzna już ją odmienił.

Zaskoczył ją widok wielkiej sali. Pod ścianami stały krzesła, na parkiecie tańczyła już spora grupa. Orkiestra przygrywała na niewielkim podestu ustawionym w głębi pomieszczenia. Bar był zatłoczony. Odświeżeni ubrani ludzie pili i śmiali się głośno. Cofnęła się o krok. Doktor wyczuł jej zdenerwowanie i wprowadził łagodnie do środka. Zdawało się, że zielone mundury – Jankeśów i ludzi z Obrony Cywilnej – są dosłownie wszędzie. Doktor Moloney oddalił się po drinki, a Mary wodziła wzrokiem po tłumie. Nigdzie jednak nie mogła dostrzec Beau.

Gdy go ujrzała, stał obok orkiestry z miejscową dziewczyną. Nachylił się do niej i coś powiedział, i dziewczyna wybuchnęła śmiechem. Mary poczuła, jak zamiera w niej serce. O Boże! Tak bardzo do siebie pasują, pomyślała. Doskonale dobrana para. Dziarski, młody lotnik i ładna dziewczyna. Tak jak trzeba. Beau ogolił się i przebrał w świeży mundur. Był wręcz porażająco przystojny, dziewczyna zaś młoda i niebrzydka. Śmiała się i patrzyła na niego błyszczącymi oczami, w których malowała się czysta radość życia. Mary zdawała sobie sprawę, że utraciła to spojrzenie na zawsze.

Czuła się źle ubrana i stara, zupełnie nie na miejscu w tej sali, gdzie wszyscy wyglądali na ludzi pozbawionych jakichkolwiek trosk. Beau i dziewczyna gawędzili dalej, nieświadomi, że ktoś im się przygląda. Przerwała im panna Aileen O'Donovan i poprosiła Beau do walca. Był wprawnym tancerzem i w jego ramionach nawet panna Aileen wyglądała jak wiotka dziewczyna.

– Mogę zarezerwować sobie następny taniec? – odezwał się jakiś głos z prawej strony i Matt zaofiarował jej ramię.

– A ja zamawiam następny – zawołał za nimi Wódz.

– To Martin Kelleher, moja oficjalna eskorta – wyjaśnił Matt obecność chłopca z małpką w objęciach. – Chodzi za nami ze swoimi przyjaciółmi od samego rana.

Był dobrym tancerzem i Mary stwierdziła, że wystarczy, by pozwoliła się prowadzić.

– Chyba wiesz, że narobiliście tu sporo szumu – zauważyła. – Ci chłopcy nie zapomną tego do końca życia.

– Wspaniałe dzieciaki. Lubię ich towarzystwo – ciągnął Matt. – To jedna z tych rzeczy, jakiej brakuje w wojsku – dzieciaków. Wszędzie, gdzie tylko jesteśmy, w Ameryce Południowej, w Afryce albo w naszych bazach, cieszymy się, jak widzimy jakieś dzieci.

– Martin Kelleher? To jego matka prowadzi mały sklepik ze słodyczami przy Pearse Street. Chodziłam z nią do szkoły – mówiła Mary, nie odrywając wzroku od Beau, który tańczył na drugim końcu sali. – Biedna Kitty bardzo młodo owdowiała. Ale chyba nieźle sobie radzi. Choć trudno samej wychowywać dzieci.

Ponad ramieniem Matta widziała, jak Beau odprowadza pannę Aileen na jej miejsce. Najwyraźniej oczarowana partnerem kobieta nie przestawała mówić.

– Owdowiała? – Matt uniósł z zainteresowaniem brwi. – I ma na imię Kitty?

Nie powiedział jednak nic więcej i Mary zastanawiała się, o co mu chodzi.

Taniec się skończył i powrócili do pozostałych. Doktor Moloney zdążył już wrócić z baru i rozmawiał z Wódcem i wysokim Amerykaninem, który palił fajkę.

– Ach, jesteś, Mary – rzekł. – To porucznik Charles Hansen, pilot. Bardzo chciał cię poznać.

– Pragnę pani podziękować za pomoc – pilot uściskał jej dłoń. – Jak pani widzi, sierżant Beauregard jest już całkowicie wyleczony. – Wskazał na Beau.

Panna Aileen przedstawiała go właśnie grupie starszych kobiet, a on nie omieszkał, ku ich wielkiemu zadowoleniu, uśmiechnąć się do każdej. Poprosił jedną do tańca i w chwilę później znów sunął po parkiecie.

– Ma bez wątpienia jakiś sposób na kobiety – zauważył z uśmiechem doktor Moloney.

– To jego wymowa – zazartował Matt. – Ten miękki południowy akcent zawsze na nie działa.

– Rzeczywiście – stwierdziła sucho Mary.

Wódz upomniał się o swoją kolejkę i znów znalazła się na parkiecie. Grano fokstrota i musiała skoncentrować się na tym, by dotrzymać kroku drobnemu partnerowi, który trzymał ją mocno. Nagle stwierdziła z zaskoczeniem, że Beau tańczy tuż obok. Zobaczyła, że patrzy na nią rozpromieniony i serce podeszło jej do gardła. Wyglądał jak najszczęśliwszy człowiek pod słońcem.

– Mary – zawołał. – Przyszłaś!

Jego partnerka wyciągnęła szyję, by sprawdzić, do kogo mówi. Mary napotkała jej zaciekawione spojrzenie i popatrzyła kobiecie zimno w oczy. Stare wścibskie ptaszysko – pomyślała.

– Przyjdę do ciebie za chwilę – zawołał Beau przez ramię swej partnerki,

oddalając się w głąb sali. Mary starała się uspokoić. Musiała dokończyć taniec. Wódz bawił ją rozmową na temat nieudanej próby odlotu, ale ona tylko przytakiwała. Czuła, że Beau obserwuje ją z drugiego końca sali. Był to dla niej najdłuższy fokstrot na świecie. Wreszcie jednak taniec dobiegł końca i po chwili Beau był już u jej boku.

– Już się martwiłem, że nie przyjdiesz – rzucił zdyszany. Cofnął się o krok i popatrzył na nią. – Wyglądasz wspaniale.

Mary nie mogła wydusić słowa. Zdawało jej się, że płonie pod jego spojrzeniem. Nie wiedziała, czy wygląda wspaniale, ale z pewnością tak właśnie się czuła. Beau ujął ją dyskretnie pod ramię i powoli zaczął się odsuwać od ich grupy.

– Chodźmy. Musimy stąd wyjść – wyszeptał.

Przecisnęli się już niemal przez tłum, gdy ktoś zawołał jego imię. Na podeście dla orkiestry stał doktor Moloney z Conem O’Leary. Beau odwrócił się i pomachał im bez entuzjazmu.

– Czego oni chcą? – spytał pod nosem. Doktor i Con nadal przywoływali go do siebie.

– Chcą chyba, żebyś zagrał – odparła Mary. – Będziesz musiał do nich pójść.

Beau sprawiał wrażenie złapanego w potrzask. Ścisnął lekko jej ramię.

– Zaraz wracam. Nie waż się nigdzie odchodzić.

Mary patrzyła, jak przeciska się przez tłum. Wciąż czuła obok siebie jego zapach, a na ramieniu dotyk dłoni. Co ona na Boga wyprawia? Traci niemal zmysły, gdy jest przy niej, a gdy odszedł, poczuła się jak spoliczkowana. Przepelniała ją radość pomieszana z żalem. Beau naradzał się chwilę z muzykami, po czym usiadł przy fortepianie. Spojrzał na nią ponad głowami tłumy i zaczął grać. Grał wolniej niż poprzedniego wieczoru, lecz od razu rozpoznała melodię. To *Tylko papierowy księżyc*. Wiedziała, że gra tę piosenkę wyłącznie dla niej.

Tłum znowu ruszył na parkiet i została sama. Czuła się, jak wystawiona na pokaz i zaczęła sunąć tyłem w stronę ciemniejszej części sali. Beau spojrzął przez ramię. Wodził wzrokiem po tłumie i zmarszczył czoło, gdy jej nie dostrzegł. Mary zaś potrzebowała odrobiny świeżego powietrza. Natrafiła plecami na jakieś drzwi, namacała klamkę i wymknęła się na zewnątrz.

W wąskiej alejce, w której się znalazła, było cicho i spokojnie. Usiadła na beczce i wciągnęła głęboko w płuca ostre, zimne powietrze, by się otrzeźwić. Jasny księżyc zalewał alejkę srebrną poświatą. Słyszała głos Beau na tle przytłumionego szurania stóp i brzęku butelek. Papierowy księżyc, też coś – pomyślała. Nigdy w życiu nie słyszała niczego równie niemądrego. Orkiestra podjęła melodię i muzyka nabrała mocy.

Nagle drzwi sali otworzyły się gwałtownie i pojawił się Beau. Rozglądał

się gorączkowo.

– Dzięki Bogu! – zawołał, gdy ją dostrzegł. – Już myślałem, że mi zginęłaś.

– Potrzebowałam świeżego powietrza – odparła z wahaniem.

Beau postawił ją na nogi i przytrzymał za ramiona. Popatrzył jej badawczo w twarz.

– Nic ci nie jest?

– Nie, wszystko w porządku.

Czuła, że cała drży i zastanawiała się, czy on to widzi. Mężczyzna spoglądał na nią z pożądaniem i troską.

– Czy wiesz, jaka jesteś piękna w blasku księżyca? – spytał. Potrząsnęła wolno głową i spojrzała mu w oczy.

– Nie, nie wiem – odparła zwyczajnie, nie odwracając wzroku ani na chwilę. – Powiedz mi.

– Jesteś o wiele, o wiele za piękna – odpowiedział powoli, jakby chciał podkreślić każde słowo.

Zamknęła oczy i uśmiechnęła się. Otworzyła je, a on wciąż na nią patrzył. Cofnęła się.

– Beau, chciałabym... – zaczęła, jękając się lekko. – Chiałabym... – spróbowała ponownie – to znaczy jestem...

Starał się pomóc jej wzrokiem. Wzięła głęboki oddech.

– Beau, nie mogę – powiedziała zwyczajnie. – Po prostu nie mogę. Przyciągnął ją do piersi i kołysał jak dziecko, a ona miała wrażenie, że roztopia się w jego ciepłych ramionach.

– Wiem. Wiem, że nie możesz – wyszeptał jej w ucho. – Wszystko w porządku. – Odsunął się trochę i zmusił ją, by na niego spojrzała. – Chcę tylko, byś mnie wysłuchała. Nigdy bym cię nie skrzywdził. Nie zamierzam zmuszać cię do czegokolwiek. Rozumiem. Nie musisz uciekać.

Nakłonił ją, by z powrotem usiadła na beczce, po czym ujął jej dłoń.

– Przyznaję, że jestem tobą zauroczony, ale nie ma przecież w tym nic złego, prawda? Jesteś chyba przyzwyczajona do mężczyzn, którzy wariują dla ciebie od pierwszej chwili. Nie lepiej czerpać z tego radość, zamiast się przejmować? Wiesz, że jesteś piękna. Gdybyś była piękną z Południa, pod twoim domem czekałaby kolejka mężczyzn, by ujrzeć cię w oknie choć przez moment, a ty byś nawet nie musiała na nich patrzeć.

Mary wybuchnęła śmiechem. Nie pojmowała, jakim cudem wszystko wydawało się przy nim takie łatwe.

– Diabeł z ciebie, nie ma co – westchnęła.

– Wiem – przyznał, szczerząc zęby. – I to przystojny, jak usłyszałem przy paru okazjach. I do tego cholernie czarujący!

– Nie bądź taki zarozumiały.

– A niby czemu? – spytał ze śmiechem. – Popatrz tylko na mnie – siedzę tu sobie z piękną kobietą, w górze świeci wielki, okrągły, stary jak świat księżyc, a w tle gra muzyka.

– Zeskoczyłeś po prostu z podium i zostawiłeś ich wszystkich? – spytała.

– Oczywiście, że nie – odparł, urażony nieco takim przypuszczeniem. – Najpierw skończyłem śpiewać i obdarzyłem wszystkich swym najpokorniejszym ukłonem.

– A tak gwoli ścisłości, księżyc nie jest jeszcze w pełni – zauważyła. – I nie będzie aż do niedzieli.

– Nieważne. Usiądziemy sobie wtedy i popatrzymy na niego. – Zerwał się podniecony i pociągnął ją za sobą. – Coś ci powiem. Wiesz, co uczyniłoby mnie najszcześniejszym człowiekiem na całym szerokim świecie?

Mary potrząsnęła przecząco głową.

– Zatańcz ze mną. Wejź do środka i zatańcz.

Gdy wrócili do sali, na parkiecie panował ścisk. Beau trzymał ją za rękę, dopóki nie weszli w krąg światła i poczuła ukłucie żalu, gdy ją puścił. Prowadzący orkiestrę wzywał tańczących do łączenia się w pary. Partnerzy ustawiali się w rzędzie, pozostało jednak między nimi sporo wolnych miejsc i wzywano kolejnych tancerzy.

– Co się dzieje? – spytał Beau.

– Będą tańczyć *Obleżenie Ennis* – wyjaśniła Mary. – Chodź! To niezła zabawa!

Zaintrygowany, ruszył za nią na parkiet. Tworzyli kolejną parę w poczwórnym rzędzie. Było sporo zamieszania i wymiany partnerów, nim szyk tancerzy w pełni zadowolił szefa orkiestry. Przygotowania dobiegły wreszcie końca i na parkiecie były sześćdziesiąt cztery osoby. Stali w dwóch rzędach, twarzami do siebie, w ośmiu parach po czworo. Zaczęto grać i Mary podniosła rękę Beau. Odmierzała rytm drugą ręką podobnie jak pozostałe sto dwadzieścia osiem uniesionych dłoni. Cała sala ruszyła jednocześnie.

– Do przodu – nakazała Mary, gdy podskoczyli dwa kroki przed siebie. – I do tyłu – powiedziała, gdy zaczęli się cofać.

– Jak skoczny menuet – zauważył Beau.

– Niezupełnie. Teraz w bok i w tył – podpowiadała. Wybuchnęła śmiechem, gdy wpadli na sąsiednią parę. Wszyscy Amerykanie, wpadali na innych tancerzy i miejscowi bawili się ich nieporadnością. Tancerze ponownie zajęli wyznaczone pierwotnie pozycje i każdy stał twarzą do partnera.

– A teraz co? – spytał Beau, przytupując, by zachować rytm.

– Teraz wirujesz – powiedziała Mary i wskazała potężnie zbudowaną damę, która stała naprzeciw niego. Kobieta podskoczyła ochoczo i chwyciła Beau w pasie. Równie wysoka jak on, była jednak dwa razy szersza i Beau

spojrzał na Mary z udawanym przerażeniem. Partner Mary kręcił nią, aż sala zaczęła wirować w jej oczach jak szalona. Widziała przez chwilę Beau i omal nie straciła ze śmiechu równowagi, gdy patrzyła, jak z wielką galanterią trzyma szeroką talię swej partnerki. Ona kręciła nim dookoła, unosząc go niemal nad podłogą.

Każdy szereg przesunął się odrobinę i w całym tym zamieszaniu Beau stracił swą pozycję. Próbował wrócić na stronę Mary, ale ktoś zdążył już zająć jego miejsce. Pomachała mu z daleka. Kobieta trzymała jego dłoń w żelaznym uścisku.

– Co teraz będzie? – zawołał do Mary.

– Zrobimy to jeszcze raz – odparła ze śmiechem.

Zbliżali się w tańcu do siebie, potem cofali, a Beau nie przestawał patrzeć jej w oczy. Zdołał jakoś uchwycić rytm i dotrzymywał kroku swej partnerce, gdy jego rząd przesunął się w bok i w tył. Znow znalazli się z Mary naprzeciw siebie. Wyciągnęła rękę i pokazała Beau, jak ma spleść z nią ramiona. Wirowali coraz szybciej i obejmowali się coraz mocniej, by nie upaść. Zaśmiewali się przy tym do rozpuku. Mary czuła, jak serce rośnie jej z radości i brakuje jej tchu. Wszystko jednak skończyło się równie niespodziewanie, jak się zaczęło i Beau przesunął się do przodu, do rzędu tancerzy za jej plecami.

Cały układ powtarzał się co chwila. Beau tańczył zgodnie z ruchem wskazówek zegara, podczas gdy rząd Mary sunął w przeciwnym kierunku. Wielkie koło za każdym razem zmieniało odrobinę położenie. Przez jakiś czas oddalali się od siebie i gdy znaleźli się na przeciwległych krańcach sali, ponownie zaczęli się do siebie przybliżać. Szukali się wzrokiem ponad głowami innych tancerzy, tracąc orientację przy każdym wirowaniu, a potem znow odnajdywali się z uśmiechem.

Mary czuła, że odległość między nimi zmniejsza się coraz bardziej. Beau był tylko cztery rzędy dalej. Zdążył już nauczyć się kroku i naprawdę tańczył. Czuła, że stara się dosięgnąć ją oczami i nie mogła się doczekać, kiedy znow staną do siebie twarzami i zaczną wirować, lecz gdy zajął miejsce naprzeciwko niej, muzyka ucichła.

Tancerze wokół nich rozchodzili się z wolna, a oni stali zdyszani. Nic nie mówili, jakby nie chcąc zakłócać czaru tej chwili. Dopiero gdy Beau wziął ją za rękę i ujął ją w talię, uświadomiła sobie, że orkiestra znow zaczęła grać.

Powolny walc pozwalał na wytchnienie po niedawnych szaleństwach. Taniec z Beau przypominał jej unoszenie się na wodzie. Trzymał ją delikatnie, a jednocześnie mocno, prowadząc z wdziękiem po sali. Ich ciała nie stykały się ze sobą, a mimo to poruszali się, jakby tworzyli jedność.

– Jesteś bardzo dobrym tancerzem – zauważyła Mary.

– I tak być powinno. Moi rodzice wydali na to fortunę – odparł z miejsca.

– Brałeś lekcje?

– W każdy wtorek po południu, od szóstego do dwunastego roku życia. Zawozili mnie do miasta i kazali ćwiczyć. Instruktorem była wyjątkowo groźna kobieta, zwana panną Różą. Przypominała trochę moją poprzednią partnerkę, tyle że była bardziej potargana. Urządzała co tydzień wieczorki taneczne z herbatką, podczas których nauczała zasad właściwego zachowania oraz tańca. Jej celem było wpojenie nam zarówno dobrych manier, jak też umiejętności potrzebnych na parkiecie. Wszystkie dziewczęta przewyższały chłopców wzrostem i wyglądały jak bezy. One przynajmniej miały frajdę ze swoich sukienek, za to biedni chłopcy byli nieszczęśliwi. Odszykowani, przed każdą lekcją musieli wbijać się w garnitury z krawatem. To taka południowa odmiana tortur. Coś okropnego. Nienawidziłem tego z całego serca.

Mary wybuchnęła śmiechem.

– Po co tam chodziłeś?

– Miałem wielką ochotę dać sobie spokój, ale matka nie chciała o tym słyszeć. Kiedy skończyłem dwanaście lat, postanowiłem już więcej nie uczestniczyć w tej zabawie.

– A twoja matka? – spytała Mary.

– Można by powiedzieć, że nie poinformowałem jej o tym – odparł z łobuzerskim uśmiechem.

– Więc jak się od tego wywinąłeś?

– Kosztowało mnie to trochę zachodu. – Wysmażyłem list z informacją, że w związku z pewnym schorzeniem nie mogę uczęszczać na zajęcia, następnie zaadresowałem go do panny Róży. Potem przekupiłem bonę i zapewniłem sobie milczenie kierowcy. Powiedziałem mu, że wiem o butelce whisky, którą chował w skrytce na rękawiczki. Tak więc co wtorek wyskakiwałem z samochodu i udawałem, że wchodzę do budynku, gdzie odbywały się potańcówki, a tak naprawdę czmychałem boczną alejką i szedłem grać w pokera z chłopakami z biedniejszych dzielnic. Smutna historia korupcji, że tak powiem – potrząsnął głową. – Popełniłem całe mnóstwo grzechów. Kłamstwo, fałszerstwo, przekupstwo, wymuszenie i hazard! A miałem tylko dwanaście lat.

– Jak długo udawało ci się tak kręcić?

– Tylko jeden semestr. Panna Róża odwiedziła w końcu moją matkę, by się dowiedzieć, czy mi się polepszyło, i wszystko wyszło na jaw. Srogo zapłaciłem, wierz mi. Ale warto było. Nigdy już nie musiałem wracać na te zajęcia.

– Ale musisz przyznać, że nauczyłeś się tańczyć – stwierdziła Mary, gdy muzyka umilkła. Zawirowali na parkiecie ostatni raz.

– To prawda. I muszę przyznać, że dzięki panie Róży umiem się znaleźć w każdej sytuacji – stwierdził z uśmiechem i cofnął się o krok, nie puszczając jej dłoni. – Proszę przyjąć podziękowania za przyjemność, jaką był dla mnie taniec z panią, madame. Jestem pani wiecznym dłużnikiem.

Skłonił się szarmancko i musnął ustami jej dłoń. Mary zaśmiała się i dygnęła.

Gdy orkiestra zaczęła grać znowu, podszedł do nich porucznik Hansen. Poprosił ją do tańca, uprzedzając, że ma dwie lewe nogi. W przeciwieństwie jednak do doktora Moloneya, który zamówił następny taniec, zdołał jednak przetańczyć bez poważniejszych problemów cały kawałek. Doktor rzeczywiście nie był mistrzem i przeproszał Mary gorąco, ilekroć nadepnął jej na stopę. Kobiety z miasteczka ustawiały się w kolejce, by zatańczyć z Amerykanami i najchętniej wybierały Beau i Wodza. Matt tańczył z Kitty Kelleher, a mały Martin przyglądał się temu ze zdumieniem. Panna Aileen O'Donovan porwała Cona O'Leary'ego i narzekając głośno, że nowe buty sprawiają jej udrekę, błagała, by Broń Boże jej nie nadepnął. Beau często spoglądał na Mary. Przy każdym kolejnym kawałku starał się przejść na jej stronę sali, lecz za każdym razem ktoś porywał ich do tańca.

Mary tańczyła kolejno z wszystkimi lotnikami. Byli szarmanccy i serdeczni, ale żaden nie dorównywał czarem Beau. Zauważyła, że nie ma wysokiego Lesa Wagnera i spytała o niego, gdy znów tańczyła z Mattem. Uśmiechnął się i powiedział tylko, że „poszedł na długi spacer”. A ona zastanawiała się, czy czasem Imelda nie ma z tym czegoś wspólnego.

Sala była roześmiana i roztańczona. Mary nie pamiętała już, kiedy ostatni raz tak dobrze się bawiła. Z upływem wieczoru zapomniano o wszelkich zmartwieniach i kłopotach, wybaczone sobie wszelkie urazy. Mary rozmawiała z ludźmi, z którymi od lat nie zamieniła nawet jednego słowa. Wielu z nich mówiło jej, jak bardzo się cieszą, że tak dobrze wygląda. Po raz pierwszy od dawna czuła, że jest częścią tego miasta i że należy do jego mieszkańców. Zrobiło jej się ciepło na sercu.

Mary zrobiła sobie przerwę w tańcu. Chciała odpocząć i popatrzeć. Upłynęło ledwie kilka minut, gdy przysiadł się do niej Beau.

– Jesteś prawdziwą królową balu – oświadczył i położył żartobliwie dłoń na sercu, udając rozpacz. – Przez godzinę próbowałem z tobą zatańczyć, lecz ignorowałaś mnie całkowicie. Myślałem, że kijem będę musiał odganiać adoratorów, by znów z tobą pomówić.

– Nie jestem żadną królową balu. To tylko ładna sukienka – stwierdziła, zadowolona, że znów jest przy niej.

Beau nachylił się i zauważyła, że naśladuje Matta.

– Jak mówią w Brooklinie: „To nie sukienka, to magnes”. Nawet Charlie Hansen cię uwodził.

– Wasz pilot to uroczy człowiek – oświadczyła. – Za wszelką cenę chce dostać się do Anglii i walczyć dalej.

– Och, wszyscy oni chyba tego chcą – rzucił Beau, jakby błędził gdzieś myślami.

– Powiedział, że załoga bardzo się ucieszy, jak cię zobaczy.

Beau wzruszył tylko ramionami i Mary przyszło do głowy, że pewnie nie chce mówić o wojnie. Wzdrygnęła się na myśl, że będzie ryzykował życie. Zauważył nagłą zmianę w jej nastroju i spytał, co się stało.

– Serce mi się kraje, kiedy widzę młodych ludzi idących na wojnę – odparła smutno. – Boję się myśleć, że coś mogłoby ci się przytrafić – dodała cicho.

Ku jej zdumieniu mrugnął tylko i roześmiał się.

– Nie musisz się o mnie martwić – stwierdził wesoło.

– Mogą cię przecież zestrzelić – szepnęła z powagą. – Słyszeliśmy co nieco. Gazety są cenzurowane, tak jak listy, ale wieści się rozchodzą.

– Mimo to nie musisz się martwić – uspokoił ją z uśmiechem. – Prawdopodobieństwo zestrzelenia jest w moim przypadku takie samo jak potrącenia przez autobus.

Nie bardzo rozumiała, o czym on mówi.

– Potrafisz dochować tajemnicy? – zwrócił się do niej z konspiracyjnym uśmiechem:

Mary przytaknęła z wolna.

– Nie jestem tak naprawdę lotnikiem – wyszeptał jej do ucha.

– O czym ty mówisz? – spytała, wskazując na jego mundur. Beau spojrzął po sobie, jakby dopiero teraz spostrzegł, że go nosi.

– Ach, to? To tylko na niby.

– Kim w takim razie jesteś? – spytała zdumiona.

– Jestem po prostu przystojnym diabłem z Luizjany. Tylko nie mów nikomu. – Beau zamilkł, by podkreślić wagę tajemnicy. – Przrzekasz?

– Nie wierzę w ani jedno twoje słowo – stwierdziła poważnie, choć jej oczy migotały wesoło.

– Obiecujesz, że nikomu nie powiesz? – nalegał.

– Pewnie powinnam udawać, że ci wierzę, skoro ma cię to zadowolić – odparła Mary i rozłożyła dłonie w geście rezygnacji.

– No, to sprawa załatwiona – stwierdził Beau. Rozsiadł się wygodnie, wyciągnął przed siebie długie nogi. – Ty będziesz udawać i ja będę udawać, i jakoś sobie z tym poradzimy.

Patrzyła na niego zaciekawiona, czy zechce cokolwiek wyjaśnić, ale nie miał już nic więcej do powiedzenia. Uniósł tylko brwi i zaczął gwizdać, jakby nic go nie obchodziło. Obserwował chłopców bawiących się z Tojo, cały czas jednak spoglądał na nią z niemądrym grymasem i Mary uzmysłowiła sobie, że gwizdże *Papierowy księżyc*. Miał minę świętoszka.

– Jesteś diabłem z Luizjany, to pewne – stwierdziła, potrząsając głową.

– *...ale uwierzyłabyś w niego, gdybyś uwierzyła we mnie...* – śpiewał udając, że jej nie słyszy.

– Uważasz się za mądrą, co? – spytała Mary surowo, nie mogła jednak powstrzymać się uśmiechu.

Beau wyprostował się i popatrzył jej w oczy.

– Nie, proszę pani, ja wcale tak nie uważam – stwierdził z powagą. – Ja wiem, że nim jestem. Prawdę mówiąc, kiedy się urodziłem, mama powiedziała, że w całej Luizjanie nie ma mądrzejszego dzieciaka!

Odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął głośnym śmiechem.

Rozdział szesnasty

Les oświetlał sobie drogę latarką. Błotnista ścieżka była tak zarośnięta, że łatwo zgubiłby ją w ciemności, gdyby nie szedł tędy wcześniej. Dennis przyprowadził go w to miejsce po południu, ale okazało się, że Tommy i Imelda wyjechali na cały dzień i ciotka powiedziała, by wpadli później. Les był zawiedziony, że nie zastał dziewczyny, ale spotęgowało to tylko jego determinację. Musiał się z nią zobaczyć. Po długich namowach przekonał Dennisa, by zgodził się wrócić wieczorem do obozowiska Cyganów.

Ruth nie miała nic przeciwko temu. Powiedziała tylko rodzicom, że w związku z tańcami musi zostać dłużej w hotelu. Dennis przyprowadził dla Lesa rower.

Les nie bardzo wiedział, czy obowiązuje ich godzina policyjna, ale nie pytał o to. Doszedł do wniosku, że czasem należy zapomnieć o regulaminie, i poprosił Matta, by ten go krył, gdyby ktoś zaczął zadawać pytania. Wyprawa miała posmak zakazanego owocu, gdy wyjeżdżali w ciemności z miasta, tłumiąc śmiech. Wybrali inną niż zwykle drogę, by nie natknąć się na kogoś znajomego.

Les rzucił plecak na ziemię i zawołał pozostałych.

– Tędy. Nic nie widać, więc uważajcie.

– Pomóc ci? – spytał Dennis. – Twój bagaż jest chyba ciężki.

– Nie, dzięki. Dam sobie radę – odparł Les, zrzucając plecak na ramię.

– Co tam masz? – zainteresowała się Ruth.

– Kilka rzeczy z samolotu i trochę zakupów z miasta. Wiecie, jedzenie i owoce. Znalazłem trochę czekolady dla dzieciaków. I butelkę rumu od Matta.

– Rum! Jestem pewien, że przywitają nas jak trzeba – stwierdził Dennis.

– Jezu, zapadłam się po kostki – krzyknęła Ruth. – Już po butach. Jak ja się z tego wytłumaczę?

Les oświetlił dziewczynę. Zboczyła ze ścieżki i weszła w mokradło. Dennis i Les, widząc, jak próbuje wydostać się z błota, nie wytrzymali i wybuchnęli śmiechem.

– Idźcie do diabła i róbcie sobie żarty z kogo innego – obruszyła się dziewczyna. Im bardziej się szarpała, tym głośniejsze się śmiali. – Przestańcie i pomóżcie mi, osły! – krzyknęła w końcu.

Dennis wysunął ramię i chwycił ją za rękę.

– Dawaj, dziewczyno, wyciągnę cię.

Wyskoczyła z mokradła niczym korek i Dennis wyciągnął ją z powrotem na ścieżkę.

– Święta Matko, straciłam buty!

Stała boso, patrząc bezradnie na czarne błoto. Les poświecił latarką, ale po pantoflach nie pozostał nawet ślad. Jakby bagnisko po prostu je połknęło.

- Cholera – rzucił z respektem Les. – Zupełnie jak lotne piaski.
- Bo to są lotne piaski, zwłaszcza bliżej morza. Ujście bywa w czasie odpływu zdradzieckie – zauważył Dennis.
- Zdradzieckie? – zawołała Ruth. – Też coś! Niech no tylko matka zobaczy, jak wracam do domu bez butów! Połknie mnie prędzej niż jakieś lotne piaski.
- Dawaj, poniosę cię – odparł Dennis, podrywając ją do góry.
- Postaw mnie na ziemi! – rozkazała Ruth. Usłyszeli dochodzące z daleka szczekanie psów.
- Dajcie spokój. Idziemy – wtrącił Les.

W połowie drogi napotkali sforę powarkujących groźnie kundli. Nie pozwoliły im przejść, dopóki nie odwołał ich idący za nimi człowiek. Był to wuj Imeldy, Paddy. Powitał przybyłych i zaprowadził na łąkę. Psy obwąchiwały im stopy. Dwa małe ogniska rozświetlały mrok, strzelając w nocne niebo iskrami. Stojący w niewielkich grupkach ludzie grzali się przy nich. Les dostrzegł zarysy dwóch wozów i chatę o kamiennych ścianach. Po prawej stronie dojrzał w ciemności trzeci wóz, tuż obok wozu Imeldy. Niedaleko stał duży, niski namiot. Za jego ścianą poruszały się powiększone cienie uwiązanych koni.

Wkroczyli na polanę i na ich spotkanie wybiegły dzieci. Niebawem otoczył ich co najmniej tuzin malców oraz wataha psów. Imelda stała obok ciotki. Les podszedł do niej i podał jej plecak.

– To trochę rzeczy dla dzieci – powiedział nieśmiało. – I butelka rumu dla twojego wuja.

Imelda podziękowała skinieniem głowy i wręczyła prezenty ciotce.

– Jest tam też lalka – dodał Les. – Kupiłem ją dla Nellie. Mam nadzieję, że czuje się już lepiej.

– Tak, o wiele lepiej – odparła Imelda, uciszając dzieci.

Ciotka Helen otworzyła plecak i znalazła lalkę. Siostry Imeldy porwały ją natychmiast. Pobiegły do wozu, wołając głośno, by Nellie zobaczyła, co przyniósł jej ten Jankes.

– Przez jakiś czas będą cicho – stwierdziła Imelda. Ciotka Helen opróżniała dalej plecak. Przy każdym kolejnym podarunku rozlegał się pomruk zadowolenia skupionych w pobliżu kobiet i dzieci. Les rozejrzał się. Naliczył w obozowisku co najmniej trzydziestu ludzi.

– To wszystko twoja rodzina? – spytał Imeldy.

– Mniej lub bardziej – odparła. – Ci, to kuzyni ze Skibereen. Za kilka dni przeniosą się do Cork, a potem na całe lato do Clare.

– Wszyscy Cyganie są spokrewnieni – wyjaśniła Ruth. – Pobierają się tylko między sobą, rozumiesz – dodała.

Les nie miał czasu otworzyć ust. Podszedł Tommy i wraz z Dennisem przeszli do ogniska. Przedstawił ich grupie stojących tam mężczyzn, a oni

skinęli tylko głowami i mruknęli coś na powitanie, ściskając przybyłym dłonie. Tommy przyciągnął mały taboret o trzech nogach i drewnianą skrzynkę i pokazał, by usiedli. Les miał nadzieję, że dziewczęta przyłączą się do nich, zobaczył jednak, że Imelda i Ruth podchodzą do ogniska, przy którym sadowiły się kobiety. Imelda wskazała dłonią bose stopy Ruth i ta wybuchnęła śmiechem.

– Dlaczego mężczyźni i kobiety siedzą osobno? – spytał Les Tommy’ego. Tommy wzruszył ramionami, jakby chciał dać do zrozumienia, że nigdy nie zaprzętał tym sobie głowy.

– A bo ja wiem. Siedzą i już.

– No to jak się ze sobą zapoznają? – zażartował Les.

– Zapoznają? Nie musimy się zapoznawać. Znamy wszystkich – wyjaśnił Tommy, najwyraźniej znudzony rozmową.

– Ale jak... no wiesz... znajdujecie dziewczyny? – nie dawał za wygraną Les.

Tommy popatrzył na niego i zmarszczył nos, nie rozumiejąc.

– Chodzi mi o to, jak znajdujecie sobie sympatię. Ukochaną. Przecież się pobieracie, nie? – Les zerknął na Dennisa, który tylko potrząsnął głową i roześmiał się.

– Pobierać się! – wykrzyknął Tommy, jakby wreszcie pojął, o co chodzi.

– A, w tym rzecz. Pewnie, że się pobieramy, ale to już ustalają starsi... Czasem, jak ktoś się rodzi, a czasem, jak ktoś jest już starszy.

– Kojarzycie małżeństwa? Nie wiedziałem, że coś takiego jeszcze istnieje. A jak się ktoś nie zgadza?

– Zawsze w końcu jakoś wychodzi – stwierdził rzeczowym tonem chłopak. – Starsi ludzie wiedzą najlepiej. Znają młodych i znają rodziny, więc potrafią wszystkich wyswatać. Ale dajmy już temu spokój. Słyszałem, że masz butelkę rumu?

Tommy skinął na ciotkę, która przysłała Imeldę i Ruth z butelką. Dziewczyny przyniosły także bańkę herbaty, słoik dżemu i filiżanki. Mężczyźni wokół ogniska pomrukami wyrazili zadowolenie. Butelkę puszczonego w obieg i każdy, nim wziął spory łyk, podnosił ją do góry. Imelda nie odzywała się do Lesa, tylko uśmiechała się, gdy nalewała mu filiżankę bardzo słodkiej herbaty z mlekiem. Płomienie dobywały miedziane błyski z grubego warkocza na jej plecach i pomyślał, że jest jeszcze ładniejsza, niż ją zapamiętał. Ruth chciała stanąć obok Dennisa, lecz Imelda pociągnęła ją za rękaw i zaprowadziła z powrotem do ogniska kobiet.

– Czy Ruth wpadła do błota? – spytał Tommy, patrząc w ślad za dziewczętami.

– Tak – potwierdził Dennis. – Straciła buty.

– Miała szczęście, że się jakoś wydostała – zauważył poważnie Tommy. – Prawda, wuju Mick? – zwrócił się do bardzo starego człowieka, który siedział

na wiadrze obok ognia. Zdawało się, że mężczyzna śpi z brodą wspartą na dłoniach, balansował na krótkim kijku, który przed sobą trzymał. Jego ciężki czarny płaszcz pokrywała skorupa błota, spodnie odzienie było spłowiałe. Spod wymiętoszonej czapki wysuwały się zaskakująco gęste kędziory siwych włosów.

– Wuj Mick zna wszystkie stare historie, prawda?

Na dźwięk swego imienia stary człowiek otworzył oczy i wykrzywił twarz w szerokim, bezzębnym uśmiechu. Jedno oko miał przysłonięte bielmem, drugie jednak świeciło niczym błękitne światełko w szarych wodach morza.

– Hej, chłopak! – starzec zagwizdał przez dziąsła, pokazując kijem na Tommy’ego. Wyglądał jak jakiś dziwaczny stwór, który wypełził spod korzeni drzewa. Jego gruzłowate dłonie były poskręcane i czarne niczym węgiel.

– Powiedz im o mokradłach, Mick – nalegał Tommy. Pozostali mężczyźni rozsiedli się wygodnie, jakby w oczekiwaniu na ciekawą historię.

– Tam są umarli, chłopak! – rzekł starzec. – Umarli w bagnie. Strząsną z ciebie mięso i połkną kości!

Mężczyźni roześmieli się głośno i wzniesli na cześć starca kubki. Zaczęli go namawiać, by opowiedział jakąś historię, a potem kazali wszystkim się uciszyć. Kobiety przy sąsiednim ognisku przerwały rozmowy i uspokoiły dzieci. Zapadło milczenie i starzec zaczął opowiadać.

Recytował coś z ogromnym przejęciem. Les nie mógł zrozumieć, o czym mówił. Miało to rym i rytm, a narrator od czasu do czasu przerywał, by słuchacze mogli wybuchnąć śmiechem albo westchnąć, co czynili bardzo głośno. Kobiety wołały coś do niego i widać było, że czerpią z opowieści ogromną radość. Lesowi udawało się czasem wyłapać jakieś słowo, choć chwilami w ogóle nie przypominało to angielskiego. Historia, jak mógł się zorientować, była niekiedy straszna, a niekiedy zabawna. Starzec rzucił czar na słuchaczy. Chłonęli każde jego słowo i grymas twarzy. Les przytakiwał i uśmiechał się, ilekroć wydawało się to konieczne. Wszyscy tak doskonale się bawili, że wtórował im śmiechem, szczęśliwy z ich towarzystwa.

Chmury na niebie rozsunały się i za starym człowiekiem, niczym upiorne tło, ukazał się księżyc. Les miał wrażenie, że przeniesiono go na karty jakiejś książki. Ogniska, kobiety otulone szalami, małe, bose dzieci bawiące się w błocie i stary bezzębny mężczyzna, który wymachiwał w blasku księżyca swym kijem – wszystko to przypominało obrazki z bajek. A pośrodku, niczym cygańska księżniczka, siedziała Imelda.

Starzec zakończył opowieść zamaszystym ruchem i gwałtownym sztychem kija. Wszyscy pokładali się ze śmiechu.

– Nawet w najgłębszym zakątku Afryki nie byłbym dalej od Wisconsin – pomyślał Les.

Starzec pociągnął z butelki i podał rum Lesowi, wypowiadając głośno

jakieś słowa. Zabrzmiały jak toast lub jakieś życzenia. Les uśmiechnął się szeroko i wziął od niego butelkę.

– Dziękuję – powiedział, szczerząc zęby. Miał nadzieję, że nie zawiera w tej chwili żadnego paktu. – Dziękuję bardzo.

– Podobała ci się opowieść? – spytał Tommy.

– Och, była wspaniała – odparł Les. Roześmiał się i podał butelkę Dennisowi. – Nie rozumiałem jej, ale podobała mi się. Mówił po angielsku?

– Czasem – odparł Dennis z uśmiechem. – Z odrobiną irlandzkiego.

– Wuj Mick robi się stary. Przechodzi z angielskiego na irlandzki odruchowo, ale głównie mówi gwara. Mówimy na nią „cant”.

– Co to jest dokładnie? – zainteresował się Les.

– Mowa druciarzy – wyjaśnił Dennis. – Staroirlandzki czy coś takiego. Les popatrzył na Tommy’ego, który potrząsnął głową.

– Coś więcej. Owszem, jest w tym irlandzki. Ale czasem słowa mówi się od tyłu albo zmienia ich kolejność. Albo się rymuje. To się przydaje, jak nie chcesz, by inni cię rozumieli.

– A więc coś w rodzaju tajemnej mowy? Dennis i Tommy przytaknęli.

– A ty ją znasz? – spytał Les Dennisa.

– Nie! – parsknął z pogardą Dennis. – Nie jestem druciarzem! Tommy popatrzył na czubki swoich butów, Dennis wciągnął głęboko powietrze. Zapadła niezręczna cisza. Les uświadomił sobie, że dotknął jakiegoś bolesnego miejsca, ale udał, że nic nie dostrzega.

– W szkole też mieliśmy tajemny język – zauważył wesóło. – Nazywaliśmy go świniąską łaciną.

– Świniąska łacina? – powtórzył Dennis, korzystając z okazji, by przerwać ponury nastrój.

– Umiesz nią mówić? – spytał Tommy.

– Jest bardzo prosta – wyjaśnił Les. – Przed każdą sylabę wstawia się dźwięk „ka”. Słowo jest kasłokawo. A więc świniąska łacina to kaświńkaska kałakacikana. Kamókawisz kaświńkaską kałakacikaną?

Dennis i Tom patrzyli na niego przez chwilę tępych wzrokiem, ale w końcu pojęli, o co chodzi, i wybuchnęli śmiechem.

– Katak! – wykrzyknęli obaj.

Cała trójka zaczęła niebawem budować zdania i wyjaśniać zasady „łaciny” pozostałym. Kobiety nadstawiały ucha, by zorientować się, co jest takie zabawne, i po chwili same próbowały nowej mowy. Les uśmiechnął się do Imeldy, która chichocząc szeptała z Ruth. Uchwyciła jego spojrzenie i odpowiedziała mu uśmiechem, zerkając nań spod długich rzęs.

Chmury zniknęły i księżyc zalał obozowisko srebrnym blaskiem. Les widział wszystko niemal tak dobrze, jak za dnia. Dostrzegł młodego chłopca, który próbował zwrócić na siebie uwagę Tommy’ego. Odwrócił się jednak, gdy

tylko zauważył, że Les go obserwuje.

– Ktoś cię chyba szuka – zwrócił się do Tommy’ego.

Chłopak wynurzył się z cienia i podszedł nieśmiało, by szepnąć coś Tommy’emu na ucho, po czym czmychnął za wóz.

– To mój kuzyn – wyjaśnił Tommy. – Prosty chłopak. Ma nie całkiem po kolei, jeśli rozumiesz, w czym rzecz. Ale potrafi zajmować się zwierzętami jak mało kto. Jeden z koni zerwał się z uwięzi. Muszę iść mu pomóc.

Les ruszył za Tommym i jego kuzynem na skraj obozowiska, a potem patrzył, jak podążają w stronę mokradeł. Nie wyglądali na takich, co przejmują się umarlakami z bagien, którzy mogą ich pochwycić. Szli jednak ostrożnie przez wysoką trawę, nawołując konia.

– Ruthie musi wracać do domu – rzekł Dennis, który podszedł niepostrzeżenie do Lesa. – Lepiej, jak już pójdziemy.

Ruth i Imelda stały kilka kroków dalej w oczekiwaniu. Les poczuł nagły przypływ paniki. Ledwie zdążył zamienić z dziewczyną parę słów. Poznał już trochę zwyczaje tych ludzi i wiedział, że niełatwo będzie znów ją spotkać. Wszyscy stanęli w kolejce, by się pożegnać. Les ruszył z ponurą miną z powrotem do ogniska. Imelda przyglądała mu się z uśmiechem.

– Odprowadzę cię do drogi – wyszeptała, gdy przechodził obok. Les poczuł, jak rośnie mu serce. Ma szansę zostać z dziewczyną sam na sam. Wszystkim, nawet dzieciom, uściśnął energicznie ręce. Stary człowiek chwycił go mocnymi, kościstymi palcami. Powiedział coś, potem klepnął po plecach i wszyscy wybuchnęli śmiechem, pokazując ich sobie palcami. Les też się uśmiechnął i skinął głową. Nadal nie rozumiał ani słowa, ale nie przejmował się tym.

Pożegnania trwały bez końca, wreszcie jednak ruszyli skąpaną w księżycowym blasku ścieżką. Ruth i Dennis tylko czekali, by znaleźć się pod osłoną drzew. Natychmiast objęli się ramionami. Les chciał ująć dłoń Imeldy, ale dała mu lekkiego klapsa.

– Nie tutaj – wyszeptała głośno. – Wciąż na nas patrzą.

Podążali błotnistą dróżką i kilkakrotnie próbował wziąć ją za rękę, a Imelda śmiała się tylko i odpychała go żartobliwie. Kiedy dotarli do końca, potknęła się o koleinę i Les chwycił ją w tali. Okręcił dookoła ze śmiechem.

– Kamykaśle, każe kajeskateś kawspakaniakała – stwierdził, stawiając ją z powrotem na ziemi.

– O czym ty mówisz, Lesie Wagnerze? To za długie jak dla mnie.

– Myślę, że jesteś wspaniała – przetłumaczył, wciąż obejmując ją w pasie. Przyciągnął ją do siebie i pocałował delikatnie. Oddała mu pocałunek bez wahania, po czym odwróciła się i pobięła wzdłuż grobli.

Les ruszył za nią. Siedziała na kamiennym murku, tyłem do mokradeł, spoglądając w stronę ujścia rzeki. Ruth i Dennis byli nadal zajęci sobą bez

reszty. Les wziął Imeldę za rękę. Nie odepchnęła go tym razem.

Przyptyw cofnął się i od strony ujścia dochodził silny zapach morza. Les słyszał w oddali jego pomruk. Na mokradłach krzyczały ptaki, jakby nawołując się wzajemnie. Po drugiej stronie grobli dostrzegł w mroku małe światełka. To miejscowi pilnowali samolotu. Maszyna była dobrze widoczna w świetle księżyca. Jego blask odbijał się w wieżyczkach strzelniczych, upodabniając ją do ogromnego zamku z bajek.

– Chciałem przynieść ci jakiś prezent, ale nie znalazłem w mieście nic odpowiedniego – powiedział Les.

– To bez znaczenia – odparła Imelda.

Zastanawiało go, jak dziewczyna może siedzieć tak nieruchomo. W świetle księżyca przypominała posąg. Uderzyła go myśl, że jest jednocześnie bardzo młoda i bardzo dojrzała. Puścił jej dłoń i zaczął rozpinąć kieszeń na piersi.

– Nie, naprawdę chcę, byś coś ode mnie wzięła. – Odpiął skrzydełka lotnika i podał Imeldzie. – Weź je. To niezbyt wiele, ale dzięki temu będziesz mnie pamiętała.

Dziewczyna popatrzyła na lśniąca srebrną odznakę.

– Nie mogę tego przyjąć. To zbyt cenne. Możesz mieć kłopoty – potrząsnęła głową.

– Chcę, żebyś to wzięła. Powiem, że zgubiłem. Nie martw się – powiedział Les i zacisnął palce na jej dłoni. Zanim zdążyła zaprotestować, objął ją ponownie i pocałował.

Przez jakiś czas jechali ramię w ramię. Ruth i Dennis rozmawiali żartobliwie w „świńskiej łacinie”. Les pedałowal niespiesznie, by jak najdłużej zachować na ustach smak pocałunku Imeldy. Na skrzyżowaniu przystanęli. Dennis pocałował Ruth na pożegnanie trzeci raz, nim ruszyła w końcu drogą, prowadzącą do jej domu.

Dennis i Les machali jej, dopóki nie zniknęła za zakrętem, potem ruszyli z wolna pod stromą górę. Było im ciężko, więc niewiele się do siebie odzywali, pogrążeni w myślach. Duma nie pozwalała im zejść z rowerów i pokonać trasę pieszo. Les myślał o stojącej w blasku ognia Imeldzie. Naprawdę wyglądała jak cygańska księżniczka. Głowę miał pełną dziwnych języków, kojarzonych małżeństw i opowieści o duchach. Poddawał się ich urokowi, lecz ich nie rozumiał. Wciąż jednak powracał myślą do obrazu Imeldy w blasku księżyca, gdy machała ręką na pożegnanie.

Na szczycie wzgórza przystanęli, by odetchnąć. W dole widoczne było miasto. Małe rzędy szarych domów połyskiwały srebrzyście w nocnej poświacie. Strzelista wieża kościoła wznosiła się wysoko ponad dachami, jakby chciała przebić księżyc.

Les wyjął papierosy i poczęstował Dennisa. Stali dzieląc się radosnym poczuciem, że oto są tutaj, a świat śpi u ich stóp. Wreszcie Dennis cisnął niedopałek do rowu i uśmiechnął się szeroko.

– Ten kawałek jest naprawdę stromy – zauważył, pokazując drogę, która skręcała ostro w stronę miasta. – Myślisz, że dasz radę?

– Rzeczywiście wygląda stromo – przyznał Les i też się uśmiechnął. – Ale chyba sobie poradzę.

– No to ścigamy się – zawołał Dennis. Wskoczył na rower i ruszył z miejsca jak pocisk.

Les pedałował za nim szaleńczo, wzbijając na ostrych zakrętach żwir. Dennis miał przewagę na starcie, ale Les szybko go doganiał. Na małych, zamkniętych podwórkach zaczęły czekać psy. Młodzi ludzie śmiali się dziko i pokrzykiwali do siebie. Nie przejmowali się, że mogą obudzić całe hrabstwo, pędzili w blasku księżyca a ich wołania odbijały się w mieście głośnym echem. Wpadli na skwer jednocześnie, po czym przelecieli po mostku za kościołem.

Stary człowiek, który akurat wyprowadzał psa, musiał odskoczyć na bok, by go nie przejechali, gdy skręcali gwałtownie w Pearse Street. Pomachał za nimi groźnie laską, ale Les zauważył, że jego przekleństwom towarzyszy uśmiech.

Rozdział siedemnasty

Personel hotelu ustawiał krzesła w kącie sali i zbierał puste szklanki. Muzycy wraz z kilkoma Amerykanami i miejscowymi przenieśli się do baru. Beau stał wraz z Mary obok niewielkiej grupki, która już się żegnała. Mary była zmęczona, ale szczęśliwa.

– Zwykle o tej porze leżysz już od dawna w łóżku – zauważył łagodnie Beau.

Mary przysłoniła dłonią ziewnięcie.

– Po trzeciej – odparła. – Normalnie wstawałabym za parę godzin.

– Akurat wtedy, kiedy ja się kładę spać – stwierdził Beau. – Co powiesz na strzemiennego?

– Może być – odparła. Wiedziała, że musi już iść, ale cieszyła się, że może zostać odrobinę dłużej.

– Pozwoli pan postawić sobie jednego przed snem? – spytał Beau doktora Moloneya.

– Wcześniej wstaję, poza tym muszę jeszcze odwiedzić tę uroczą damę do domu – odparł doktor. – Ale możemy chyba napić się przed odjazdem.

– Nie musi pan – wtrąciła Mary. – Mogę wrócić do domu na piechotę. Noc jest taka piękna.

– Nie możesz wracać do domu w pantoflach do tańca – zażartował Beau.

– Oczywiście, że nie – odparła Mary. – Zdejmę je. Lubię chodzić bosą. I tak mnie uwierają.

– Nonsens. Nie możemy pozwolić, żebyś szła na bosaka w eleganckiej sukni – wtrącił doktor Moloney. – Napijemy się jednego, a potem cię odwiozę.

Obok Matt rozmawiał z Kitty Kelleher. Nie był zbyt wysokim mężczyzną, a mimo to musiał się do niej nachylać. W pobliżu kręcił się Martin ze śpiącym Tojo na rękach. Chłopiec był uderzająco podobny do matki. Matt zachowywał się bardzo szarmancko, gdy otwierał przed nią drzwi i mówił jej coś cicho do ucha.

Z zewnątrz dobiegł jakiś łomot i wszyscy wybiegli zobaczyć, co się stało. Les i Dennis kłębili się bezładnie na ziemi. Zarykiwali się ze śmiechu. Rowery leżały obok, koła wirowały jak szalone.

– O rany, chłopcze! Dokąd tak pędziłeś? – spytał Matt, pomagając Lesowi wstać.

Les pociągnął za sobą Dennisa i objął go za szyję.

– Wygrałeś – stwierdził.

– Nie, nie! To się nie liczy, kiedy uczestnik wyścigu pada na mecie jak długi. Ty wygrałeś – powiedział Dennis, potrząsając dłonią Lesa.

– Nie! Wygrałeś jak amen w pacierzu.

– Nieważne – wtrącił Matt, nim zaczęli na nowo. Popatrzył na obu surowo. – Piliście, chłopcy?

Pytanie wzbudziło w nich jeszcze większą wesołość, a Matt wyrzucił tylko w górę ręce i potrząsnął głową.

– Dzieciaki! – zwrócił się do swej małej towarzyszki. Roześmiała się ze zrozumieniem, Matt zaś spytał oficjalnym tonem jej syna: – Pozwolisz, że odprowadzę twoją mamę do domu? To tak jak eskortowanie eskorty – mrugnął żartobliwie.

Chłopak skinął głową nieco zdziwiony pomysłem.

– Cóż za piękna noc – rzekł Matt, podając Kitty ramię. – Hej, Les! Skończ z tymi wygłupami i zajmij się Tojo. Malec jest wykończony. Za dużo tańczył!

– Pewnie – odparł Les, biorąc małpkę na ręce. – Położymy go do łóżka, co, Dennis?

– Katak, kasir! – wrzasnął Dennis i stuknął obcasami. – Małpa do łóżka! Po czym ruszyli obaj do hotelu, pohukując i śmiejąc się.

W barze panował spokój. Tylko czasem przytłumiony szum rozmów przerywał wybuch śmiechu. W głębi, obok kominka, usadowiła się mała grupka. Wysoki inżynier o nazwisku Tate siedział w swobodnej pozie, przytakując z powagą starszemu człowiekowi, który coś do niego szeptał.

Mary zobaczyła też Merdeza, a obok niego Mahoneya i Wodza. Inni poszli już chyba spać. Rozejrzała się wkoło i zauważyła, że jest jedyną kobietą w barze. Dreszcz przebiegł jej po plecach, gdy przypomniała sobie, jak była tu z Geraldem. Wzięła się w garść. Wiedziała doskonale, że wróci. I to raczej prędzej niż później. Nie miała pojęcia, co zrobi, ale wiedziała, że coś zrobić musi.

Od kontuaru podszedł Beau ze szklanką porto. Patrzył jej badawczo w twarz, lecz ona tylko się uśmiechała.

– Jesteś naprawdę niezwykle piękna – powiedział cicho.

– Jeśli będziesz to dalej powtarzał, to w końcu uwierzę. I co wtedy? – odparła, podnosząc szklanę do ust.

– Wtedy będziesz jeszcze piękniejsza.

– Twierdzisz, że kobiety, które wiedzą, że są piękne, są jeszcze piękniejsze od tych, które tego nie wiedzą? – spytała.

– Zdecydowanie – stwierdził, po czym umilkł, jakby się nad czymś zastanawiał. – Z wyjątkiem ciebie.

Barman Tony spytał, czy nie mają nic przeciwko temu, by przejść na koniec sali. Zamykał bar dla wszystkich z wyjątkiem gości hotelowych. Beau ujął Mary za łokieć i poprowadził do grupy rezydującej przy kominku. Amerykanie podnieśli się na ich widok i musiała stłumić śmiech. Wiedziała, że

niektórzy, zwłaszcza Tate i Wódz, mają mocno w czubie, i z trudem zachowują na stojąco równowagę. Mary usiadła i mężczyźni wrócili do pogawędki.

Myślała o tym, co powiedział jej Beau. Czy jest piękna? Co to w ogóle znaczy? Przypuszczała, że jest dość ładna, ale co z tego? Nigdy nie była specjalnie adorowana, może z wyjątkiem tych dni, gdy jej ojciec wydawał na prawo i lewo pieniądze. Była jednak za młoda, by cokolwiek dostrzec. Mary przypomniała sobie młodych mężczyzn, którzy prosili ją do tańca w dublińskim hotelu. Mieli lśniące, zaczesane do tyłu włosy i wyglansowane buty, ale ledwie raczyli się odzywać. Czy wybierali ją dlatego, że była piękna? Przypuszczała, że tak – co im w końcu pozostawało?

Obserwowała Beau kątem oka. Był piękny – i wiedział o tym. Nie zachowywał się jednak z tego powodu ze szczególną zarozumiałością. Po prostu wiedział o tym, tak jak wiedział wszystko o grze na pianinie, czy o tańcu. Może człowiek potrafi nauczyć się, jak być pięknym. Babka nauczyła ją mnóstwa rzeczy, ale z pewnością nie tego, jak być piękną. Nigdy nie wydawało jej się to ważne. Jeśli wspominała kiedykolwiek o wyglądzie zewnętrznym, w jej ustach brzmiało to zawsze jak klątwa, a nie atut. Zastanawiała się, jak by się czuła, będąc jedną z dam, jakie opisywał jej Beau. Południowe piękności, jak je nazywał. Wydawały się głupiutkie, z tymi swoimi śmiesznymi parasolami, flirtami i skłonnością do omdleń, a jednak wyczuwała drżącą za fasadą wdzięku ogromną siłę, jaką musiały się odznaczać. Była pewna, że wszystkie pobierały nauki, jak być piękną.

– Jak wam się podobały tańce? – spytał Con O’Leary, nachylając się do Mary i Beau.

– Bardzo – odparł Beau. – Zdaje się, że wszyscy ludzie w tym miasteczku to znakomici tancerze.

– Ty też jesteś niezły – zauważył Con. – I świetnie grasz na fortepianie. Podobała mi się ta melodia. Jak to się nazywało?

– *Tylko papierowy księżyc.*

– Zgadza się – stwierdził Con i zaczął nucić, dodając od siebie kilka taktów.

– Brzmi jak irlandzki *gigue* – stwierdził z uśmiechem Beau.

– Wszystkie melodie z Ameryki były na początku irlandzkie. Trochę tak jak wasz człowiek – wskazał na Mahoneya. – Porządny chłopak z West Cork, niech mnie kule biją.

Mahoney roześmiał się i podniósł szklanę. Wszystkie głowy obróciły się w jego stronę.

– Popatrzcie na niego! – ciągnął Con ku ogólnej wesołości. – Niech no tylko zdejmie ten mundur, założy na głowę czapkę, a na grzbiet zarzuci porządny płaszcz przewiązany sznurkiem. Nic więcej mu nie trzeba!

Mary spojrzała na rudowłosego mężczyznę i wybuchnęła śmiechem. Miał

niebieskie oczy i twarz pokrytą piegami. Con miał rację – wyglądał na swego.

– Wykapany kuzyn Donal z Inchigeela! – zażartował jeden z muzyków. Ściągnął czapkę i rzucił Mahoneyowi.

– No, teraz ze mnie Irlandczyk całą gębą – stwierdził Mahoney. – Mój tata to Mahoney, a mama Murphy.

– O’Mahoney – poprawił doktor Moloney. – Moja żona jest O’Mahoney z Rathabarry.

– O’Mahoney – powtórzył Mahoney. Trochę mu się plątał język. – Jesteśmy prawdopodobnie spokrewnieni!

– I w dodatku Murphy! – zawołał Con. – Jeszcze jedno porządne nazwisko z Cork. Mając takie dwa nazwiska, chłopcze, musisz być spokrewniony z połową hrabstwa.

– Skąd pochodzisz? – spytał jeden z miejscowych.

– Z Chicago – odparł Mahoney.

– Naprawdę? – spytał stary człowiek, który rozmawiał niedawno z Tatem. Inżynier spał z brodą na piersi. – I to twój rodzony ojciec opuścił Irlandię?

– Nie, dziadek.

– To musiało być w połowie ubiegłego wieku – obliczył doktor Moloney. – Około 1860. Po Wielkim Głodzie.

– Głód – powtórzył Mahoney, jakby coś sobie przypominał. Mówił już wyraźniej. – Głód. To było straszne.

Wydawało się, że za chwilę wybuchnie płaczem.

– I owszem. I owszem – stwierdził z powagą doktor Moloney.

Mężczyźni przytakiwali z powagą, po czym wydali zgodny pomruk na potwierdzenie słów doktora. Siedzieli pochyleni, ledwie utrzymując w pionie szklanki. Mahoney tkwił na swoim krześle z niedbale zarzuconą na głowę czapką.

Mary przyglądała się mężczyznom. Bawił ją ten spektakl, przeznaczony zazwyczaj tylko dla męskiej widowni.

Matt ruszył z powrotem do baru.

– A więc tak zaczyna się tu prawdziwe picie? – spytał, zacierając dłonie. Popatrzył na pozostałych członków załogi. – Pokażmy tym irlandzkim gościom, z jakiej jesteśmy ulepieni gliny. Cieszę się, że kilku katolików trzyma się jeszcze na nogach! Może mamy jakąś szansę.

– Trzeba ci wiedzieć, że wychowali mnie bogobojni misjonarze protestancy – Wódz podniósł wskazujący palec.

– Naprawdę? – spytał z ciekawością stary człowiek.

– Absolutnie. W Oklahomie – odparł Wódz, wymawiając starannie sylaby.

– Grasz fair – stwierdził mężczyzna i potrząsnął energicznie dłonią Wodza.

– Ty się nie liczysz – powiedział Matt. – Nie wiesz, jak pić. Nie jesteś nawet w rezerwie.

– To ognista woda białego człowieka, *kimosabi!* – odparł Wódz, trzymając przed sobą szklanę.

– Słusznie, Tonto! Jaka jest twoja trucizna?

– Whisky – oświadczył Mahoney. – Dobra irlandzka whisky!

– Porządny chłopak. Dobrze mówi! – wyrazili swą aprobatę skupieni wokół stołu mężczyźni, Mahoney zaś uśmiechnął się szeroko.

– Wypiję za to – oświadczył Matt, po czym przywołał barmana. – A gdybym tak przehandlował tę butelkę rumu za butelkę dobrej irlandzkiej whisky?

– Uczciwa wymiana – zauważył Tony, potrząsając dłonią Matta. Obecni wyrazili głośno swe uznanie.

– A więc zakład stoi – stwierdził Matt, wyciągając ku zgromadzonym ramiona. – Bierzemy butelkę albo butelki, jeśli będzie trzeba. Pijemy. Ten, który utrzyma się na nogach, wygrywa. No więc, kto będzie w zespole Wuja Sama? Widzę, że Tate nie ma większych szans na zwycięstwo, a Merdeza to tylko durny górnik z Jugosławii.

– Naprawdę? – spytał z zainteresowaniem starszy człowiek i nachylił się, by uścisnąć Merdzie dłoń. – Jesteś z Jugosławii? To coś zupełnie nowego!

Merdeza wyciągnął rękę, by podtrzymać starszego człowieka i przewrócił swoją szklanę. Zewsząd wyciągnął się las rąk, by ocalić trunki.

– Jestem z Pensylwanii. I mogę bez trudu zwalić tego makaroniarza pod stół – stwierdził Merdeza i zwrócił się do Matta. – Mówiłeś chyba, że jesteś zadowolony, widząc przytomnych katolików?

– Tak, wiem, wiem. Ale wy, chłopaki, nie liczycie się tak naprawdę – zauważył Matt. – Widzicie, nie jesteście Włochami. Moja babka, święta kobieta, niech spoczywa w spokoju, zawsze twierdziła, że Bóg mówi tylko po włosku. Ciągnęła mnie ze sobą do Małej Italii, żebyśmy wysłuchali mszy po łacinie, bo inaczej się nie liczyło. A więc i tak wszyscy usmażycie się w piekle!

– Po tym drinku idę do łóżka – wyznał Merdeza.

– A więc pozostajemy tylko my dwaj – zwrócił się Matt do Mahoneya. – Choć nie jestem całkiem pewien, po czyjej jesteś stronie, biorąc pod uwagę twoje obecne towarzystwo. No a ty, Nowoorleańczyku? Grasz z nami?

Beau popatrzył na Mary. Odpowiedziała mu uśmiechem. Była zachwycona. Zdawało się, że wszyscy o niej zapomnieli. Czowała się dobrze w ich towarzystwie. A najbardziej podobało jej się to, że z taką uwagą podchodzi do wszystkiego, co robiła.

– Mogę z tobą wypić, ale nie wiem, czy długo wytrwam – odparł Beau. Pojawił się Tony z butelką i Matt napełnił wszystkie szklanki na stole.

Podniósł puste naczynie i zajrzał do środka.

– A więc, drogi przyjacielu! Dobijemy targu o drugą flaszkę? Tony przytaknął, wzbudzając aplauz obecnych.

– Butelka za butelkę. Ten wasz rum to tutaj istny złoty piasek. Matt podniósł szklanę.

– Za dobrą irlandzką whisky i za dobrych ludzi z Clonakilty. *Salute!* Beau uniósł szklanę ku Mary, po czym przyłączył się do toastu Matta.

Mary nie mogła wykręcić się od drinka, choć nie lubiła smaku whisky. Czowała, jak trunek pali jej gardło, a gdy dotarł do żołądka, wstrząsnęła się gwałtownie. Próbowwała to ukryć, lecz jej twarz wykrzywił grymas, a w oczach pojawiły się łzy. Beau roześmiał się i poklepał ją po plecach. Dłoń mężczyzny dotykała jej odrobinę dłużej i była z tego zadowolona. Tony przyniósł następną butelkę. Matt zaczął nalewać i Mary szybko zakryła swoją szklanę. Beau nachylił się do jej ucha.

– Na pewno nie chcesz jeszcze jednego drinka? Po tym pierwszym policzki ci się ładnie zaróżowiły, a w oczach masz cudowny blask.

– Chcesz mnie upić? – spytała z udawanym oburzeniem. Kręciło jej się od alkoholu w głowie. Ciepły oddech, który czuła na szyi, wcale jej nie pomagał.

– Obraziłaś mnie śmiertelnie taką sugestią – stwierdził Beau swym silnym południowym akcentem.

– Mężczyźni tak robią – zauważyła.

– Dżentelmen z Południa nigdy by się do tego nie zniżył. Wpajają nam od dziecka, byśmy nie wykorzystywali damy, bez względu na stan jej odurzenia. Jesteś przy mnie równie bezpieczna, jak przy mojej drogiej mamie – zaprotestował z dłonią na sercu.

– W takim razie wypiję odrobinę – odparła, rozbawiona jego zachowaniem.

Jeden z muzyków daremnie usiłował powstać i po chwili namysłu zrezygnował i opadł na krzesło. Wzniósł wysoko szklanę i zatoczył nią z wolna krąg wokół stołu, zatrzymując się przed Mahoneyem. Mary uniosła szklanę, by przyłączyć się do toastu.

– Za tych dzielnych chłopców zza oceanu. A zwłaszcza za naszego ziomka Pata O'Mahoneya, który powrócił do nas po stu latach.

Mężczyźni wnieśli głośny toast za zdrowie Mahoneya. – I obyśmy nigdy o tym nie zapomnieli! – zawołał stary mężczyzna, ukazując w szerokim uśmiechu ostatki zębów, jakie mu jeszcze pozostały.

– Piję za to! – wykrzyknął Mahoney.

– Ty byś wypił za wszystko – zakpił Matt.

Drzwi otworzyły się i do baru wszedł Les. Był przygaszony jak nigdy. Czekał, aż hałaśliwy toast dobiegnie końca i pociągnął Matta za rękaw.

– Coś się dzieje z Tojo. Chyba jest chory.

– Fakt, przez cały wieczór był dziwnie spokojny – zauważył Beau. Wieść

szybko obiegła stół. Wszyscy byli bardzo zatroskani i wyrażali żal, że biedny zwierzak zachorował.

– Możemy wezwać weterynarza? – spytał Matt.

Mężczyźni pokręcili przecząco głowami. Mary wiedziała, że w promieniu trzydziestu kilometrów nie ma weterynarza.

– Może pan doktor mógłby go obejrzyć – podsunęła.

– Na pewno mu nie zaszkodzę – stwierdził lekarz, wstając z miejsca.

Les i Matt szli na przód, pozostali tłoczyli się na schodach za doktorem. Psykali na siebie i starali się za wszelką stąpać bezgłośnie wąskim korytarzem, gdy wpadali na meble. Mary i Beau podążali na samym końcu. Niewielki pokój szybko zapełnił się ludźmi. Mary i Beau precyzyjnie przycisnęli się do łóżka. Małpa leżała zwinięta w kłębek, małe dłonie przyciskała do pyszczka. Od czasu do czasu całym jej ciałem, wstrząsał dreszcz.

– Odsuńcie się i dajcie mu trochę powietrza. Nic nie widzę, jak się tak tłoczycie – zawołał doktor, machając na mężczyzn, by odstepili na bok.

– Nie wygląda za dobrze – odważył się wyrazić swą opinię Con O’Leary.

– Nic nie wiem o małpach – zauważył jeden z mężczyzn przy drzwiach. – Ale jakby to był pies albo kot, to bym powiedział, że jest całkiem chory.

Rozpoczęła się dyskusja, czy małpa ma więcej z człowieka czy z psa, ale spór dobiegł nagle końca. Panna Aileen O’Donovan przepchnęła do pokoju, po czym zaczęła łajać głośno zebranych za hałas i zamieszanie.

– Och, biedne maleństwo. – Co mu jest? – spytała na widok leżącego na łóżku zwierzątka.

– Nie jestem do końca pewien – odparł doktor Moloney. – Ale gdybym powiedział, że to zapalenie płuc, nie byłbym chyba daleki od prawdy. Obawiam się, że niewiele mogę dla niego zrobić.

– Tylko popatrzcie na to biedne stworzenie – wzruszyła się panna Aileen.
– Wygląda, jakby się modliło.

– Dajcie mu kropelkę brandy – zasugerował jeden z mężczyzn.

– Nie, raczej szklanek whisky. Albo jeszcze lepiej poitina. Najlepszy dla psów. Jak go nie zabije, to na pewno wyleczy – stwierdził inny. Hałas zaczął się wzmacniać, gdyż każdy z obecnych sugerował inne, jego zdaniem skuteczne lekarstwo.

– Dość tego, nie będziecie mu niczego dawać – stwierdziła panna Aileen, machając ze zniecierpliwieni na obecnych. – A teraz idźcie stąd. Ja i Mary posiedzimy przy nim.

Uciszyli się od razu i zaczęli wycofywać się na korytarz, szurając nogami.

– Aileen ma rację, chłopaki – powiedział doktor. – Małpa potrzebuje ciszy i spokoju.

Mary miała łzy w oczach, gdy w godzinę później zeszła na dół.

Mężczyźni pili w milczeniu. Popatrzyli na nią wyczekująco. Położyła łagodnie dłoń na ramieniu Matta.

– Odszedł – powiedziała cicho. – Tak mi przykro.

Mężczyźni po kolei ściskali Mattowi i Lesowi dłoń. Doktor i Con O’Leary wstali i rozprostowali nogi.

– Okropne – stwierdził Con. – Umrzeć tak daleko od domu.

– Biedny Tojo – powiedział doktor. – Przynajmniej nie trwało to długo.

– Panna Aileen siedzi przy nim – wtrąciła Mary. – Położyła mu główkę na poduszce i wszystkim się zajęła.

– Pójdę go jeszcze raz zobaczyć – stwierdził doktor. – A potem odwiozę cię do domu. Najwyższy czas, dziewczyno.

Mężczyźni udali się na górę. Mary i Beau zostali w barze. Mary była zdruzgotana. Nie znosiła widoku umierania, nawet gdy chodziło o zwierzę. Wspomnienie skulonej na łóżku małpki, nie dawało jej spokoju. Łzy, tak długo wstrzymywane, popłynęły teraz po jej twarzy. Beau wziął ją w ramiona, ona zaś, wstrząsana łkaniem, płakała jak dziecko. Objął ją mocniej i przytulił jej głowę do swego ramienia.

– Panna Aileen kazała mi odmówić ze sobą różaniec – mówiła urywanym głosem Mary, śmiejąc się i płacząc jednocześnie. – Wydawało mi się to niemądre, klęczeć i modlić się za małpę, ale to był taki uroczy zwierzak!

– Słusznie zrobiłyście – pocieszał ją Beau.

– Zwykle nie płaczę – tłumaczyła się Mary. Pociągając nosem starała się opanować łzy. – To dlatego, że jestem zmęczona.

– Czasem jest dobrze popłakać. W głowie się rozjaśnia. Pójdiesz teraz do domu i zaśniesz jak dziecko.

Beau uwolnił ją z objęć, odsunął na odległość ramienia i spojrzał jej w twarz, a ona z trudem opanowała pragnienie, by znów się do niego przytulić.

– Ale ja nie chcę iść do domu – stwierdziła niespodziewanie, zaskoczona własnymi słowami.

Popatrzyli na siebie, przenikając się wzrokiem. Chłonęli oczami wszystko, czego nie mogły oddać słowa. Uśmiechnął się. Nigdy nie widziała u niego tak cudownego uśmiechu. Czują, jak rozgrzewa ją do szpiku kości.

– Przyjdę później do ciebie. Mogę? – spytał. – Odpoczniemy trochę, a potem przyjdę. Jak tylko będę mógł. Powiedz tak.

Skinęła głową bez słowa.

Usłyszeli, jak ktoś schodzi ze schodów i odwrócili się. Był to doktor Moloney.

– Masz się przespać, słyszysz? – przypomniał jej Beau, gdy ruszyła do wyjścia.

– Do zobaczenia więc – powiedziała i wyszła za doktorem na dwór. Owionęło ją ostre powietrze, ciężkie od woni palonego nocą torfu. Serce miała

tak bardzo przepełnione smutkiem, szczęściem i tęsknotą, że zdawało jej się, iż lada chwila pęknie.

Gdy mężczyźni schodzili ze schodów, potykając się, pod hotel podjechał furgon dostawczy z mleczarni. W drodze powrotnej napotkali chłopca z piekarni Houlihanów, z tacą świeżo upieczzonego chleba i wszyscy weszli z powrotem na górę. Panna Aileen ułożyła Tojo najlepiej jak umiała. Matt i Les byli wzruszeni objawami okazywanego zewsząd współczucia, choć chwilami z trudem udawało im się zachowywać powagę. Panna Aileen kazała im zebrać pozostałych Amerykanów i położyć do łóżek. Nadchodzący dzień miał być bardzo pracowity. Pożegnali się więc i poszli obudzić Wodza i Tate'a, którzy spali jak zabici w barze.

Nim zjawili się na wczesne śniadanie pierwsi goście, wieść o nagłej śmierci małpki obiegła miasto, głównie za sprawą dostawców, którzy zaglądali do hotelu przed wyruszeniem w dalszą drogę. W alejce obok budynku ustawiła się już mała kolejka. Panna Aileen nie zamierzała opuszczać swego posterunku przy zmarłej małpce. Przybył listonosz Mickey, co stanowiło gwarancję, że jeszcze przed upływem poranka wszyscy obywatele Clonakilty i okolic dowiedzą się o smutnym wydarzeniu.

Kolejka wydłużała się coraz bardziej i o ósmej panna Aileen posłała jedną z dziewcząt po ojca Collinsa. Jej obecność w małym pokoju nadawała wydarzeniu poważny i oficjalny charakter. Wpuszczała do środka po dwie, trzy osoby, ścisła każdego uroczyście dłoń i przyjmowała kondolencje, by w końcu skinieniem ręki zachęcić ich do chwili zadumy nad łóżem Tojo.

Przybył ojciec Collins i wprowadzono go bezzwłocznie na górę. Panna Aileen zamknęła drzwi i nakazała czekającym na korytarzu milczenie. W tym samym czasie w hotelu zjawił się Barry Kingston. Rześki i świeżo ogolony zastanawiał się, czy nie zjeść drugiego śniadania, gdy usłyszał smutne wieści. Porzucił myśl o smakowitym posiłku. Minął zdecydowanym krokiem ludzi czekających na korytarzu i wszedł do pokoju, gdzie zastał pannę Aileen i ojca Collinsa, pogrążonych w gorącej dyskusji. Stojący na końcu kolejki Martin Kelleher, wykorzystał okazję i niepostrzeżenie wśliznął się do środka.

– Chcę, byś go pobłogosławił, ojcze – mówiła zdecydowanie panna Aileen. Siedziała na małym krzeselku obok łóżka, z ramionami skrzyżowanymi bojowo na wydatnych piersiach.

– Nie mogę pobłogosławić małpy – westchnął ojciec Collins.

– Błogosławisz domy. Błogosławisz krowy i traktory. Dlaczego nie miałbyś pobłogosławić tego biednego stworzenia i zmówić pacierza za jego nieśmiertelną duszę?

– Ależ droga Aileen, nie wiem, czy małpy mają nieśmiertelne dusze.

– A traktor ma? Już prędzej małpa ją posiada niż jakiś ciągnik –

argumentowała panna Aileen.

Martin precyzyjnie się obok kapłana i popatrzył na Tojo. Małpka wyglądała jak pogrążona we śnie. Chłopiec osunął się cicho na kolana i zaczął płakać.

– Czyż nie jest jednym ze stworzeń bożych? – ciągnęła panna Aileen. – Czyż małpa nie stanowi części jego cudownego planu?

– Bądź rozsądna, Aileen – prosił ksiądz, potrząsając głową.

– Czyż Stwórca nie jest Bogiem wszystkich rzeczy? – spytała panna Aileen i popatrzyła na płaczącego cicho Martina. – Spójrz tylko, co narobiłeś. Zdenerwowałeś chłopca.

Martin uniósł zalaną łzami twarz.

– Ależ ojciec, sam mówiłeś, że Bóg wszystko stworzył. Niebo, morze, zwierzęta i ptaki. Kwiaty i pola.

Chłopak z wielką przyjemnością zapędzał ojca Collinsa w kozi róg. Szukał nawet w pamięci stosownego wersetu z biblii czy jakiejś modlitwy, nie mógł jednak znaleźć niczego na temat małp.

– Czy byłoby grzechem, gdybym zmówił za niego krótką modlitwę, ojciec? Zdrowaś Mario, na przykład?

– Oczywiście, że nie – prychnęła panna Aileen. – Czyż sama nie zmówiłam różańca, gdy odszedł? Jestem pewna, że Bóg nie spoglądał na mnie wówczas złym okiem.

– Och, proszę się zgodzić, ojciec – wtrącił Barry Kingston, na którego ustach błąkał się nieznaczny uśmiech. – Pokropienie święconą wodą nikomu nie zaszkodziło. A chłopak ma rację. Małpa jest jednym z bożych stworzeń.

Ojciec Collins ustąpił wreszcie i wydobyl spod sutanny niewielki flakonik, odkorkował i spryskał jego zawartością małpkę. Potem uczynił nad ciałem zwierzątka niewielki, pospieszny znak krzyża. Obecni w pokoju też się przeżegnali.

– Teraz musimy zdecydować, gdzie ma spocząć – powiedziała panna Aileen.

– Nie pogrzebię go na cmentarzu – odparł czym prędzej ojciec Collins.

– Jestem pewna, że ksiądz tego nie zrobi – zauważyła panna Aileen, wpatrując się przenikliwie w kapłana. – Moglibyśmy pochować go w ogrodzie. Byłby to ładny gest. Ale przydałoby się coś w rodzaju nabożeństwa. Ksiądz mógłby się tym zająć.

– Nie jestem pewien... – jąkał się ojciec Collins.

– No cóż, mogę księdza zapewnić, że odmowa nie zostałaby dobrze przyjęta przez ludzi tego miasta – stwierdziła panna Aileen. – Czyż nie, Barry?

Barry Kingston przytaknął z powagą, ale w oczach migotały mu wesołe iskierki. Martin dostrzegł jego rozbawienie, ale starał się ukryć szeroki uśmiech. Kryjąc twarz w dłoniach odmówił Zdrowaś Mario. Dla niego tylko wesele mogło równać się pod względem atrakcyjności z pogrzebem. Teraz pomyślał, że

pochówek Tojo może okazać się mimo wszystko bardziej atrakcyjny.

Rozdział osiemnasty

O dziesiątej bar znów otworzył swe podwoje i niebawem zapełnił się ludźmi. W herbaciarni i holu też zaczęło być tłoczno. Główny temat rozmów stanowił pogrzeb. Wszyscy zgadzali się co do tego, że to grzech nie zapewnić zwierzakowi przyzwoitego pochówku. Był maskotką, członkiem załogi, by tak się wyrazić. Krótko mówiąc, był wojskową małpą.

Beau wszedł do pokoju w chwili, gdy Barry Kingston sugerował, że w grę wchodzi wyłącznie pogrzeb z wszelkimi honorami. Przespał się tylko parę godzin, ale był zaskoczony zmianą, jaka przez tak krótki czas zaszła w hotelu. W barze było gwarno. Rozpoznał kilku ludzi z poprzedniego wieczoru i zorientował się, że w ogóle nie kładli się tej nocy. Inni wyglądali tak, jakby trafili tu wprost od swych zwykłych zajęć, i wszyscy niemal sprawiali wrażenie wybierających się na wycieczkę turystów.

– Pamiętacie tego Niemca, którego morze wyrzuciło na brzeg w Castelfreke w 1941? – zwrócił się do zgromadzonych przy barze jakiś mężczyzna. – Czy nie pochowano go z wojskowymi honorami?

Wszyscy potwierdzili, że tak właśnie było.

– A więc sprawa załatwiona – stwierdził Barry Kingston. – Pochowamy naszego małego przyjaciela w ogrodzie, z należnymi mu honorami.

Beau podszedł do członków z załogi.

– Co o tym myślisz, Charlie? – spytał.

Hansen śledził dyskusję z dużym zainteresowaniem.

– Świetnie się składa – mrugnął okiem pilot. – Zyskamy na czasie. Nie wierzę, zwłaszcza po wczorajszym niepowodzeniu, byśmy mogli się stąd wydostać bez oficjalnej interwencji. Cokolwiek może nas zatrzymać w tym hotelu i uratować przed internowaniem w jakimś obozie, jest dla mnie w porządku.

Beau nie mógł oczekiwać korzystniejszej dla siebie odpowiedzi. Zamierzał jak najszybciej znaleźć jakiś rower i pojechać do Mary. Przy odrobinie szczęścia mogliby spędzić razem cały dzień.

Podszedł do nich policjant Coughlan, a za nim kilku ludzi z Obrony Cywilnej i powiedział, że ma nadzieję, iż zechcą uczestniczyć w nabożeństwie. Amerykanie przytaknęli skwapliwie.

– Dobrze. Postanowiliśmy, że odbędzie się o drugiej po południu – wyjaśnił policjant. – Pomyśleliśmy też, że można by wystawić wartę honorową w czasie przenosin ciała, a potem powiedzieć kilka słów. Trochę muzyki też nie zaszkodzi.

– No cóż, Tojo z pewnością kochał muzykę – wtrącił z uśmiechem Beau.

– Racja. Racja – przyznał Barry Kingston, potrząsając głową. Potem

zaczął się nad czymś zastanawiać. – A jakbyśmy wynieśli na dwór pianino? Mógłbyś zagrać coś odpowiedniego. No i amerykański hymn, oczywiście. Pogadałbym z kilkoma chłopakami, żeby zaintonowali hymn irlandzki, potem można by zagrać coś wolnego – rozważał głośno.

Wszyscy uznali, że to świetny pomysł i Beau musiał się zgodzić. Martwiło go, że musi na razie zrezygnować z wyprawy na wyspę. Postanowił, że zostanie na pogrzebie, a zaraz potem wymknie się po cichu. Rozchmurzył się pod wpływem tej myśli i poszedł załatwić sobie śniadanie.

Przez cały ranek przybywali ludzie, by zobaczyć małpkę. Kolejka urosła niebawem i wiała się po schodach, aż sięgnęła holu. Nim nadeszła pora lunchu, ludzie stali już na ulicy. Przybywali z każdego zakątka West Cork, a nawet z dalszych okolic. Wieści o lądowaniu, jakie miało miejsce trzy dni wcześniej, rozeszły się poza granice Clonakilty, docierając do sąsiednich miast. Przybywali aż z Bantry na zachodzie i Inishshannon na wschodzie – pieszo i na rowerach, wozami, powozami, wszelkimi wehikułami ciągniętymi przez konie. Z Cork przybywali pociągiem. Po to, by zobaczyć samolot, a może popatrzeć na Amerykanów. Cieszyli się też, że jest okazja, by czuwać przy zmarłym. Pearse Street była bardziej zatłoczona niż podczas Bożego Ciała. Kobiety z dziećmi gawędziły ze starszymi mężczyznami, którzy wyprowadzali na spacer psy. Dwaj bracia z Glengariff przyjechali na rowerach i gdy tylko ustawili się w kolejce, urządzili zaimprovizowany piknik na chodniku przed hotelem. Wstali o trzeciej nad ranem, by przebyć ponad sto kilometrów do Clonakilty, i teraz nie mogli się nacieszyć, że trafili akurat na tak wspianiały dzień.

Hotel robił niezły interes na herbacie i kanapkach. Kiedy Ruth Bennett zjawiła się w pracy, posłano ją od razu do piekarni Houlihansów, by sprawdziła, czy mogą dostarczyć więcej chleba. Bar był wypełniony do granic możliwości. Amerykanie krążyli w tłumie na dole.

Ruth wpadła na Lesa w holu. Rozdawał stojącym w kolejce na schodach autografy.

– Jak ci poszło z mamą? – spytał. – Widzę, że znalazłaś nową parę butów – Należą do mojej siostry i piją jak diabli – zachichotała. – Powiedziałam mamie, że mnie przyparło w drodze do domu i straciłam buty w mokradle. Była zła, ale przynajmniej uwierzyła. Zabiłaby mnie, gdyby się dowiedziała, że byłam z wami w obozie druciarzy.

– Dlaczego nazywają ich druciarzami? – spytał Les, gdy wyszli na ulicę.

– Bo wielu z nich to właśnie druciarze. Robią garnki i patelnie, naprawiają wiadra i takie różne. Większość ludzi ich nienawidzi. Mnie nie przeszkadzają. Znam Imeldę bardzo długo. Jest w porządku.

– Dlaczego ich nienawidzą? – zainteresował się Les.

– Nie wiem. Są inni. My trzymamy się razem i oni trzymają się razem.

Kiedy jesteśmy razem, dochodzi często do bójek.

– Ostatnia noc była niezwykła – przypomniał sobie Les. – Jakbym cofnął się w czasie. Czułem się jak w bajce.

– Bajka? W obozie druciarzy? – zawołała zdziwiona Ruth. – To nie bajka, mówię ci. Tam jest mokro, chłodno i głodno. Tak to wygląda. Widziałeś Dennisa?

– Poszedł do domu bardzo późno i jeszcze się nie pojawił.

– Nie ma się czym martwić – stwierdziła Ruth. – Chyba jeszcze śpi. Niedługo się pokaże.

Dzień był jasny, niewiarygodnie błękitne niebo upstrzone było małymi pierzastymi chmurkami, które wyglądały jak sygnały dymne. Słońce grzało mocno niczym w środku lata. Ludzie zrzucili z ramion płaszcze i radowali się wiosennym ciepłem. Les wyjął z kieszeni na piersi ciemne okulary.

Ruth kiwała każdemu głową, gdy podążali Pearse Street. Szli wolno, gdyż wszyscy chcieli ich zatrzymać i zamienić parę słów z wysokim Amerykaninem. Wielu wyrażało współczucie z powodu małpki i składało Lesowi życzenia wszystkiego dobrego. Ruth była zadowolona z towarzystwa mężczyzny w mundurze i zabójczych okularach przeciwsłonecznych. Wiedziała, że będzie dużo gadaniny, ale nie zamierzała się tym przejmować.

Na najbliższym rogu dobiegł ich stukot końskich kopyt. To Tommy wiozł na wozie kilku ludzi. Z trudem zachowywali równowagę. Z przodu stał Martin Kelleher.

Tommy wstrzymał konia. Jego pasażerowie zeskoczyli na chodnik i ruszyli za Martinem do hotelu.

– Co wyście wykombinowali? – spytał Les.

Tommy wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu. Wyciągnął z kieszeni płaszcz garść monet i zaczął je liczyć.

– Wozimy ludzi, żeby mogli obejrzeć sobie samolot. Martin wkręcił do kolejki swoich kumpli, więc ludzie nie tracą miejsc. Ma głowę do interesów ten chłopak. Właśnie poszedł po następną grupę.

– Gdzie Imelda?

– Pilnuje dziewczynek.

– Powiedziałaś jej, że biedna małpka zdechła? – spytała Ruth. Tommy wzruszył tylko ramionami.

– Pogrzeb ma się odbyć o drugiej – wyjaśnił Les. – Może Imelda chciałaby pójść?

– Myślę, że tak – odparł Tommy.

– Coś ci powiem – Les wskoczył na siedzenie obok Tommy'ego. – Pójdę po nią, jak będziesz prowadził następną grupę na mokradła, a potem, jak będziesz odwoził ludzi do miasta, zabierzemy się z tobą.

Tommy kiwnął szybko głową, potem smagnął konia lejcami i ruszył przed siebie. Ruth pomachała im na pożegnanie.

– Zaczyna to przypominać Grand Central Station – zauważył Matt, przebiegając wzrokiem hotelowy hol. – Nie przyszło mi do głowy, że w tym mieście jest tylu ludzi.

– Najwidoczniej przybyli z okolic – stwierdził Beau. – Rozmawiałem z takimi, którzy przejechali ze trzydzieści kilometrów, żeby zobaczyć samolot.

Beau i Matt czekali w obszernych fotelach na uroczystość. Co chwil ktoś do nich podchodził, przedstawiał się i ścisnął im dłoń.

– To mi przypomina zapusty – wyznał Beau. – A nawet prawdziwy nowoorleański pogrzeb. Brakuje tylko dixielandowej orkiestry.

– Nazywam się Brian Murphy – powiedział jakiś człowiek, wyciągając dłoń. – Mieszkam na końcu drogi, w stronę Inchydoney. Myślałem, że zedrzenie mi dach z domu, jak lądowaliście!

– Cieszę się, że w niego nie trafiliśmy – zażartował Matt.

– Ja też – roześmiał się mężczyzna. – Krowy zdrowo się wystraszyły. Nigdy przedtem nie słyszały czegoś takiego. Co tu dużo mówić, ja też nie.

– Mam nadzieję, że wszystko z nimi w porządku – powiedział Beau.

– Mają się świetnie. Podoba im się ten cały ruch na drodze. Pewnie zateśkną za wami, jak już wyjedziecie – zażartował. – Nie chcę zabierać wam więcej czasu. Chciałem się tylko przywitać. Aha, przykro mi z powodu małpki – dodał. – Nie miałem okazji jej poznać, ale z tego, co słyszałem, musiał to być niesamowity gość.

Beau i Matt uśmiechnęli się, kiedy mężczyzna odszedł.

– Mówię ci, jak umrę, to na mój pogrzeb nie przyjdzie nawet połowa tego, co tutaj – stwierdził Matt.

W głębi holu zobaczyli Barry’ego Kingstona dyrygującego pięcioma barczystymi mężczyznami, którzy przesuwali pianino. Po dłuższych dyskusjach otworzyli boczne drzwi i postawili instrument w alejce ogrodu. Beau przypomniał sobie, jak ubiegłej nocy obejmował tam Mary, i poczuł dreszcz na myśl, że niebawem znów ją ujrzy. Najwyższy czas pochować tę małpkę – pomyślał, uśmiechając się do siebie. Jego życzenie spełniło się i jeden z pięciu młodych mężczyzn podszedł do nich, prosząc, by przyłączyli się do zebranych w holu.

Pozostali członkowie załogi przemykali do środka i dołączali do miejscowych. Panna Aileen O’Donovan, odświeżona po nocnym czuwaniu, założyła wspaniałą czarną suknię.

Barry Kingston, który omawiał ostatnie przygotowania z posterunkowym Coughlanem i pilotem, przywołał ich do siebie.

– Pat stwierdził, że nie pomieścimy całego miasta w ogrodzie – wyjaśnił.

– Zdecydowaliśmy więc, że obecni przy pochówku będą tylko przyjaciele i rodzina, jeśli rozumiecie, o czym mówię. Chodzi mi o załogę, członków Obrony Cywilnej, którzy sformują straż honorową, przedstawiciele władz miejskich i kilka osób z personelu hotelowego. Zgoda?

– Jak zamierzacie utrzymać resztę ludzi poza terenem ogrodu? – spytał jeden z miejscowych.

– Pomyśleliśmy, że można by postawić dwóch wartowników przy bramie głównej, a trzeciego tutaj, przy bocznym wejściu. – Odwrócił się do Beau. – Ustawiliśmy pianino w alejce, żeby blokowało drzwi. Publika może uczestniczyć w uroczystości, patrząc z tamtego miejsca, jeśli ci to nie przeszkadza. – Ależ skąd – uśmiechnął się Beau.

O wpół do trzeciej nic się jeszcze nie zaczęło. Widok tłumu zalegającego schody i korytarz hotelu uświadomił pannie Aileen, że trudno będzie ze zwłokami przeciskać się hołem. Dostrzegła przy drzwiach frontowych kilku małych chłopców i powzięła decyzję. Po chwili chwyciła za kark piegowatego osobnika, w którym rozpoznała Pata Barry’ego.

– Czy to ty jesteś ministrantem? – spytała, gdy zaczął się wykręcać.

– Nie! To nie ja! – zaprzeczał rozpaczliwie. – To Martin Kelleher. Powinien niedługo wrócić. Mogę też przyprowadzić starszego brata, Joego.

– Nie trzeba. Ty mi wystarczysz – stwierdziła panna Aileen, puszczając go. – Pójdiesz ze mną, chłopcze. Dam ci mały dzwoneczek. Kiedy ci powiem, ruszysz na dół, podzwaniając. Rozumiesz?

– Po co mam to robić? – spytał.

– To będzie dla ludzi sygnał, że ciało jest znoszone do ogrodu i że mają zamknąć gęby, okazując trochę szacunku. W czasie nabożeństwa dam ci znak i wtedy też zadzwonisz, tyle że bez przesady. Krótki, cichy dźwięk.

Pomysł przypadł Patowi Barry’emu do gustu i ruszył ochoczo za panną Aileen.

Dźwięk dzwonka czynił cuda i gdy w drzwiach pokoju ukazał się barman Tony z martwym ciałem na rękach, w hotelu zapanowała pełna szacunku cisza. Na chwilę tylko zakłócił ją stłumiony śmiech, gdy ludzie zobaczyli, że małpka leży na srebrnej tacy, przykryta białym obrusem. Głowa zwierzątka spoczywała na małej poduszeczce, a wyprostowane ciało przykrywał koronkowy materiał, spod którego wystawał zwinięty ogon.

– Nie wiadomo, czy mają go złożyć do grobu czy też podać na obiad – szepnęła Ruth do Dennisa, gdy ten przecisnął się przez tłum, by stanąć bliżej dziewczyny. Stłumił chichot i nakazał groźnym spojrzeniem, by zamilkła, nim wszyscy wybuchną śmiechem.

Amerykanie czekali przy drzwiach frontowych. Gdy niewielki orszak znalazł się na ulicy, ruszyli za panną Aileen. Martin Kelleher zjawił się w samą

porę, zrównał krok z Patem Barrym, który podążał kilka metrów przed czołem pochodu, dzwoniąc z wielkim zapalem. Między chłopcami doszło do małej sprzeczki, gdy Martin próbował odebrać konkurentowi dzwonek, ale Pat dzierżył go mocno i nie dał sobie wyrwać.

Beau ze swego miejsca miał doskonały widok na procesję. Matt szedł za panną Aileen, między obydwojma pilotami, reszta podążała z tyłu w dwóch rzędach. Ludzie wyciągali ręce, by uścisnąć im dłonie i powiedzieć kilka słów. Uroczystość była tyleż poważna, co komiczna, gdy mężczyźni zdejmowali czapki z głów, a Tony kroczył z tacą, na której spoczywało sztywne ciało. Beau wychwytywał strzępy rozmów i widział, że reszta załogi też ma problemy z zachowaniem powagi.

– Och, jest już w lepszym świecie – powiedziała jedna z kobiet.

– Nieźle wygląda – skomentowała jej towarzyszką. – Popatrz, jaki ma cudowny ogon.

– Odszedł w kwiecie wieku – zachichotał stojący nieco dalej mężczyzna.

– Biedak powinien skakać po drzewach i gonić za małpeczkami.

Podążali wzdłuż wysokiego muru otaczającego ogród, aż skręcili w lewo. Gdy Tony ruszył wąskim przejściem, Beau dostrzegł wóz Tommy'ego, na którym siedzieli Les i Imelda. Les zeskoczył na ziemię i dogonił Beau, ciągnąc za sobą Imeldę. Szła niechętnie i cały czas miała spuszczone wzrok.

Zatrzymali się przy dużej bramie, podczas gdy dwaj ludzie z Obrony Cywilnej, uzbrojeni w karabiny, zrobili w tłumie przejście. Pozostali ustawili się w dwóch rzędach przy wejściu do ogrodu, tworząc wartę honorową. Gdy Beau przeszedł pod łukiem bramy, dwaj mundurowi zamknęli jej skrzydła i stanęli na posterunku. Beau wymknął się z konduktu i usiadł przy pianinie.

Tony postawił tacę na małym stoliku tuż obok grobu, który wykopano wcześniej w jednej z grządek. Ojciec Collins stanął niepewnie obok, pozostali zajęli przeznaczone im miejsca. Amerykanie utworzyli szereg po jednej stronie, po drugiej stanęli przedstawiciele władz i personel hotelu. Panna Aileen uniosła brwi i skinęła znacząco głową na Beau. Nie miał pojęcia, jaki utwór byłby odpowiedni, zagrał więc popularny hymn religijny *Amazing Grace* w nieco szybszym tempie. Panna Aileen posłała mu pełen aprobaty uśmiech i utwierdziło go to w przekonaniu o właściwym wyborze.

Gdy przebrzmiały ostatnie akordy, wystąpił Barry Kingston.

– Zebraliśmy się w to piękne popołudnie, by pożegnać najbardziej niezwykłego przyjaciela. Tojo nie był z nami zbyt długo, ale wyrażę chyba opinię wielu z nas, gdy powiem, że będzie nam go boleśnie brakowało. Poproszę teraz porucznika Charlesa Hansena i sierżanta Matta Russo, którzy dobrze znali Tojo, by powiedzieli parę słów. Potem ojciec Collins udzieli zmarłemu błogosławieństwa. Przed złożeniem zwłok do grobu odegramy amerykański hymn.

Skinął na Amerykanów.

– Chciałbym skorzystać z okazji – zaczął Charlie Hansen – by jeszcze raz podziękować przemiłym ludziom z Clonakilty za ich serdeczność i gościnność. I powiedzieć, jak bardzo jesteśmy wzruszeni waszym gestem wobec naszej maskotki. Oddaję teraz głos naszemu strzelcowi pokładowemu, sierżantowi Mattowi Russo.

Matt podszedł do niewielkiego stolika i popatrzył na Tojo. Nie starał się nawet ukryć szerokiego uśmiechu.

– Kiedy po raz pierwszy zobaczyłem tego małego faceta, tańczył akurat na ulicy w Marakeszu. Miał na głowie czerwony kapelusik, a na grzbiecie śmieszny płaszczyk. Kupiłem go za butelką rumu i paczkę papierosów. Nie wiem, dlaczego to zrobiłem. Czy za dużo wypilem poprzedniego wieczoru, czy spodobał mi się wtedy ten pomysł? Kto wie? Z pewnością nie potrzebowaliśmy na pokładzie samolotu jeszcze jednej małpy – mieliśmy ich pod dostatkiem! A mogę was zapewnić, że nieźle rozrabiał – skakał po całej maszynie i robił mnóstwo rabanu.

Zebrani słuchali z uwagą słów Matta i uśmiechali się tak jak on.

– Nie podejrzewałem, jaki z niego dobry kumpel – mówił dalej Matt. – I kto by pomyślał, że razem z Tojo wylądujemy tu, w Irlandii. Ale wiem jedno. Między innymi właśnie dzięki niemu zjednoczyliśmy się wszyscy. – Przerwał dla większego efektu, po czym znów spojrzał na małpkę. – Będzie mi ciebie brakowało, mały.

Pat Barry, nie czekając na polecenie, zadzwonił głośno i uklęknął obok Martina Kellehera. Ojciec Collins błogosławił ciało. Panna Aileen ocierała koronkową chusteczką oczy, jedna z pokojówek zaczęła pociągać hałaśliwie nosem, ale Ruth natychmiast trąciła ją łokciem w żebra. Beau patrzył na grupę ludzi stojących w oślepiającym blasku słońca i żałował, że Mary tego nie widzi. Podobałoby jej się. Nie mógł się doczekać, kiedy wreszcie zdoła się wymknąć, by opowiedzieć jej o wszystkim.

Po chwili usłyszał głośny kaszel i podniósł wzrok. Zorientował się, że ksiądz skończył i daje mu znak. *Gwiazdzisty Sztandar* nie należał do jego ulubionych utworów, ale odegrał go z powagą. Zdawało mu się cały czas, że słyszy podjeżdżające ciężarówki. Nie zwracał na to uwagi, dopóki nie przypomniał sobie, że w związku z reglamentacją paliwa po drogach nie jeżdżą żadne samochody. Obecni stali odwróceny w stronę dobiegającego hałasu. Beau dokończył hymn trzema ogłuszającymi akordami.

Tony i panna Aileen zawinęli Tojo w obrus. Matt wziął go na ręce i złożył ostrożnie do grobu.

Zdawało się, że za zamkniętą bramą wybuchła awantura. Ktoś domagał się głośno, by go wpuścić do ogrodu, podczas gdy inni upierali się, że nikomu nie wolno wchodzić.

Matt schylił się, wziął garść ziemi i rzucił do dołu. Amerykanie stanęli na baczność i zaszalutowali. Barry Kingston dał znak i czterej mężczyźni w mundurach unieśli karabiny.

Gdy w mieście rozbrzmiało echo salwy, wielkie skrzydła bramy rozwarły się i do ogrodu wkroczyła liczna grupa ludzi. Na jej czele podążał umundurowany mężczyzna o czerwonej twarzy. Wymachując rewolwerem, rozglądał się gorączkowo. Objął wzrokiem niezwykłą scenę – księdza, Amerykanów i ludzi z Obrony Cywilnej – i nic nie rozumiał. Za jego plecami żołnierze otaczali trzech wyraźnie przestraszonych mężczyzn w garniturach, z tyłu zaś stał groźny tłum.

Grupa uczestnicząca w pochówku obróciła się w stronę uzbrojonych. Wszyscy wstrzymali oddech. Pat Barry i Martin Kelleher znieruchomieli z wytrzeszczonymi oczami i szeroko otwartymi ustami. Tylko pokojówka znów zaczęła pociągać nosem. Tym razem Ruth była zbyt zaskoczona, by ją uspokajać. Ciszę przerwał Barry Kingston, który podszedł do człowieka z rewolwerem.

– To prywatna uroczystość – oświadczył. – Czy zechcielibyście poczekać na zewnątrz?

– Czy to są Amerykanie, którzy u was wylądowali? – spytał mężczyzna z rewolwerem.

– Oczywiście, że to oni – odparł Barry Kingston. – A co, wyglądają jak balet?

– Jestem kapitan Eamon Carrol i przybyłem, by zatrzymać tych ludzi.

– Chwilowo nigdzie się nie wybierają – stwierdził Barry Kingston. – Może przestałby pan tym wymachiwać? Jeszcze pan kogoś zrani.

Kapitan popatrzył na rewolwer w swej dłoni.

– Słyszałem strzały – stwierdził.

– Pewnie, że pan słyszał. To wojskowy pogrzeb.

– Ktoś umarł? Kto?

– Członek załogi.

– Kto go zastrzelił? Na czyj rozkaz?

– Nikt go nie zastrzelił. Jezu, zmarł na zapalenie płuc. Odłóż to draństwo!

Charlie Hansen ruszył do przodu, ale powstrzymała go panna Aileen, która wkroczyła zdecydowanie między obu mężczyzn.

– Dostyc tego. Niech pan posłucha, kapitanie, jak się pan tam zwie. Nie ma pan szacunku dla zmarłych? Albo niech pan stąd idzie, albo zostaje i pozwoli nam pochować wreszcie tę małą!

– Jaką małą? – zdumiał się kapitan.

– Tę, która umarła. Tę w grobie.

Kapitan zajrzał do małego dołu i zobaczył niewielkie zawiniątko. Schował powoli rewolwer do kabury. Wzruszył ramionami, potrząsając głową,

po czym dał znak swym ludziom, by ustawili się obok Amerykanów.

– Tak lepiej – oświadczyła panna Aileen. Wszyscy westchnęli z ulgą, Barry Kingston cisnął do grobu garść ziemi i Pat Barry zadzwonił głośno. Wszyscy ustawili się w kolejce, by złożyć zmarłemu ostatni hołd. Kobziarz rozpoczął powolną, żałobną pieśń. Beau stanął za personelem hotelu. Rzucając do dołu garść ziemi, przyjrzał się mężczyznom w garniturach, którzy zjawili się wraz z żołnierzami. Jeden z nich był zbyt śniady jak na Irlandczyka, poza tym mógłby przysiąc, że nosi ubranie od Brooks Brothers. Jeśli zaś chodzi o buty, poznałby ten rodzaj wszędzie. Miał takie w swojej domowej garderobie.

Rozdział dziewiętnasty

Nim wczesnym rankiem Mary dotarła do domu, słońce przesunęło się już na lewo od wyspy. Wyglądało jak wielka kula strzelająca nad lądem czerwonymi płomieniami. Wzgórza i pola płonęły pod jaskrawo-różowym sklepieniem chmur, zasłaniających niebo. Wysoko zwieszał się blady cień księżycy, jakby przyklejony tam przez kogoś poniewczasie. Mary przypomniała sobie księżyc z alejki hotelowej i niemal poczuła ramiona Beau. Zadrżała na myśl, że znów go zobaczy.

– Czerwień nieba błoga, pasterzy przestroga – stwierdził doktor Moloney.
– Z początku dzień będzie piękny, ale pod wieczór pogoda się zmieni.

– Dziękuję za podwiezienie – powiedziała Mary, wysiadając z wozu.

– Nie ma za co – uśmiechnął się doktor i pomachał jej na pożegnanie. Mary zdjęła pantofle i ściskając je w rękę, ruszyła do domu. Po drodze wypuściła kaczki i kury. Grzebały w ziemi wokół jej gołych stóp, spoglądając zmrużonymi oczkami na wschodzące słońce. Mary zakręciła się na środku podwórza i wybuchnęła śmiechem, gdy kaczki oddaliły się swym rozkołysanym krokiem, a kury rozpierzchły, gdacząc zaskoczone. Zastanawiała się, kiedy pojawi się Beau. Na pewno nie dotrze na farmę przed południem, może dopiero o zmierzchu. Może nawet nazajutrz rano, jeśli mają jakąś robotę przy samolocie czy coś w tym rodzaju.

Nie zamierzała liczyć godzin. Zjawi się, jak będzie mógł. Wiedziała o tym. Teraz wypełni sobie dzień, by szybciej jej minął. Przebierając się w codzienny strój, zdecydowała, że po wykonaniu zwykłych obowiązków zabierze się za porządki w domu, a potem przyrządzi do jedzenia coś naprawdę dobrego. Jakiś gulasz.

Ranek minął szybko. Słońce grzało jak w lipcu. Obeszła pokoje i pootwierała na oścież wszystkie okna, by wpuścić do domu morskie powietrze. Gdy zamiatała, w promieniach słońca tańczyły drobinki kurzu. Wnętrze domostwa pachniało świeżością i jasnością. Tego lata na pewno pomaluje ściany. Dawno już tego nie robiła, a dom trzeba trochę rozweselić. Od strony ujścia rzeki widziała nadciągające szare chmury. Doktor Moloney miał rację. Pogoda popsuje się niedługo.

Przed czwartą wszystko było zrobione. Na ogniu bulgotał gęsty gulasz, a dom świecił taką czystością, że można było jeść z podłogi. Tommy nie przyszedł, by zająć się psami, więc poszła je nakarmić i wysprzątać klatki. Choć kochała zwierzęta, nie darzyła tych psów jakimś szczególnym uczuciem. Nie chodziło o to, że należą do Geralda. Wydawały jej się głupimi, sztucznie wyhodowanymi zwierzętami, trzymanymi wyłącznie dla ludzkiej przyjemności. Spędzały całe życie w klatkach, nastawione każdą cząstką swej egzystencji na

krótką, szaleńczą pogoń za wypchanym królikiem. Nie potrafiły nawet parzyć się bez ludzkiej pomocy. Mimo to, spragnione jej dotyku, wodziły paciorkowatymi oczami za każdym jej ruchem. Nachyliła się i poklepała każdego, czując bicie ich serc pod żebrami.

Nie pozostało jej nic więcej do roboty, umyła się więc i przebrała ponownie. Wybrała bluzkę i skromną spódnicę, którą zwykle zakładała do kościoła. Mary była religijna i często się modliła, ale w Boga wierzyła po swojemu i niejednokrotnie siedząc na wzgórzu bardziej czuła jego bliskość niż w kościele.

Światło przygasało i kuchnia pogrążała się z wolna w mroku. Mary zapaliła lampę. Po chwili, kierowana jakimś impulsem, ustawiła w różnych miejscach pokoju jeszcze trzy. Rzuciły ciepły blask, wzbogacając jasność ognia na kominku. Zastanawiała się, czy nakryć do stołu. Miło byłoby mieć wszystko przygotowane, gdy pojawi się Beau. Może powinna wyjąć elegancką porcelanę?

Zajęła się nakrywaniem stołu i nagle zmieniła zdanie. A jeśli już jadł albo coś go zatrzymało na dłużej? Nie chciała, by czuł się niezręcznie lub myślał, że jest w jakikolwiek sposób poirytowana jego spóźnieniem. Postanowiła wyłożyć talerze na blat kredensu, by można było je w każdej chwili rozstawić na stole.

Spojrzała na zegar i poczuła rozczarowanie. Robiło się późno. Pewnie nie może przyjść.

Zaburczało jej w brzuchu i uświadomiła sobie, że przez cały dzień nie miała nic w ustach. Ukroiła kromkę chleba i usiadła przy stole. Ogień huczał wesoło. Wiatr wzmagął się, wciągając do komina płomienie. Kuchnię wypełniał zapach gulaszu. Było przytulnie, ciepło i bezpiecznie. Poczowała się senna i położyła głowę na ramionach. Pomyślała, że zasługuje na trochę odpoczynku. To nie jego wina, że jeszcze się nie zjawił. Wyrwie się, jak tylko będzie mógł. Na jej wargach błąkał się pełen zadumy uśmiech. Może, jak się obudzi, Beau już przy niej będzie.

Les siedział w hotelu z Imeldą. Większość mieszkańców rozeszła się do swych zwykłych zajęć, lecz spora grupa tłoczyła się jeszcze w barze i herbaciarni. Kapitan armii irlandzkiej z Charliem Hansenem i trzema facetami zajął pokój konferencyjny na piętrze. Z nieznanego Lesowi powodu Beau siedział razem z nimi. Jak się okazało, jeden z tych mężczyzn to pracownik ambasady amerykańskiej w Dublinie, pozostali reprezentowali Ministerstwo Spraw Zagranicznych Irlandii. Rozmawiali już od pięciu godzin. Co jakiś czas wędrowały na górę tace z kanapkami i herbatą, nikt jednak nie zszedł jeszcze na dół.

Pozostali żołnierze odjechali ciężarówkami na mokradła, aby pilnować samolot. Całą operację przejęła armia, co najwyraźniej nie podobało się ani ludziom z Obrony Cywilnej, ani policji. Większość z nich czekała w barze,

popijając z załogą. Panujący tam hałas, wzrastał się z każdą godziną.

Les nie miał pojęcia, co się dzieje, ale niewiele go to obchodziło. Rozmawiali z Imeldą o wszystkim, przeskakując z tematu na temat. Nie czuli upływu czasu. Gdy duży zegar wybił godzinę, podnieśli wzrok.

– Będę musiała niedługo pójść – stwierdziła Imelda.

– Nie możesz zostać trochę dłużej? – spytał Les.

– Muszę wracać do dziewczynek – odparła. – Ale jestem pewna, że zobaczymy się jutro.

– Wszystko zależy od tego, co dzieje się tam, na górze – powiedział Les.

– Mogą nas aresztować albo deportować, jak to w takich wypadkach.

– Nie zrobią tego, prawda? – spytała przestraszona. – Mówisz tak tylko, żebym została.

– Chciałbym – odparł poważnie Les i rozejrzał się wokół. Nikt na nich nie patrzył. Przesunął się na sofie i ujął dłoń Imeldy, nakrywając ich ręce poduszką, by nikt nie mógł widzieć. Próbowła się odsunąć, lecz w jego wzroku malowała się taka prośba, że jej dłoń znieruchomiała.

– Wysłuchaj mnie – zaczął z powagą. – Jesteś najwspanialszą dziewczyną, jaką kiedykolwiek poznałem. Aresztują nas albo znajdą jakiś sposób, by przenieść do Anglii. Tak czy owak, wyjadę.

Imelda poczuła łzy w oczach. Nie przyszło jej to do głowy. Wiedziała, że Les odjedzie, nie pomyślała jednak, że może się to stać tak szybko.

– Nie zamierzam cię tracić – rzekł gorąco.

Dziewczyna potrząsnęła tylko głową i odwróciła wzrok. On nie miał o niczym pojęcia, ale to niemożliwe.

– Nie wiem, jak się z tobą kontaktować. Nie mieszkasz pod stałym adresem, a więc ty będziesz musiała kontaktować się ze mną. Dobrze?

Otworzyła szeroko oczy, nie rozumiejąc. Les puścił jej dłoń i zaczął szukać czegoś w kieszeni.

– Mam pewien plan. Spójrz. Napisałem tu swoje nazwisko, stopień i numer – pokazał jej małą karteczkę. – Jestem przydzielony do dziewięćdziesiątej piątej Grupy Bombowej Ósmych Sił Powietrznych. Rozumiesz? Nie wiem, gdzie będziemy w Anglii stacjonować, ale jeśli zaadresujesz list do mojej grupy, powinien dojść.

Nie miała odwagi otworzyć ust i tylko przytaknęła.

– Zanotowałem też adres moich rodziców w Wisconsin. Jeśli stracimy kontakt, napiszesz do nich. Zawsze wiedzą, gdzie jestem. Napiszesz do nich, prawda? Obiecujesz?

– Nie umiem za dobrze pisać – wyznała Imelda, czerwieniąc się. – Potrafię czytać – dodała pospiesznie. – Ale z pisaniem jest gorzej.

– Nieważne. Po prostu mnie nie zapomnij, Imeldo. Przyrzeknij, że napiszesz. Możesz poprosić kogoś innego, by napisał za ciebie.

Uśmiechnęła się słabo i przytaknęła znowu.

– Dasz mi znać, pod jaki adres mam odpisać. I odpiszę. Jestem pewien, że znajdziesz gdzieś pocztę. Nie zgub tylko tej karteczki. Dobrze? Jeśli stanie się to najgorsze i stracimy się z oczu, zawsze będziesz mogła przyjechać do Wisconsin.

– A jak mam to na Boga zrobić, Lesie Wagnerze? – wybuchnęła śmiechem.

– Nie wiem. Zaczynj żebrać, pożycz, ukradnij. Zrób wszystko, co się da. Znajdziesz jakiś sposób.

– I zjawię się w Wisconsin, ot tak sobie! – pstryknęła palcami.

– Na pewno tobie będzie łatwiej to zrobić, niż mnie przemierzać w poszukiwaniu ciebie całą Irlandię wzdłuż i wszerz. Ale jeśli się uprzesz, to nie pozostanie mi nic innego, jak to zrobić. Wrócę i odnajdę cię. Powiedziałem, że nie zamierzam cię stracić.

Ruth pomachała im z drugiego końca sali, a gdy odpowiedzieli na jej powitanie, podeszła do nich.

– Padam ze zmęczenia. Jestem na nogach od rana – osunęła się z westchnieniem na fotel.

– Wciąż nosisz buty siostry? – zażartował Les.

Ruth udawała, że krzywi się z bólu. Wybuchnęli śmiechem na wspomnienie incydentu z mokradł.

– No i jak się mają dwa zakochane ptaszki? – wyszeptała złośliwie.

– Mów za siebie – odparła z uśmiechem Imelda. – Co zrobiłaś z biednym „po prostu Dennisem”?

– Po prostu Dennisem? – spytał zaskoczony Les.

– Dajcie spokój mojemu kochanemu Dennisowi – powiedziała Ruth. Potem nachyliła się do nich i przysunęła dłoń do ust. – Prawdę mówiąc, to sekret, ale poprosił mnie o rękę!

– I co ty na to? – spytała Imelda. Serce waliło jej jak młotem. Sama myśl, że ktoś mógł ją poprosić o rękę wydawała się romantyczna ponad wszelkie wyobrażenie. Po chwili serce zabiło jej jeszcze żywiej. Czyż Les nie zrobił właśnie tego samego?

– Powiedziałam mu, że przemyślę to sobie – Ruth uśmiechnęła się szeroko. – Ale szaleję za nim, więc to tak, jakbym się zgodziła. Na razie nic nie powiemy rodzicom. Dennis uważa, że jak będziemy oszczędzać, to uda nam się pobrać za jakieś cztery, może pięć lat.

– To strasznie długo – zauważyła Imelda. W jej oczach błysnęły iskierki.

– Nie bardzo – odparła Ruth. – Moi dziadkowie czekali dziesięć lat. I byli bardzo szczęśliwi. Sądzili początkowo, że będzie to trwało piętnaście. On wyjechał do Ameryki, a ona obiecała, że będzie na niego czekać. Zakładali, że tyle czasu zajmie mu zebranie odpowiedniej sumy. Ale mieli szczęście. Dziadek

był hazardzistą i pewnej nocy wygrał tak dużo w pokera, że mógł wrócić do domu pięć lat wcześniej i kupić tu dom!

– To prawda? – spytał ze śmiechem Les.

Imelda śmiała się razem z nim. Miała wrażenie, że unosi się niczym ptak. Przyszłość ukazała nagle zupełnie nowe ścieżki, i wydawało się, że wszystko jest możliwe.

– Pewnie, wciąż tam mieszkamy – powiedziała Ruth. Objęła się ramionami i popatrzyła tęsknym wzrokiem w przestrzeń. – Nie wiesz, że wszystko jest możliwe, kiedy człowiek jest zakochany?

Les i Imelda przytaknęli gorliwie.

– Lepiej wróć już do roboty. – Ruth zerwała się z miejsca. – Chyba schodzą na dół – wskazała grupę mężczyzn, którzy ukazali się na schodach. – Do zobaczenia.

Mężczyźni sprawiali wrażenie zmęczonych, lecz zadowolonych. Cokolwiek ustalono na górze, jest chyba dobrze – pomyślał Les. Chyba że pilot wciąż próbuje ich przekonać. Potem ukazał się Beau. Miał ponurą minę, ale na widok Lesa i Imeldy, uśmiechnął się radośnie. Podszedł do nich natychmiast.

– Cieszę się, że cię widzę – zwrócił się do Imeldy. – Wracasz na wyspę?

– Co ustaliliście na górze? – spytał Les niecierpliwie, nim dziewczyna zdążyła odpowiedzieć. – Nie wyglądasz na zadowolonego.

– Wszystko będzie dobrze – Beau zniżył głos. – Martwię się o Mary. Wspomniałem jej wcześniej, że chcę się z nią dziś spotkać, a utknąłem tu na dobre. Pewnie się zastanawia, co się stało.

Podszedł do nich Matt. Nie krył podniecenia.

– No więc? Co się dzieje? – spytał. – To prawda, co słyszysz?

– To zależy, co słyszałeś – drażnił się z nim Beau.

– Ptaszki ćwierkają, że wylatujemy. Mam rację? – dopytywał się Matt, unosząc brwi.

– Zgadza się – odparł Beau przeciągłym południowym akcentem. – Zezwolili nam łaskawie odlecieć.

– Jak wystartujemy? – spytał zaskoczony Les. – Maszyna utknęła na dobre. Pewnie wciąż się zapada.

– Chcą nam zbudować pas startowy – wyjaśnił Beau i mrugnął. – Ale nie rozgłaszajcie tego. Sytuacja jest niezbyt regulaminowa.

– Daj spokój? O czym ty gadasz? – zaprotestował Matt. – Jak zamierzają zbudować pas startowy? Nie mają nawet samochodów.

– Sprowadzą taki składany, polowy. Z Dowództwa Lotnictwa Transportowego. W Belfaście mają amerykańską bazę. Pomogą Brytyjczycy. Jak powiedziałem, to dość niezwykła sytuacja. Prawdę mówiąc, będziemy musieli złożyć przysięgę, że nasza stopa nigdy nie postąpiła w Irlandii.

Matt rozważał sytuację.

– Jak myślisz, dlaczego to robią? – spytał. – To niezgodne z prawem.

– Na tym polega różnica między wojną a dyplomacją – stwierdził Beau filozoficznie. – Dyplomaci mogą odrobinę bardziej naginać przepisy. Poza tym uważają nas chyba za miłych chłopaków – dodał.

– A jak ty się tam wkręciłeś, kolego? – spytał Matt.

– Właśnie, jak się tam wkręciłeś? – powtórzył jak echo Les. – Myślałem, że jesteś tylko strzelcem.

– Facet z ambasady to znajomy mojego ojca – odparł bez pośpiechu Beau, jakby ważył słowa. – Mój ojciec zna mnóstwo wysoko postawionych osób. Czasem możemy pociągać za sznurki.

– Te sznurki muszą wisieć naprawdę wysoko – gwizdnął cicho Matt.

– Dość wysoko.

– No cóż, chyba za wysoko dla chłopaka z Brooklynu – stwierdził Matt. – Dobra robota, nowoorleańczyku. Muszę iść i trochę się ogarnąć. Mam randkę za jakiś kwadrans.

Popatrzyli na niego pytająco, ale Matt tylko się roześmiał i pogroził im palcem, po czym ruszył schodami na górę.

Beau znów odwrócił się do Imeldy. Przysłuchiwała się rozmowie, ale niewiele z niej rozumiała, poza tym, że odlecą zamiast pójść do aresztu. Nie wiedziała, czy martwić się z tego powodu, czy też odczuwać ulgę.

– Miałem nadzieję, że uda mi się przekazać Mary wiadomość – powiedział Beau.

– Niedługo będę wracać. Mogę do niej wpaść, jeśli chcesz – zaproponowała.

– Byłbym ci bardzo zobowiązany – odparł z uśmiechem. – Jesteś pewna, że to dla ciebie po drodze?

– Całkowicie – uspokoiła go Imelda.

– No dobrze, powiedz jej, że bardzo mi przykro. Cały dzień spędziłem w hotelu na rozmowach. Mam nadzieję, że wszystko szybko się zakończy i spróbuję wpaść do niej wieczorem.

– Powiem jej – zapewniła Imelda, a Beau wstał, by przyłączyć się do pozostałych, którzy już kiwali na niego z baru.

...Mary tańczyła w wielkiej sali balowej. Suknia wirowała wokół jej nóg. Wielki kryształowy żyrandol nad jej głową rzucał migotliwy blask. Elegancko ubrani ludzie poruszali się sennie w takt walca. Jej partner trzymał ją mocno. Wtuliła twarz w jego szyję i wdychała słodki zapach cytryny.

Orkiestra zaczęła grać skoczny taniec irlandzki, więc ruszyła, przeskakując przez łańcuch wyciągniętych ku niej rąk. Wiedziała, że jej partner gdzieś zniknął, wykręcała więc szyję, by zwrócić na siebie jego uwagę. Próbowwała go zawołać. Czowała, jak jej usta się poruszają, ale stwierdziła ze zdziwieniem, że nie może wydać z siebie nawet słowa. Muzyka była coraz

dziksza. Traciła z wolna dech, ale tancerze nadal ciągnęli ją przez łańcuch rąk.

Nagle pojawił się przed nią Beau, wyciągnął dłonie i klasnął. Zaczęli wirować i Mary poczuła dreszcz podniecenia. Wirowali coraz szybciej. Sala wokół zlewała się w barwną plamę, a twarz Beau traciła rysy. Poruszali się za szybko.

Wystraszona Mary próbowała mu powiedzieć, by się zatrzymał, ale głos uwiązł jej w gardle. Jego dłonie trzymały ją w żelaznym uścisku. Bała się go puścić, on zaś trzymał ją coraz mocniej. Bolało ją. Rozejrzała się wokół rozpaczliwie, lecz elegancy mężczyźni i kobiety gdzieś zniknęli. Światło przygasło. Poza parkietem rozciągała się ciemność. Wydawało jej się, że dostrzega jakieś wykrzywione w złośliwym uśmiechu twarze.

Wciąż czuła wpijające się w nią dłonie. Wiedziała, że jeśli nie przestaną zaraz tańczyć, jej serce rozerwie się na strzępy. Próbowała dostrzec twarz Beau, ale widziała tylko okropny grymas. To nie Beau, pomyślała. To nie jego dłonie. Dostrzegła jakąś wynurzającą się z mroku postać. Była blada, wiotka i bardzo wystraszona. Uświadomiła sobie, że to Imelda. Coś złego stało się z Imeldą. Pojęła, że musi uwolnić się od tego stwora, który wciąż kręci nią wkoło. Musi dotrzeć do Imeldy.

Odsunęła się, próbując przerwać to obłądne wirowanie, ale tamten przytrzymał ją jeszcze mocniej. Echo jego śmiechu odbijało się w pustej sali.

Wtedy wszystko znieruchomiało. Była sama. Rozglądała się za Imeldą, ale dziewczyna zniknęła.

Nagle podskoczyło jej serce. Z ciemności wynurzył się powoli jakiś mężczyzna. Rozpoznała zielony mundur i rzuciła się przybyłemu w ramiona, ale gdy podniosła wzrok, zobaczyła groteskowo wykrzywioną twarz. Cuchnął odrażająco. Próbowała go odepchnąć, lecz trzymał ją mocno.

– Gdzie moja kolacja, kobieto? – wyszeptał jej w ucho...

Mary obudziła się gwałtownie.

Poczuła na twarzy falę powietrza. Potarła oczy, starając się widzieć wyraźniej, wciąż oszołomiona sennym koszmarem i pozbawiona tchu. To, co ujrzała, zmroziło ją do szpiku kości.

Po drugiej stronie stołu stał Gerald. Drzwi za jego plecami były szeroko otwarte i Mary słyszała coraz silniejsze zawodzenie wschodniego wiatru. Był to zły wicher, który przyprawiał o drżenie.

– Pytam, gdzie moja kolacja, kobieto – powtórzył Gerald z uśmiechem. Głos miał wesoły, lecz dosłyszała w nim twardą nutą. Zacisnęła palce na blacie stołu, aż zbiełały jej kostki, i starała się stłumić przebiegający po plecach dreszcz.

– Zaraz przygotuję – powiedziała, odsuwając krzesło od stołu. – Pozwól, że zamknę drzwi. Za chwilę zamarzniemy. Usiądź sobie.

Mówiła powoli i wyraźnie, próbując za wszelką cenę uciszyć krzyk, który docierał do niej gdzieś z zakamarków umysłu. Wszystko źle. Wszystko nie tak.

Gerald zrobił, jak mu powiedziała. Obserwował ją w milczeniu, wciąż z uśmiechem, jakby czymś rozbawiony.

Wiedziała, że musi się uspokoić, że musi zapanować nad sobą.

– To właśnie nazywam serdecznym przywitaniem – oświadczył i odchylił się na krzesło, wodząc z nie ukrywaną przyjemnością wzrokiem po pokoju. – Jestem bardzo zadowolony, że dobrze nauczyłaś się ostatniej lekcji. Co tak ładnie pachnie?

– Gulasz – odparła, a słowa więzły jej w gardle.

„To nie dla ciebie!” – chciała krzyknąć. Musiała się powstrzymać, by nie zdjąć garnka z ognia i nie rzucić w niego. Czuła, jak narasta w niej jakaś burza. Siła tak ogromna, że Mary bała się, iż nie zdoła nad nią zapanować.

Starła się trzymać od niego jak najdalej. Głowę miała spuszczoną, ruchy oszczędne i szybkie. Podała mu talerz gulaszu z ciemnym chlebem i odwróciła się do ognia. Odetchnęła kilka razy głęboko i stanęła wyprostowana. Burza ucichła, jakby przyczajona w głębi jej brzucha, ale Mary wciąż ją czuła.

– Nastawię czajnik – powiedziała szybko, zadowolona, że ma coś do roboty.

– Nie zawracaj sobie głowy herbatą. Później się napiję – nakazał Gerald, po czym wyciągnął z kieszeni dwie butelki piwa. Stała daleko od niego, kiedy mu nalewała, lecz gdy postawiła przed nim szklanekę, wyciągnął dłoń i poklepał ją po plecach. Zastygła, jakby miał jej lada chwila pęknąć kręgosłup.

– Nieźle. Muszę częściej bywać w domu.

Zaczął jeść, zgarniając szybko jedzenie do ust. Stała za nim, niezdolna patrzeć. Jadł, jakby nic innego go nie obchodziło, i cały czas prowadził beznamiętny monolog.

– Dobrze mi poszło. Naprawdę dobrze. Byłem na torze wyścigowym w Cork i sprzedałem tę małą brązową sukę za okrągłą sumkę. I zawarłem na boku niezły zakład. Wróciłem, żeby załatwić pewną wysyłkę.

Mary czuła, jak jego słowa przepływają przez jej umysł bezładnym potokiem, czasem tylko udawało jej się wychwycić sens jakiegoś zdania. Gerald jadł i gawędził, jakby była to najzwyklejsza rzecz pod słońcem. Jakby był tu panem. Jakby ten dom należał do niego.

– Ale przedtem zrobiłem mały interes. – Wskazał dłonią, w której trzymał chleb, torbę leżącą na podłodze. – Przynieś to tutaj i obejrzyj sobie.

Torba była ciężka i gdy Mary położyła ją na stole, talerze i szklanki zabrzęczały. Gerald nie zwrócił na to uwagi, wycierając talerz kawałkiem chleba.

– No dalej. Otwórz – nakazał.

W środku było kilka paczek herbaty i cukru, trzy butelki whisky i tytoń.

Na samym dnie spoczywał mały pakunek zawinięty w brudne płótno. Bez słowa wyłożyła wszystko na stół. Gerald skinął, by rozwinęła gruby jak kostka masła pakunek. Zobaczyła plik angielskich banknotów i cofnęła palce jak oparzona.

– Co to jest? – wykrzyknęła. Burza w jej brzuchu zaczęła narastać. Czuła, jak się wzmaga. Tylko w połowie słyszała słowa męża.

– Trochę tego i trochę tamtego. Ale głównie trochę czegoś jeszcze. Roześmiał się z własnego powiedzonka.

Mary poczuła, że się uśmiecha, ale miała wrażenie, że to ktoś inny rozciąga kąciki jej ust. Burza w środku przycichła trochę i zmieniła się w czarny dym, który wypuszczał w głąb jej ciała długie macki.

– Robiłem interesy na granicy. Miałem pewne informacje, które były coś dla kogoś warte. Cena herbaty w dół. Cena wołowiny w górę. Tego typu rzeczy. Nazwiska, twarze. Była tam ta sprytna dziwka z Fermoy, która mnie podkupywała jakiś czas temu. Można powiedzieć, że upiekłem dwie pieczenie przy jednym ogniu. Dostałem forszę za handel, a jeszcze więcej za informacje. A ta zdzira z Fermoy już nie będzie wchodziła mi w paradę. Jak ci powiedziałem, odrobina przyjemnego biznesu.

– Mnie to wygląda na brudny biznes – zauważyła Mary. Skuliła się w oczekiwaniu na nieunikniony cios. Niech się zacznie – pomyślała. Czekwała na te razy niemal z niecierpliwością. Wydawały jej się sensowniejsze niż ta farsa, niż całe to udawanie.

Ale Gerald odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem.

– Ale lepszy od przerzucania gówna na farmie, nie mówiąc o tym, że się bardziej opląca! Daj mi drugą szklanę. Strzelę sobie na koniec whisky.

Mary wyjęła szklanę i postawiła ostrożnie na stole. Bała się, że ją stłucze. Gerald nalał sobie obficie i odsunął talerz. Podniósł szklanę i poruszając nią popatrzył pod światło.

– Wiesz co, zatrzymałem się w mieście na piwo. Ale zamieszanie! Widziałaś samolot? Amerykański bombowiec. Nie obejrzałem go dobrze, bo było ciemno. Popatrzę sobie jutro.

Mary poczuła, że serce zaczyna walić jej w piersi jak oszalałe. W głowie zawirował dziko czarny dym, przysłaniając wzrok. Och, dobry Boże, nie.

Co on wie? Czy bawi się z nią w jakąś grę? I dlatego jest w tak znakomitym humorze?

Stała za nim i patrzyła na tył jego głowy, gdy sącył swoją whisky. Zagryzła dłoń, by powstrzymać się od łkania. A jeśli nagle zjawi się Beau? Co wtedy powie? Nie może dopuścić, by ujrzał ją w takiej sytuacji. Od razu by się domyślił. Nie zniosłaby tej hańby.

– Mieli małpę, która zdechła. Ci głupcy pochowali ją dzisiaj. Słyszałem, że zjawilo się wojsko i przerwało ten cyrk – ciągnął Gerald. – Widziałem paru tych Jankesów w barze. Szkoda, że ich nie widziałaś, zachowywali się, jakby

byli u siebie. Ciekawe, ile może być warta ta informacja?

Burza narastała. Struny naprężyły się do granic wytrzymałości, dźwignie przesuwały same. Mary poczuła, jak paznokcie wbijają się jej w dłonie, ale przyjęła ten ból z wdzięcznością. Był prawdziwy. Ból był prawdziwy.

– Wszystkie kobiety węszyły wokół Jankesów jak napalone suki. Ale rejuwach. Widziałem też tę małą dziwkę. Tę Imeldę. Była tak samo rozgrzana jak inne. Siedziała z jakimś wysokim blondynem i patrzyła na niego, jakby zaraz miały jej spaść majtki. Jest gotowa, mówię ci. Sam dałbym jej tego posmakować.

Wyjął z kieszeni zapałkę i zaczął dłubać w zębach.

Na dźwięk imienia Imeldy odzyskała ostrość widzenia. Zobaczyła Geralda takim, jakim był naprawdę – cuchnącym śmieciem, który ją bił, oszukiwał i uczynił z jej życia torturę. Pod żadnym pozorem nie może pozwolić, by dotknął Imeldę swoimi brudnymi łapskami. Nie pozwoli mu nawet myśleć o tej dziewczynie. Brukał ją, wymawiając samo jej imię.

Gerald beknął głośno i rozpiął pasek. Poklepał się po brzuchu z pełnym zadowolenia uśmiechem.

– Teraz napiję się tej herbaty – oświadczył, dolewając sobie uważnie whisky.

– Sam sobie weź, ty brudny draniu – syknęła Mary.

Butelka spadła na podłogę. Gerald odwrócił się do żony, czerwony i wściekły. Zaczął się podnosić, ale znieruchomiał, otwierając ze zdumienia oczy.

Mary stała i patrzyła na niego z góry. Czowała, jak cała nienawiść i gniew, skrywane dotąd gdzieś głęboko, emanują z niej wszystkimi porami jej ciała. W dłoni ścisnęła długi czarny nóż do mięsa.

Rozdział dwudziesty

Patrzyli na siebie w milczeniu. Czas stanął w miejscu. Gerald przypominał zwierzę, które szykuje się do skoku. Wodził tylko oczami, oceniając sytuację.

Mary wstrzymała oddech. Nie ważyła się nawet drgnąć. Słyszała puls w skroniach, zagłuszający jej myśli. Wiatr na dworze i miarowe cykanie zegara na kominku wydawały się ciche i odległe, jakby z innego świata.

– Lepiej jak odejdziesz – powiedziała wolno, ani na chwilę nie spuszczać wzroku z jego twarzy. – Weź swoje pieniądze i odejdz. Odejdz i więcej nie wracaj.

Na odgłos kroków z podwórka odwróciła głowę. Gerald zauważył to i wychylił się do przodu, ale natychmiast odwróciła się ku niemu, nie pozwalając mu się zbliżyć. Drzwi otworzyły się na oścież, na progu stała Imelda. Była wyraźnie zaskoczona. Mary słyszała jej zdyszany oddech.

Dziewczyna obiegła spojrzeniem pokój, zobaczyła kontrabandę i stos pieniędzy, roztrzaskaną butelkę na podłodze, przyczajonego mężczyznę i Mary, stojącą przed nim z nożem w dłoni.

Gerald zachichotał i podniósł się wolno z miejsca.

– Nie waż się jej tknąć – rzuciła Mary. – Nawet na nią nie patrz.

Uniosł ręce w geście kapitulacji, a ona wodziła za jego ruchami uzbrojoną w nóż dłonią. Odwrócił się do niej nonszalancko plecami i stanął twarzą do ściany. Wyciągnął z paczki papierosa i zapalił.

– Zastanawiam się, co wy knujecie – powiedział niskim głosem. – Zaplanowałyście to wszystko? Tak? Ty i ten cygański bękart?

Mary zdawało się, że za chwilę wybuchnie. Spokój Geralda przerażał ją. Mógł się odwrócić i uderzyć w każdej chwili. Ramię bolało od zaciskania palców na rękojeści noża, w głowie kręciło się od oszalałego pulsu, rozrywającego jej skronie. Starła się skupić tylko na Geraldzie, by nie przegapić choćby najdrobniejszego jego ruchu. Wciąż stał do niej plecami, paląc jak gdyby nic. Przypomniała sobie, że w komórce jest strzelba. Zastanawiała się, czy nie kazać Imeldzie pobiec po nią. Nie wiedziała nawet, czy jest naładowana, a to mogło tylko pogorszyć sprawę.

Spóźniła się. Gerald działał z szybkością niezwykłą dla tak ciężkiego mężczyzny. Imelda krzyknęła ostrzegawczo, lecz było za późno. Nim zdążyła się zorientować, chwycił Mary za nadgarstek i wykręcił jej rękę.

– Chyba nie myślałaś, że ujdzie ci to na sucho? Myślałaś? Myślałaś? – wrzeszczał jej prosto w twarz. Czują szarpiący ból w ramieniu. Jej dłoń rozwarła się bezwolnie i nóż spadł na podłogę.

– Zostaw ją w spokoju – krzyknęła przeraźliwie Imelda i ruszyła do

przodu. Rzuciła się Geraldowi na plecy i zaczęła ciągnąć go za włosy, próbując dosięgnąć zakrzywionymi jak szpony palcami jego oczu. Gerald odepchnął Mary od siebie i obrócił się z wściekłością. Wpadając na meble i przewracając krzesła, cisnął Imeldę na ścianę, ta zaś puściła go i upadła.

– Z tobą policzę się później – warknął, patrząc na nią z góry. Gdy zwrócił się ku Mary, czekała już na niego. Podniosła nóż i trzymała go teraz przed sobą.

– Odejdź natychmiast – krzyknęła. – Czego jeszcze ode mnie chcesz? Odejdź i żyj sobie swoim życiem.

Oczy Geralda płonęły. Przeszedł przez pokój i wytrącił jej nóż z dłoni. Poleciał w górę i spadł z brzękiem na kamienną podłogę.

– Zabiję cię, zanim odejdę – warknął.

– Uciekaj, Imeldo! Biegnij! – krzyknęła Mary. Imelda podnosiła się z podłogi. Rozcierając lewą rękę, spoglądała otepiałym wzrokiem.

Gerald chwycił Mary za ramiona i przytrzymał z dala od siebie. Zdawało się, że uważnie odmierza odległość między nimi.

Próbowała mu się wyrwać ale uderzył ją pięścią w brzuch. Zgięła się wpół. Usiłowała zawołać Imeldę, ale nie mogła powiedzieć słowa ani nawet oddychać. Próbowała wstać, nie była jednak zdolna się poruszyć, widziała tylko majaczącą nad nią postać Geralda. Zwinęła się w kłębek i zakryła ramionami głowę, gdy zaczął ją kopać. Wcisnęła się pod stół, gdzie jego ciosy nie mogły jej dosięgnąć. Nagle wydał z siebie potężny ryk i Mary dostrzegła w przelocie gumowce Imeldy. Dziewczyna wyskoczyła za drzwi. Gerald po raz ostatni kopnął Mary i wybiegł z pokoju.

– Uciekaj, mała dziwko! – zacharczał. – I tak cię dopadnę.

Mary dyszała ciężko, próbując odzyskać oddech. Nie wierzyła, że to wszystko się dzieje. Wydawało się takie nierzeczywiste. Nie mogło się dzieć. Po prostu nie mogło się dzieć. Chwytała ustami powietrze, ale utknęło jej w tchawicy. Odgłosy z podwórza powiedziały jej, że Gerald złapał Imeldę.

– Teraz cię mam – słyszała jego szyderczy głos. – Teraz dam ci nauczkę. Spodoba ci się!

Usłyszała krzyk Imeldy. Zwalczyła ból i usiadła, trzymając się za brzuch. W głosie dziewczyny pojawiła się histeryczna nuta. Do uszu Mary dotarł gardłowy, chrapliwy od pożądania śmiech Geralda. Poczowała, jak przepływa przez nią fala wściekłości, dająca siłę czarna burza.

Podniosła się z podłogi. Jej kończyny odzyskały sprawność, ból i otepienie zniknęły. Bóg tego nie powstrzyma, tylko ona może to zrobić.

Beau był z siebie zadowolony. Wyszedł szybko z baru, tłumacząc się bólem głowy i brakiem snu. Zamierzali świętować całą noc i na pewno nie tęskniliby za nim. Pożyczył od Lesa rower i wymknął się niezauważony z hotelu. Wszyscy sądzili, że jest na górze i śpi jak kamień.

Beau starał się jechać po grobli jak najciszej. Mocno wiało i musiał się napracować, by utrzymać tempo. Kontuzjowana kostka znów zaczęła mu dokuczać. Dzień wcześniej wydawała się w porządku, ale mógł sobie w tańcu nadwerężyć posiniaczone mięśnie. Ilekroć naciskał pedał czuł pulsowanie w stopie.

Nigdy nie widział tak wielkiego księżyca. Usadowiony na szczycie wzgórza, po drugiej stronie ujścia rzeki, zalewał mokradła swym blaskiem. Po niebie sunęły grube chmury i gdy tylko przysłaniały srebrną tarczę, okolica pogrążała się w mroku. Beau trzymał się miejsc zacienionych. Wojsko rozstawiło wokół bombowca namioty, nikt jednak nie dostrzegł intruza na rowerze.

Ujrzał, jak droga biegnie w lewo, i serce zabiło mu żywiej. Dom Mary stał tuż za zakretem. Pokonał go i uświadomił sobie, że się pomylił. Dom znajdował się jakieś pięćdziesiąt metrów dalej. Dostrzegł liście palmowe, które znaczyły wejście. Światła od tej strony były zgaszone, lecz widać było uchodzący z komina dym.

Zatrzymał się dla złapania oddechu i spojrzał w stronę ujścia. Zaczęło padać. Wskoczył na rower i ruszył czym prędzej pod górę. Wiedział, że jak się pospieszy, zdąży dojechać przed ulewą.

Droga w cieniu domostwa była stroma i niewidoczna. Zsiadał już z roweru, gdy wydało mu się, że słyszy zduszony krzyk. Przystanął i zaczął nasłuchiwać. Znów rozległ się krzyk, potem trzask. Nie mogło być wątpliwości. Odgłosy dochodziły z domu. Usłyszał głos Mary, potem inny, burkliwy, męski. W domu działo się coś złego. Odrzucił rower i ruszył biegiem. Uderzenia deszczu na twarzy przesłaniały mu wzrok. W ostatniej chwili uskoczył przed jadącym wozem i kasztanowo-biały koń zarżał głośno. Beau pośliznął się, nadwerężając sobie kostkę i pod wpływem gwałtownego bólu potknął się i upadł. Słyszał rozdzierający nocną ciszę krzyk.

Rozległ się strzał.

Nie zwracając uwagi na ból, zerwał się z ziemi i pobiegł. Minął narożnik domu i przystanął przy wejściu na niewielkie podwórko. W drzwiach, na tle światła lampy, rysowała się sylwetka Mary. Patrzyła przed siebie, na mały but leżący na środku podwórza. Skośne strugi deszczu odbijały się od ziemi.

Beau zrobił krok do przodu i zobaczył Imeldę. Siedziała na ziemi, obejmując obnażone kolana. Płakała bezgłośnie. Twarz i sukienka dziewczyny uwalane były błotem. Obok niej dostrzegł nogi dużego mężczyzny, rozciągniętego na ziemi. Reszta ciała kryła się w mroku. W świetle dochodzącym z kuchni widać było ciemny strumień krwi łączący się z wodnymi odnogami, które płynęły przez podwórze. Beau pojął wszystko w jednym błysku myśli. Nie zauważył jednak nigdzie broni. Zdawało się, że Mary dostrzegła go dopiero teraz. Przesunęła po nim wzrokiem i uświadomił sobie nagle, że ona

także próbuje się zorientować, skąd padł strzał.

Wtedy z ciemności wyłonił się Tommy. Chłopak był przemoczony do nitki. Jasne kędziory przykleiły mu się do czoła, z ubrania ściekała woda. W prawej ręce trzymał strzelbę.

– Przepraszam, proszę pani – powiedział. Łzy ginęły pod spływającymi mu po twarzy strugami deszczu. – Zabiłem go. Musiałem. Przykro mi.

Mary podeszła do nieruchomego ciała. Nie zwracała uwagi na ulewę. Jej twarz przypominała kamienną maskę. Beau był zbyt ogłuszony, by cokolwiek powiedzieć. Chciał wyciągnąć do niej rękę, ale zdawało mu się, że otacza ją jakaś niewidzialna bariera.

Mary kopnęła wściekle leżące na ziemi ciało. Nie poruszyło się. Uniosła wysoko głowę i splunęła na martwego człowieka.

– To był zły człowiek, Tommy – powiedziała. – Mam nadzieję, że będzie smażyć się w piekle.

Beau przekonał ich, by weszli do domu i schronili się przed deszczem. Tommy zajął się herbatą. Ustawił z powrotem poprzewracane krzesła. Robił wszystko, spoglądając lękliwie na siostrę. Imelda włożyła sweter, który wisiał na kołku, i zaczęła myć sobie dłonie i twarz. Po chwili usiadła przy ogniu i Tommy stanął nad nią zaniepokojony.

– Na pewno nie jesteś ranna? – spytał.

– Nic mi nie jest. To tylko parę sińców – odparła. Broda drżała jej lekko.

– Nie on pierwszy chciał się ze mną zabawić.

– Kto jeszcze chciał się z tobą zabawić? – rzucił ostro. Patrzył na nią, ale dziewczyna potrząsnęła tylko głową.

– Nie martw się, chłopcze. Żaden mnie nie dostał – wyjaśniła pełnym wstrętu głosem.

Mary stała wpatrzona w ogień. Nie przyjęła filiżanki herbaty i cofała się, ilekroć Beau próbował ją uspokoić. Zapadło między nimi niespokojne milczenie. Beau zauważył na stole whisky, nappełnił szklanekę i podał Mary. Wzięła trunek, ale nie wypila. Po chwili popatrzyła na szklanekę, jakby nie bardzo wiedziała, skąd się wzięła, i odstawiła na gzyms kominka.

Beau próbował zebrać myśli. Alkohol rozjaśnił mu umysł i teraz mógł się zmierzyć z sytuacją. Na zewnątrz leży martwy człowiek. Wezwać policję? Mężczyzna chciał bez wątpienia zgwałcić Imeldę. Na pewno to sprawa policji. Mary zdawała się czytać w jego myślach.

– Musimy zrobić coś z Geraldem – zauważyła, nadal wpatrując się w ogień. – Nie możemy go tak zostawić.

– Kto to był? – spytał cicho Beau.

– Gerald Burke – powiedziała Mary, jakby wypluła z siebie to imię. – Mój mąż.

Beau był jak ogłuszony.

– Nie chcesz wezwać policji?

Mary zastanawiała się przez chwilę, w końcu potrząsnęła głową.

– Trzeba pozbyć się ciała. Będziesz musiał nam pomóc, Tommy – zwróciła się do chłopca, który przytaknął w milczeniu. – Jest przyływ, prawda? Mógł go porwać.

– Ale przecież Tommy bronił Imeldy – argumentował Beau.

– Policja nie może nic o tym wiedzieć – powiedziała zmęczonym głosem. Wskazała rzeczy leżące na stole i wzruszyła lekko ramionami. – Zaczną węszyć, zadawać pytania. Zobaczą Cyganów i pieniądze. Spytają też, co tu robiłeś – odwróciła się do Beau i popatrzyła na niego badawczo. Nie mógł znieść rozpaczy, jaka malowała się w jej oczach. – Nikt nie wie, że tu był. Zjawia się tak i znika. Tak będzie lepiej. Pomożesz mi?

– Jak tylko będę mógł, Mary. Powiedz tylko, co mam zrobić – odparł Beau. Mary spojrzała na zegar. Zauważyła szklanekę na gzymsie i wzięła ją do ręki. Przełknęła trochę, skrzywiła się, po czym wypła do dna. Zamknęła oczy, gdy nią wstrząsnęło. Kiedy znów je otworzyła, płonęła w nich dzika determinacja.

– Musicie z Tommym pozbyć się ciała – powiedziała. – Imelda powinna wrócić do domu. I udawać, że nic się nie stało.

– Pójdę pieszo – powiedziała dziewczyna.

– Leje jak z cebra – zauważył z troską Beau.

– Jestem pewna, że nie pierwszy raz przemoknie do nitki – warknęła Mary. Po chwili zmarszczyła czoło. – Przepraszam – powiedziała. – Tommy i Imelda są w niebezpieczeństwie. Oboje muszą odejść. – Spojrzała na nich. – Możecie zabrać się i odjechać?

– Ale przecież nikt nas nie widział. Nikt nie wie, że tu jesteśmy – upierał się Tommy.

– Z wyjątkiem Lesa – wtrąciła Imelda, czerwieniąc się. – Ale on nikomu nie powie.

Mary zignorowała jej uwagę.

– Posłuchajcie mnie. Morze wyrzuci kiedyś to ciało na brzeg. Miejmy nadzieję, że później niż prędzej. Nikt nie powiąże was z tą sprawą, ale lepiej, by nie pamiętano, że się tu kręciliście. Jak odjedziecie, zapomną o was.

Imelda popatrzyła na brata. Mary miała rację. Lepiej być w bezpiecznym miejscu. Tommy skinął szybko głową.

– Możecie spakować się od razu i wyjechać? – powtórzyła Mary.

– Biwakuje z nami rodzina – stwierdziła z namysłem Imelda. – Niedługo wyjadą do Clare. Moglibyśmy zabrać się z nimi.

– Dobrze. To dobrze – powiedziała Mary. – Możecie z nimi jechać, ty i dziewczynki. Ale Tommy powinien naprawdę wynieść się gdzieś daleko.

Bardzo daleko.

– Mógłbyś wyjechać z kraju? – spytał Beau. Rozumiał, o co Mary chodzi. Chciała wymazać wszelki ślad tej okropnej nocy. Zastanawiał się, czy znajdzie się dla niego jakieś miejsce, gdy będzie już po wszystkim, i poczuł zalewającą mu serce falę smutku. Popatrzył na kobietę. Ujrzał jej nieposkromioną urodę, nie znalazł jednak ani odrobiny tej miękkiej słodyczy, którą kochał.

– Jak miałbym wyjechać z kraju? – zawołał zdumiony chłopak. – Nie mam pieniędzy na podróż, nie wiem, dokąd pójść.

Mary podeszła do stołu i usiadła na krześle. Wskazała stos banknotów.

– Możesz jechać, dokąd tylko zechcesz – powiedziała.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Imelda wyszła szybko i zniknęła w mroku. Szła trzymając się blisko rowu. Wiatr uciszył się, lecz deszcz padał nadal.

Beau i Tommy pracowali w milczeniu. W ciągu paru minut zupełnie przemokli. Trudno im było przenieść ciało na wóz. Niełatwo było podnieść z ziemi potężnego mężczyznę. Beau zaskoczyła siła chłopca. Był o połowę niższy od niego, ale to jemu przypadł największy ciężar, gdy ujął zwłoki pod pachy. Beau chwycił za nogi.

Pchając i dźwigając, ułożyli wreszcie Geralda na wozie. Beau zmusił się, by oświetlić twarz martwego człowieka. Był zaszokowany jego zaawansowanym wiekiem. Mężczyzna musiał mieć ponad pięćdziesiątkę. Jego rysy sprawiały wrażenie nieociosanych i wulgarnych, jakby wyryły się na nich lata rozpusty. Oczy patrzyły tępo w księżyc, który wyglądał co chwila zza chmur. Beau wyjął z kieszeni chusteczkę i położył zmarłemu na twarzy.

Tommy znalazł stary worek po węglu i dał go teraz na duże kawałki. Nie był specjalnie przekonany do pomysłu ucieczki, dopóki Imelda nie wzięła pieniędzy ze stołu. Gdy już podjęli decyzję, pracował bez wytchnienia. Nie czuł potrzeby dalszej rozmowy na ten temat.

– Co robisz? – spytał Beau.

– Obwiążę tym koniowi kopyta i napcham do środka słomy – wyjaśnił chłopak. – Nic nie będzie słyhać na drodze.

Schylił się i przesunął dłonią po nodze konia, przemawiając doń szeptem. Zwierzę zastrzygło uszami, po czym uniosło najpierw jedną nogę, potem drugą, Tommy przywiązywał do kopyt wypchane słomą szmaty i Beau podziwiał wprawę, z jaką obchodził się z koniem.

Rozejrzał się wkoło i dostrzegł wciąż widoczną na podwórzu ciemną plamę krwi. Obok, jak milczący świadek wydarzeń, leżała strzelba.

– Musimy to zmyć – powiedział. Tom przytaknął.

– Deszcz nam pomoże. Ale spluczę to wiadrem wody dla pewności.

– Twoja? – spytał, Beau podnosząc strzelbę.

– Nie. Należała do niego – odparł chłopak, wskazując głową zwłoki na wozie. – Wisiała zawsze w małej szopie, gdzie trzymał różne rzeczy dla psów. Trzeba ją tam odłożyć.

Beau przytaknął i wytarł starannie całą strzelbę kawałkiem szmaty. Trzymał ostrożnie za lufę, by nie pozostawić na broni odcisków palców. Była to prawdopodobnie przesadna ostrożność, lecz dzięki temu miał się czym zająć. Przewyciężając obrzydzenie, usiłował zacisnąć dłoń Geralda na łożysku strzelby ale duża, mięsista dłoń zaczynała już sztywnieć. Wydawała się też zimna i szorstka, paznokcie zaś były obgryzione niemal do skóry. Wstrząsnął się

na myśl, że te chropowate dłonie dotykały Mary. Poczul się jak głupiec. Ani przez chwilę nie pomyślał o jej mężu ani o życiu, jakie z nim prowadziła. Oczarowała go iluzja wiejskiego życia na romantycznym wybrzeżu i pięknej Irlandki, z którą tańczył. Była mirażem, nie mającym wiele wspólnego z kobietą, która stała w strugach deszczu i pluła na martwe ciało męża, posyłając go do diabła.

Mary ledwie raczyła się do niego odezwać. Widział przez okno, jak siedziała przy ogniu. Kiedy próbował się do niej zbliżyć, stawała się zimna i obca. Powtarzała w kółko, że trzeba zabrać ciało, nim przyplływ się cofnie. Miał wrażenie, jakby dotychczas śnił, a zbudził się tylko po to, by stwierdzić, że uwiązł w jakimś koszmarze. Wszystko wydawało się takie nierealne – martwy człowiek na wozie, kobieta siedząca w milczeniu przy ogniu. Zapukał na pożegnanie w szybę, ale skinęła tylko głową.

Koń stapał z wysiłkiem po drodze, która zamieniła się w kamienistą ścieżkę ze strumieniem wody płynącym przez jej środek. Podążali kolistym traktem, otaczającym wyspę niczym pas. Wyrosło przed nimi dość strome zbocze i koń ruszył ciężko pod górę. Z jego nozdrzy dobywała się para gorącego oddechu, gdy stapał ostrożnie po kamieniach. Wóz kołysał się, rozbryzgując kołami wodę.

Na szczycie koń przystanął, by odpocząć. Beau patrzył na smoliście czarny bezmiar oceanu. Chmury mijaly w pędzie księżyc, który zwieszał się nad wodą, tłusty, dojrzały i ogromny. Beau nie mógł się oprzeć hipnotycznej sile tańczącego na falach blasku. Tworzone przez światło kształty roztopiały się bezustannie i zmieniały.

Droga wiodła na plażę i dalej, do miejsca, gdzie skalne półki wrzynały się w morze.

– Nazywają to Brzegiem Marii Dziewicy – wskazał Tommy dłonią i smagnął konia lejcami.

– Dlaczego? – spytał Beau.

– Nasza Błogosławiona Pani kiedyś się tu ukazała. Niektórzy powiadają, że to nie mogła być ona. Ci nazywają to brzegiem Cliony. Cliona to była w dawnych czasach taka bogini. Widzisz, w zatoce przebywali akurat żeglarze. Wedle legendy ujrzeli Matkę Bożą modlącą się na brzegu i zaczęli się śmiać i żartować z niej. Więc zatopiła ich łódź i wszyscy utonęli. Ale Matka Boża nie zrobiłaby czegoś takiego. Modli się za wszystkich grzeszników i wybacza im. A Cliona to co innego.

– Jest chyba bardziej mściwa – odpowiedział Beau.

– Można by tak powiedzieć – przyznał z powagą Tommy. – Ale czasem morze wyrzuca na brzeg muszle. Jest na nich wizerunek Dziewicy Marii. Nigdy więc nie wiadomo – dodał.

Wyprowadzili wóz w głąb cypla, najdalej jak mogli. Beau dostrzegł

wykute w kamieniu stopnie, prowadzące wprost do morza. Fale rozbijały się o brzeg, wyrzucając w nocne niebo gejzery piany. Tommy ruszył wzdłuż krawędzi cypla, patrząc uważnie w morze.

– Myślę, że powinniśmy zrzucić go w tym miejscu – wskazał niewielką zatoczkę.

Beau podszedł, by sprawdzić. Niżej kłębił się naturalny wir spienionej wody.

– Tu jest bardzo głęboko. Popatrz, co się dzieje, gdy rozbija się fala – ciągnął chłopak.

Beau obserwował wodę pędzącą ku skalistemu brzegowi. Nie spuszczał jej z oka, gdy rozbijała się o kamienie. Ściana wody została wepchnięta do małej zatoczki i niemal natychmiast odciągnięta. Prąd w tym miejscu musiał być bardzo silny.

Zdjęli ciało z wozu i przetoczyli ku krawędzi. Beau był zaskoczony własnym spokojem. Niezwykła sceneria nadawała wszystkiemu jakiś nierzeczywisty charakter i może dlatego nie miał żadnych skrupułów. Zepchnęli ciało za krawędź, a potem patrzyli, jak wpada z pluskiem do czarnej wody. Unosiło się na powierzchni, gdy napływały małe fale i ciskały nim po niewielkiej zatoczce. Beau obserwował horyzont w oczekiwaniu tej siódmej. Był zahipnotyzowany miarowym ruchem morza, które odbijało księżycowy blask. Po chwili wydało mu się, że dostrzega naprawdę wielkiego grzywacza. Płynął majestatycznie gdzieś z dali Atlantyku, nabierając stopniowo prędkości i wielkości. Załamał się przed uderzeniem o brzeg, a długie palce spienionej wody sięgnęły urwiska niczym dłoń. Jakby chciały się nań wdrapać. Ciało zniknęło natychmiast, a gdy woda wypłynęła z zatoczki, nie pojawiło się już.

Mężczyźni stali nad krawędzią i patrzyli. Beau miał wrażenie, że dostrzegł ciało gdzieś daleko w morzu, ale nie był tego pewien. Potem widział już tylko blask księżyca, rzucający na powierzchnię morza fantastyczne wzory.

– Kraby się do niego dobiórą – powiedział Tommy. – Widziałem raz dziewczyną, którą wyrzuciło na brzeg. Utopiła się ledwie kilka godzin wcześniej. Nie miała twarzy. Całą zakryły kraby.

Beau wstrząsnął dreszcz obrzydzenia.

Tommy popatrzył na niego i wzruszył ramionami.

– Nie przejmuj się. Jak nie kraby, to dostaną cię robaki.

Na szczycie wzgórza przystanęli i odwrócili się po raz ostatni. Beau wpatrywał się w oświetloną księżycem twarz Tommy'ego. Zobaczył jasne, mokre włosy na czole, bladoniebieskie oczy i piegi i pomyślał, że chłopak wygląda prawie jak dziecko. Lecz szorstkie dłonie, z taką swobodą dzierżące lejce, należały do dorosłego człowieka.

– Ile masz lat? – spytał Beau.

– Skończę na Boże Narodzenie osiemnaście – odparł chłopak.

– Zastanawiałeś się już, co będziesz teraz robił?

– Nie wiem – potrząsnął głową Tommy. – Myślę, że Mary ma rację. Powinienem wyjechać. Nie wiem, dokąd. Może do Anglii.

– Możesz jechać, gdzie tylko zechcesz. Jesteś młody i bystry. Możesz być wszystkim, czym tylko chcesz – powiedział Beau.

– Nie wiem – powtórzył Tommy. – Nigdy przedtem nie myślałem, żeby wyjechać albo robić co innego, a teraz muszę. Przynajmniej wiem, że Imelda i dziewczynki nie zostaną same. Nie chcę ich zostawiać, ale nic im się nie stanie. My, Cyganie, opiekujemy się swoimi. Mógłbym przysłać im pieniądze. Będą ich potrzebować, jak odjadę.

– Masz mnóstwo pieniędzy – przypomniał mu łagodnie Beau. – Pamiętasz?

– Tak, racja – odparł Tommy, jakby zaskoczony. – Dziwnie się czuję. Nigdy ich nie miałem, więc nie bardzo wiem, co teraz robić.

– Wierz mi, przywykniesz do nich. Uważaj tylko, byś nie stracił głowy. To tylko pieniądze. To nie one cię mają. Ty je masz. – Beau wyciągnął do chłopca rękę. – Życzę tobie i twojej rodzinie jak najlepiej.

Tommy uściskał mu dłoń i skinał głową. Resztę drogi pokonali w milczeniu.

Mary siedziała w ciemności przy kominku, kiedy Beau powrócił. Nim wszedł do środka, zatrzymał się przy oknie. Kuchnia przypominała obraz starego niderlandzkiego mistrza. Czerwony blask ognia oświetlał twarz i dłonie kobiety, reszta sylwetki roztapiała się w ciemności. Wpatrywała się pustym wzrokiem w gasnące węgle. Oczy nie zdradzały nawet śladu poruszenia, oddech był powolny i rytmiczny. Beau poczuł, jak serce zalewa mu fala czułości. Był zaskoczony, że to może tak boleć.

Gdy wchodził, zawołał do niej cicho. Nie chciał jej wystraszyć. Siedziała jak porcelanowa lalka, gdy zbliżył się wolno do ognia. Bał się zakłócić otaczający ją bezruch.

Odwróciła się powoli i spojrzała na niego. Przyglądała mu się nieruchomo przez długą chwilę.

– Jesteś mokry – zauważyła w końcu.

– To nieważne, kochanie – odparł szeptem.

– Przebierz się, bo zachorujesz – ciągnęła nieobecny głos. Jej ciałem wstrząsnął dreszcz. Zamknęła oczy.

– Nie martw się. Nic mi nie będzie. – Ujął delikatnie jej dłoń. – Chodź ze mną.

Popatrzyła na swoją rękę, jakby widziała ją po raz pierwszy. Nieruchoma, mała i bardzo jasna spoczywała w opalonych dłoni Beau. Zacisnął powoli palce i zmusił ją do wstania. Ruszyła za nim i tylko na chwilę przystanąła, by zamknąć

starannie drzwi kuchni.

Prowadził ją na górę, przemawiając do niej łagodnie.

– Nie martw się, maleńka. Jestem tutaj. Zaopiekuję się tobą.

Z jego ust płynęły słowa, jakimi zwykle przemawiały do niego mama i nianie. Nie wiedział, czy Mary go słyszy, ale nie przerywał.

Usiadła na łóżku, Beau zapalił małą lampkę na nocnym stoliku. Nie protestowała, gdy ściągnął jej buty. Uniosła ramiona jak dziecko, gdy zdejmował z niej mokre ubranie, a potem nakładał przez głowę koszulę. Starał się opanować pożądanie, jakie odczuł na widok nagiego ciała.

Położyła się na plecach i wbiła wzrok w sufit. Sprawiała wrażenie drobnej, bezbronnej i nieobecnej myślami. Beau niepokoił się coraz bardziej. Przykrył ją grubą narzutą, którą znalazł w nogach łoża.

Zrzucił mokrą kurtkę i spodnie i ułożył się obok niej na narzucie. Nie wiedział, co robić. Mary leżała sztywna i nieruchoma. Cofnęła się odruchowo, gdy wyciągnął rękę i pogłaskał ją po włosach. Położył dłoń na jej policzku. Wyczuwał jej drżenie.

– Już cicho – wyszeptał niepewnym głosem. – Wszystko będzie dobrze.

Było mu zimno. Nasłuchiwał deszczu łomoczącego w dach i poruszającego okiennicą wiatru. Po szybie spływały strugi wody. Pieścił delikatnie jej twarz i głaskał włosy. Leżała bez ruchu, ale wyczuwał jej gorączkowi myśli.

Przypomniawszy sobie wpatrzony w siebie martwe oczy, krew spływającą po podwórzu i cichy plusk ciała wpadającego do wody. Poczul w gardle narastającą grozę. Zadrżał i wsunął się pod narzutę.

Był spragniony jej ciepła. Wciąż widział oczy, które przykrył chusteczką, by na niego nie patrzyły. Zdawało się, że Mary w ogóle go nie dostrzega, gdy obrócił się do niej. Nadal czuł dreszcze. Przyciągnął ją do siebie, ale była zimna i martwa w jego ramionach. Zanurzył twarz w jej włosach i smakował łzy spływające po policzkach. Mary drgnęła, jej ciało odprężyło się, a wtedy przyciągnął ją jeszcze bliżej.

– Nie wiem, co robić. Kocham cię tak bardzo i nie mogę nic zrobić, by ci pomóc. Mary, mów do mnie – prosił.

Jej oczy wezbrały łzami. Wstrząsana łkaniem, objęła go i zamknęła w ramionach. Przyłgnęli do siebie. Ich łzy mieszały się w czasie pocałunku. Namiętność narastała z każdą chwilą niczym potop, zaskakując ich oboje. Potem dali się jej porwać bez reszty.

Kochali się przy wtórze szalejącej na dworze burzy. Okropności tej nocy nadal krążyły wokół nich. Przyłgnęli do siebie mocno, aż w końcu ich krzyk przepędził demony. Potem leżeli spokojnie spleceni w uścisku.

Spali w nocy bez ruchu, jakby ich ciała stopiły się z sobą, i nie budzili się nawzajem. O świcie ocknęli się jednocześnie i z zamkniętymi oczami przywarli

do siebie ustami.

– Witaj, piękna – wyszeptał miękko Beau. – Dobrze się czujesz? Przytaknęła z wolna i westchnęła, a wtedy dostrzegł w jej oczach błysk żalu.

– Nie mogę uwierzyć, że naprawdę odszedł – powiedziała.

– Odszedł – potwierdził Beau. Znowu poczuł w gardle obrzydzenie. Widział sińce na jej ciele. Nie musiał pytać, skąd się wzięły. Ujął jej twarz i pocałował ją delikatnie w powieki. – Już nigdy cię nie skrzywdzi.

Mary popatrzyła na niego z powagą.

– Co z nim zrobiliście? Wrzuciliście do morza? Gdzie? – spytała.

– Przy brzegu. Tym, który nosi imię Marii Dziewicy.

– Pokażesz mi? – poprosiła.

Beau skinął głową. Chciała wstać, ale przyciągnął ją do siebie. Spełni jej prośbę, ale wpierw pragnął się z nią kochać. Tym razem powoli i słodko.

Rozdział dwudziesty drugi

Zapowiadał się niezwykle dzień. Burza przegnała wszystkie chmury, pozostawiając po sobie olśniewająco błękitne niebo. Przyptyw ustąpił i plaża ciągnęła się dobre pół kilometra, nim napotykała spienioną falę.

Mary szła lekkim krokiem w dół kamienistą ścieżką. Beau trzymał ją za rękę, choć z łatwością poradziłaby sobie sama. Miała wrażenie, jakby urodziła się przed chwilą. Przymykała lekko oczy, chroniąc je przed oślepiającym blaskiem słońca.

Przypomniała sobie nienawiść, jaka szalała w niej poprzedniej nocy. Chwyciła za nóż, nim zdążyła pojąć, co czyni. Gniewne uczucia wzięły górę nad wszystkim, wypaliły ją i pochłonęły bez reszty. Do chwili, gdy rozległ się strzał.

Była jak odrętwiała, nie czuła jednak zimna. Nie czuła w ogóle niczego, dopóki nie znalazła się w ramionach Beau. Stała się kobietą-duchem, patrzyła, ale nie widziała. Jakby stała z boku, z dala od wszystkiego, i obserwowała samą siebie. Jak chodzi po kuchni, ustawia przedmioty, rozmawia z Tommym i Imeldą. Potem udała się z Beau do sypialni. Była nadal oszołomiona, gdy po przebudzeniu stwierdziła, że wszystko to wydarzyło się naprawdę – zarówno radość, jaką znalazła w ramionach Beau, jak i groza śmierci Geralda.

Nie mogła sobie z tym wszystkim poradzić. Musiała rozważyć każdą rzecz po kolei. Próbowwała nie myśleć o niczym z wyjątkiem tego, że spaceruje oto nad brzegiem morza. Wiedziała, że gdy znajdzie się w tamtym miejscu, jej umysł znów zacznie normalnie funkcjonować.

Beau podprowadził ją do samej krawędzi. Pod ich stopami przelewała się woda. Zeszła po schodkach na płaską skalną półkę i usiadła na dużym kamieniu. Z początku rozglądała się bez celu. Czytała wyryte w skale inskrypcje, które upamiętniały śmierć, jaką ponieśli w odmętach ludzie w ciągu minionych stu lat. Niektóre napisy były tak stare, że można było dostrzec tylko zarys krzyża. Bezlitosne wody zatarły imiona i daty, zmieniając je w niewyraźne linie.

Splotła ramiona i zaczęła myśleć o Geraldzie.

Gdyby trzeba było w jakimś miejscu zaznaczyć jego grób, to właśnie tutaj.

Widziała leżącego na podwórzu mężczyznę. Wyobraziła sobie, jak Beau i Tommy zrzucają jego ciało do morza. Czekala, aż ogarnie ją żal, gniew albo strach, nic jednak nie czuła.

Stwierdziła zaskoczona, że tam, gdzie niegdyś rządził ból, pozostała teraz jedynie rozległa pustka. Wiedziała, że gdzieś w ciemnych zakamarkach jej duszy wciąż czają się i cierpienie, i nienawiść, i smutek. Wiedziała jednak, że nie są już takie jak dawniej. To już nie te same uczucia, jakie towarzyszyły jej wiernie przez wszystkie dni, nadając mroczny odcień nawet najszcześniejszym

chwilom jej życia. Teraz należały nie do terażniejszości, lecz do przeszłości.

– Chcesz posiedzieć tu sama? – spytał cicho Beau.

– Nie, zostań – odparła, kładąc mu dłoń na ramieniu.

Beau stanął za nią i przytulił ją do siebie. Oparła mu głowę na piersi i spoglądała w morze.

– Z początku mnie nie bił, ale nigdy nie był miły – zaczęła powoli, jakby mówiąc do siebie. – Nigdy niczego mi nie brakowało. Nigdy nie chodziłam głodna. Czasem rzucał mi nawet jakieś pieniądze i mówił, żebym sobie coś kupiła. Innym powodziło się znacznie gorzej. Nie wiem, dlaczego pozwalałam się krzywdzić. Nie wiem, dlaczego nigdy nic nie zrobiłam. Po prostu mu pozwalałam. Raz straciłam dziecko, bo zrzucił mnie ze schodów. To była dziewczynka, ja zaś nienawidziłam samą siebie, bo odczułam wtedy ulgę. Nie mogłam znieść myśli, że mała będzie dorastać i patrzeć, jak jej ojciec bije matkę. Naprawdę chciałam umrzeć tamtego dnia. – Zamilkła na chwilę, zagubiona w swych myślach. – A potem przyszedł na świat Sean. Geralda często nie było. Nie zajmował się zbytnio dzieckiem, ale wydawał się dumny, że ma syna. Myślałam, że może z czasem się zmieni. Sean był taki słodki. Oddałabym za niego życie. Miał tylko dwa latka, kiedy umarł. Przestałam potem cokolwiek odczuwać i byłam z tego zadowolona.

Beau zaczął głaskać ją po włosach. Zamknęła oczy i poddała się delikatnej pieszczocie. Stwierdziła zaskoczona, że ma w oczach łzy. Zmusiła się jednak do mówienia. Ale najpierw objęła ręce Beau, jakby trzymała się koła ratunkowego.

– Kiedy Gerald zaczął gadać o Imeldzie, o tym, że chciałby ją mieć... – Wstrząsnął nią dreszcz i urwała. – Nie wiem... coś we mnie pękło. Nagle się zbudziłam. Uświadomiłam sobie, co to za potwór. I wtedy zjawiłeś się ty. Sprawileś, że poczułam się inna. Ale to się zaczęło jeszcze przed tobą. Ty mi tylko przypomniałeś, jak to jest, gdy żyje się naprawdę.

Siedzieli przez chwilę w milczeniu, patrząc na przypiływ. Morze wdzierало się łagodnie na skalną półkę i szemrało u ich stóp. Wstali i zeszli na plażę. Beau mówił niewiele. Trzymał ją tylko, pozwalając, by wyrzuciła z siebie wszystko. Lecz gdy zeskoczył na piasek, nastrój zmienił mu się natychmiast. Ruszył dziarsko po plaży, potem przystanął, by zdjąć buty i skarpetki, i rozbryzgując wodę przy brzegu pobiegł z powrotem do Mary. Pocałował ją i znów się oddalił. Usiadła na piasku i zrzuciła buty.

Patrzyła na niego z uśmiechem. Nie mogła się nadziwić temu młodemu człowiekowi, który wywija fikołki i wygłupia się przed nią. Zerkał na nią, by się przekonać, czy docenia te popisy. Śniada twarz i ciemne włosy mężczyzny tworzyły ostry kontrast z białą piasku. Przebiegł ją dreszcz, gdy zauważyła, z jaką łatwością porusza swym szczupłym ciałem. Przypomniała sobie, jak się kochali, i poczuła narastające pożądanie.

Beau przystanął i wpatrzył się w stos białych muszli. Podniósł jedną z radosnym okrzykiem. Przybiegł do Mary i uradowany pokazał jej znalezisko. Mała muszla przypominała bardziej kulę niż płaską skorupę. Była tak delikatna, że można by ją bez trudu zgnieść między dwoma palcami. Na górnej części widniał niewyraźny wzór. Mary знаła się na muszlach. Przekopala jako dziecko plażę w poszukiwaniu ciekawych okazów i zawsze uważała, że ich znalezienie jest oznaką szczęścia.

– Popatrz! – pokazał jej skorupę. – To Dziewica Maryja.

– A jak się na tym poznałeś, ty poganinie? – spytała rozbawiona. Jego uśmiech był szeroki i radosny, a ją zdumiało, że tak bardzo pragnie go pocałować.

– Nie jestem poganinem – usiadł obok niej. – Jestem szczęśliwym chrześcijaninem-odszczepieńcem, który chce się w życiu zabawić, a nawrócić dopiero na łożu śmierci.

– Czy to nie nadużycie? – spytała.

– Nie, szanowna pani. Rzecz polega na umowie. Grzesznicy zawsze mogą okazać skruchę. I na to liczę – wyjaśnił ze śmiechem.

Zawtórowała mu i nie opierała się, gdy pociągnął ją na piasek i zaczął całować. Leżeli na plecach, patrząc na chmury.

– Jest cudownie – westchnął Beau.

Przytaknęła. Nie pamiętała już, kiedy czuła się równie szczęśliwa.

– Chciałbym, żebyśmy leżeli tu tak całą wieczność.

– Szkoda, że nie możemy – potrząsnęła smutno głową Mary. Wsparł się na łokciu i uśmiechnął.

– A kto mówi, że nie możemy? – spytał wyzywająco. – Dlaczego nie możemy?

– Po pierwsze, zbliża się przypływ. Poza tym jest bardziej niż prawdopodobne, że niedługo stąd odleczisz.

– Masz rację – zauważył Beau. – Właśnie sobie przypomniałem – mają dla nas sprowadzić z Belfastu pas startowy. Niedługo go przywiozą. Muszę wracać. – Popatrzył na zegarek i uśmiechnął się. – Ale nie od razu. Dopiero szósta. Mało prawdopodobne, by ktokolwiek był już na nogach.

– Jak to – pas startowy? – zdziwiła się Mary.

– Chodzi o taką konstrukcję, którą daje się rozkładać. Armia używa ich na dalekich placówkach. Albo wtedy, kiedy trzeba się spieszyć – wyjaśnił, Mary była jednak pewna, że myśli o czymś innym.

– Jak długo to potrwa? – spytała jeszcze, ale nie słuchał.

– Zapomnij o pasie startowym – powiedział. W jego głosie wyczuwało się podniecenie. – Zapomnij o pasie startowym, armii i w ogóle o wszystkim. Zapomnijmy na chwilę. Udawajmy, że nic się nie wydarzyło. Wtedy będziemy mogli leżeć tu wiecznie.

– O czym ty mówisz?

– Tylko ty i ja – odparł, biorąc ją w ramiona. – Jeśli udasz, że możemy leżeć tu bez końca, jeśli głęboko w to uwierzysz, to przez czas, jaki nam jeszcze pozostał, będzie to prawdą.

– Ale to nie może być prawdą, bo musi się skończyć – zaproponowała.

– Daj spokój! Możesz to zrobić. Udawaj, że jesteśmy tylko ty i ja. Tak jak teraz. Jak zeszłej nocy.

– Zeszła noc była wspaniała – powiedziała Mary i pocałowała go. – Ale to nie może trwać.

– Dlaczego?

– Bo nie może.

– To łatwe – zerwał się z miejsca i zaczął chodzić w kółko, by podkreślić wagę swych słów. – Po prostu udawaj. Na razie. Udawaj, że to jednak może trwać. Że zawsze będzie trwało. To rzeczywistość. To teraźniejszość.

Mary rozejrzała się wkoło. Zobaczyła tylko wydmy, niebo i morze. Równie dobrze mogliby być na bezludnej wyspie. Ale to nie była jakaś tam wyspa. To była Inchidoney Island w West Cork, gdzie wszyscy o sobie wszystko wiedzą. Gdzie kobietę, która zatrzymała się na ulicy, by porozmawiać z mężczyzną, brano na języki, nim zdążyła się pożegnać. Już pewnie o nich plotkują. Musieliby być ślepi, by nie zauważyć, jak tańczyła z Beau. Potrząsnęła głową i roześmiała się cicho. Nie dba o to, co sobie myślą. Nie zamierza dzielić się z nimi tą nową radością, tak jak kiedyś nie zamierzała dzielić się smutkami.

– No dalej, Mary – prosił Beau. – Nie bawiłaś się jako dziecko w udawanie? Nie pamiętasz, jak to było?

Wstała i otrząsnęła się. Co tam, może sobie trochę poudawać. Czyż nie robiła tego przez całe lata? Wyjęła szpilkę z włosów, by unosiły się swobodnie na wietrze. Wbiła palce stóp w piasek i jego szorstkość przypomniała jej dawno minione wakacje. Beau stał bez ruchu i przyglądał jej się zaskoczony. Gdy zsunęła z ramion sukienkę, a potem zrzuciła resztę ubrania, w jego wzroku pojawiło się zdumienie.

– Pamiętam – powiedziała, uśmiechnięta i pozbawiona wstydu. – Udawałam, że jestem syreną.

– Musiałaś mieć żywą wyobraźnię – przyznał z szerokim uśmiechem. Wyciągnął do niej rękę, ale wyśliznęła się z jego objęć i ruszyła szybko w stronę morza. Podążył za nią, ona zaś zwolniła kroku, by mógł się z nią zrównać. Potem pobiegła przed siebie.

– Co ty wyprawiasz, wspaniała, szalona kobieto? – zawołał, biegnąc za nią.

– Będę pływać – odkrzyknęła przez ramię. – To właśnie robią syreny.

– Woda jest chyba lodowata! – zaprotestował.

– Wcale nie – odparła Mary, rozbryzgując z przeraźliwym piskiem

przybrzeżną falę. Pochyliła się i zanurzyła rękę w morzu. Woda opływała jej palce. Była rzeczywiście lodowata. Polizła dłoń, by poczuć na języku smak soli. Cały czas patrzyła na Beau. Podwinął nogawki spodni i stanął na płyciźnie, tuż obok. Nie mógł oderwać od niej wzroku.

– Smakuje wspaniale – powiedziała z uśmiechem.

– Może i tak, ale zaraz odpadną mi palce. My, chłopaki z Południa, jesteśmy przyzwyczajeni do łagodniejszego klimatu. – Otoczył ją w pasie ramieniem i pocałował w szyję. – Nie zamierzasz chyba wchodzić głębiej? – spytał.

– A ty nie wchodzisz? – droczyła się z nim Mary. Potrząsnął z niedowierzaniem głową.

Brnęła dalej w morze, czując na sobie jego wzrok. Chłód przenikający jej nogi, niemal pozbawił ją tchu. Szła ostrożnie na palcach. Gdy woda sięgnęła jej do pasa, uniosła w górę ramiona. Zatrzymała się i patrzyła na fale, które przepływały obok niej. Wybrała jedną i czekała. Nogi miała zdrtwiałe, a serce tak niecierpliwe jak pędząca w jej stronę fala. Wzięła głęboki oddech i rzuciła się do wody, gdy jej wzniesienie znalazło się tuż przed nią. Zanurkowała w lodowato zimnej toni i wypłynęła po chwili, parszcząc, zdyszana i roześmiana.

Beau skakał po plaży. Zdjął koszulę i wywijał nią nad głową, wiwatując. Zobaczyła, że zaczyna się rozbierać. Zanurkowała znowu i poczuła, jak zimna woda opływa ją z wszystkich stron. Wyobraziła sobie, że jest jakąś morską istotą. Odbiła się nogą i zanurkowała jeszcze głębiej. Wirowała szaleńczo, przebijając się przez wodną toń, aż straciła poczucie kierunku. Teraz, oczyszczona i uwolniona od początkowego odrętwienia, stanowiła z oceanem jedność.

Wypłynęła na powierzchnię i rozejrzała się wkoło. Beau nie było nigdzie widać. Unosiła się na wodzie i obracała na wszystkie strony, uświadamiając sobie, że straciła podczas nurkowania orientację. Dostrzegła go kilka metrów dalej. Płynął, uderzając mocno ramionami. Słyszała, jak przeklina.

– Jezu Chryste! – zadzwonił zębami, gdy już znalazł się przy niej. Wargi miał fioletowe, twarz czerwona. – Cholernie zimno! Wybacz mi, że to mówię, ale jądra mi zupełnie zniknęły! Myślałem, że tylko Skandynawowie są na tyle stuknięci, by próbować czegoś podobnego!

Im szybciej mówił, tym twardszy stawał się jego akcent. Amerykańska wymowa w połączeniu z dzwoniącymi zębami stanowiła najzabawniejszą rzecz, jaką kiedykolwiek słyszała. Roześmiała się tak serdecznie, że nie zauważyła fali, która rozbiła się o jej plecy i pchnęła ją wprost w ramiona Beau. Straciła oddech i zaczęła się krztusić.

– Widzisz, co narobiłaś? – śmiał się, trzymając ją w objęciach. Drżał całym ciałem. – Ty się topisz, a ja umieram z zimna! Dlaczego u licha nie chciałaś się opalać na tej małej plaży? Co ci przeszkadzało?

Mary tylko łąpała powietrze i zanosila się od śmiechu.

– Co cię t-t-tak śm-śm-śmieszysz? – jąkał się Beau.

– Ty – odparła Mary. Zdążyła już złapać oddech. – No dobrze. Wychodzimy z wody.

Płynęli, aż poczuli grunt pod nogami. Wyszli na brzeg, trzymając się za ręce. Rozejrzała się za swoim ubraniem. Plaża wyglądała teraz inaczej. Coś było nie tak.

– O Boże! Przyływ! – zawołała. – Moje rzeczy! Biegli szaleńczo przed siebie, rozchlapując wodę.

– O mój Boże! O słodki Jezu!

Biegała tam i z powrotem wzdłuż brzegu, padała co chwila na kolana i wpatrywała się w spienioną falę. Beau stał z boku i trzymał się za brzuch ze śmiechu. Po chwili sięgnął do wody i wyciągnął z niej mokrą szmatę.

– Moja sukienka! – jęknęła Mary. Podbiegła do niego i wyrwała mu ubranie z rąk.

Beau nie przestawał się śmiać.

– Biegałaś jak kurczak z obcięta głową!

– Nie ma się z czego cieszyć – zauważyła Mary, choć sama chichotała na wspomnienie paniki, jaka ją ogarnęła. – Ale musiałam wyglądać!

Nagle uświadomiła sobie swą nagość i zasłoniła się sukienką. Zapiaszczony materiał był zimny. Zaczęła się trząść. Beau popatrzył na nią z uznaniem.

– No, no – rzekł stłumionym głosem. – Wy, Irlandczycy, czerwienicie się na całym ciecie.

Mary oblała się jeszcze silniejszym rumieńcem. Beau wziął ją za rękę i zaprowadził do osłoniętego miejsca. Co ty wyprawiasz, pytał niewyraźny głos w głowie Mary. Uciszyła go jednak, gdy tylko spojrzęła Beau w oczy. Zaczęli się kochać na piasku.

Rozdział dwudziesty trzeci

Imelda czekała przy lampie na powrót Tommy'ego. Przygotowała już wszystko przed wyjazdem do Clare. Jej rodzina miała wyruszyć za dzień lub dwa. Nie wspomniała im o Tommym. Sądziła, że on także jedzie.

Zjawił się, przemoczony i zmęczony. Żałowała, że nie może mu zaparzyć herbaty, gdyż nie podsycala ognia. Przyjął z wdzięcznością mleko i wypił je jednym haustem. Zgasili lampę, a potem siedzieli przez długie godziny w ciemności i rozmawiali szeptem.

Postanowili, że nawet rodzinie nie powiedzą, o tym, co wydarzyło się tej nocy. Cyganie byli w gorącej wodzie kapani i Bóg jeden wie, co wuj Paddy czy ciotka Helen zrobiliby, gdyby się o wszystkim dowiedzieli. Jedno było pewne – wzięliby na przechowanie pieniądze. Imelda wetknęła gruby zwitek za koszulą. Nie miała pojęcia, co z tym skarbem zrobić, ale nie zamierzała rozstawać się z pieniędzmi nawet na chwilę.

Imelda i Tommy od śmierci rodziców byli na swoim, ale czy jakkolwiek Cygan mógł o sobie to powiedzieć? Druciarze tworzyli coś w rodzaju pajęczyny i rozciągała się ona na cały kraj. Byli wzajemnie powiązani – urodzeniem albo wendetą, dzięki czemu łatwiej im było przeżyć skutki wszelkich wydarzeń, począwszy od stłuczonego dzbana, a skończywszy na różnych nieszczęściach, jakie mogły przytrafić się w drodze. Po raz pierwszy w życiu Imelda i Tommy nie zasięgali rady ani nie dopuszczali nikogo do tajemnicy. Czuli się teraz samotni i zagubieni. Wędrowali przez pogrążony we mgle labirynt niejasnych możliwości. Przychodził im do głowy jakiś plan i odrzucali go po chwili. Kiedy milczenie przedłużało się ponad miarę, postanowili, że pójdą spać, a do rozmowy wrócą rano.

Wspaniałe chwile, jakie Imelda spędziła z Lesem, wydawały się odległe o całe wieki, i dziewczyna nie mogła uwierzyć, że jeszcze przed kilkoma godzinami była taka szczęśliwa. Rozmowa z Ruth na temat wyjścia za męża nie wydawała jej się już niedorzeczna. Był to szalony pomysł, jednak Les zdołał ją przekonać, że wszystko jest bardzo łatwe. Poczekaliby na niego, napisała, i pewnego dnia znów go odnalazła. Wyobrażała sobie nawet, że jedzie z nim do Ameryki. Pogrążona w szczęśliwych marzeniach nie brała w ogóle pod uwagę setki powodów, dla których nie mogłaby tego zrobić.

Leżała teraz i rozmyślała o tym, jaka jest głupia. Wyjęła z kieszeni niedużą karteczkę i wygładziła. Próbowwała odczytać przy blasku księżyca napisane na niej słowa, ciemne chmury płynęły jednak bezustannie i z trudem rozpoznawała pismo Lesa. Nie chciała myśleć o tym, co jej powiedział. Gdyby naprawdę zaczęła się nad tym zastanawiać, wierzyć jego zapewnieniom, doszłaby w końcu do wniosku, że wszystko jest możliwe. Musiałaby powiedzieć

o tym bratu, ale nie wiedziała, jak by zareagował. I bez tego mieli dość zmartwień na głowie. Brakowało im tylko pogoni za Jankesem, którego poznała ledwie parę dni wcześniej.

Nie wiedziała, czy przed wyjazdem do Clare będzie miała jeszcze okazję pożegnać się z Lesem i odczuwała głęboki smutek. Tej nocy rozważała myśl, czy nie porzucić rodziny. Myśl, że mogłaby już nigdy nie ujrzeć Lesa, wydawała się jeszcze boleśnieszka. Schowała kartkę i zaczęła szukać w kieszeni srebrnej odznaki, którą od niego dostała. Wyczuła w ciemności małe skrzydła i wygrawerowanego pośrodku orła. Nakłuła sobie szpilką palec, by zapomnieć na chwilę o przejmującym bólu, jaki dręczył jej serce.

Prawie nie zmrzyła oka tej nocy. Chwilami odpływała w niespokojny, krótki sen, by zbudzić się gwałtownie i szukać w ciemności grubego zwitka banknotów na piersi. Nie miała pojęcia, ile to pieniędzy, wiedziała jednak, że wystarczająco dużo, by mogła zrobić, co tylko zechce. Było ich prawdopodobnie więcej, niż jakikolwiek Cygan widział w całym swym życiu. Dość, by wszyscy mogli przenieść się do Ameryki.

Burza narastała, wyjąc w koronach drzew. Wozem trzęsło, Imelda zaś rzucała się na posłaniu i przewracała z boku na bok. Nie opuszczała jej pamięć o przeżyciach nocy. Jednak niepewność, co przyniesie nowy dzień, który miał zaświtać za parę godzin, była jeszcze silniejsza. Jedyłą pociechą były dla niej oddychające cicho dziewczynki. Tuliły się do siebie, szukając nawzajem swego ciepła. Pomyślała o Tommym, który leżał samotnie pod wozem. Zastanawiała się, czy zdołał w ogóle zasnąć.

Brzask zjawił się szybko, wpadając do środka przez małe okienko. Imelda patrzyła, jak nad Inchydney, po drugiej stronie mokradeł, wstaje słońce. Nie mogła dostrzec samolotu, wiedziała jednak, że tam jest. Przypomniała sobie wieżyczkę na kadłubie, w której Les ją całował, brata buszującego pod kadłubem, zapach i smak pomarańczy.

Była już zupełnie przytomna, gdy usłyszała ciche stukanie w ścianę wozu. Nim zdążyła odpowiedzieć, do środka zajrzał Tommy.

– Meldy? Nie śpisz? – spytał szeptem. – Chcesz herbaty?

Imelda oparła się o drzwi wozu i popijając gorący napój, przyglądała się bratu, który grzebał w ognisku. Przyszło jej nagle do głowy, że choć bardzo kocha tego chłopca, to tak naprawdę go nie zna. Wydawał się hardy i pewny siebie. Nigdy jej nie zaniedbywał, o dziewczynki też się troszczył, był jednak zamknięty w sobie. Obnosił swą męską arogancję niczym tarczę. Przebywał w świecie mężczyzn, ona w świecie kobiet. Niewiele ze sobą rozmawiali. Każde z nich znało swe miejsce i nie próbowało tego zmieniać. Imelda nie miała pojęcia, czy marzenia brata wykraczają poza sprzedaż konia za dobrą cenę albo spotkanie starych przyjaciół na targu. Od śmierci rodziców nie zdarzyło im się rozmawiać ze sobą tak długo, jak tej nocy.

Nie miała wątpliwości, że Tommy ocalił coś więcej niż tylko jej czystość. Ocalił jej życie. I najpewniej życie Mary. Gerald przypominał szarżującego byka, a jego twarz zmieniała co chwila barwę. Gonił ją niemal biały z wściekłości. Gdy potknęła się i zgubiła but, dopadł ją i chwycił za ubranie. Trzymał jej rękę w żelaznym uścisku i choć wierzgała nogami i wrywała się, nie mogła się uwolnić. Usłyszała strzał i zobaczyła, jak Gerald pada do tyłu, nie pojmowała jednak, co się stało. Zrozumiała dopiero wtedy, gdy z mroku wynurzył się Tommy. Nie może dopuścić, by poniósł za swój czyn jakąkolwiek karę. Musi uciekać. Tak jest najbezpieczniej.

– Wiesz już, co będziesz robił? – spytała. Wzruszył tylko ramionami.

– Zastanawiałam się nad tym – ciągnęła. – Mary ma rację. Żyć tak, jakby nic się nie wydarzyło, a przy pierwszej okazji odejść stąd, by wszyscy o nas zapomnieli.

– Chyba tak – zgodził się Tommy, grzebiąc w ognisku. – Mógłbym się przyczaić gdzieś i przeczekać. Odejść w głąb kraju. Albo pojechać z tobą do Clare, a potem jeszcze dalej. Wrócimy, jak już się uspokoi. Jeśli coś się w ogóle zmieni.

– A jeśli nigdy już nie wrócimy? – spytała z wahaniem Imelda.

– O czym ty gadasz? Nigdy nie wracać?

– To znaczy odejść stąd i nigdy nie wracać. Odejść daleko. My wszyscy. A gdybyśmy tak pojechali z dziewczynkami do Anglii? Albo nawet do Ameryki?

Tommy podniósł wzrok i popatrzył na nią, mrużąc oczy przed słońcem. Nic nie powiedział, tylko czekał. Imelda wzięła głęboki oddech.

– Czego chcesz od życia, Tommy?

– Nie wiem – odparł. – Dlaczego mówisz, żeby stąd odejść?

– Ludzie robią to od bardzo dawna, przecież wiesz. Wędrują do innych miejsc, chcą znaleźć lepsze życie.

– Lepsze życie? – powtórzył jak echo.

– Nie wiem, czy tego akurat chcę – wskazała dłonią wóz i ognisko. Zamyśliła się, jakby szukając odpowiednich słów.

– A co w tym złego? – spytał Tommy. – To nasz świat.

– Może powinniśmy spróbować czegoś innego. Może to się musiało wydarzyć. Nigdy nie pomyślelibyśmy o wyjeździe. Nigdy nie mielibyśmy wyboru, gdyby nie pieniądze.

– Nie chcę wyjeżdżać tylko po to, żeby pójść do roboty gdzieś w Anglii albo Ameryce – stwierdził ponuro Tommy.

– A dlaczego nie zaryzykować? – spytała Imelda, zaskoczona własnym pytaniem.

– A konie? – nie ustępował Tommy. – Nie mogę przecież zostawić koni. A ubrania na drogę, a dziewczynki, w ogóle wszystko?

- Możemy to zaplanować, Tommy. Znajdziemy jakiś sposób – odparła.
- Dokąd teraz idziesz? – spytał, wciąż oszołomiony jej nagłą decyzją wyjazdu.
- Zobaczyć się z Mary.
- Po co?
- Chcę się z nią spotkać. Nakarmię psy, żebyś nie musiał tam przychodzić. Powiedz Bridget, żeby pilnowała najmłodszych. Nellie spała spokojnie. Już prawie nie kaszle. Jutro będzie zdrowa jak ryba. Niech dziewczynki pójdą z ciotką Helen na mszę. Ty jedź do miasta i załatw wszystko, co trzeba. Spotkamy się w kościele.
- Ale co zrobimy, Imeldo? Jeszcze nic nie postanowiliśmy. Gadasz o tym, żeby wyjechać do Ameryki, a zaraz potem idziesz nakarmić psy.
- Nie martw się – rzuciła przez ramię. – Jak spotkamy się w mieście, będę wiedziała, co robić.

Mary krzątała się po domu, wciąż smakując słone pocałunki Beau. Pragnęła, by ich wspomnienie towarzyszyło jej jak najdłużej.

Beau zabrał płaszcz i starą czapkę, by ukryć mundur. Bał się, że ktoś może go zobaczyć na grobli. Wyglądał jak miejscowy farmer. Dopiero z bliska zdradzały go ciemne oczy, które rzucały spod daszka czapki wesóły błysk. Ucałowali się kilkanaście razy na pożegnanie, w końcu udało im się jakoś od siebie oderwać.

– Jesteś pewna, że dasz sobie radę? – dopytywał się co chwila, całując ją jednocześnie. – Nie chcę, żebyś została sama.

– Nic mi się nie stanie. Wracaj już, bo będą się zastanawiać, gdzie jesteś – powiedziała, nie wypuszczała go jednak z objęć. Ocierała się nosem o jego szyję, wdychając zmieszany z wonią morza cytrynowy zapach.

– Są tak zajęci, że byłbym zdziwiony, gdyby ktoś zauważył moją nieobecność – stwierdził. – Pokażę się tylko i zorientuję przy okazji, co słychać. I zaraz do ciebie wrócę.

– Może lepiej zaczekać do zmroku – zastanawiała się Mary. – Wtedy mógłbyś zostać tu dłużej.

Beau przytulił ją jeszcze mocniej i pogładził po plecach.

– O Boże, znów cię pragnę – powiedział.

Roześmiali się, wciąż objęci ramionami. Poczula, jak przez ich ciała przepływa fala pożądania. Pocałowała go w policzek i odepchnęła łagodnie.

– Idź już, zanim się rozmyślimy – nakazała z uśmiechem. – I szybko wracaj.

Poszedł, a ona wypuściła kury i przyglądała się, jak grzebią w ziemi. Powietrze było prawie nieruchome, tylko słabiutki wietrzyk szeleścił cicho liśćmi drzew. Usiadła na małej, skąpanej w blasku słońca ławeczce i wyciągnęła

przed siebie nogi. Poruszała stopami i czuła między palcami szorstki piasek. Wciąż nosiła na ciele ślady ich miłości. Przypomniała sobie, jak leżeli spleceni w zgodnym uścisku. Lekkie wyrzuty sumienia szybko stłumił dreszcz, jaki ją przeniknął na myśl o ich złączonych ciałach. Wiedziała, że pewnego dnia trzeba będzie za wszystko odpowiedzieć. Pogodzić się z nowymi uczuciami i znaleźć dla nich miejsce. Obok wstępu, jaki wciąż odczuwała w stosunku do Geralda.

Ale jeszcze nie teraz, gdy Beau jeszcze tu jest. Chciała poddać mu się bez zastrzeżeń i udawać, że to się nigdy nie skończy. Zamknęła oczy i znów pograżyła się we wspomnieniu tak przejmująco słodkiej nocnej żądy, kiedy ich ciała stopiły się ze sobą, a ona zapomniała o czasie i miejscu, o tym, kim byli i skąd przyszli.

Drgnęła, gdy dobiegł ją cichy kaszel. Na skraju podwórza stała nieśmiało Imelda. Mary nie usłyszała zbliżającego się wozu. Podbiegła do dziewczyny i objęła ją.

Zdawało się, że nie zmrużyła oka. Mary zauważyła też że zdumieniem, że jej przyjaciółka jest taka mała. Wyglądała jak dziecko. Brudna sukienka, wciąż nosiła ślady minionej nocy i Mary zastanawiała się, czy dziewczyna ma się w co przebrać. Twarz dziewczyny okalały jasne włosy z rozplecionego warkocza, podkreślając cienie pod oczami.

– Dobrze się czujesz, malutka? – spytała zatroskana. – Wejdz i napij się herbaty.

Imelda podążyła za nią w milczeniu. Mary dostrzegła, że dziewczyna drgnęła na progu i zawahała się na moment. Posadziła ją przy ogniu i zrobiła herbaty. Imelda ścisnęła w dłoniach filiżankę i przyglądała się, jak Mary kroi i smaruje masłem chleb.

– Jesteś głodna? Pewnie tak. Zrobię ci śniadanie – zaproponowała Mary. Nagle sama poczuła głód i przypomniała sobie, że od wczoraj nie jadła.

Imelda nie protestowała. Zjadła w milczeniu wszystko, co Mary przed nią postawiła. Zdawało się, że walczy z myślami. Mary czekała cierpliwie, przyglądając się dziewczynie.

W końcu Imelda odchrząknęła.

– Przykro mi z powodu twoich kłopotów, Mary – powiedziała ze spuszczoną głową. Mary musiała natężyć słuch, by ją zrozumieć. – Tak się bałam – załkała. – Myślałam, że obie nas zabije.

Mary wstała i objęła dziewczynę jak siostrę. Głaskała ją po włosach i przemawiała do niej cicho. Czuła, jak słowa więzną jej w gardle.

– Już go nie ma, Imeldo. Nikogo już nie skrzywdzi – szepnęła. – Masz rację. Zabiłby i mnie, i ciebie. Tommy był bardzo dzielny. – Oczy Mary napełniły się łzami. Poczuła ulgę, gdy spływały jej po twarzy niepowstrzymanym strumieniem. – Nie mogę uwierzyć, że naprawdę go nie ma. Boję się, że zbudzę się któregoś dnia i znów go zobaczę.

– Kochałaś go? – spytała Imelda i podniosła głowę, jakby chciała sprawdzić, czy nie posunęła się za daleko. Mary zawahała się przez moment. Dziewczyna oblała się rumieńcem i znów wlepiła spojrzenie w blat stołu. – Przepraszam, nie chciałam być wścibska – rzuciła szybko.

Mary wzięła z komody szczotkę, stanęła za Imeldą i zaczęła rozczesywać włosy jej. Dziewczyna nie ma jeszcze piętnastu lat, zasługuje jednak na odpowiedź. Nie jest już dzieckiem.

– Nie – odparła wreszcie. – Nigdy go nie kochałam. To ojciec wydał mnie za mąż. Nie miałam nic do powiedzenia. Ledwie go poznałam, nim za niego wyszłam. Myślałam, że z czasem go pokocham, ale tak się nie stało.

– Bił cię, prawda? – spytała Imelda niemal szeptem.

Mary rozdzieliła grube sploty. Szczotkowała, aż zaczęły błyszczeć. Zaczęła splatać je w warkocz.

– Bił mnie i gwałcił. Zamienił mi życie w koszmar.

– Dlaczego po prostu nie uciekłaś?

– Nie miałam dokąd. Ale to nie był najważniejszy powód. Nigdy o tym nie myślałam. Był przecież moim mężem.

Mary związała koniec warkocza i ułożyła dziewczynie na plecach.

Imelda przytaknęła z powagą. W spojrzeniu dziewczyny kryła się niezwykła dla jej młodego wieku dojrzałość. Mary serce podskoczyło w piersi. Chciała przytulić Imeldę i ochronić przed złem. Chciała kupować jej ładne sukienki, zabierać do kawiarni i dawać radość.

Pomyślała o małych obozowiskach, które mijała przy różnych drogach swego życia. Nigdy nie zwracała na nie specjalnej uwagi. Widziała bawiące się w kurzu dzieci, twardego mężczyzn, którzy sprzedawali wyroby z żelaza, a także zmęczone twarze kobiet, które chodziły od domu do domu z zawiniętymi w wytarte chusty pociechami. Cóż mogła dla nich zrobić?

Zacisnęła zęby, nie mogła jednak zmusić się do milczenia. Za bardzo były obie w to wszystko zaangażowane. Życie Imeldy splotło się z jej życiem i było za późno, by cokolwiek zmieniać. Obróciła dziewczynę twarzą do siebie i chwyciła mocno za ramiona.

– Nie pozwól, by wydali cię za mąż, Imeldo – powiedziała z naciskiem. – Nie pozwól im na to.

– To nasz obyczaj. Tak żyjemy – odparła niepewnie dziewczyna, Mary mogłaby jednak przysiąc, że mówi to bez przekonania. – Najpierw chcę wychować dziewczynki. Mogę powiedzieć moim ludziom, żeby zaczekali, ale jeśli każą mi wyjść za mąż, będę musiała.

– To nie jest życie dla takiej dziewczyny jak ty. Nie pozwól im tego zrobić. Weź pieniądze i wyjedź z Tommym. Macie ich dość. Nie zniosłabym myśli, że zmuszono cię do małżeństwa z jakimś brutalem.

– A może byłby dobry? Mama i tata byli ze sobą szczęśliwi – oponowała

Imelda.

– Ale równie dobrze może być zły i nie ty go sobie wybierzesz. Twoi ludzie wydadzą cię jutro za męża, a ty nie będziesz miała nic do gadania.

Imelda nie odezwała się. Oczy jej zabłysły. Sięgnęła do kieszeni i wyciągnęła dłoń. Mary zobaczyła kawałek papieru i małą spinkę w kształcie dwóch skrzydeł. Nie rozumiała, o co chodzi.

– To Les. Les Wagner, ten Amerykanin. Powiedział, że muszę do niego napisać. Mówi, że nie chce mnie stracić. Powiedział jeszcze, że przejdzie wzdłuż i wszerz całą Irlandię, by mnie odszukać, jeśli nie napiszę – wyrzucała z siebie bez tchu Imelda.

Mary przypomniała sobie wysokiego, niezgrabnego Jankesa. Widziała jak patrzył na Imeldę. Był zakochany po uszy. Bez dwóch zdań.

– Pojechałabyś z nim? – spytała, patrząc badawczo na dziewczynę. – Gdyby tu się zjawił, by cię odszukać? Pojechałabyś?

– Pojechałabym – przytaknęła Imelda. – Tak myślę. Ale ja go w ogóle nie znam. Ledwie go spotkałam, a on powiedział, że mnie kocha.

– A ty go kochasz?

– Nie wiem. Chyba tak. – Imelda umilkła na chwilę. Gdy spojrzała na Mary, błyszczały jej oczy. – Ale wiem, że mogłabym go kochać.

– Nigdy byś tego tu nie miała, dziewczyno – Mary przytuliła dziewczynę. – Nigdy.

Rozdział dwudziesty czwarty

Miasto było dziwnie wyludnione. Na rogach ulicy przesiadywało nie – wielu ludzi. Środkiem podążały niespiesznie dwa bezpańskie psy. Les szukał Imeldy. Był pewien, że przyjedzie do miasta. Musi się z nią zobaczyć. Pozostało im tak niewiele cennego czasu. Do rana mieli sprowadzić pas startowy. Jeśli wszystko pójdzie jak należy, samolot odleci dzień później.

Zastanawiał się, gdzie są mieszkańcy. Poprzedniej nocy miasto było pełne gwaru. Hotel pozostał otwarty do późna i w barze postawiono mnóstwo kolejek, nim ostatni gość wyruszył niepewnym krokiem do domu.

Les został jeszcze jakąś chwilę po odejście Imeldy, lecz udał się niebawem do łóżka. Zbudził się późno i zajrzał do Matta, ale ten już gdzieś poszedł. Łóżko Beau wyglądało tak, jakby nikt w nim nie spał.

Drgnął na dźwięk kościelnych dzwonów. Przypomniawszy sobie, że to niedziela. Tam właśnie są teraz wszyscy ludzie. Na mszy. Może Imelda też tam jest.

Kościół był pełen. Tłum dosłownie wylewał się na dziedziniec. Stojący na zewnątrz zaciągali się ukradkiem papierosami i rozmawiali szeptem.

Les oparł się o żelazną poręcz i też zapalił. Kilku mężczyzn skinęło mu głową. Martin Kelleher kręcił się w pobliżu z przyjaciółmi. Pomachał im, chłopcy zaś przybiegli posłusznie. Pogrzebał w kieszeni, szukając słodczy, ale przypomniał sobie, że rozdał wszystko dzieciakom w cygańskim obozie.

– Ma pan papierosa? – spytał wysoki, piegowaty chłopak. Martin przysunął się bliżej i dał mu kuksańca w zębra.

– Niech pan nie słucha tego osła – zwrócił się do Lesa.

– Jesteś za młody, żeby palić – potrząsnął głową Les.

– Na pewno nie szkodzi zapalić sobie od czasu do czasu.

– A ile masz lat?

– Jedenaście – odparł chłopak.

– Nie urośniesz, jak zaczniesz zbyt wcześnie palić.

– Nie urosnę? Pan pali, a jest pan wysoki jak dąb.

– Zacząłem palić dopiero, kiedy wstąpiłem do lotnictwa. Musisz jeszcze sporo urosnąć, żeby mi dorównać – stwierdził Les i potargał mu żartobliwie włosy. – Hej, co u ciebie? Masz jeszcze scyzoryk? – spytał Martina.

Martin skinął głową i z dumą wyjął nóż z kieszeni.

– Słyszałem, że znów chcecie spróbować. Może uda mi się wygrać następny zakład – zauważył bystro. Jego przyjaciel przewrócił oczami.

– Nie powinieneś tego rozgłaszać – Les zniżył głos. – To tajemnica.

– Może mi pan ufać. Umiem trzymać język za zębami – odparł Martin, mrugając do Lesa. – Ale tego osła nie byłbym taki pewien – dodał po chwili.

– Myślisz, że jak dostałeś ten głupi nóż, to jesteś tu najważniejszy – zauważył jego przyjaciel. Chłopcy zmierzyli się wzrokiem niczym dwa teriery.

– Posłuchaj, Martin, widziałeś gdzieś Tommy’ego Tannera albo jego rodzinę? – przerwał konflikt Les.

– A co pan chce od takich jak oni? – spytał kolega Martina. Martin zgromił towarzysza wzrokiem, tamten zaś pokazał mu język.

– Tommy jest w tylnej części kościoła – wyjaśnił Martin, wciąż patrząc groźnie na przeciwnika. – Może jego rodzina jest w środku, ale nie wiem na pewno. Matt tam jest.

– Matt? Pierwszy raz widzę, żeby wstał o świcie i poszedł na mszę – zauważył z uśmiechem Les.

– Matka Martina go zaciągnęła – stwierdził złośliwie kolega.

– Nieprawda. Zamknij dziób, Barry, bo cię walnę! Śmiejesz się z mojej matki. A nikt nie będzie się z niej wyśmiewał – zawołał Martin i popchnął Pata.

– Nie obchodzi mnie twoja matka. Może iść na mszę z samym papieżem, mam to w nosie! – zawołał Pat, odpychając z kolei Martina.

Ten rzucił się na niego bez słowa ostrzeżenia. Chłopcy upadli i zaczęli tarzać się u stóp Lesa.

– Dosyć, chłopaki – powiedział Les, rozdzielając ich. – Myślałem, że jesteście kumplami. Powinniście sobie pomagać, zamiast walczyć ze sobą.

Popatrzyli na niego pokornym wzrokiem i zwiesili głowy. Les puścił ich i otrzepał z kurzu.

– A teraz uściśnijcie sobie ręce – nakazał.

Martin wyciągnął niechętnie rękę. Pat Barry uścisnął ją.

– Nie chciałem śmiać się z twojej mamy – powiedział.

Odpowiedź Martina zagłuszył dźwięk dzwonów. Z kościoła zaczął wylewać się tłum wiernych.

Les poklepał chłopców po plecach.

– Zostańcie kumplami – powiedział z uśmiechem. – Muszę teraz iść. Do zobaczenia.

Les patrzył uważnie w twarze ludzi i z ogromnym zdziwieniem stwierdził, że bardzo wielu rozpoznaje. Dziedziniec kościelny tonął w słonecznym blasku i nikt nie miał specjalnej ochoty iść do domu. Les krążył między zebranymi i przystawał od czasu do czasu, by zamienić z kimś słowo. Wciąż miał nadzieję, że spotka Imeldę albo kogoś z jej rodziny.

Charlie Hansen i McKnight, stali z kapitanem armii irlandzkiej i urzędnikami, którzy zjawili się dwa dni wcześniej. Barry Kingston jak zwykle mówił coś z ożywieniem, podczas gdy panna Aileen O’Donovan i Con O’Leary słuchali w milczeniu. Con przywołał Lesa i objął go w niedźwiedzim uścisku.

– Co u ciebie, chłopie? – spytał jowialnie. – Brakowało nam wczoraj

twojego śpiewu.

– Byłem wykończony – odparł z uśmiechem Les. – Nie daję wam rady, chłopaki.

– No cóż, straciłeś niezły ubaw. Słyszałeś? Mówią, że ten pas startowy przywiozą dziś wieczór albo jutro. Pewnie niedługo odleciecie, co?

Les nie zdążył odpowiedzieć, gdy kapitan armii irlandzkiej zwrócił się do Pata Coughlana.

– Za dużo się mówi o tym pasie startowym – stwierdził niezadowolony. – Słyszałem, jak tego ranka wspominało już o nim kilku ludzi.

– Trudno to ukryć – zauważył oficjalnie Pat Coughlan. – Musieliśmy apelować do ojca Collinsa, by nie ogłaszał tego podczas mszy. Chciał życzyć Amerykanom przed odlotem wszystkiego najlepszego.

– Pewnie, całe miasto już wie – zauważył Barry Kingston, rozkładając szeroko ramiona. – Nie da się utrzymać czegoś takiego w tajemnicy, i to w małym Clonakilty. Jak kichniesz na Pearse Street, zanim zdążysz skręcić na rogu i dojść do Emmett Square, wszyscy będą o tym wiedzieć. To najbardziej ekscytująca rzecz, jaka wydarzyła się tu od lat. Samolot omal nie ściał wieży kościoła w biały dzień. Przecież nie da się tego ukryć.

– To jednak wysoce niezgodne z regulaminem – stwierdził kapitan. – Nie chcę widzieć na mokradłach żadnych gapiów. Musimy przeprowadzić tę operację tak szybko i cicho, jak to tylko możliwe.

– Jeśli nasze lądowanie wywołało taką wrzawę, to obawiam się, że niełatwo będzie utrzymać ludzi w domach – wtrącił Charlie Hansen.

– Teraz będzie ich jeszcze więcej. Ciągną z wszystkich zakątków hrabstwa, żeby zobaczyć odlot – dodał Con O’Leary. – Plotki rozchodzą się lotem błyskawicy. Nie da się ukryć tych ciężarówek z północy, jak już zaczną wjeżdżać do miasta.

Les nadal obserwował wychodzących z kościoła ludzi. Prawie wszyscy przystawali, by uścisnąć kapłanowi dłoń i na nich właśnie skupił swą uwagę. Mając nadzieję, że dostrzeże gdzieś Imeldę.

– Będziemy musieli ustawić na grobli blokadę albo może nawet przed samą groblą, żeby powstrzymać napływ ludzi – powiedział kapitan.

Miejscowi potrząsnęli głowami.

– To nic nie da – stwierdził Barry Kingston, odwracając się do stojącego obok posterunkowego Coughlana. – Jestem pewien, że Pat poprze mnie w tej sprawie. Mogłoby dojść do zamieszek. Widziałem nawet, że dwaj dziennikarze się tu kręcą. Jeśli przedostanie się coś do prasy, będzie pan miał na głowie całą ludność West Cork.

– Nie martwcie się o prasę – powiedział kapitan. – Jest stan wyjątkowy. Prasa nie wydrukuje bez zezwolenia nawet słowa. Nie chodzi o gazety. Chodzi o plotki. Tych nie da się ocenzurować.

– Poczekaście chwilę – poprosił Barry Kingston, drapiąc się po głowie. – Mam chyba pomysł.

Wszyscy patrzyli na niego wyczekująco. Barry Kingston skinął, by przysunęli się bliżej, po czym zniżył głos do szeptu.

– Uważam, że ogień trzeba ugasić ogniem – stwierdził, podkreślając wagę słów gestykulacją dłoni.

– Co dokładnie ma pan na myśli? – spytał podejrzliwie kapitan.

– Niech pan sam puści w obieg plotkę – wyszeptał z przejęciem Barry Kingston. Kiwał powoli głową, wodząc po obecnych pełnym zadowolenia spojrzeniem, jakby chciał nakłonić ich do zgody. Miejscowi przytakiwali w odpowiedzi i uśmiechali się szeroko, podczas gdy goście wciąż nie rozumieli.

– To by załatwiło sprawę – stwierdził Con O’Leary i zachichotał.

– Niech pan sam puści w obieg plotkę – powtórzył cicho Barry Kingston. – Niech się rozejdzie, że samolot ma wystartować w oznaczonym dniu, powiedzmy w czwartek albo w piątek. Jak tam wam pasuje. Może pan nawet wydać oficjalnie brzmiące instrukcje, żeby ich zmylić. No wie pan, że widzom nie wolno przekroczyć pierwszej grobli. Że droga będzie o tej i o tej godzinie zamknięta i że przebywanie o wcześniejszej porze na mokradłach jest niebezpieczne. Będą mieli o czym gadać. Amerykanie zaś, i na tym właśnie polega całe piękno tego podstępu, wystartują wczesnym rankiem, dzień przed ustalonym rzekomo terminem, kiedy wszyscy będą sobie spali w najlepsze, śniąc o tym całym pikniku! – dokończył, po czym skrzyżował ręce na wydatnym brzuchu i mrugnął.

– Genialne! – przyznał rozpromieniony Pat Coughlan.

– Może się udać – stwierdził ze śmiechem Charlie Hansen. – Choć to niezbyt uczciwe. Myślisz, że nam wybaczą?

– Oczywiście! – oświadczył Barry Kingston i zwrócił się do kapitana. – Co pan na to?

– To dotychczas najlepszy pomysł – odparł z namysłem kapitan. – Ale jak rozpuścić taką plotkę? I czy myślał pan już o ułożeniu jakiegoś oficjalnego oświadczenia?

– Nie martwcie się o jakiś tam oficjalny nonsens – wtrąciła panna Aileen O’Donovan. – Dopilnuję, by jeszcze przed wieczorem każdy człowiek z Clonakilty sądził, że samolot odlatuje choćby w przyszłym miesiącu, jeśli sobie życzy.

– Nie znam mądrzejszej kobiety od ciebie! – stwierdził z zadowoleniem Con O’Leary.

– A więc piątek, tak? – spytał Barry Kingston, uśmiechając się szeroko. Kapitan przytaknął powoli. Wszyscy chichotali pod nosem.

– Ułożenie pasa startowego zabierze jakieś dwadzieścia cztery godziny. Powiedzmy, że przystąpimy do próby we wtorek o świcie – powiedział Charlie

Hansen. – Gdyby coś poszło nie tak, będziemy mieli jeszcze w zapasie ponad dobę.

– A zatem piątek – stwierdził Barry Kingston, ściskając dłoń kapitana. Grupa rozeszła się szybko.

Z kościoła wyszli już ostatni wierni, ludzie stojący na dziedzińcu zaczęli się żegnać i oddalać. Les nie dostrzegł nikogo z rodziny Imeldy. Zastanawiał się, co robić dalej, gdy przywołał go Charlie Hansen.

– Widziałeś gdzieś sierżanta Beauregarda? – spytał.

– Wstał wcześniej, poszedł na długi spacer – nie wiadomo dlaczego, Les poczuł się w obowiązku kryć Beau. – Jestem pewien, że niedługo wróci. Czy coś się stało? Mam go poszukać?

– Nie. Wszystko idzie jak po maśle. Jeśli go zobaczysz, powiedz mu, że miejscowa śmietanka organizuje niedzielny obiad dla oficerów – wyjaśnił Charlie. – On też jest zaproszony, a to w związku z pomocą, jaką okazał podczas negocjacji. Druga po południu, dom na Emmett Square. Niech spyta pannę O'Donovan.

– Załatwione! – rzucił Les i oddalił się. Dziedziniec już niemal opustoszał, gdzieś na tyłach słychać było konie. Przyszło mu do głowy, że może Imelda wyszła bocznymi drzwiami. Nie zaszedł jednak daleko, gdy zatrzymał go Matt.

– Hej, dzieciaku, dokąd tak pędzisz? – spytał. – Pozwól, moja droga – zwrócił się do niewysokiej, czarnowłosej kobiety – że przedstawię ci mojego dobrego kumpla, Lesa Wagnera z Wisconsin. Les, ta wspaniała dama to Kitty Kelleher. Dziś rano wzięła na siebie obowiązek ocalenia mej duszy. Więc w rewanżu chcę ją zabrać na lunch.

Kitty Kelleher wyciągnęła dłoń.

– Nic takiego nie zrobiłam – powiedziała z uśmiechem. – Miło mi pana poznać, panie Wagner.

– Chcesz się przyłączyć? – spytał Matt. – Wyglądasz, jakbyś nie wiedział, co ze sobą zrobić.

– Nie, dziękuję. Szukam właściwie Imeldy. Widziałeś ją gdzieś?

– Imeldy? – powtórzył Matt. – A więc stąd ten pośpiech. Przykro mi, dzieciaku, ale jej nie widziałem.

– Była na mszy? – spytał Les z nadzieją w głosie. – Może nie zauważyłem, jak wychodziła?

– Nie wiem, ale za rogiem stoi dużo wozów. Może tam jest – powiedział Matt.

Les podziękował i pobiegł.

– Biedny mały – stwierdził Matt z uśmiechem. – Porządnie go wzięło. – Podał ramię Kitty, która przyjęła je z zadowoleniem. – *Alora, bellissima signora, pójdziemy?*

Przy bramie kościelnego dziedzińca utworzył się zator. W powietrzu krzyżowały się przekleństwa, woźnice krzyczeli na konie. Lesa ogarnęła panika. Może Imelda odjechała. Może już nigdy jej nie ujrzy.

Wrzawa była ogromna. Les skoczył czym prędzej do bramy, by przyjrzeć się wozom na przedzie. Dostrzegł Ruth i Dennisa i natychmiast do nich podbiegł.

– Jak leci? – spytał ciepło Dennis.

– Świetnie. Widzieliście Imeldę? – rzucił zdyszany Les.

– Nie, ale widziałem chyba wcześniej jej brata – powiedział Dennis. – A co się stało?

– Nic, próbuję ją po prostu znaleźć. Gdzie dokładnie widziałeś Tommy’ego?

– Szedł po Pearse Street z tak ponurą miną, że mógłby zachmurzyć słońce – odparła Ruth.

Les pożegnał się szybko. Przy hotelu omal nie zderzył się z Beau, który właśnie wychodził z budynku. Był wypoczęty i świeżo ogolony, miał też na sobie czysty mundur. Les wyczuł zapach jego wody po goleniu.

– Charlie Hansen cię szukał – poinformował Beau, wciąż spoglądając w głąb ulicy. – Powiedział, że jesteś zaproszony na uroczysty obiad o drugiej. Spytaj pannę O’Donovan, wszystko ci wyjaśni.

Beau nie wyglądał na zachwyconego. Wydawało się wręcz, że pomysł z obiadem w ogóle mu nie odpowiada. Les nie miał czasu, by zastanawiać się nad jego problemami. Musiał złapać Tommy’ego, nim ten zdąży wyjechać z miasta.

– Przykro mi, ale muszę pędzić – powiedział. – Chcę złapać Tommy’ego Tannera.

Złość zniknęła z twarzy Beau, a pojawił się na niej niepokój.

– Tommy’ego Tannera? Dlaczego, co się stało? – spytał.

– Nic – odparł zdziwiony Les. – Chciałem tylko znaleźć Imeldę.

– Nic jej nie jest? – spytał gorączkowo Beau.

– Chyba nie. A dlaczego miałoby jej się coś stać? – zdumiał się Les, jeszcze bardziej zaskoczony.

Beau zamilkł na chwilę, jakby coś rozważał. Potem uśmiechnął się i poklepał Lesa po ramieniu.

– Nieważne. Nie przejmuj się. Dziękuję za wiadomość, chyba będę musiał pójść na ten obiad.

Les poczuł niepokój. Co Beau miał na myśli? Tamten tylko mrugnął i wszedł z powrotem do hotelu. Les nie zastanawiał się nad tym dłużej. Ruszył szybkim krokiem. Gdy dotarł do niewielkiego skweru, podskoczyło mu serce. Ujrzał Tommy’ego Tannera.

– Tommy, cieszę się, że cię widzę! – rzucił, doganiając chłopaka.

– Co słyszeć? – wymamrotał Tommy.

– Świetnie. Po prostu świetnie. Imelda jest w mieście?

Tommy potrząsnął głową. Ruth miała rację – pomyślał Les. Zdawało się, że Tommy utracił swój promienny uśmiech. Chłopak skinął mu na pożegnanie głową i odwrócił się.

– No to do zobaczenia – rzucił, kończąc tym samym rozmowę. Les nie dał się łatwo zniechęcić.

– Hej, wracasz do obozu? Może bym się zabrał z tobą?

– Nie sędzę – potrząsnął głową Tommy i ruszył przed siebie. – Muszę już iść.

– No cóż, w takim razie pójdę sam – ciągnął Les, podążając w ślad za Tommym. – Chyba tam trafię. Mógłbym odwiedzić Imeldę i dziewczynki.

– Nie trzeba. Są zajęte. Poza tym Imelda szykuje się do drogi. Wyjeżdża do Clare. Może już jej nie ma.

Les wyprzedził Tommy'ego i zagroził mu drogę. Próbował spojrzeć chłopcu w oczy, ale tamten zacisnął tylko usta i spuścił wzrok.

– O co chodzi, Tommy? – spytał Les. – Co to znaczy, że wyjeżdża? Co się stało?

– Zejdz mi z drogi, Lesie Wagnerze – warknął Tommy. – Idź i zajmij się swoimi sprawami, jeśli nie chcesz napytać sobie biedy.

Les był zdumiony. Zaskoczyła go twarda nuta w głosie chłopaka. Tommy sprężył się, gotów w każdej chwili zaatakować. Ramiona trzymał swobodnie opuszczone, dłonie miał jednak zaciśnięte w pięści. Les był pewien, że gdyby się poruszył, doszłoby między nimi do bójki. Nie rozumiał, co się stało, nie wiedział też, jak się zachować.

Odwrócili się na odgłos końskich kopyt i Lesowi podskoczyło w piersi serce. Ujrzał nadjeżdżającą wozem Imeldę. Stała na koźle, tak jak wtedy, gdy zobaczył ją po raz pierwszy, na jej twarzy jednak malowała się zawziętość. Tommy odprężył się i rozwarł zaciśnięte dłonie. Wzruszył ramionami, gdy Les pomachał do niej energicznie. Imelda dostrzegła ich i smagnęła konia lejcami. Jego zmierzwiona sierść była mokra od potu i zarżał, gdy Imelda zatrzymała wóz. Oczy Imeldy błyszczały. Podniecenie i ożywienie dziewczyny natychmiast udzieliły się Lesowi. Nim zdążył pomyśleć, wskoczył na wóz i stanął przy niej.

– No dalej – zawołał do Tommy'ego. – Właż tu.

Tommy usadowił się obok nich. Milczeli. Imelda zawróciła z wprawą i znów ruszyła ku granicom miasta. Gdy znaleźli się na drodze, zaczęła popędzać konia. Cały czas patrzyła wprost przed siebie.

– Co się dzieje? – spytał Les. – Co się stało?

– Widziałaś się z Mary? – wtrącił Tom, nim Imelda zdążyła odpowiedzieć. – I co on tu robi?

– Zamknijcie się obaj – nakazała, nie odrywając wzroku od drogi. – Poczekać, aż będziemy na miejscu.

– To znaczy gdzie? – spytał Les. – Z powrotem w obozie? Dlaczego Tommy powiedział, że wyjeżdżasz?

Imelda nadal na niego nie patrzyła, dosłyszał jednak w jej głosie cieplejszy ton i poczuł się lepiej.

– Poczekaj, aż będziemy na miejscu, Lesie Wagnerze.

Jechali tą samą drogą, którą załoga samolotu zmierzała pierwszy raz do miasta. Przyptyw już się zaczął, ale nie był jeszcze duży. Daleko, tuż przy Inchydoney, Les widział spienioną falę, która połyskiwała w promieniach słońca. Niebo było olśniewająco błękitne, niemal bezchmurne. Na bagnistych równinach ujścia żerowały tysiące ptaków i widział, jak stado długodziobych osobników wzbija się w górę zgodną, rozskrzeczaną chmarą. Leciały wysoko ponad ich głowami i kołowały nad wodą, rozpierchając się i skupiając na przemian. Zastanawiał się, co to za ptaki, ale pomyślał, że lepiej nie pytać. Jego towarzysze nie byli chyba w odpowiednim nastroju do dyskusji o miejscowej przyrodzie.

Dojechali do niewielkiego zagajnika po lewej stronie. Imelda wstrzymała konia i skierowała wóz na odchodzącą od drogi ścieżkę. Les doszedł do wniosku, że są niedaleko mokradeł. Musiały rozciągać się tuż za wzgórzem. Ścieżkę po obu stronach porastały wysokie krzewy i wkrótce byli już niewidoczni od strony drogi. Imelda zatrzymała wóz i przywiązała konia do drzewa. Les zeskoczył na ziemię i zauważył koleiny wiodące w głąb lasu. Spojrzał na Imeldę, która po raz pierwszy tego ranka uśmiechnęła się do niego.

– To stara kopalnia – wyjaśniła. – Nikt już tam nie chodzi.

Tommy wciąż siedział z ponurą miną na wozie. Wskazał na mały tobołek obok siebie.

– Co to jest? – spytał przygaszonym głosem.

– Jedzenie i koce – odparła Imelda.

Zdezorientowany Les szukał wzrokiem oczu dziewczyny, ale nakazała mu skinięciem głowy cierpliwość i skupiła uwagę na Tommym. Chwyciła brata za ramię i zmusiła, by na nią spojrzał.

– Musimy mu powiedzieć, Tommy. Nie poradzimy sobie z tym sami. On nam pomoże.

Les nie mógł już dłużej milczeć. Podszedł do wozu i sięgnął po dłoń Imeldy. Podała mu ją bez wahania i zacisnęła palce na jego rękę.

– Co się stało, Imeldo? Zrobię dla was wszystko, co tylko w mojej mocy, ale nic nie rozumiem.

– Dlaczego miałbyś nam pomagać? Jesteśmy tylko Cyganami – wyrzucił z siebie Tommy. – Nie należysz do nas. Ty, Jankes, który wszystko robi dla żartu. Co ty w ogóle wiesz?

Imelda odwróciła się i spojrzała Lesowi w twarz.

– Gdybym cię potrzebowała, przyszedłbyś na moje wezwanie i pomógł

mi? – spytała cichym, pełnym wahania głosem.

Les, poczuł ucisk w gardle. Musiał odchrząknąć, nim odpowiedział.

– Wiesz, że tak – zapewnił. – Prędzej bym umarł, niż pozwolił, by coś ci się stało.

– O czym wy gadacie? – spytał gniewnie Tommy. – Niby dlaczego miałbyś się nią przejmować, Lesie Wagnerze?

– Bo ją kocham.

Tommy siedział na wozie oniemiały, jakby piorun w niego strzelił. Gapił się na Imeldę i Lesa, którzy trzymali się za ręce.

– Musisz mu zaufać, Tommy. Ja mu ufam. Widział niejedno. Będzie wiedział, co robić. Zaufaj mu, Tommy. Powiedz mu wszystko.

Relacja z wydarzeń nocy, kiedy został zabity Gerald, zajęła ponad godzinę. Les przez cały czas zaciskał pięści, wbijając sobie w dłonie paznokcie. Nim skończyli, wiedział, co należy zrobić. Było to tak proste, że wydawało się niemal zbyt łatwe. Nie widział powodu, by miało im się nie udać. Najważniejsze, by nikt się nie dowiedział. Wszystko musiało pozostać w głębokiej tajemnicy.

Wyciągnął ramiona i objął Tommy'ego, który wydawał się wyczerpany opowiadaniem.

– Nie wiem, jak ci dziękować, Tommy. Umarłbym, gdyby ktoś ją skrzywdził. Sam bym go zabił. Jesteś odważnym człowiekiem.

Imelda wzięła Lesa za rękę i spojrzała na niego wyczekująco. Na jej twarzy malowała się otwartość i ufność dziecka. Les dostrzegł w jej oczach miłość. Liczyła na niego, on zaś nie zamierzał jej zawieść. Rozejrzał się po niewielkim zagajniku.

– Czy to tu chcesz się ukryć? – spytał Tommy'ego.

– Myślałam, że lepiej będzie w starej kopalni – powiedziała Imelda. – Można się tam schronić przed deszczem, poza tym już z daleka słychać nadchodzących ludzi.

– Dobrze, pomożemy mu się tam urządzić. Trzeba omówić jeszcze kilka rzeczy, nim wyruszysz jutro do Clare.

Powiedział to i poczuł ukłucie bólu. Objął kibić dziewczyny, jakby szukał u niej wsparcia. Potem poprowadził ją za rękę starym, zarosniętym torem kolejowym. Tommy podążył ich śladem z tobołkiem w dłoni.

Rozdział dwudziesty piąty

Wbrew nadziejom Beau obiad się przedłużył. Dobiegała siódma, gdy znów siedział na rowerze i pedałowal w stronę wyspy. Słońce zachodziło i mokradła przykrywał z wolna cień zalegający już nad Inchydoney.

Kiedy znalazł się na otwartej przestrzeni, założył płaszcz. Wybrał drugą groblę. Oznaczało to dłuższą podróż, ale i większą odległość od żołnierzy pilnujących samolotu. Nacisnął czapkę, spuścił wzrok i pomknął przed siebie. Nawet jeśli ktoś go zauważył, nie reagował. Widzieli go pewnie rankiem, a teraz uznali, że wraca do domu.

Psy zaczęły czekać, gdy tylko wjechał na ścieżkę wiodącą w stronę małego podwórza, które kryło się w cieniu domu. Czerwone promienie słońca oświetlały dachy zabudowań. Oczekiwał, że Mary wybiegnie mu na spotkanie, zagroda jednak wydawała się opustoszała. Tylko bliźniacze wiązki dymu dobywające się z dwóch kominów wskazywały na czyjaś obecność. Uśmiechnął się na myśl, że to właśnie Mary rozpala ogień. Przypomniat sobie jej szybkie ruchy i nietypową dla tak drobnej kobiety siłę. Żałował, że nie mógł zjawić się wcześniej, by pomóc jej w codziennych obowiązkach. Lubił uczestniczyć w tej krzątaninie.

Spojrzał w okno. Kuchnia była nieskazitelnie czysta i przytulna, w palenisku tańczył niewielki ogień, a na kredensie stygł świeżo upieczony chleb. Postukał delikatnie w szybę, nikt się jednak nie odezwał. Tylko pies zaczął węszyć pod drzwiami.

Otworzył drzwi i wszedł do holu. Pokój frontowy nie był zamknięty. Tu także palił się ogień.

Mary spała na fotelu z podwinętymi nogami, tak jak wtedy, gdy ujrzał ją po raz pierwszy. Wydało mu się wówczas, że śni, Mary jednak była bardziej fantastyczna niż jakikolwiek sen. Miał wiele kobiet od chwili, gdy ukończył piętnaście lat. Ojciec zaprowadził go wtedy do francuskiej dzielnicy i od tej pory seks zaczął stanowić dla niego jedną z przyjemności życia. Beau czerpał dumę z faktu, że jest dobrym kochankiem. Kilka razy wydawało mu się nawet, że się zakochał, przy czym pierwszy raz w owej damie, którą ojciec zatrudnił dla niego w celach edukacyjnych. Dreszcz rozkoszy, choć nieodmiennie przyjemny, zawsze jednak kończył się bardzo szybko.

Z Mary wszystko było inaczej. Przyglądając się śpiącej, Beau uświadomił sobie, że jest już lekko znudzony kobietami, z którymi się spotykał. W wieku dwudziestu dwu lat żywił przekonanie, że miłość to nic innego, jak tylko wyrefinowana salonowa gra. Czy chodziło o wesołe damy, o dziewczyny z wyższych sfer czy niekiedy ich matki – zdobywał je zbyt łatwo.

Wiedział, że jest przystojny. Zawsze kręciły się koło niego kobiety. Nie

musiał ich nawet specjalnie szukać, wystarczyło, że wyciągnął rękę i już były. Beau przyjmował z zadowoleniem ich zaloty, ale ostatnimi czasy miał wrażenie, że gra jakąś rolę. Beauregard St Soucis, bogaty playboy, nieco zepsuty, lecz zawsze czarujący. Zastanawiał się, czy uwodził je głównie dlatego, że tego właśnie od niego oczekiwały.

Twarz Mary okalały rozpuszczone włosy. Ubrana w prostą bawełnianą spódnicę i białą bluzkę, na szyi miała łańcuszek z maleńkim złotym krzyżykiem. Beau ledwie słyszał jej oddech. Tylko nieznaczny ruch piersi zakłócał jej spokój. Przypomniawszy sobie, jak biegała nago po plaży, i poczuł narastające w ciele pragnienie.

Co kryje się w tej kobiecie, że tak bardzo jej pożąda? Nawet jeśli jest piękna, a jej ciało odznacza się siłą i zarazem miękkością, z jakimi nigdy wcześniej się nie zetknął? Wiedział jednak, że nie chodzi o jej dojrzałe kształty, że to nie one stanowią dla niego nieodpartą pokusę. To jej oczy. Pragnął wziąć ją śpiącą w fotelu i ujrzeć, jak zdumiona podnosi powieki.

Ukląkł przy niej i pocałował delikatnie jej wargi. Mary cofnęła się wystraszona. Potem podniosła wzrok, a na jej ustach zajaśniał uśmiech. Przyciągnęła go do siebie i pocałowała go w odpowiedzi. Beau położył głowę na jej kolanach.

– Nie spieszyłeś się – powiedziała, głaszcząc go po włosach.

– Musiałem wziąć udział w uroczystym obiedzie na naszą cześć. Mili ludzie, ale nie mogłem się doczekać, by wyjść. Tęskniłem do ciebie cały czas.

– Ja też za tobą tęskniłam – powiedziała cicho Mary.

Beau pocałował przez cienką spódnicę jej kolana. Zaczął posuwać się wyżej i gdy wsunął dłoń pod materiał, poczuł napięcie kobiety. Trzymał rękę swobodnie na jej udzie, aż znów się nie rozluźniła. Popatrzył jej w twarz. Zaczerwieniła się mocno, ale była uśmiechnięta. Pocałował ją raz jeszcze i z wprawą rozpiął jej bluzkę.

Światło dnia przygasało stopniowo. Beau pochylił się i zapalił małą lampkę. Mary zrzuciła ubranie na podłogę. Sięgnęła mu do koszuli, ale powstrzymała ją.

– Usiądź z powrotem w fotelu, kochanie – powiedział głosem chrapliwym z pożądania. – Chcę popatrzeć, jaka jesteś piękna.

Jej skóra drżała pod dotykiem Beau. Migotanie lampki pokrywało cieniami mlecznobiałe ciało. Znów zaczął powoli całować jej kolana, przerywał jednak, gdy tylko się naprężała. Czekał, aż sama nad sobą zapanuje. Wkrótce leżała z zamkniętymi oczami. Oddychała coraz głębiej i szybciej.

Zapomniał o własnym narastającym pożądaniu. Skupił się na Mary. Pozwolił, by to ona dyktowała tempo. Jego usta, język, dłonie poruszały się swoim rytmem. Wyczuwał najsłabsze nawet drgnienie jej ciała, najcichsze westchnienie, i dostosował się do niej. Rytm ich pieścizot stał się szybszy. Mary

odetchnęła głośno, otworzyła oczy i wygięła się w łuk. Uniosła się z fotela.

Beau nie mógł już dłużej czekać. Zdarł z siebie ubranie, ona zaś położyła się znowu, dysząc spazmatycznie. Całował jej twarz, oczy, włosy.

Otoczyła go ramionami i poczuł jej miękkie piersi na swej nagiej skórze. Sięgnął do jej bioder i przyciągnął na brzeg siedzenia. Oplotła go nogami w pasie, gdy w nią wszedł. Ich ciała stopiły się w jedno, a rytm miłosnego aktu był równie naturalny, jak ruch fal w zatoce. Gdy doszli do szczytu, przywarli do siebie, jakby chcąc ocalić się przed utonięciem.

Pozostali złączeni w intymnym uścisku, aż uspokoiły się ich oddechy. W końcu rozdzielili się. Beau położył głowę na jej piersi, a ona zaczęła go kołysać. Łomot jej serca dorównywał siłą uderzeniom w jego piersi.

– Jesteś najwspanialszą kochanką – powiedział.

– Ty też jesteś niezły – zaśmiała się cicho. – Gdzie się tego nauczyłeś? No wiesz, tego wszystkiego, co ze mną przed chwilą robiłeś?

– Och, można by powiedzieć, że to naturalny dar. To rodzinne – odparł Beau z szerokim uśmiechem. Wstał i przeciągnął się. – W Luizjanie jest to traktowane jako element ogólnego wykształcenia.

– Nie chcesz mi chyba wmówić, że i z tego przedmiotu pobierałeś lekcje? – żartowała, przyglądając się, jak chodzi po pokoju.

– No cóż, powiem tylko tyle, że nie wypada mi o tym dyskutować. Dżentelmen z Południa powinien być biegły w sztuce miłości. To wszystko.

Mary przerzuciła nogi przez poręcz fotela i zaczęła nimi wymachiwać. Czowała się jak nigdy przedtem. Beau chodził po pokoju nago, jakby była to najzwyczajniejsza rzecz pod słońcem, ona zaś stwierdziła ze zdumieniem, że sama także nie odczuwa żadnego wstydu.

– Z rozpuszczonymi włosami i refleksami ognia na skórze wyglądasz jak kurtyzana z francuskiej dzielnicy – rzekł. – Poczekaj. Nie ruszaj się.

Mary czekała posłusznie. Zjawił się po chwili z koronkową wstęgą, którą dała jej Imelda. Rozwinął ją i zawiązał na jej szyi kokardę. Końce materiału opadały luźno na jej piersi.

– No już. *Vous etes trop belle, madame* – stwierdził i posłał jej całusa.

– Co to znaczy? – spytała Mary, zachwycona tą męską adoracją.

– Jesteś zbyt piękna.

– A co to jest kurtyzana?

– Dama nocy – odparł z namysłem Beau. Mary potrząsnęła głową, nie rozumiejąc.

– Kurtyzana. Dama, której zadaniem jest dostarczanie mężczyznom przyjemności.

– To znaczy dziwka, tak? – Mary zaczerwieniła się i ściągnęła z szyi wstążkę.

– Nie, nie, nie. Jak na kurtyzanie z Nowego Orleanu, to zbyt pospolite i

wulgarnie słowo.

– Czy właśnie ktoś taki uczył cię miłości? – spytała, przypatrując mu się badawczo. – Kurtyzana?

– Nie zwracaj sobie tym głowy – odparł. Dostrzegła, że po raz pierwszy jest wobec niej zakłopotany.

– Nie jestem zła, Beau – powiedziała Mary, zaniepokojona jego zmieszaniem. – Po prostu mnie to interesuje. Nigdy nie słyszałam o kurtyzanach. Prawdę mówiąc, nie miałam pojęcia o mężczyznach, kobietach i miłości. Albo znałam to wszystko z najgorszej strony i dlatego wydawało mi się okropne.

Beau usiadł na sofie naprzeciwko, i wyciągnął przed siebie długie nogi.

– Miała na imię Fifi. Wiem, wiem, imię dobre dla pudła. Ale była bardzo piękna i cieszyła się opinią eksperta. Miała skórę o barwie karmelu. I była miła. Bardzo miła dla przerażonego, choć niezwykle podnieconego piętnastolatka.

– Miałeś piętnaście lat i poszedłeś odwiedzić dziw... to znaczy kurtyzanę? – spytała zdumiona Mary.

– Nie, nie poszedłem. Ojciec mnie zabrał z okazji urodzin.

Mary zakrztusiła się z wrażenia.

– Nigdy bym nie uwierzyła. – potrząsnęła głową – No cóż, mówiłem ci przecież, że doceniamy w Luizjanie znaczenie wszechstronnego wykształcenia.

– Jeśli skończyłeś wtedy piętnaście lat... – zastanawiała się nad czymś ze zmarszczonym czołem – to od tamtej pory musiałeś mieć znacznie więcej kobiet.

– Czerpałem przyjemność z towarzystwa wielu znakomitych dam – stwierdził.

Zmarszczyła się jeszcze bardziej. Beau podszedł do niej i wziął ją w ramiona.

– Uwierz mi, Mary, nikogo tak naprawdę nie kochałem, dopóki nie poznałem ciebie. Nigdy.

Gdy przywarł wargami do jej ust, miała wrażenie, że opuszczają ją siły.

– Czulaś to? – zajrzał jej głęboko w oczy. Skinęła głową.

– Nigdy przedtem tego nie czułem. Wierz mi.

– Ani ja – wyszeptała, poddając się pocałunkowi. Obejmowali się w milczeniu, w końcu Beau pociągnął ją do holu.

– Chodź – powiedział. – Chcę ci coś pokazać.

– Ale ja jestem naga! – zaprotestowała.

Beau próbował otworzyć drzwi wejściowe. Klucz obracał się powoli, a zawiasy były zardzewiałe. W końcu ustąpiły z przeraźliwym jękiem.

– Najwyraźniej nie chciały, by ktokolwiek je otwierał – zauważył Beau.

– Nie dziwię się – zauważyła Mary. – Od piętnastu lat nikt chyba tędy nie wchodził. To wejście dla gości, a nikt nas nigdy nie odwiedzał.

– No cóż, teraz są otwarte. Zamknij oczy i podaj mi rękę – Beau pociągnął ją do wyjścia.

– Ktoś nas może zobaczyć – zaprotestowała, zamknęła jednak posłusznie oczy.

– Nonsens. Jesteśmy rozbitkami na bezludnej wyspie, nie pamiętasz? Mary poczuła na nagiej skórze powiew chłodnej bryzy, a pod stopami drobinki ziemi. Zapach morza mieszał się z wonią ogrodu.

– Dobrze, możesz już się zatrzymać.

Staął za nią i objął ją ramionami, by nie marzła. Mary czuła dotyk jego ciała.

– Teraz. Otwórz oczy.

Wstrzymała oddech. Nad morzem, niczym gigantyczny, okrągły, biały balon, zwieszał się księżyc. Przecinał wodę świetlistą ścieżką niewielki ogród zalany był jego blaskiem.

– Zobaczyłem go przez okno – rzekł Beau, pocierając nosem o jej szyję. – I pomyślałem, że muszę ci go pokazać. To nasz księżyc.

– Papierowy? – westchnęła Mary.

– Jeśli tak, to największy, najjaśniejszy, najokrągłejszy, najtrwalszy papierowy księżyc, jaki kiedykolwiek widziałem.

Na myśl, że Beau musi odejść, poczuła w głębi serca ukłucie. Ból podkraść się niespodziewanie i zmać jej szczęście. Po chwili otrząsnęła się i wsparła o kochanka. Ciepło jego ciała uwolniło ją od wszelkich trosk. Pozostał tylko jego dotyk, smak i niewiarygodna namiętność, jaką w niej wzbudził. Znów ocierał się nosem o jej szyję i szeptał jej coś do ucha. Czuła przyjemne łaskotanie i zaczęła kręcić się w jego objęciach. Nucił melodię, przywierając ustami do jej szyi. Chichotała i próbowała się wyswobodzić, nie zamierzał jednak jej puścić.

– Lepiej wejdźmy do środka. Ktoś może nas zobaczyć – powiedziała ze śmiechem.

– Widzi nas tylko człowiek na księżycu. Spójrz, ma na twarzy ten swój odwieczny uśmiech. Na pewno nie przeszkadza mu dwoje nagich kochanków. Powiedziałabym, że jest nami wręcz oczarowany.

Zrobiło im się zimno. Wbiegli z powrotem do domu, rozdygotani i roześmiani, by ogrzać się przy ogniu. Beau postanowił coś ugotować i pomaszerował do kuchni. Mary włożyła ubranie.

Stał przy stole tylko w spodenkach i wybuchnęła na jego widok śmiechem.

– Co cię tak bawi? Nie widziałas nigdy mężczyzny, który gotuje ubrany tylko w gatki? Jestem po prostu nagim szefem kuchni!

– A co przyrządzasz? – spytała Mary.

– Zamierzałem zrobić omlet *bayou*, ale nie mogę znaleźć przypraw. Masz w domu odrobinę pieprzu, kochanie? Wygrzebałem trochę soli, ale zdaje się, że to wszystko.

Mary potrząsnęła głową. Pieprz był w tych czasach prawie nie do zdobycia, poza tym nigdy nie używała przypraw.

Beau wzruszył ramionami i zaczął i kroić cebulę.

– Mój ojciec zawsze podróżuje z wielkim zapasem przypraw. Jego służący zabiera ze sobą cały zbiór, gdziekolwiek jedziemy. Nawet jak zatrzymujemy się w doskonałym hotelu, tata doprawia wszystko ostrym sosem własnej roboty.

– Twój ojciec podróżuje ze służącym? Musisz być bardzo bogaty. Beau nie odpowiedział. Skoncentrował się na gotowaniu, cały czas jednak rozważał, ile może jej zdradzić. Uświadomił sobie, jak bardzo zależy mu na tym, by wiedziała o nim jak najmniej. Brała go takim, jakim był, nic ponadto. Bał się, że może stracić do niego sympatię, gdy dowie się więcej. Żałował, że wspomniał nieopatrznie o kurtyzanach, służących i lekcjach tańca.

Mary usadowiła się na krześle przy kominku i zajęła rozpalaniem ognia. Dorzuciła kilka brył torfu, a potem patrzyła, jak płomienie pochłaniają je i skaczą do góry.

Gdy tak siedziała przy ogniu, była nieprzemijająco piękna. To nie jakaś tam młoda i ładna dziewczyna, oszołomiona jego majątkiem i posiadłością. Uważała go prawdopodobnie za zepsutego osobnika, co oczywiście było prawdą. Mary musiała wyczuć jego zmieszanie. Nie nalegała już, by jej odpowiedział. Podeszła do niego i pocałowała delikatnie w kark.

– Co to był za obiad, na który cię zaprosili? – spytała. – Reszta załogi też przyszła?

– Nie. Tylko oficerowie i ja. Zaproszono mnie, ponieważ pomogłem przy negocjacjach. – I znów to samo. Za każdym razem pojawiał się problem jego pochodzenia. – Mój ojciec ma bardzo wysoko postawionych przyjaciół, zarówno tutaj, jak w brytyjskim dowództwie – ciągnął nieco znużony. – No i oczywiście w Stanach. Dzięki temu można było sprowadzić ten pas startowy z Belfastu.

– To wspaniale – powiedziała Mary z błyskiem w oku. – Jestem z ciebie bardzo dumna, Beauregard.

– Tak naprawdę, niewiele zrobiłem. Choć uprzedzam, że to wszystko musi pozostać w tajemnicy.

– Dlaczego? Komu przeszkadza, że wasz samolot znów poleci?

– Toczy się wojna, kochanie. A Irlandia jest neutralna. Nie byłoby więc w porządku, gdyby Irlandczycy i Brytyjczycy sprzymierzyli się, by pomóc Amerykanom uruchomić samolot i umożliwić walkę z Niemcami. Rozumiesz?

– Nie widzę powodu, by nie rozumieć – wzruszyła ramionami.

– Niemcy nie byliby zachwyceni, gdyby się o tym dowiedzieli.

Robił mnóstwo bałaganu, ona zaś krążyła wokół niego i sprzątała. Mieli dużo zabawy, gdy próbował usmażyć omlet na zawieszonym nad ogniem ruszcie, nie zgodził się jednak, by zrobiła to za niego. W końcu upichcił smakowite, choć nieco przypalone danie z jajek i cebuli. Jedli łąpczywie, zagryzając grubymi pajdami chleba z masłem.

– Więc kiedy przywiozą ten pas startowy? – popatrzyła na niego spod długich rzęs, gdy skończyli już posiłek.

– Może dziś w nocy. Najpóźniej jutro. Składanie potrwa co najmniej dzień – odparł Beau. Nie zdobył się na to, by powiedzieć rzecz oczywistą: że gdy tylko pas startowy zostanie położony, samolot odleci do Anglii. Uświadomił sobie nagle, że nie może opuścić tej kobiety. Dostrzegła jego smutek i położyła mu łagodnie dłoń na ramieniu.

– To znaczy, że mamy jeszcze dla siebie dzień i noc, może dwie – powiedziała.

– Nie wiem. – Głos mu się załamał. Stwierdził zaskoczony, że pieką go oczy. – Dziś nie chcę się jeszcze martwić. Możemy wszyscy robić, co nam się podoba. Nikt nawet nie wie, że wyszedłem z hotelu. Jeśli wrócę na śniadanie, nikt tego nie zauważy. Lecz wszystko może się zmienić, jak dostarczą pas startowy. Nie wiem, czy będę mógł tu znów przyjść.

– Nie zaczynaj, Beaugard St Soucis! – powiedziała ostro Mary i ścisnęła go za ramię. – Wciąż mamy przed sobą całą noc. Sam mówiłeś, żeby zapomnieć o wszystkim. Mówiłeś, że możemy być zawsze razem. Jeśli będziemy udawać, że istniejemy tylko ty i ja.

Beau powstrzymał łzy i przytaknął. Uśmiechnął się mimo woli, słysząc, jak wymawia jego imię. Jej irlandzki akcent sprawiał, że wszystkie sylaby zlewały się ze sobą.

Patrzyła na niego płonącym wzrokiem.

– Wciąż mamy przed sobą noc. Możemy sprawić, by trwała wiecznie.

Jeszcze nigdy nie wyglądała tak pięknie. Ujął jej dłoń, jakby chciał poprosić ją do tańca. Wstali od stołu. Patrzyli sobie w oczy, obejmując się ramionami. Potem ruszyli w milczeniu na górę.

Kochali się całą noc. Przez małe okno sypialni wpadał do środka blask księżycy i otulał ich ciała srebrnym płaszczem. Mary uświadomiła sobie, że tym razem dzieje się coś więcej niż przedtem. Tym razem jej dłonie odkrywały jego ciało, wodząc po liniach i łukach. Była to dziewicza podróż i przy każdym nowym zakątku odczuwała zachwyty. Miała wrażenie, że jej ciało wie, co robić, poddała się więc jego woli i podążała ścieżką namiętności, czułości i pożądania z zapalem, który zdumiewał ją i rozpałał.

Leżeli potem wtuleni w siebie, nasyceni i spokojni. Rozmawiali szeptem. Wzajemne pragnienie znów dało o sobie znać i porwało ich tam, gdzie tylko oni mogli przebywać.

Leżała wyczerpana i szczęśliwa, a wsparty na łokciu Beau, uśmiechał się do niej. Wodził dłonią po krągłości jej biodra, ona zaś czerpała radość z dotyku jego palców na swej skórze.

– Wiesz, że się w tobie zakochałem, prawda? – spytał cicho. Mary nie odwróciła wzroku, czekając, aż będzie mówił dalej. – Możesz zaprzeczyć, ale wiem, że i ty mnie kochasz.

– Nie zamierzałam zaprzeczać – powiedziała. – To jasne jak słońce. Nie ma to najmniejszego sensu, ale tak jest.

Wyciągnęła dłoń i musnęła jego policzek. Chwyił ją za rękę i pocałował nadgarstek.

– Dla mnie to ma sens – powiedział.

– Jesteś moim pięknym marzycielem – stwierdziła słodkim głosem.

– Nie, Mary. To nie udawanie. To prawda. Wiem, wiem, obiecałem, że nie będziemy mówić o jutrze ani o tym, co będzie później, ale nie mogę znieść myśli, że mógłbym pozostawić cię tu samą.

– Dam sobie radę, nie martw się.

– Co zamierzasz zrobić?

– Jeszcze się nad tym nie zastanawiałam – odparła, spoglądając w sufit. Tynk był stary i spękany. Przydałoby się w tu pomalować – pomyślała. Na dobrą sprawę należałoby pomalować cały dom. Pochłonęły ją nagle plany na przyszłość. Było to dla niej zupełnie nowe doznanie. Poczula dreszcz podniecenia na myśl, że doprowadzi dom do porządku. Zaczęła głośno mówić, jakby snuła marzenia: – Za czasów mojej babki była to farma. Może uda mi się przywrócić ją do życia. Mam trochę pieniędzy. Dokupiłabym trochę zwierząt, może nawet udałoby mi się odzyskać ziemię, którą Gerald sprzedał... albo przynajmniej wydzierżawić.

Oczy jej błyszczały. Ujrzała w wyobraźni falujące na południowym polu łąny jęczmienia, a niżej, tam, gdzie gleba była czarna i torfowa, dojrzewające pomidory.

– Ziemia jest tu dobra. Moja rodzina nawozi ją od stu lat wodorostami. Możesz tu posadzić, co tylko zechcesz. I hodować bydło.

– Albo po prostu sprzedać – stwierdził Beau.

– Dlaczego miałabym to zrobić? – spytała. Beau ujął dłońmi jej twarz i pocałował.

– Mogłabyś sprzedać farmę i przyjechać do Luizjany – powiedział głosem przepelnionym gorączkową niecierpliwością.

Mary poczuła, jak topi się w niej serce. Oczy Beau paliły ją niczym dwa czarne węgle. Dostrzegła mocno zarysowaną szczękę, długi nos i pełne wargi. Czekał na jej odpowiedź. Czowała niemal, jak emanuje miłością, jak pragnie, by się zgodziła.

– Co miałabym robić w Luizjanie? Jestem zbyt stara na kurtyzanę –

powiedziała niby żartobliwie.

– Mogłabyś wyjść za mnie.

– Och, kochanie – zawołała i przytuliła go jeszcze mocniej. – Nigdy nie zdołałabym dostosować się do twego świata.

– Nic podobnego – oponował. – Nauczyłbym cię, jak to zrobić. Moglibyśmy być szczęśliwi.

– Nigdy bym się nie dostosowała. Tak jak ty nigdy nie dostosowałbyś się do Irlandii.

– Co z tego?! Czyż nie jesteśmy idealnie dobrani? Czy nie jest wspaniale – teraz, tutaj?

– Tak, jest – przyznała, całując go delikatnie w powieki, jak krnąbrne dziecko. – Ale nie możemy mieszkać w tym pokoju całą wieczność. Nie tak naprawdę. Nikt nie przewidywał tego, co się wydarzyło. Powinniśmy dziękować losowi, że pozwolił nam się spotkać. Ty należysz do swojego świata, a ja do swojego.

– Moglibyśmy przecież uciec. Stworzyć sobie własny świat – przekonywał.

Mary wstała i podeszła do okna. Popatrzyła w stronę ujścia rzeki. Księżyc przemieścił się nad wzgórze Ardfield i był teraz znacznie mniejszy. Wiedziała, że nazajutrz będzie jeszcze mniejszy, jakby ktoś odciął z niego mały kawałek. Przed końcem tygodnia zniknie zupełnie.

– Nie, najdroższy, nie moglibyśmy. Znienawidziłbyś mnie w końcu, a ja bym cię odrzuciła. A gdybym cię posłuchała i próbowała dostosować się do twego świata, to bym się zmieniła. Nie byłabym już tą kobietą, w której się zakochałeś.

– Będę cię kochał zawsze, nieważne, co się wydarzy – zapewnił ja Beau.

– Oczywiście, że tak. I ja będę cię kochać. Sprawileś, że znów poczułam się kobietą, choć wcześniej nie zdawałam sobie nawet sprawy, jak bardzo jestem kaleka. Nikt mi nie może tego odebrać. Nikt nie wykreśli tego, co tu razem przeżyliśmy. Pozostanie to w naszych sercach na zawsze.

– Proszę, Mary – powiedział tylko, wyciągając do niej ramiona. – Proszę, jedź ze mną do Luizjany.

Rzuciła mu się w objęcia, a potem wdychała głęboko jego cytrynową woń. Zdawało jej się, że stoi na skraju przepaści, gdzieś wysoko nad morzem. W dole widziała Beau, który wołał do niej. Zdobyła się na odwagę i wyobraziła sobie, że zamyka oczy i skacze w otchłań. Wiedziała jednak, że nie mogłaby tego zrobić. Nie w rzeczywistości. Pocałowała go mocno i poczuła słony smak łez. Nie miała pojęcia, które z nich płacze. Może obydwoje.

– Nigdy nie mogłabym stąd odejść – szepnęła. – Jest w tym miejscu zbyt wiele mnie samej. I nigdy nie mogłabym sprzedać tego domu i ziemi. Na wzgórzu jest pochowane moje dziecko. Nie umiałabym pozostawić go na łasce

obcych.

Znów próbował ją przekonać, lecz stłumiła jego protesty pocałunkami. Poczula z wolna, jak jego ciało napręża się i napiera na nią. Tym razem ich miłość była słodkogorzka, jak uczucie, które dzielili.

Beau zasnął w jej ramionach, ona jednak nie zmrużyła oka. Nie wiedział jeszcze o tym, lecz dokonała właściwego wyboru. Może Beau zrozumie to dopiero po latach, kiedy się ustatkuje i założy własną rodzinę. Miała nadzieję, że przez ten czas nie będzie miał do niej żalu, że nie będzie cierpiał zbyt głęboko. Wiedziała jednak, że Beau pewnego dnia zrozumie jedno – nie mogła z nim jechać właśnie dlatego, że kochała go tak bardzo.

Godziny mijaly powoli, w końcu brzask zaczął wpełzać do sypialni. Leżała obok Beau i czuła, jak przylega do niej całym ciałem. Wsłuchiwała się w cichy oddech, szukała mocnego bicia serca, przykładając mu policzek do piersi. I cały czas wodziła dłońmi po smukłych mięśniach jego nóg, gładziła włosy, zarys szczęki. Przesuwała dłońmi po jego ciele jak ślepiec, który próbuje poznać dotykiem palców to, czego nie mogą ujrzeć jego oczy.

Nim pierwsze promienie słońca padły na łóżko, zdążyła nauczyć się na pamięć każdego szczegółu jego ciała i powierzyć wszystko swej pamięci. Wiedziała, że Beau pozostanie tam na zawsze.

Rozdział dwudziesty szósty

Imelda obudziła się, gdy szare światło brzasku zaczęło rozjaśniać niebo. Oddech dobywał jej się z ust kłębami pary, schowała więc głowę pod kocem, by zachować jeszcze trochę ciepła.

Tego dnia mieli wyjechać. Nie mogła uwierzyć, że to już wtorek. Poprzedni dzień zaczął się tak leniwie, a potem przemienił się błyskawicznie w dzisiaj.

Za niecałą godzinę mieli zwinąć obóz i ruszyć drogą prowadzącą do Cork. Jeśli się pospieszą, spędzą najbliższą noc na biwaku poza granicami miasta, a następnego dnia ruszą dalej. Upłyną dni, może nawet tygodnie, nim dotrą do Ennis, gdzie wuj Paddy zatrudnił się u tamtejszego farmera. Imelda nie przejmowała się tym, że może to potrwać tak długo. Prawdą mówiąc, cieszyła się nawet – im dłużej, tym większa szansa, że zastanie na poczcie list od Lesa.

Spakowała wszystko już dzień wcześniej. Nie zajęło jej to wiele czasu – druciarze zawsze byli gotowi do drogi. Krzątała się przy robocie, poganiając ostrym głosem dziewczynki. Były bardzo podniecone i trudne do opanowania. Nellie dawno już wstała i sprawiała więcej kłopotu niż pozostałe.

Nikt jej o nic nie pytał, gdy oświadczyła, że Tommy'emu zaproponowano jakąś sezonową robotę i że wyjechał na własną rękę. Powiedziała, że nie wie dokąd, dodała jednak, że brat ma się z nimi spotkać w Ennis albo przysłać wiadomość, gdyby praca była atrakcyjna i dawała zatrudnienie na całe lato.

Próbowała czymś się zająć, ale co jakiś czas wracała myślami do ukrywającego się w kopalni Tommy'ego. Myślała też o Lesie, a wtedy zamierało w niej serce. Przypominała sobie ich obietnice i wmawiała sobie, że wszystko będzie dobrze.

Przez cały dzień docierały od strony mokradeł stuki i szczęk stali. Wokół niosły się echem krzyki, odgłosy młotów i warkot ciężarówek przemierzających groble – wojsko składało pas startowy.

Myślała też dużo o Mary. Chciała pojechać do niej i pożegnać się, lecz Tommy i Les uznali, że najlepiej będzie, jak pozostanie w obozie. Zmartwiona, że Mary będzie urażona jej nagłym zniknięciem, wpadła na pomysł, by napisać do niej list. Uśmiechnęła się do siebie. To był błąd Lesa. To on wbił jej do głowy te historie z listami. I tyle innych rzeczy.

Przerzuciła całe obozowisko w poszukiwaniu ołówka i kawałka papieru, po czym usadowiła się w spokojnym miejscu za wozem, skąd mogła widzieć Inchydney. Nigdy przedtem nie pisała listu i nie bardzo wiedziała, od czego zacząć. Chciała powiedzieć Mary, jak jej przykro, że ją opuściła, i jak bardzo jest szczęśliwa z powodu Lesa, a także jak bardzo wszystkiego się lęka. Zastanawiała się, czy napisać o ich sekretnym planie. Nie, nie wolno jej. Jeszcze

nie. Może któregoś dnia, gdy będzie już po wszystkim. Kto wie, co mogłoby się stać z tym listem? Kto mógłby go przeczytać?

Polizała ołówek i zaczęła powoli pisać, ale po dziesięciu minutach na kartce widniały tylko słowa „Droga Mary”.

Imelda myślała intensywnie. „Czuję się dobrze”, napisała i dodała czym prędzej „Tommy również”. Cóż więcej mogła napisać? Słowa kłębiły jej się w głowie, nie chciały jednak przybrać kształtu na papierze. Była zła, że pisanie jest takie trudne, i przyrzekła sobie, że od tego dnia będzie ćwiczyć codziennie. Będzie też czytać. Znajdzie jakieś książki i przeczyta je. Skoro zamierza pisać do Lesa, musi lepiej sobie z tym radzić. I jeśli ma któregoś dnia zostać jego żoną i zamieszkać w Ameryce, musi się uczyć. Nie może go zawieść.

„Jadem do Clare”, napisała, kreśląc z bolesnym wysiłkiem litery. Dłoń jej ścierpła, potrząsnęła nią więc przed dalszym pisaniem. „Les wyjeżdża do Ameryki. Będziemy pisać”. Nic więcej nie przychodziło jej do głowy. Zresztą i tak skończył jej się papier.

U dołu kartki napisała swoje imię. Słowa były duże i nierówne, choć pismo było o niebo zgrabniejsze niż przed pięcioma laty, gdy przystępowała do bierzmowania. Musi zdecydowanie zacząć ćwiczyć. Złożyła kartkę, ale zawahała się przed schowaniem jej do kieszeni. Wygładziła papier i dopisała na odwrocie „Pisz mnie na pocztę w Ennis”.

Potem, tłumacząc się, że musi jechać po trochę rzeczy do miasta, zaprzęgała wóz i ruszyła na pocztę. Mówiono, że Clonakilty to jedyne miejsce na ziemi, gdzie poczta jest w kościele. Nie widziała niczego takiego w żadnym innym mieście. Wiedziała, że to stary kościół protestancki, który przed laty został poddany sekularyzacji, a jednak wydawało jej się to dziwne. Nigdy przedtem nie była na poczcie, zatrzymała się więc i wlepiła wzrok w łukowate sklepienie nad głową aż w końcu kobieta za niewielkim kontuarem chrząknęła na nią ponagłajaco. Kupiła kopertę i znaczek i pod czujnym okiem pocztmistrzyni nadała list. Ciekawe, czy stara zręda czyta cudzą korespondencję. Nie dałaby głowy, że tak nie jest.

Potem, idąc obok wozu, prowadziła powoli konia przez miasto, choć wolałaby pędzić na złamanie karku. Była umówiona z Lesem i Tommym dopiero o zachodzie słońca. Na samą myśl, że tak długo ich nie zobaczy, bolało ją serce. Spotkała po drodze Ruth. Wyjaśniła jej, że wyjeżdża. Ruth objęła ją mocno i kazała przyrzec, że odwiedzi ją po powrocie do Clonakilty. Imelda pomachała czym prędzej na pożegnanie, by przyjaciółka nie dostrzegła łez w jej oczach. Pomyślała, że pewnie nigdy więcej nie ujrzy ani Ruth, ani Clonakilty.

Przywiązała konia do tego samego drzewa, co poprzedniej nocy. Miejsce wyglądało na opustoszałe. Ruszyła powoli traktem wiodącym do kopalni. Przystanąła i zahukała jak sowa, dając Tommy’emu znać, że się zbliża. Właśnie ruszyła ponownie, gdy zza drzewa wysunęła się jakaś postać. Imelda omal nie

krzyknęła, ale to tylko Les wyciągał do niej ramiona.

Całowali się długą chwilę. Les był tak wysoki, że dziewczyna musiała wspiąć się na palce.

– Boję się, Les – powiedziała, odsuwając się wreszcie od niego. – A jak się ktoś dowie? Jak go znajdą?

– Nikt go nie znajdzie. Wszystko zamaskowaliśmy.

– My? Kto to „my”? – spytała przestraszona myślą, że Les mógł komuś powiedzieć.

– To tylko Matt. Potrzebowałem pomocy. We dwóch będzie nam łatwiej. Jeśli coś pójdzie nie tak – w co nie wierzę – jeden z nas może ściągnąć niepożądaną uwagę na siebie.

– I zgodził się? Les przytaknął.

– To mój kumpel. Możesz mu ufać.

Imelda zaczęła płakać. Nie mogła się powstrzymać. Z początku wszystko wydawało się bardzo proste, teraz jednak dostrzegała niezliczone przeszkody i pułapki. Les przyciągnął ją i objął mocno.

– Nie płacz. Wszystko będzie dobrze. Gdy tylko znajdę się w Anglii, wyślę do ciebie list, a ty mi odpiszesz. Nim się obejrzysz, odbędę wymaganą liczbę lotów, a potem spotkamy się w Wisconsin.

– A jak ci się coś stanie? – spytała płacząco. – Co wtedy zrobimy?

– Nic mi się nie stanie – uśmiechnął się czule.

– Możesz zginąć. Skąd wiesz, czy wojna nie potrwa latami?

– Nie zginę. – Les ujął ją pod brodę i zmusił, by spojrzała mu w oczy. – Popatrz na mnie, Imeldo. Nie zginę. Nie wiem, jak długo ta wojna jeszcze potrwa. Mam jeszcze dwadzieścia pięć misji do wylatania, a potem wracam do domu. I ty też.

Trzymając się za ręce ruszyli do kryjówki Tommy’ego.

Imelda wciąż nie mogła uwierzyć w to, co zrobili, i to, co jeszcze zamierzają zrobić. Nim się podniosła, zamknęła oczy i zmówiła za nich wszystkich modlitwę.

W ciągu godziny uwinęła się ze śniadaniem i z zaprzęgiem. Usadowiła się na koźle swego beczkowego wehikułu, ujęła w dłonie lejce i podążyła za wozem swego wuja, który jako pierwszy ruszył przez polanę. Dalej jechała Bridget, za jej wozem biegły konie na zmianę, a kawalkadę zamykała rodzina z Clare.

Gdy wyjechali na drogę, Imelda zatrzymała się i zaczęła nasłuchiwać. Do jej uszu dotarł głuchy dźwięk. Narastał coraz bardziej, wypełniając powietrze potężnym hukiem. Ptaki żerujące przy ujściu rzeki zerwały się jak na sygnał, drzewa przy drodze pełne były krzyków i łopotu skrzydeł.

Zabiło jej serce. Ręce zaczęły trząść się jej tak bardzo, że musiała położyć lejce na kolanach.

– Co to za hałas? – zawołała z tyłu wozu siostra. – Czy to samolot? Czy możemy go zobaczyć?

– Tak, to samolot. Dziś odlatuje. Ale nie możemy go zobaczyć – odparła Imelda, nie mogąc zapanować nad głosem. Łzy spływały jej po twarzy niepowstrzymanym strumieniem. Dziękowała Bogu, że pada na nią cień daszku i że nikt tego nie widzi. – Siedźcie, dziewczynki, grzecznie z tyłu – zawołała przez ramię. Miała nadzieję, że jej głos brzmiał naturalnie. – Jak wyjedziemy na drogę do Cork, będziecie mogły usiąść koło mnie.

Smagneła konia lejcami, przynaglając do szybszego kroku. Twarz miała mokrą od łez. Poruszała wargami, wymawiając bezgłośnie słowa różańca. Modliła się zarliwie jak nigdy. Modliła się, by wszystko poszło tak, jak mówił Les. Ale przede wszystkim modliła się za Tommy'ego. Błagała Boga, błogosławioną Maryję i wszystkich świętych, by czuwali nad jej jedynym bratem, który kulił się gdzieś w trzewiach wielkiego samolotu, otoczony ze wszystkich stron warkotem silników i przerażony wizją nowego życia, jakie właśnie zaczynał.

Rozdział dwudziesty siódmy

Dwie godziny wcześniej Martin Kelleher ocknął się z głębokiego snu, gdy ktoś nim potrząsnął.

– Obudź się, Martin! Obudź się, chłopcze!

Potarł oczy, próbując przyzwycząić wzrok do ciemności. Obok stała matka odziana od stóp do głów. Nakazała mu gestem milczenie.

– Ubierz się i zejdź na dół – szepnęła.

Martin narzucił na siebie po ciemku ubranie. Co się stało? Dlaczego matka budzi go w środku nocy? Nie bał się jednak, bo ton jej głosu był lekki, nawet żartobliwy, jakby szykowała dla niego jakąś niespodzianką.

Czekała na niego w holu z niewielką lampką w dłoni, by oświetlić mu schody. Śmiały jej się oczy, gdy skierowała go do maleńkiej kuchni.

Martin zadrżał z zimna. Ogień zdążył już wygasnąć, pozostało tylko kilka rozżarzonych węgli z wieczoru. Mimo to stanął obok paleniska, by choć trochę się ogrzać. Wziął od matki kromkę chleba.

– Pospiesz się z jedzeniem – powiedziała. – Szybko. Musimy zaraz wyjść.

– Dokąd idziemy? Co się dzieje? – dopytywał się chłopiec, wyczuwając podniecenie matki. Z trudem panowała nad głosem, oczy miała rozbiegane.

– Idziemy zobaczyć, jak samolot startuje, kochanie.

Pomyślał, że matka musiała oszaleć. O czym ona mówił? Samolot miał wystartować kiedy indziej, nie dzisiaj. Wszyscy wiedzieli, że ma odlecieć w piątek!

Ledwie dzień wcześniej, o świcie, do miasta wjechały wielkie ciężarówki. Wychylony z małego okienka w sypialni widział, jak podążają jedna za drugą Pearse Street, a potem skręcają w stronę mokradeł. Wiedział, że to ten pas startowy, na który czekali Jankesi. Chciał za nimi pobiec, zawrócili go jednak wojskowi, którzy nie przepuszczali nikogo. Razem z Patem i Joe Barrym obeszlili całe miasto, starając się zdobyć jakieś wiadomości. Minał cały dzień, nim dowiedzieli się, w czym rzecz.

– Samolot odlatuje dzisiaj? – spytał zdumiony Martin.

– Zgadza się – odparła matka z pełnym zadowolenia uśmiechem.

– To niemożliwe! Wszyscy wiedzą, że ma wystartować w piątek, o dziesiątej rano. Nawet dyrektor szkoły tak powiedział. Mówił jeszcze, że jak będziemy grzeczni, to nas zabierze na mokradła, żebyśmy mogli zobaczyć odlot!

– Tak właśnie wszyscy mieli myśleć. Ale mały ptaszek powiedział mi, że samolot odleci dziś o świcie. To wielki sekret!

Martin otworzył usta ze zdumienia.

– Zamknij usta, Martin – nakazała matka. – Wyglądasz jak zdechła ryba.

Mówiłam ci z tysiąc razy, żebyś nigdy nie jadł z otwartymi ustami.

Martin zacisnął gwałtownie szczęki. Starał się jak najszybciej połykać jedzenie. Patrzył na matkę, do której nabrał nagle szacunku. Przytupywała niecierpliwie, wciąż uśmiechając się niczym kot, który właśnie coś zwał. Przyszło mu do głowy, że nigdy wcześniej nie zauważył, jak ładnie jej w upiętych wysoko włosach.

– Jak to się stało, że tam idziemy? – spytał, przełykając ostatni kęs.

– Mamy specjalne zaproszenie – wyjaśniła i zaczęła nakładać płaszcz. – Mateo wszystko załatwił. Prosił, żebym i ciebie przyprowadziła.

– A więc tylko my tam będziemy! – Martina rozpierała duma.

– Przypuszczam, że inni też. Ale należymy do wybranych. Większość mieszkańców śpi pewnie jak zabita. A teraz załóż płaszcz. Obok hotelu czeka ciężarówka, a nie sądzę, by miała stać tam długo.

Martinowi nie trzeba było dwa razy powtarzać. Chwycił płaszcz i po chwili był już za progiem. Nie mógł się doczekać, kiedy wreszcie znajdzie się na mokradłach i zobaczy, jak wielki bombowiec wznosi się w niebo. Lecz przede wszystkim nie mógł się doczekać, kiedy opowie o wszystkim Patowi Barry’emu i zobaczy, jak przyjacielowi opada z wrażenia szczeka.

Na wysokości trzydziestu centymetrów nad mokradłami zwieszał się całun mgły, zakrywający podwozie samolotu. Martin pomyślał, że maszyna wygląda jak jakiś gigantyczny morski potwór z legend, który płynie przez parujące morze z płetwą ogonową nad powierzchnią wody. Kabina i dziób z jasnymi światłkami przypominały upiorną, wykrzywioną w szyderczym grymasie paszczę. Śmigła obróciły się z wolna i monstrum zadudniło. Zebrani na drodze znieruchomieli. Martin wiedział, że pilot rozgrzewa silniki. Poczul w żołądku skurcz i podniecenie narastało wraz z warkotem maszyny.

Wojsko zwinęło swój niewielki obóz. Małe białe namioty zostały załadowane do ciężarówek stojących rzędem na drodze. Biegający żołnierze sprawiali wrażenie bardzo zajętych. Nieco dalej, pogrążeni w rozmowie, stali Barry Kingston i posterunkowy Coughlan. Tylko Jankesi byli odprężeni. Opierali się niedbale o murek i palili papierosy, a ich czubki jarzyły się czerwono w bladym świetle brzasku.

Martin dostrzegł Matta i chwycił matkę za rękę.

– Chodź, mamó. To Matt!

Chłopak chciał pociągnąć matkę za sobą, ona jednak ruszyła dostojnym krokiem, jakby wkraczała na salę balową, z uniesioną w geście powitania dłonią. Martin puścił ją i pobiegł.

– Co u ciebie? – spytał bystro.

– Hej! Cieszę się, że tu jesteś! – Matt poklepał chłopca po plecach i odwrócił się w stronę kobiety. Wyciągnął rękę i ujął jej dłoń. – Miło cię widzieć,

Kitty – powiedział, całując ją w rękę. – Nie gniewałbym się, gdybyś nie przyszła. Jest bardzo wcześnie.

Kitty zachichotała. Martin nie mógł zrozumieć, co w nią wstąpiło. Nigdy przedtem nie chichotała. Prawdę mówiąc, nawet uśmiechała się rzadko.

– Nie chciałabym tego stracić za żadne skarby świata, Mateo. Taka okazja! – zatrzepotała powiekami.

Gdy minął ich Les, Martin chwycił go za rękaw. Lotnik przystanął, ale zdawało się, że w ogóle chłopaka nie poznaje. Był wyraźnie roztargniony i nie w humorze. Matt klepnął Lesa po ramieniu.

– Hej, mały! – zawołał wesoło. – Czas się obudzić. Wstań jak słońko i zaświeć!

– Przepraszam – uśmiechnął się blado Les. – Chyba jeszcze śpię.

– Wszystko w porządku? – spytał Matt, przypatrując mu się badawczo.

– Tak, oczywiście. Jestem trochę zdenerwowany, ale co tam! – roześmiał się, lecz Martin mógłby przysiąc, że lotnikowi wcale nie jest wesoło.

– Wszystko idzie jak trzeba. Głowa do góry – wyszczerzył zęby Matt. Les przytaknął. Odwrócił się z uśmiechem do Martina.

– A więc przyszedłeś, żeby nas pożegnać – stwierdził. Martin skinął uszczęśliwioną głową.

Na donośny odgłos klaksonu podnieśli wzrok i zobaczyli samochód doktora Moloneya. Wóz wydawał się pękać w szwach. Z przedniego fotela wygramoliła się panna Aileen, narzekając głośno na swój reumatyzm, z tyłu wysiedli Con O’Leary, Ruth, Dennis i barman Tony. Matka Martina skrzywiła się na widok Ruth i Dennisa, którzy trzymali się za ręce.

– Zastanawiam się, czy jej matka wie o tym? – parsknęła pod nosem.

– Kitty, nie bądź taka ostra – upomniał ją cicho Matt, co zmieniło jej grymas w uśmiech. – Są młodzi i zakochani.

Martin miał dosyć. Matka była rozpromieniona, Les się czerwienił, a w oczach Matta błyskały wesołe iskierki. Postanowił pójść na drogę i przyjrzeć się dokładniej jednej z wojskowych ciężarówek. Było to znacznie ciekawsze.

– Dzień w sam raz – powiedział Con, przechadzając się, by rozprostować nogi. – Piękny i suchy.

– Chmury stoją nisko – stwierdziła zatroskanym głosem panna Aileen. – Uda im się wystartować? Chyba nie można latać we mgle.

– To tylko ranne opary. Znikną, jak zaświeci słońce – skomentował barman Tony. Patrzył spod zmrużonych powiek na niebo, osłaniając oczy przed długimi promieniami światła, które przebijały chmury.

– Robią straszny hałas – ciągnęła panna Aileen, spoglądając w stronę samolotu. – Powinnam była zostać w mieście. O mało nie zwariowałam poprzednim razem, jak próbowali wystartować.

– Daj spokój, Aileen, wiesz doskonale, że nigdy byś tego nie przepuściła

– zauważył z czułością doktor Moloney.

Niewielka grupka trzymała się dyskretnie z boku. Ludzie czuli się uprzywilejowani i nie chcieli nikomu przeszkadzać. Nadstawiali jednak ucha, by wiedzieć, co się dzieje. Podeszło do nich kilku lotników.

Jako pierwszy zbliżył się Wódz. Długie noce w hotelowym barze nie zostawiły na nim śladu. Jego ciemna skóra o miedzianym odcieniu połyskiwała w porannym słońcu, w nowym mundurze i czapce, którą założył zawadiacko na bakier, prezentował się bardzo elegancko. Podeszedł wprost do Tony'ego i zamknął go w niedźwiedzim uścisku.

– A więc tu jesteś, ty diabelski Irlandczyku! Dobrze cię widzieć! Cieszę się, że przyszedłeś.

– Jak mógłbym nie pożegnać się z najlepszym klientem? – roześmiał się Tony. Wódz szturchnął go i mężczyźni zaczęli mocować się żartobliwie mocowanie.

– Masz mój adres? – upewnił się Tony.

– Pewnie – odparł Wódz.

– I powiedziałeś, że napiszesz.

– Wierzę na słowo, że złożyłem uroczystą przysięgę – stwierdził ze śmiechem Wódz. – Choć muszę przyznać, że ostatnią noc pamiętam dość słabo!

– I tak też wyglądałeś, jak wnosiliśmy cię na górę – zażartował Matt, podchodząc do nich. – Choć byłeś dość ciężki. Co myślisz, Tony? Facet zaczął tyć czy jak? To chyba efekt doskonałego żarcia w waszym hotelu.

Panna O'Donovan zachichotała z zadowoleniem.

– Mam nadzieję, że czuliście się tu dobrze – powiedziała.

– Była to miła odmiana w szarym żołnierskim życiu, zwłaszcza jeśli chodzi o wyżywienie – odparł Wódz. – Nie mówiąc już o towarzystwie!

– Mamy nadzieję, że kiedyś jeszcze nas odwiedzicie – dodała panna Aileen, potrząsając energicznie dłonią Wodza.

– Nigdy nie wiadomo, madame. To niewykluczone.

Panna Aileen skupiła teraz uwagę na Matcie, który rozmawiał z doktorem Moloneyem. Ujęła jego dłoń w obie ręce i poklepywała długą chwilę. Oczy jej zwilgotniały, a twarz zaróżowiła się jeszcze bardziej. Przemówiła do Matta szeptem, pochylając głowę jak w kościele:

– Tak mi smutno z powodu biednego Tojo. Proszę mi wierzyć, nie odczułabym tego boleśniej, gdyby to biedne maleństwo należało do mnie. Przykro mi, że musiał go pan stracić właśnie tutaj.

– Panno Aileen, mogę panią zapewnić, że Tojo zmarł jako bardzo szczęśliwa małpa. Nie ma chyba lepszego miejsca, by odejść na wieki – stwierdził Matt uroczyście, choć na jego ustach błąkał się cień uśmiechu. – Była pani wspaniała. Nie wiem, jak mam pani dziękować.

– Nic szczególnego, doprawdy – odparła skromnie panna Aileen, ale

widać było, że jest bardzo zadowolona.

– Ten pas startowy to jednak osiągnięcie techniki – stwierdził doktor Moloney.

– Cudo – przyznał Con O’Leary. – Jak myślicie, chłopaki, jest dość długi?

– Prawdę mówiąc, przydałoby się jeszcze ze sto metrów – odparł Matt. – To konieczne minimum.

– Nie martwcie się – uspokoił ich Les, który właśnie się zbliżył. – Nasz pilot, to prawdziwy as. Podniesie maszynę z ziemi.

– Polecimy naszą dzieciną, jasne – przyznał Matt. – Dałby Bóg. Nie wiem, czy przeżyłbym kolejne przyjęcia. Poza tym przehandlowałem cały zapas rumu. Prawda, Tony?

– To najlepszy interes, jaki w życiu zrobiłem – przytaknął barman. Les ujął dłoń Dennisa.

– Dzięki za wszystko. Byłeś wspaniały.

– O, katy kateż – odparł z dumą Dennis.

– Naprawdę załapałeś – przyznał Les, śmiejąc się. – Możesz już posługiwać się świńską łaciną.

– Świetnie. Mamy teraz tajemny język! – zawołała Ruth. Wzięła Lesa za ramię i szepnęła mu na ucho: – Widziałam wczoraj Imeldę. Wyjechała. Zdążyłeś się z nią pożegnać?

– Pożegnaliśmy się wczoraj – powiedział smutno. – Obiecała napisać.

– Nie martw się. Ona dotrzyma słowa. Wiem, że napisze – pocieszała. Potem wzięła go za rękę i powiedziała głośno: – Życzę ci jak najlepiej, Lesie Wagnerze.

Les uściśnął jej dłoń, po czym zaczął się ze wszystkimi żegnać.

– Będzie nam brakowało twego śpiewu – zażartował Con O’Leary. – Ale nie bardzo.

Doktor Moloney wyciągnął rękę i uściśnął serdecznie dłoń lotnika.

– Uważaj na siebie – powiedział. Głos drżał mu lekko ze wzruszenia. – Wszyscy na siebie uważajcie tam w górze.

Zapanował nad sobą i pomachał do Beau, który siedział z dala na murku. W ogóle się stamtąd nie ruszał. Palił jednego papierosa za drugim, spoglądając ponad niewielkim pasmem drzew na wzgórze po drugiej stronie mokradeł. Zauważył, że na niego patrzą, i podszedł do nich.

– Jak się czuje mój pacjent? – spytał doktor Moloney.

– Świetnie – odparł Beau i ścisnął lekarzowi dłoń. – Dzięki pańskiej serdecznej opiece.

Beau żegnał się ze wszystkimi, z każdym zamieniając kilka słów i kłaniając się szarmancko kobietom. Odszedł wreszcie, jednak w pewnym momencie zawrócił i wziął doktora na stronę.

– Czy nie zechciałaby pan wyświadczyć mi przysługi? – spytał oficjalnie.

– Oczywiście, że tak! – zapewnił doktor.

– Nie chciałbym się narzucać pani Burke, ale nie miałem okazji pożegnać się z nią jak należy. Czy byłby pan tak miły i przekazał jej ode mnie wyrazy szacunku i podziękowanie za gościnę?

Doktor Moloney popatrzył na Beau w milczeniu. Potem skinął energicznie głową i mruknął:

– Oczywiście, że przekażę, młody człowieku. Oczywiście, że tak.

Huk silników podniósł się o ton. Kadłub samolotu drgał. Mgła już niemal zniknęła i mokradła spowiło bladożółte światło. Na niebie, niczym ogromny namiot, wisiały obfite chmury. Martin przepchnął się przez krąg ludzi, którzy żegnali się i ściskali sobie dłonie.

– Słusznie, chłopaki! – powiedział Barry Kingston, który podszedł do nich, zacierając dłonie. – Czas wyruszać w drogę. Porucznik prosił mnie, żebym przywołał was do porządku.

Wszyscy znów zaczęli się żegnać. Martin zobaczył, że żołnierze stają na drodze w szeregu. Jego podniecenie sięgnęło zenitu. Poszukał wzrokiem Matta i dostrzegł go z boku, w towarzystwie matki.

– A więc do widzenia – powiedział i wyciągnął dłoń.

Matt przyklęknął na jedno kolano. Ich twarze znajdowały się teraz naprzeciwko siebie.

– Opiekuj się mamą. Dobrze? Wiem, że mogę na tobie polegać. Prawda? Martin spojrzał na matkę. Oczy jej błyszczały. Chłopcu zdawało się, że pociągnęła nosem. Skinął Mattowi głową i poczuł, że ma ściśnięte gardło.

– I ty dbaj o siebie – dorzucił Matt, prostując się. Wziął kobietę za rękę. – Nie zapomnij napisać. To będzie dla mnie znaczyło bardzo dużo, jak stąd wyjadę.

– I dla mnie też, Mateo – odparła. Oczy błyszczały jej jeszcze bardziej.

Kilku ludzi z załogi stanęło w szeregu przed żołnierzami irlandzkimi. Charlie Hansen uściskał dłoń kapitanowi. Cofnęli się do swoich szeregów i zaszalutowali.

Panna Aileen pociągnęła głośno nosem, po czym wydmuchała go w ogromną, białą chusteczkę.

Martin czuł jeszcze silniejszy ucisk w gardle, gdy patrzył, jak załoga samolotu maszeruje przez mokradła. Dziesięciu członków załogi i jeden pasażer. Razem jedenastu. Przed wejściem do maszyny przystawali i machali na pożegnanie.

– Do widzenia! Bezpiecznej drogi! – rozległy się okrzyki i Martin też się do nich przyłączył. Wiedział, że po tych krzykach przez kilka dni będzie miał chrypkę.

Matt machał dłonią najdłużej, oddając specjalne honory Martinowi i jego

matce. Ostatni szedł człowiek imieniem Beau. Pasażer. Pomachał im wszystkim, po czym znieruchomiał i patrzył przez kilka sekund na wyspę. W końcu zniknął w drzwiach maszyny.

Zdawało się, że samolot tkwi w miejscu całą wieczność. Nikt się nie odzywał, Martin wiedział jednak, że wszyscy zadają sobie pytanie, czy tym razem się powiedzie. Czy to następna nieudana próba startu. Po chwili silniki zawyły głośniej i Martin zakrył dłońmi uszy. Zauważył, że ludzie na drodze uczynili to samo.

– Poruszył się! – zawołał. – Ogon się rusza. Patrzcie! I skrzydła też! Matka otoczyła go ramieniem i przycisnęła do siebie mocno, lecz był zbyt zaaferowany, by zważać na cokolwiek. Patrzył szeroko otwartymi oczami, jak ogromny samolot podjeżdża z wolna na pas startowy. Maszyna pokonała jeszcze kilka metrów i stanęła.

I wtedy, co wydało się niewiarygodne, silniki zawyły jeszcze głośniej. Maszyna ruszyła przed siebie, nabierając z każdą chwilą szybkości. Jakieś pół kilometra dalej biegła druga grobla. Martin uświadomił sobie z przerażeniem, że samolot musi się wznieść do góry, nim do niej dotrze.

Napięcie było nie do zniesienia. Samolot pędził do przodu wprost na kamienny wał. Zewsząd słyhać było westchnienia, gdy sunął z łomotem po wąskiej stalowej siatce. Ktoś odmawiał głośno „Zdrowaś Mario” i Martin przyłapał się na tym, że powtarza jak echo słowa modlitwy.

Wtedy, mając przed sobą zaledwie pięćdziesiąt metrów zapasu, zielony gigant uniósł się w powietrze. Przeleciał tuż nad groblą, od której dzieliła go wysokość małego domku.

Z gardeł zgromadzonych na drodze ludzi wyrwał się dziki okrzyk radości. Matka Martina wymachiwała zawzięcie małą, białą chusteczką. Martin rozejrzał się wokoło i zobaczył, że niemal wszyscy mają łzy w oczach.

Chłopiec wspiął się na murek. Skakał, wołał i machał na pożegnanie jeszcze długo po tym, jak samolot zniknął pośród szarych chmur nad Ardfield.

Rozdział dwudziesty ósmy

John Joe O'Mahoney przystanął na progu, próbując za wszelką cenę utrzymać nocnik w pozycji poziomej. Jego zawartość chlupotała złowieszczo, a John Joe nie chciał uronić ani kropli. Mama omal nie zwariowała, jak pośliznął się pewnego ranka i wylał wszystko na kuchenną podłogę.

John Joe trzymał się za nos, opróżniając naczynie. Nienawidził tej czynności i zastanawiał się, kiedy wreszcie będzie dostatecznie duży, by robić to tak jak ojciec i starsi bracia. Zadrżał, gdy od morza nadciągnęła lekka bryza. Nałożył na nocną koszulę tylko spodnie, nogi miał mokre i zmarznięte od rosy. Pomyślał, że byłoby niedobrze, gdyby mama przyłapała go na bosaka. Nie mówiąc już o jego „słabej konstytucji” i w ogóle.

Poczuł znów zew natury i postanowił ulżyć sobie pod żywoplotem. Poranek był posepny, chmury zwieszały się nisko, ale w dali, nad morzem, świecił pas błękitnego nieba. John Joe nie mógł doczekać się śniadania, które, o czym doskonale wiedział, grzało się już na ogniu.

Jakiś dźwięk z lewej strony sprawił, że chłopak znieruchomiał i zaczął nasłuchiwać.

Po chwili rozpoznał go. To był samolot! Lecący samolot!

John Joe czekał, dźwięk zaś narastał.

Całe Ardfield nie gadało o niczym innym, od kiedy wylądował przed niespełna tygodniem. Poszedł pierwszego dnia z ojcem na mokradła, żeby zobaczyć B-17, i skopiował starannie numer i znaki na ogonie. Potem siedział w łóżku i rysował go w kółko przy świetle lampki, aż upewnił się, że ta część samolotu wygląda jak należy.

Odmierzył dokładnie skalę i dorysował wieżyczkę za kabiną pilotów i drugą pod kadłubem, a także tę wspaniałą na dziobie. Przerywał często pracę i próbował sobie wyobrazić, jak by to było – siedzieć w tej maszynie i lecieć na wysokości trzech kilometrów nad ziemią.

W końcu napisał starannie na dziobie maszyny „To nie ptak”, a na ogonie pod małym żółtym trójkątem liczby 90-2340. Przykleił rysunek do kawałka tektury i zawiesił nad łóżkiem.

Hałas był coraz głośniejszy. Zdawało się, że dociera zza najbliższej chmury. John Joe wspiął się na palce, by coś dojrzeć. Matka zawołała go z kuchni, ale nawet nie drgnął. Śniadanie mogło poczekać.

I wtedy, jakby za sprawą czarów, z chmury wynurzył się B-17 i przeleciał dokładnie nad jego głową. Zdawało się, że mały rysunek z pokoju chłopca ożył nagle na jego oczach. John Joe z trudem nad sobą panował. Widział małą figurkę za oknem kabiny. Widział nawet sylwetkę na dziobie.

Kiedy matka wyszła z domu, by zobaczyć, co się dzieje, ujrzała syna ze

spuszczonymi do kostek spodniami. Wymachiwał szaleńczo rękami, a wokół jego mokrych, bosych stóp walały się kawałki rozbitego nocnika.

Mick O'Sullivan czekał przy falochronie. Miał nadzieję, że pulsowanie w głowie minie niebawem. Starał się nie patrzeć na wirującą w dole wodę. Widok fal, które rozbijały się o nabrzeże latarni morskiej, przyprawiały go o mdłości. Nie mógł winić nikogo z wyjątkiem samego siebie, co mu bezustannie przypominała żona, zarówno zeszłej nocy, kiedy wgramolił się ledwie żywy do łóżka, jaki i nad ranem, gdy zwlókł się z pościeli. Ta kobieta nie miała litości.

Prawdę mówiąc, był zadowolony, że ma służbę w punkcie obserwacyjnym w Galeey Head. Wydawało się, że tak właśnie powinno być. On pierwszy zobaczył samolot i teraz miał być ostatnim, który ujrzy, jak maszyna opuszcza Irlandię. Poza tym miał nadzieję, że bryza przywróci mu trzeźwość.

Zachichotał, wspominając popijawę w barze u O'Donovana. A także tańce i muzykę. I małpę! Nigdy nie zapomni widoku tego zwierzaka na łóżku czy na tacy, którą niósł Tony. Wiedział, że do końca życia będzie pamiętał te noce. Warto było tego doświadczyć, nawet kosztem głowy i żołądka.

Sprawdzał właśnie na zegarku godzinę, kiedy usłyszał dochodzący z zachmurzonego nieba grzmot. Nad wybrzeżem leciał samolot. Wiedział, że załoga będzie wypatrywała latarni morskiej, nim skieruje maszynę nad pełne morze.

Nie musiał przykładać do oczu lornetki, by ją zobaczyć. Gdy samolot nadleciał, Mick był zdumiony ogromem tego diabelstwa. Nie trzeba było niczego koloryzować. Maszyna była wielka jak pałac.

Nie zwracając uwagi na łomot w czaszce zerwał czapkę z głowy i zaczął machać. Życzył im wszystkiego dobrego, zmówił też za nich w duchu krótką modlitwę.

Samolot zdawał się wisieć przez chwilę w powietrzu, potem zaczął z wolna skręcać w prawo. Mick zobaczył, że lecąca ku horyzontowi maszyna zakołysała nieznacznie skrzydłami. Patrzył jeszcze długo, aż oczy zaczęły go boleć od światła... aż nie mógł już niczego dojrzeć, nawet najmniejszej plamki.

Wziął do ręki swój zeszyt z ołówkiem na sznurku. Nie napisał jednak ani słowa. Przewrócił kilka kartek wstecz i znalazł notatkę, której szukał:

„7 kwietnia, 1943 roku, 12.37. Zauważono duży samolot, lecący z Seven Heads do Galley Head, w kierunku Mizen Head. Widziany następnie w drodze powrotnej nad Galley Head, nadlatujący od strony wschodniej, dokąd początkowo zmierzał. Maszyna zdaje się tracić wysokość i może podjąć próbę lądowania”.

Wydarł ostrożnie kartkę i zmiał ją w kulkę. Potem patrzył, jak spada wirując do morza i znika w spienionej wodzie.

Owa notatka na temat samolotu przetrwała w wydrukowanej postaci w

jakimś wojskowym archiwum w Dublinie, opatrzona adnotacją „Ściśle Tajne”. Mick nie miał wątpliwości, że ludzie z Clonakilty przez całe lata będą mówić o B-17, który wpierw wylądował na mokradłach White’a, a potem z nich wystartował. Nie zachowała się jednak żadna wzmianka w prasie, żadna, dostępna szerokiemu ogółowi informacja na ten temat.

Oficjalnie, jeśli chodzi o rządy Irlandii, Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych, nic takiego nie miało nigdy miejsca.

Epilog

Mary dostała ostatni list pięć lat po tamtym dniu, kiedy siedziała na wzgórzu i spoglądała w morze, gdy niebo rozsadzał huk silników samolotowych.

Korespondencja w pierwszym roku wypełniła pudełko po butach. Mary podzieliła listy na poszczególne lata i każda paczka przewiązała wstążką. Wszystkie przesyłki pozostały bez odpowiedzi.

Z początku listy były pełne jego miłości i tęsknoty. Przychodziły przynajmniej raz w tygodniu, czasem dwa lub trzy jednocześnie. W drugim roku listy nie przychodziły już tak często, ale były długie, dowcipne i pełne zabawnych historyjek.

Beau pisał o życiu w Nowym Orleanie, o przyjęciach, na które chodził, i o podróżach, które odbywał wraz z ojcem. Czasem listy przychodziły z Nowego Jorku, a czasem z jeszcze dalszego miejsca. Pewnego lata, już po wojnie, otrzymała pocztówkę z Paryża, potem z Rzymu, a w końcu z Londynu. Serce zabiło jej żywiej na myśl, że jest tylko o rzut kamieniem przez morze.

Znała wszystkie listy na pamięć. Gdy czuła się odrobinę samotna albo pragnęła sprawić sobie radość, wyjmowała pudełko i wybierała któryś na chybił trafił. Lektura nieodmiennie napełniała ją miłością, poczuciem szczęścia i wspaniałym zapachem cytryn.

Nigdy więcej nie poprosił jej, by znów się z nim połączyła. Zawsze kończył tym samym stwierdzeniem – wie, że ona nie odpisze, ale on kocha ją jak dawniej. Pogodził się z decyzją Mary i szanował ją. Gdyby kiedykolwiek go potrzebowała, niech wie, że może na niego liczyć.

Ostami list przyszedł po rocznej przerwie, kiedy była już przekonana, że zaprzestał korespondencji.

Kartkę pokrywał jego elegancki, pełen fantazyjnych zawijasów charakter pisma. Mary przycisnęła list do piersi i przypomniała sobie miękki południowy akcent, dłonie, które ją pieściły, zapach i smak tego mężczyzny, szeptań do ucha czułe słowa.

W tym samym czasie przyszedł też list od Imeldy. Otworzyła go, zaś list od Beau położyła na kredensie.

Imelda miała najwięcej do powiedzenia o dziecku. Nazwali ją Mary. Les był zachwycony małą, choć Imelda pisała żartobliwie, że dzięki jej siostrom w domu jest już wystarczająco dużo dziewczyn.

Mary przeznaczyła osobną szufladę na listy od Imeldy. Korespondencja zaczęła się od króciutkiej wiadomości, którą otrzymała w dzień po starcie samolotu. Mary płakała, gdy czytała dziecięcą bazgraninę na wydartym skądś skrawku papieru. Listy Imeldy nabrały przez te lata urody i płynności. Teraz

mogła już pisać z zamkniętymi oczami.

Mary martwiła się o Imeldę codziennie i miała nadzieję, że wszystko skończy się dobrze. Otrzymała w końcu list z wiadomością, że przyjaciółka załatwiła sobie i dziewczynkom podróż do Ameryki i prawdopodobnie wyjedzie, nim Mary zdąży go przeczytać.

Dopiero teraz Imelda zdradziła jej, co stało się z Tommym. Mary czytała zdumiona o tym, jak Matt i Les przesmuglowali Tommy'ego do samolotu, pod samym nosem irlandzkich żołnierzy. O tym, jak Tommy został umieszczony w bazie lotniczej w Anglii, gdzie uczył się na mechanika, podczas gdy Les uczestniczył w nalotach na Niemcy.

Potem nadeszła wspaniała wiadomość, że wszyscy spotkali się w Wisconsin i że Les ożenił się z Imeldą. Tommy prowadził pannę młodą do ołtarza, a dziewczynki sypały kwiaty.

A teraz mieli córeczkę. Mary uśmiechnęła się, chowając list z powrotem do koperty.

Wzięła do ręki drugą kopertę.

Wiedziała, co będzie w tym liście. Miała wrażenie, że zna Beau tak dobrze, jakby sama go stworzyła. Donosił, że się żeni albo że się przynajmniej zaręczył. Wspominał ostatnim razem, że się z kimś spotyka. Z młodą dziewczyną, którą poznał na balu w Nowym Jorku. Mary miała nadzieję, że to on ją wybrał. Z listu wynikało, że jest ładna i bystra, dzieliła poza tym z Beau jego muzyczną pasję. Najważniejsze, że wydawała się miła.

Otworzyła list Składał się tylko z trzech cienkich kartek, które szeleściły cicho i pachniały fiołkami. Zajrzała od razu na ostatnią stronę. Wiedziała, czego szukać.

„...jeśli będziesz kiedykolwiek potrzebowała mojej pomocy, napisz. Wiem, że potrząsniesz głową i zamrugasz zdumiona, ale jeśli będziesz potrzebowała pieniędzy, daj mi znać, a ja od razu ci je prześlę. Nie zniosę myśli, że czegoś ci brakuje, albo że cierpisz z jakiegokolwiek powodu.

Pamiętaj, najdroższa, że na zawsze pozostaniesz w moim sercu. Pomyśl o nas, gdy księżyc będzie w pełni. Ja tak robię. Zawsze będę cię kochał. Na wieki twój,

Beau”.

Reszty nie przeczytała. Wiedziała już wszystko, co chciała wiedzieć.

Wsunęła kartki z powrotem do koperty i położyła ją na małych paczuszkach przewiązanych wstążką. Czuła w sercu, jak jej miłość do Beau pali się jasnym płomieniem, dając poczucie spokoju. Nim zamknęła pudełko z listami, pocałowała koniuszki palców i dotknęła koperty.

Zawsze odpisywała Imeldzie bez zwłoki i teraz też usiadła, by to zrobić.

Przez lata opowiadała Imeldzie o swym życiu na wyspie Inchydney. Opowiadała o farmie i o tym, jak dobrze jej się wiedzie. O nowych cielakach, o zakwitających ziemniakach. Pisała o kłopotach, jakie miała z najemnymi pracownikami, i o burzach, które zrywały dachy zabudowań i powaliły wielką sosnę na szczycie wzgórza.

Pisała o przemijających porach roku na wyspie i zmianach w miasteczku.

Imelda dowiedziała się ze smutkiem o śmierci doktora Moloneya, z radością zaś o tym, że barman Tony zbiera pieniądze, by odwiedzić Wodza w Oklahomie. Mary napisała do niej nawet wtedy, gdy Con O'Leary, który bardzo często do niej zachodził, poczuł się w obowiązku poprosić ją o rękę. Dodała też, że wydawał się zadowolony, gdy odmówiła. Pozostawali w przyjaźni, której niepotrzebny był jakikolwiek romans.

Mary pisała Imeldzie o tym i o owym, o rzeczach wielkich i małych. Opowiedziała jej o swym życiu w ciągu tych lat praktycznie wszystko, z wyjątkiem jednego.

Nigdy nie powiedziała jej o chłopcu, który urodził się w niespełna rok po ich odjeździe. O wspaniałym chłopcu, który spał teraz w jej łóżku i którego czarne loki leżały rozsypane na poduszce. Którego łobuzerski uśmiech i bystrość stanowiły dla niej powód do dumy i radości, i który, wraz z miłością jego ojca, uczynił jej życie pełniejszym, niż mogła o tym kiedykolwiek marzyć.

Ogień w palenisku trząsał wesoło. W kuchni unosił się zapach świeżo upieczonego chleba i słonej bryzy napływającej od ujścia rzeki. Zapowiadał się piękny dzień.

Mary chciała skończyć list, nim mały się zbudzi. Po rannych zajęciach zamierzała się przebrać i pójść z chłopcem na pocztę.

Od autorki

Około pierwszej po południu, 7 kwietnia 1943 roku, latająca forteca B-17, ochrzczona mianem „To nie ptak”, wylądowała na mokradłach White’a w Clonakilty. Samolot dysponował zapasem paliwa, który umożliwiał zaledwie trzy minuty lotu. Na pokładzie znajdowała się dziesięcioosobowa załoga, jeden pasażer, małpa i trzydzieści sześć butelek rumu. Tego dnia rano wystartowali z Marakeszu, by dołączyć do sił powietrznych w bazie lotniczej w Anglii. Skutkiem burzy i mylącego meldunku radiowego zoczyli z kursu. W samolocie nie było radaru.

Załoga przebywała przez mniej więcej cztery dni w hotelu O’Donovana, następnie została przewieziona ciężarówką do granicy i przekazana RAF-owi. Ponad miesiąc później dostarczono do Clonakilty połowy pas startowy, co umożliwiło start samolotu, który dotarł do Anglii. Maszyna odbyła swą pierwszą, a zarazem ostatnią misję w czerwcu 1943 roku.

Graniczy to niemal z cudem, lecz cała załoga, nie wyłączając pasażera, przeżyła wojnę po odbyciu wielu lotów bojowych. Małpa, niestety, nie miała tyle szczęścia. Tojo zdechł w czasie pobytu w Clonakilty i został pochowany z honorami wojskowymi na tyłach hotelu.

Większość ludzi znających Clonakilty słyszało o lądowaniu. Na ścianach wielu domów wciąż wiszą zdjęcia B-17. Wszyscy wiedzą, że to Eddie Collins jako pierwszy powitał załogę. Nadal wspomina się małpkę Tojo. Mnożą się opowieści i plotki (trzydzieści sześć butelek rumu urosło w lokalnej legendzie do trzydziestu sześciu skrzynek). Wysłuchałam wszystkich. Niektóre wykorzystałam w książce, innych nie, niejedną sama wymyśliłam. Mam nadzieję, że wszędzie tam, gdzie zgodnie z wymogami fikcji przeinaczam nieco fakty, jestem usprawiedliwiona (tak, wiem, że nie można było złożyć połowego pasa startowego w jeden dzień, nie zadawajcie więc sobie trudu, by pisać do mnie w tej sprawie).

Trzech członków załogi wciąż żyje: Jim Stapleton, drugi pilot; Arlie Arneson, strzelec pokładowy, i Guy Tice, strzelec wieżyczki za kabiną pilotów, na którym wzorowałam postać Lesa Wagnera.

Postacie i wydarzenia opisane w książce są całkowicie fikcyjne. Wykorzystałam ku swojej uciechu sporo lokalnych nazwisk. Dziękuję tym, którzy wyrazili na to zgodę, i mam nadzieję, że ci, których o to nie poprosiłam, nie poczują się obrażeni.

Guy Tice odwiedził Clonakilty w 1977, pięćdziesiąt cztery lata po przymusowym lądowaniu. Zatrzymał się w hotelu O’Donovana.

C. Pisco, *Only a Paper Moon*

Podziękowania

W trakcie pisania tej książki (zwłaszcza wtedy, gdy nie widać było jej końca), zdarzało mi się przerywać pracę i myśleć o podziękowaniach, które powinnam umieścić na ostatniej stronie.

Jest już tradycją wyrażanie wdzięczności wielkiej liczbie ludzi, „bez których pomocy książka ta nie ujrzałaby światła dziennego”. Zastanawiałam się, komu powinnam podziękować i w jakiej kolejności. Tyle osób przychodziło mi do głowy!

Podziękowałabym przede wszystkim rodzinie. Mojemu ojcu i matce za bezgraniczną miłość i wsparcie okazywane w ciągu bardzo trudnego roku. Mojej siostrze, której nałogowy zwyczaj prowadzenia zamiejscowych rozmów stanowi niewyczerpane źródło radości zarówno dla mnie, jak dla towarzyszt telekomunikacyjnych całego świata. Moim czterem córkom za cierpliwość wobec matki, która zamyka się w swoim pokoju na całe godziny i jest najgorszą zrzędą, jaka kiedykolwiek wypelza rano z łóżka. I oczywiście Anne Crawley za wszelką pomoc.

Musiałabym też podziękować wspaniałym ludziom z wydawnictwa Poolbeg, zwłaszcza Kate Cruise O'Brien, mojej szefowej, którzy wydobyli mnie z niewoli opowiadania i prowadząc przez większość czasu za rękę zmusili do napisania prawdziwej powieści.

Musiałabym też skreślić parę słów o tych wszystkich, którzy pomogli mi w poszukiwaniach, zwłaszcza Irish Warplane Research Group, personelowi Air Force Museum w Dayton w Ohio, B-17 Combat Crewmen and Wingmen Association i naturalnie Travelling Community z Clonakilty, a przede wszystkim Bridgetowi Williamsonowi.

Musiałabym też wyrazić wdzięczność wszystkim przemiłym ludziom, których pamięć zachowała obraz rzeczywistego lądowania „T'aint a Bird” w Clonakilty w 1943 roku, zwłaszcza Guyowi Tice, strzelcowi wieżyczki za kabiną pilotów. Guy miał zaledwie osiemnaście lat, gdy wylądował w Clon. Nie wahał się ani chwili, gdy ponad pięćdziesiąt lat później zadzwoniłam do niego bez uprzedzenia, i poprosiłam o pomoc w napisaniu książki. Dni, które spędziliśmy razem w Wisconsin były przemiłe. Guy Tice to prawdziwy dżentelmen i jestem dumna z jego przyjaźni.

Inni przyjaciele również zasługują na wzmiankę. Martin Kelleher za bezustanną obecność, Dave Edmund za upomnienia i Jenny Mac za *craic* (tak, porozmawiamy któregoś dnia!). A także Elaine Walsh za to, że była najlepszą przyjaciółką i sąsiadką, jaką może znaleźć w małym irlandzkim miasteczku przybysz ze świata, Podziękowałabym wszystkim, którzy mi powtarzali, że dam sobie radę. Zwłaszcza Johnowi Noonanowi, który pozwolił mi w to uwierzyć.

Myśl o podziękowaniach dawała mi nadzieję, że pewnego dnia wywiążę się z zadania, jakie postawiłyśmy przed sobą z Kate.

Gdy dobiegła kresu długa i pracowita zima, rankiem 26 marca, po nocy nieprzerwanej pracy ukończyłam wreszcie książkę. Nie mogłam się doczekać, kiedy zadzwonię do Kate i powiem jej o tym. Przez te wszystkie miesiące stała się dla mnie kimś więcej niż tylko wydawcą. Jak mawiają w West Cork, moje serce otwarto się dla niej na oścież. Z góry cieszyłam się na nasz wspólny weekend i mnóstwo wina, które miałyśmy wypić.

Kate zmarła tego samego dnia po południu. Nie próbuję nawet wyrazić, co to dla mnie znaczy. Wszystko jest jeszcze zbyt świeże, nie chciałabym poza tym niepokoić w tych bolesnych chwilach jej rodziny.

Zwykłe słowa wdzięczności nie oddają przemożnego wpływu, jaki wywarła na całe moje życie. Wyrazy głębokiego uznania byłyby bardziej na miejscu.

Dzięki Kate Cruise O'Brien stworzyłam tę powieść, dzięki niej ją opublikowano, dzięki niej stałam się w końcu pisarką. Gdyby odeszła kilka miesięcy wcześniej, nie byłoby tej książki.

Nie powstałaby bez niej.

23 kwietnia 1998, West Cork.